

# ZAKON DIABLO

## THE ORDER



NATE KENYON

NOW IN PAPERBACK—BASED ON THE BESTSELLING VIDEO GAME!





**NATE KENYON**

Diablo III: Zakon

Tłumaczenie: Dominika Repeczko  
Wydawnictwo: Fabryka Słów 2012





# SPIS TREŚCI

## SPIS TREŚCI

### PROLOG Wspomnienia

### CZEŚĆ PIERWSZA Cienie

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

### CZEŚĆ DRUGA Nadchodzi mrok

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDEMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

DZIEWIĘTNAŚCIE

DWADZIEŚCIA

DWADZIEŚCIA JEDEN

DWADZIEŚCIA DWA

## CZEŚĆ TRZECIA Władca Kłamstw

DWADZIEŚCIA TRZY

DWADZIEŚCIA CZTERY

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

DWADZIEŚCIA SIEDEM

DWADZIEŚCIA OSIEM

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

TRZYDZIEŚCI

TRZYDZIEŚCI JEDEN

TRZYDZIEŚCI DWA

TRZYDZIEŚCI TRZY

TRZYDZIEŚCI CZTERY

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

TRZYDZIEŚCI OSIEM

EPILOG

PODZIĘKOWANIA





*Dla Abbey,  
mojej małej dziewczynki,  
która pewnego dnia może zebrać się na odwagę,  
by to przeczytać... ale jeszcze nie teraz*







PROLOG  
Wspomnienia





## *Tristram, 1213*



Chłopiec wcisnął ręce w kieszenie wełnianej tuniki, jakby chciał je ogrzać, mimo że siedział na tyle blisko ognia, by ciepło zabarwiło różem jego policzki. Ramiona miał wąskie, twarz pociągłą i naznaczoną zmęczeniem nietypowym dla jedenastolatka, wydawał się przez to starszy. W przerzuconej przez ramię torbie z jeleniej skóry tkwiła wciśnięta w kieszeń opaska księga. Wyrostek garbił się pod jej ciężarem, skórę poznały mu czerwone ślady. Chłopak o to nie dbał. Ani też o to, co inni mają do powiedzenia na jego temat. Z natury był samotnikiem zaszywanym się w domu nad starymi księgami. I nie czuł potrzeby, by to zmieniać.

Blask płomieni tańczył na twarzach pozostałych dzieci, które usiadły wokół ogniska. Na zarumienionych buziach malował się zachwyt i uniesienie, niemalże ekstaza, jakby to nie bajarka opowiadała im historie, lecz sama archanioł Auriel, która zstąpiła na ziemię.

Nie. Chłopiec zniesmaczony nieznacznie potrząsnął głową. Może kilka lat temu pokusiłby się o takie porównanie, ale teraz już nie. Bajarką, która z taką pewnością siebie snuła opowieść, była po prostu jego matka. Zwykła śmiertelniczka. I mimo swego pochodzenia wiedzą bynajmniej nie przerastała innych śmiertelników. A nawet gdyby archanioły istniały naprawdę, to na pewno nie marnowałyby czasu na wycieczki do takiej zabitej dechami dziury jak ta wioska.

Kłoda pękła, syjąc snopami iskier. Kilkoro dzieci aż podskoczyło. Dym kłębił się wokół ich głów, wypełniał nozdrza kwaśnym, gorzkim zapachem, który maskował smród niosący się z podwórka. Matka trzymała młodych słuchaczy w napięciu. Jak zawsze. Starsi mogli sobie przewracać oczami, gdy przechodziła, karczmarz i strażnicy mogli za jej plecami szeptać o szaleństwie, ale dzieci zawsze przychodziły słuchać. I wierzyły.

Póki nie dorosną, pomyślał Deckard Cain. Póki nie zaczną dostrzegać prawdy.

– Ostatni z Najwyższych Złych i najmłodszy z braci, Diabło, Władca Grozy, był najsilniejszy ze wszystkich i najtrudniej było go powstrzymać. Mówiono, że ktokolwiek nań spojrzał, z przerażenia pogrążał się w otchłani szaleństwa. Ale horadrimowie ani na chwilę nie zaprzestali pogoni. Kiedy Tal Rasha został pogrzebany wraz z Władcą Zniszczenia pod piaskami Aranoch, Jered Cain powiódł pozostałych magów przez Khanduras i walczył ze sługami Diabła na każdym kroku.

Aderes powiodła wzrokiem po zaróżowionych twarzyczkach, zaglądając w oczy każdemu z dzieci. Gdy jej spojrzenie padło na Deckarda, chłopak udał, że wypatruje czegoś poza kręgiem światła. Głos jego matki zadrżał lekko. Może po prostu nabierała tchu...

– Horadrimowie dzięki potężnej magii dziesiątkowali armię demonów. Ale Diabło wezwał kolejne tysiące sługusów wprost z dna Piekieł. Jered zdecydował, że pora położyć temu kres. Wszak archanioł Tyrael powołał horadrimów w jednym tylko celu: by powstrzymać Najwyższe Zło i wygnać Władców Piekieł z naszego świata. Jered nie zamierzał pozwolić, by bractwo zawiodło.

Aderes Cain miała woskowo bladą skórę, twarz okoloną kruczoczarnymi lokami i puste spojrzenie przekłetej. Deckard setki razy słyszał już tę opowieść, za każdym razem obszerniejszą i bardziej imponującą. Znał

wszystkie zwroty akcji, wszystkie części fabuły. Teraz Aderes zaskoczy dzieci - ujawni, że bohaterscy magowie stanęli do bitwy TUTAJ, NA TYCH WŁAŚNIE ZIEMIACH. Powie, że piasek pod ich stopami spłynął ongiś czarną krwią demonów. Jej głos nabierze mocy, gdy opisie, jak to Jered i pozostali horadrimowie stawili czoła fali potwornych istot, by wreszcie uwięzić Diabło w Czarnym Kamieniu Dusz i pogrzebać głęboko pod ziemią, gdzie spoczywa po dziś dzień.

Kiedyś ta legenda przejmowała Deckarda dreszczem, ale wyrósł już z tego, przestał być dzieckiem, zaczął wstydzić się matki i jej rosnącego szaleństwa. Zresztą teraz miał ważniejsze sprawy na głowie i nie mógł już znieść opowieści. Kiedy więc matka odwróciła się do pozostałych, umknął w chłodną ciemność nocy.

+

Szedł boso po śliskiej trawie, owinąwszy ciasno tuniką drobne ramiona. Z dala od ogniska powietrze było znacznie chłodniejsze i z każdym oddechem Deckarda unosił się obłoczek pary, niby nieziemska istota powołana do życia z ludzkiego tchnienia. Niedaleko w stodole ktoś zaklął, zakrzyczała szlachtowana owca i powietrze wypełnił słodko-kwaśny zapach krwi. Mgła tuliła się do pni drzew na skraju lasu, a chłód muskał kark Deckarda niczym palce ducha. Chłopiec zadrżał i skręcił w stronę domu, odległego zaledwie o jakieś pięćdziesiąt kroków.

Wnętrze oświetlały dwie lampy, ale Deckard wolał pozostać w ciemności. Bezszelestnie przemknął do swojego pokoju. Drogę znał przecież na pamięć. W domu też było zimniej, niż się spodziewał.

Jego palce przebiegły po grzbiecie księgi, którą miał w torbie, pieścizotliwie, delikatnie. Ale jeszcze po nią nie sięgnął. Delektował się chwilą jak pijak smakiem wina, gdy podniesie już do ust długo wyczekiwany kielich. Księga zawierała historię Zachodnich Marchii i synów Rakkisa, był to tekst ze wszech miar naukowy, nie taki, jakie lubiła czytywać matka: o szlachetnych bohaterach, niewyobrażalnych światach Niebios i Piekieł oraz tamtejszych mieszkańcach, którzy zawsze czaili się gdzieś na granicy wzroku. Bajki.

Chciał choć trochę pobyć sam. Ale chwilę później drzwi otworzyły się ponownie i usłyszał, jak matka zrzuca ciężkie drewniaki. Zaraz pewnie rozpali ogień, zagotuje wody na herbatę, a potem z robótką albo książką zasiądzie na bujanym fotelu i zacznie pomrukiwać pod nosem.

Mylił się. Przyszła prosto do jego pokoju, ledwie zdążył ukryć książkę pod łóżkiem.

– Deckardzie? - Uniosła wyżej lampę, spoglądając na niego spod przymrużonych powiek. - Odszedłeś, zanim skończyłam.

W miękkim żółtym świetle jej włosy sprawiały wrażenie nieokiełznanej burzy czarnych loków opadających na ramiona. Zaczyna siwieć, pomyślał Deckard, na prawej skroni pojawiły się pierwsze białe nitki. Nie zauważył tego wcześniej.

– Już wiele razy słyszałem tę historię. Byłem zmęczony i chciałem odpocząć.

– To nie jest jakaś tam historia, Deckardzie. Krew Jereda płynie w twoich żyłach, jesteś... jesteś ostatnim z dumnego rodu bohaterów.

– Horadrimem.

– Właśnie. Potomkiem wielkich magów, których zadaniem jest bronić Sanktuarium przed demonami nawiedzającymi ten świat. Przecież wiesz.



Cain wzruszył ramionami. Nie lubił patrzeć matce prosto w oczy, nigdy nie był pewien, co tam zobaczy. Przez chwilę siedział w milczeniu.

– Dlaczego nie pozwoliłaś mi przyjąć nazwiska ojca? - zapytał nagle.

Sam nie wiedział, dlaczego to powiedział. Ojciec zmarł kilka tygodni wcześniej. Całe życie przepracował w sklepie garbarza. Zaczął od zamywania podłóg, by potem zostać czeladnikiem, a ostatnie dwa lata zarządzał już całym sklepem. Rzadko miał coś do powiedzenia, jeszcze rzadziej okazywał uczucia. Deckard nie był do niego zbyt podobny... A może był?

Matka postawiła lampę na stoliku przy łóżku i usiadła obok syna. Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego ramienia, a on się odsunął, odrobinę zaledwie, na tyle jednak, by cofnęła dłoń jak oparzona.

– Jesteś zły i cierpisz - westchnęła. - Rozumiem. Ale to nie przywróci go do życia.

Deckard popatrzył na swoje palce splecione na kolanach, potem na słomkę wystającą z siennika, którego pokrycie wyblakło już i przetarło się gdzieś po licznych praniach. To było jego łóżko, odkąd wyrósł z kołyski. To samo łóżko, w tym samym pokoju, w tym samym skromnym domu, w tej samej miejscinie.

TU NIGDY NIC SIĘ NIE DZIEJE.

Kiedy podniósł wzrok, oczy matki lśniły w miękkim świetle lampy.

– Kochałam twojego ojca, na swój sposób. Ale nie jest moim przeznaczeniem odrzucić dziedzictwo i nazwisko, które noszę. Twoim też nie. Przepowiedziane zostało, że horadrimowie powstaną znowu, gdy wszystko będzie wydawać się stracone, a nowy bohater poprowadzi ich do bitwy o Sanktuarium. Rozumiesz? Twoim przeznaczeniem są wielkie rzeczy.

Cain zacisnął pięści.

– Wielkie? Horadrimów już nie ma, a ty zostałam bajarką, żeby zapęłnić pustkę. Ale ludzie w Tristram tylko się z ciebie śmieją. Rozejrzyj się, matko! Gdzie są twoje anioły i demony? Gdzie bohaterowie? Horadrimowie wyginęli już dawno i całe miasto się z tym zgadza.

Zerwał się, podszedł do maleńkiego okienka. Dygotał jak w chorobie. *Jesteś ostatnim z dumnego rodu.* Nie chciał już dłużej słuchać tych bzdur. Chciał, by zostawiono go w spokoju, sam na sam z książkami.

Noc był ciężka wilgocią, zgęstniała mgła pełzła po ziemi, owijała się wokół słupów, kłębiła pod zawieszonymi na nich lampami. Deckard słyszał, że jego matka się poruszyła, ale nawet nie drgnął. Obrócił się dopiero, słysząc trzask płomienia. Aderes trzymała jego księgę nad lampą. Suche strony zajęły się ogniem. Ogień odbił się czerwienią w oczach matki.

Deckard wyrwał jej książkę i raz po raz uderzył okładką o własną pierś, ale tylko się poparzył, rzucił więc księgę na podłogę i zdeptał pełgające po niej płomyki. Dysząc ciężko, podniósł spojrzenie na matkę.

– Coś zrobiła?

– To nie jest częścią twojego przeznaczenia - odpowiedziała. - Powinieneś czytać teksty pozostawione przez Jereda. Przechowuję je dla ciebie, aż będziesz gotowy.

Gapił się na to, co pozostało z księgi o Zachodnich Marchiach. Strony były zwęglone. Nie do uratowania. Gniew wezbrał mu w piersi i zacisnął się na gardle.

– Demony mieszkają w tobie, matko. Przysięgam, że tak właśnie jest. Skoro istnieją, jak twierdzisz, niech przybędą. Niech się pokażą!

Z ust matki wyrwał się szloch, zdławiła go dłonią. Zatoczyła się.

– Zważ, czego sobie życzysz, Deckardzie. Nie wiesz, o co prosisz...

– Niech PRZYBĘDĄ!

Jego wysoki krzyk wypełnił noc i odbił się echem w ciemności. Zdawało się, że świat zamarł i Deckard poczuł lodowatą pieśczołę chłodu na gołych łydkach. Chłopak zadrżał na poły ze strachu, na poły w oczekiwaniu, w pragnieniu zmiany, jakiegokolwiek, byle tylko pozwoliła mu opuścić to miejsce. Wiedział, że w przeciwnym razie podzieli los swego ojca i spędzi życie w sklepie garbarza albo będzie sprzedawał mięso nielicznym przyjezdnym, którzy na własne oczy chcieli zobaczyć majestatyczne ruiny siedziby starego zakonu horadrimów. Deckard umrze tu, jego kości zostaną pogrzebane w tutejszej ziemi i nikt nie będzie pamiętał, jak żył i jak skonał.

– Chcę wierzyć - powiedział ze straszliwym znużeniem. - Ale nie potrafię.

Matka potrząsnęła głową.

– Nie mogę zatem ci pomóc - odparła. - Jesteś już stracony.

Zaszlochała głucho i wyszła, zostawiając na stoliku lampę, którą ze sobą przyniosła.

Deckard chciał pobiec za nią, powiedzieć, że mu przykro, że tak naprawdę wcale tego wszystkiego nie myślał, ale nogi wrosły mu w ziemię. Może więc właśnie tak myślał. Płomień lampy zamigotał, jakby poruszony oddechem niewidzialnej istoty. Na ścianach zatańczyły cienie, a chłopakowi wydało się, że słyszy szept:

– *Deckaaaaard...*

Odwrócił się gwałtownie, by spojrzeć w maleńkie okno, uchylone w ciemność nocy. Napływające stamtąd powietrze było lodowate, o wiele zimniejsze, niż powinno. Deckard wyjrzał, mrużąc oczy, ale nie zobaczył nic, tylko mrok i mgłę. I ruch od strony pól. Aż podskoczył, gdy bezpański pies, szukając resztek, przemknął z cichym skomleniem i zniknął we mgle między domami.

Cain spojrział na szczyt wzgórza, gdzie czerniał stary klasztor, niczym pusta starożytna łupina, wykorzystana i odrzucona. Chłopak ciaśniej otulił się tuniką, nagle boleśnie świadom swojej arogancji. W głębi serca modlił się, by coś się wydarzyło, coś, co pozwoli mu uniknąć drogi, jaką widział przed sobą, ale wiedział, że nic takiego się nie stanie. Prawdziwe życie znacznie różniło się od tego, co głosiły legendy i mity.

Podniósł zniszczoną księgę o Zachodnich Marchiach. Zwęglone brzegi stron rozsypały się pod jego dotykiem.

*Niech przybędą.*

Potrwa to pięćdziesiąt lat, ale życzenie Deckarda Caina się spełni.



# CZEŚĆ PIERWSZA

## Cienie







# JEDEN



*Ruiny Tajnego Repozytorium Vizjerei, Pogranicze, 1272*

Podczas mrocznych zdarzeń, które nadeszły i potoczyły się w zawrotnym tempie, nie dało się zauważyć, kiedy runęły granice między światami. Może stało się to podczas wybuchu góry - przypominającego starcie dwóch wojowników, którzy pędzą na spotkanie przeznaczenia z obnażonymi mieczami i wydają się niepodatni na ciosy, dopóki nie zaczną się chwiać, póki krwawa piana nie zabarwi ich warg, póki śmiertelne rany nie powalą ich na kolana.

Ale może wszystko zaczęło się właśnie tutaj, w niewyobrażalnym upale Pogranicza, wśród ruin tuż na skraju pola widzenia. Kiedy dwóch podróżników zbliżyło się do szczytu ostatniej wydmy, usłyszało może odległe dzwonięcie, ten niesamowity dźwięk, jaki wydaje kawałek metalu uderzony młotem, wibrując na granicy słyszalności. Dźwięk, który przyprawia o ciarki.

Przybysze zatrzymali się, by ukoić pragnienie. Słońce odbijało się od nieskończonego morza piasku i przypiekało skórę. Młodszy z wędrowców, dumny rycerz Zachodnich Marchii, w złotej zbroi i z czerwoną tarczą,

splunął żółcią i wytarł lśniąca od potu twarz kawałkiem gałgana, pociągnął solidny łyk z bukłaka, po czym wręczył go towarzyszowi. Starszy, odziany w tunikę z kapturem, z torbą przewieszoną przez plecy, przełożył kij, na którym się opierał, do drugiej ręki i z wdzięcznością przyjął naczynie. Mężczyzna nosił pas ozdobiony splątanymi wzorami w kolorze zaschniętej krwi i był tak chudy, że powinien obawiać się nagłych porywów wiatru. Długa broda i dzikie białe włosy sprawiały, że na pierwszy rzut oka mógł się wydać szaleńcem, ale była w nim siła, którą młodszy towarzysz zaczynał dostrzegać, im dłużej razem podróżowali. Starszy mężczyzna szedł wolno, ale w niezmiennym tempie bez względu na to, czy wędrowali w dzień, czy w noc, i rycerz nie raz, nie dwa miał trudności, by dotrzymać mu kroku.

Stary wskazał na prawo, gdzie piasek tworzył wgłębienie długie na jakieś sześć metrów.

– W tym miejscu rekin wydmowy wylazł na powierzchnię, żeby się pożywić - rzucił cicho. - Stają się bardziej agresywne z nadejściem ciemności. Musimy być bardzo ostrożni.

Kraniec zagłębienia znaczyły czerwone bryzgi. Krew. Młody słyszał o miazdżycielach, potwornych bestiach podobnych smokom, o wielkich zębach i potężnych szponach, którymi mogły rozerwać człowieka na strzępy. Z mieczem w dłoni mógł stawić czoła każdej istocie z krwi i kości. Ale to istoty z innego wymiaru są największym zagrożeniem, powtarzał sobie w duchu, choć żadnej dotąd osobiście nie spotkał. Jednak rycerz widział blizny, jakie znaczyły ciało starego, i trochę zdążył się już dowiedzieć, skąd się wzięły. Dlatego nie wątpił, że jego towarzysz potrafi skutecznie bronić swego życia.

Podjęli marsz po krótkiej przerwie i już na szczycie następnego wzniesienia znaleźli to, czego szukali.



Bliźniacze kolumny sterczały z piasku niczym wyszczerbione kły o wierzchołkach utraconych nie ludzką siłą.

I może tak w istocie było, pomyślał Deckard Cain, jeśli to rzeczywiście jest wejście do ruin sekretnej biblioteki Vizjerei. Wolał sobie nie wyobrażać, jakie potworności spragnione krwi magów odwiedzały to miejsce w minionych latach.

Deckard Cain i jego towarzysz wędrowali od wielu dni. W ostatnim mieście zostawili swoje muły i postanowili odbyć resztę drogi pieszo. Wierzchowce nie na wiele by się zdały na tym sypkim piachu. Miejsce, do którego zmierzali, leżało daleko. Cain nie miał wątpliwości, że ruiny pozostałyby ukryte przez kolejne lata, gdyby nie jego młody towarzysz, który przyniósł mu mroczne teksty Zakarum, teraz bezpiecznie schowane w jego torbie. Starożytna biblioteka Vizjerei w Kaldeum była o wiele większa i lepiej znana wśród magów, ale ta, jeśli faktycznie istniała, mogła okazać się o niebo ważniejsza.

To była bardzo długa podróż. Po niełatwym zwycięstwie nad Baalem na Górze Arreat i zniszczeniu Kamienia Świata Deckard Cain nie zdołał przekonać towarzyszy, że niebezpieczeństwo grożące Sanktuarium bynajmniej nie zostało zażegnane. Wręcz przeciwnie, o ile to, co wyczytał, i to, co zrozumiał ze zwojów horadrimów, było prawdą. Archanioł Tyrael ostrzegał przed tym, zanim zginął. Cain wyczuwał subtelną zmianę w otaczającym go świecie, zmianę, która odzwierciedlała treść przepowiedni, zachwianie istniejącej od wieków równowagi między Królestwem Niebios a Płonącym Piekłem. Utrata Kamienia Świata była druzgocącym ciosem.

Sanktuarium stało się bezbronne. I jakby tego było mało, Cain zaczął śnić o dzieciństwie i historiach opowiadanych przez matkę. Noc w noc budził się zlany potem. Walczył przeciwko niezliczonym armiom ciemności pozbawiony jakiegokolwiek ochrony albo załamany siedział skulony w klatce zawieszanej na wysokim słupie, a potworne istoty urągały mu i kpiły bez końca. Pojawiały się jeszcze gorsze przeżycia: duchy z przeszłości, które, jak sądził, dawno już pogrzebał. Nie miał takich koszmarów od upadku Tristram. Poczucie winy z powodu tamtych wydarzeń zżerało go żywcem. Cain przybył zbyt późno, by uchronić swój dom przed inwazją demonów. I za bardzo był pochłonięty własną osobą, by zmienić to, co wydarzyło się na Górze Arreat.

Towarzysze Caina uparli się świętować zwycięstwo. Chcieli powrócić do tych, których kochali, pozbierać resztki dawnego życia. Nie mógł mieć im tego za złe. Ale na Caina nikt nie czekał, wyruszył więc, by poskładać w całość te kawałki, które pozwolą mu poznać ukryty wzór. Jeśli inwazja rzeczywiście była blisko, potrzebował pomocy, horadrimowie zostali powołani do walki ze złem, ale dawno już pochłonęły ich mroki dziejów. Głos jego matki wracał do Deckarda echem z przeszłości.

*Krew Jereda płynie w twoich żyłach, jesteś... jesteś ostatnim z dumnego rodu bohaterów.*

Akarat zaczął schodzić ze zbocza, ale Deckard złapał go za ramię. Paladyn aż dygotał, energia i brawura typowa dla młodego wieku zagłuszała te bardziej wrażliwe zmysły, które może dałyby rycerzowi powód, by zwolnić. Ale Cain to poczuł, jak zapach niesiony wiatrem.

Zapach niebezpieczeństwa.

Akarat dobył miecza gotów szarżować w dół na spotkanie czegokolwiek, co tam czekało.

– Tu jesteśmy odsłonięci - powiedział. - Lepiej się nie zatrzymujmy. Ochronię cię przed miazdżycielami i osami piaskowymi. Poza tym może tam nic nie ma.

– Powinniśmy jednak zatrzymać się na chwilę - odparł Cain. - Teksty mówią o zaklęciu, które strzeże biblioteki przed wzrokiem podróżnych. Te kolumny powinny pozostać dla nas niewidoczne. Coś osłabiło czar.

Resztę dopowiedział już tylko w duchu.

Skoro są tu tak potężne artefakty, to i potężne siły muszą stać na ich straży.

Ukląkł w rozgrzanym piachu i zaczął przeszukiwać torbę. Ten młody człowiek tak bardzo przypominał mu kogoś, kogo znał lata temu, przyjaciela, który zszedł do piekielnych katakumb, próbując ocalić Tristram. Za ten nadmiar pewności siebie drogo przyszło mu zapłacić. I całemu Sanktuarium też. Cain nie zdołał go ocalić.

Jeśli mam rację, to potrzebujesz ochrony, młody przyjacielu, pomyślał. Wyjął z torby przedmiot przypominający lunetę z bursztynowymi soczewkami i uniósł go do światła. Słońce zniżyło się powoli do horyzontu, a powietrze migotało w ciepłym żółtym świetle. Do zachodu została jeszcze z godzina. Najlepiej byłoby rozbić obóz, a badanie ruin zacząć o poranku, ale rycerz miał rację, na szczycie wzgórza pozostawali całkowicie nieosłonięci. I żaden z nich nie miał ochoty spotkać się z tym, co mogło wypełznąć z piasku, gdy tylko pogłębią się cienie.

Deckard wstał, starając się ignorować ukłucia bólu w krzyżu i trzeszczenie w kolanach, nieustannie przypominające mu o jego wieku. Jak to się mogło stać? Przecież dopiero co był chłopcem i hasał po polach, obserwował krowy pasące się w wysokiej trawie i kradł jajka z kurnika Grosgrove'a. Jakże krótkie okazało się życie, przesypywało się między palcami jak ten przeklęty piach, mijało tak nieuchwytnie...



Caina znów opadły wątpliwości. Większość życia spędził, zaprzeczając swemu dziedzictwu, samolubnie zakopawszy się wśród ksiąg, tym samym niszcząc bezpowrotnie to, co kochał. Potrzeba było pięćdziesięciu lat, by zaakceptował swoje przeznaczenie. Czy w ogóle mógł się uważać za horadrima?

Nie był bohaterem, bez względu na to, co powtarzała mu matka. Ogrom odpowiedzialności spoczywający na jego starych i kruchych ramionach przygniatał go do ziemi. Coś potwornego miało się wydarzyć, coś tak straszliwego, że poprzednie ataki będą przy tym dziecięcą igraszką. A jednak nikt, komu opowiadał o zbliżającej się inwazji demonów, nie wierzył. Nikt z wyjątkiem Akarata. Wszyscy uważali Caina za zgrzybiałego starego głupca, w najlepszym wypadku. W najgorszym - za niebezpiecznego starego głupca. Ludzie pochłonięci byli własnym życiem, zwyczajnym, w którym z zasady nie gościły anioły czy demony. Nie widzieli tego, co Deckard, nie śnili jego snów, w przeciwnym wypadku zrozumieliby.

Rycerz mruknął. Ponownie dobył miecza, przestępując z nogi na nogę. Wcześniej, w Zachodnich Marchiach, z przyjemnością słuchał opowieści starego, domagając się coraz to kolejnych, aż do późnej nocy. Ale teraz, gdy znalazł się w ich środku, pragnął działać. Nosił imię po twórcy wierzeń Zakarum i było to imię bardzo stosowne. Młody i uparty, był jednak przy tym prawdziwym wiernym, nieskończenie gorliwym wyznawcą.

Cain wymruczał krótką inkantację, aktywując moc artefaktu.

– Spójrz na ruiny przez te soczewki - polecił, podając przedmiot rycerzowi. - Szybko, zanim zblednie.

Paladyn wykonał polecenie i aż się zachłysnął. To wystarczyło, by upewnić Caina, że artefakt działa bez zarzutu.

– Na światłość... - powiedział cicho rycerz. Popatrzył na ruiny gołym okiem i ponownie podniósł artefakt. - Niesamowite.

Oddał przedmiot Cainowi. Oczy miał wytrzeszczone ze zdumienia.

Teraz stary zerknął przez soczewki. Ich kolor barwił scenerię na pomarańczowo, jakby gdzieś tam płonął ogień. Poza dwoma kolumnami znaczącymi wejście widział potężną budowlę i otaczający ją teren. Więcej kolumn, zniszczonych w różnym stopniu, tworzyło szpaler prowadzący do wejścia. Ściany wznosiły się do miejsca, gdzie przed wiekami rozerwała je potężna eksplozja. Kamienne bloki leżały tam, gdzie upadły, na poły zagrzebane w piasku.

Cain dokładnie przyjrzał się ruinom, zanim opuścił soczewki. Znow widział jedynie dwie ukruszone kolumny.

Czar, na tyle potężny, by strzec budowli przez wieki, teraz zaczął słabnąć. Ale dlaczego?

Akarata nie dręczyły wątpliwości, nie zamierzał też dłużej czekać. Był już w połowie zbocza i parł naprzód, na ile pozwalała mu zbroja.

Obejrzał się na Caina. Twarz rozświetlało mu podniecenie i ostatnie promienie słońca.

– No chodźże - ponaglił Deckarda. - Potrzebujesz pisemnego zaproszenia?



## DWA



### *Ukryta komnata*

W pobliżu ruin powietrze było chłodniejsze. Zanim Cain i Akarat dotarli do masywnych kolumn, zakłęcie odsłaniające w lunecie wygasło, ale nie było im już potrzebne.

Cienie obu filarów kładły się na ścieżce czarnymi liniami. Czar ukrywający ustępował powoli i majestatyczne ruiny wyłaniały się niczym góry z kłębow mgły. Potrzaskane kamienie wyrastały z piasku, wygładzone przez wiatr i pokryte starożytnymi runami - widome świadectwo, że oto podróżnicy trafili do miejsca wielkiej mocy. Cainowi serce biło coraz szybciej, a dłonie wilgotniały. W podeszwach stóp czuł wibracje odległego pomruku dochodzącego z głębi ziemi.

Albo może było to coś zupełnie innego.

Panował tu mrok. Chociaż promienie słoneczne wciąż jeszcze ślizgały się po kamieniach, niewiele dawały światła i ciepła. Poczuli to nawet paladyn, im głębiej wchodzili w ruiny, tym mniej pewnie stawiał kroki.

Przed nimi rozpościerały się pozostałości świątyni, dach, który zapadł się pod własnym chyba ciężarem, zawalił wejście. Masywne belki sterczały w

niebo niczym żebra olbrzymiej bestii. Jeżeli legendarne księgi rzeczywiście istniały, tutaj właśnie zapewne je ukryto. Ale ruiny mogły w każdej chwili pogrzebać poszukiwaczy pod zwałami gruzu i kamieni.

W ciszy rozległ się szelest jakby zeschniętych liści.

Akarat natychmiast wyciągnął miecz.

– Słyszałeś to? - szepnął do towarzysza. Cain skinął twierdząco głową, stając obok młodzieńca.

– Może jednak nie jesteśmy tu sami - odpowiedział cicho.

– To znaczy...? Myślisz, że to zwierzę?

– Może. - Cain nie miał wątpliwości, że rycerz jest zarazem wystraszony i podekscytowany. Opowieści o atakach demonów to jedno, ale stawanie twarzą w twarz z czymś, co większość ludzi uważała za legendę, to co innego. Cain wiedział to aż za dobrze.

Szelesty zawirowały wokół nich i przycichły, jakby się oddaliły, by powrócić niczym szum fal albo cichy pomruk. Cain poczuł kłujący dreszcz rozgrzewający mu skórę. Wyciągnąwszy przed sobą laskę niczym amulet, ruszył po potrzaskanym bruku. Akarat szedł tuż za nim.

– Zasłoń uszy - polecił mu Deckard. - Jakbyś był głuchy. Jeśli zabrzmią głosy, nie słuchaj ich.

– Nie rozumiem...

– Jeśli jest tu zło, będzie chciało przeciągnąć cię na swoją stronę, skazić zepsuciem, poznać twoje słabości. Zignoruj jego głos. Cokolwiek by to było, przysięgam, że nie zostało przeznaczone dla twoich uszu.

Dotarli do skraju gruzowiska i zaczęli rozglądać się w poszukiwaniu drogi do środka. Wypatrzyli przejście na tyle duże, by zmieścić się człowiek. W głębi widać było jedynie ciemność. Cain zrzucił z ramienia torbę i wyjąwszy rozpadającą się księgę czarów, zaczął ostrożnie przerzucać strony. Szybko znalazł właściwe słowa. Kiedy je wypowiedział,

szklana kula na jego lasce rozbłysła błękitnym światłem. W miejscu osłoniętym od wiatru na piasku pozostał niewyraźny ślad stóp. Człowiek albo coś mu podobnego przechodziło tędy wcale niedawno.

Cain odłożył książkę i spojrzął na rycerza, który z rozchylonymi ustami wodził oczyma od Caina do rozświetlonej kuli.

– Magia? Prawdziwa?

– Proste zaklęcie. Jak to z lunety, zamknięte w artefakcie. Po prostu mam wiedzę, jak zmusić je do działania. To miejsce magii, wybrane, przynajmniej po części, z powodu mocy w tej ziemi. W takim miejscu czary są silniejsze.

– Naprawdę jesteś ostatnim z horadrimów?

Cain zastanowił się nad odpowiedzią.

– To, czego się nauczyłem, pochodzi z ksiąg - rzekł wreszcie. - To zapomniany zakon. Gdyby ostał się ktokolwiek z jego członków, pewnie byłby lepiej przygotowany niż ja. I już dawno wyszedłby z ukrycia.

– Skoro więc jesteś ostatni, to co teraz?

– Muszę zrobić, co w mojej mocy, żeby powstrzymać zło, które zagraża Sanktuarium. - Stary wzruszył ramionami. - I modlić się, żeby nie było na to za późno.

I niech nam Niebiosa dopomogą, pomyślał na koniec, ale nie wypowiedział tych słów na głos.

Akarat zerknął w lewo, jakby spodziewał się, że atak nastąpi właśnie z tej strony.

– Jeszcze wiele musimy się nauczyć o tym świecie - szepnął. Wyglądał teraz niczym chłopiec, który przypadkiem zobaczył coś, czego widzieć nie powinien, i usilnie stara się w tym znaleźć jakiś sens. Nie zauważył śladu stóp.

Cain położył mu dłoń na ramieniu.

– Walczyłeś już kiedyś?

– Ja... walczyłem nie raz - odparł rycerz. - Patrolowałem miasto, dowodziłem swoich umiejętności na turniejach...

– Nie mówię o turniejach czy patrolu - przerwał mu łagodnie Cain. - Tylko o starciu z przeciwnikiem, który wdepta cię w ziemię, gdy tylko będzie miał taką szansę. Albo i gorzej.

Akarat potrząsnął głową. Zbyt wiele miał zapału, by udawać bardziej doświadczonego.

– Niewiele było ku temu okazji od czasu, gdy osiągnąłem odpowiedni wiek.

– Zapomniałem. Bitwa na Górze Arreat miała miejsce lata temu. Nie mogłeś mieć więcej niż...

– Dziesięć lat - odpowiedział Akarat, spoglądając na starego roziskrzonym wzrokiem. - Pamiętam opowieści tych, którzy stamtąd wrócili. Zazdrościłem im.

– Żaden wstyd - powiedział Cain. - Od tamtej pory na świecie zrobiło się znacznie spokojniej. Przynajmniej na pozór. Wkrótce będziesz miał okazję zaprawić się w boju. Na razie jednak chcę, abyś strzegł tego wejścia. - Potrząsnął głową, słysząc protesty. - Jestem starym, słabym człowiekiem i nie noszę miecza. Ale nie noszę też zbroi, więc zdołam wcisnąć się w każdy zakamarek i być może znajdę coś, co nam pomoże. O wiele bardziej przydasz się tutaj, pilnując, żeby nic nie zaszło mnie od tyłu.

Akarat stanął w rozkroku i ujął oburącz rękojeść miecza.

– Nie zawiodę cię - obiecał.

Cain uśmiechnął się, ale gdy na powrót zwrócił się ku ciemności świątyni, jego uśmiech zgasł. Ponownie wspomniał bohatera, którego znał dawno temu w Tristram, najstarszego syna króla Leoryka, znanego później pod imieniem Mrocznego Wędrowca. Zwrócił się do niego tymi samymi

słowy, kiedy ruszał w głąb owych przeklętych katakumb pod katedrą. Cain sam uczył chłopca i kochał go - przynajmniej na tyle, na ile wtedy zdolny był kochać.

Pochylił głowę, wchodząc w wąską szczelinę prowadzącą w trzewia świątyni. Przejście było niskie i tak wąskie, że musiał się pochylić i ugiąć kolana, aby precyzyjnie się bokiem między skałami. Ból znów ukąsił go w plecy, niewidzialny wróg, zawsze gotów do podstępного ataku.

Może jednak nie powinienem iść sam, pomyślał Cain. Może to zadanie dla kogoś młodszego.

Jednak zaledwie kilka kroków dalej przejście się otworzyło i mógł się rozejrzeć i unieść laskę. Znalazł się u szczytu grubo ociosanych stopni prowadzących w głąb ziemi. Były nieźle zachowane, najwyraźniej niżej położona część świątyni przetrwała w nie najgorszym stanie. W pyle dostrzegł więcej śladów, niektóre biegły w dół, inne do góry. Nie sposób było powiedzieć, kiedy je pozostawiono.

W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i pleśni, jak z krypty, której nie otwierano przez stulecia. Cain znów usłyszał odległy szelest i przez chwilę próbował przebić spojrzeniem gęstą czern, ale niczego nie dostrzegł.

Począł wolno schodzić, z każdym stopniem powietrze wydawało mu się chłodniejsze. Wreszcie dotarł do kamiennej podłogi. Blask laski wyłowił z ciemności potężną komnatę, podtrzymywaną przez masywne drewniane belki osnute gęstymi pajęczynami. W drewnie wyryto runy mocy i te niosące ostrzeżenie. Cain czytał je z rosnącym zrozumieniem. Te znaki zostawili następcy żyjącego przed wiekami Bartuka. Ten mag Vizjerei wezwał demony na swe usługi, a ich moc go spaczyła i przeppełniła niegasnącą żądzą krwi. Jego starcie z bratem Horazonem było punktem kulminacyjnym dawnej Wojny Klanów i pociągnęło za sobą tysiące ofiar.



Jeśli Cain odnalazł właśnie skarbiec armii Bartuka, to każdy artefakt będzie tu naznaczony mocą demonów. W najlepszym wypadku ich przydatność okaże się wątpliwa, ale najpewniej będą po prostu niebezpieczne.

Czyżby przyjscie tutaj było fatalną pomyłką?

Drgnął, gdy z sufitu posypały się nań drobiny piasku i kurzu, coś dużego i czarnego przebiegło po jednej z belek i zniknęło w ciemności. Zbyt duże, jak na pająka, a żaden szczur nie mógłby zwisać z belki do góry nogami.

Lepiej nie przyglądać się temu za bardzo...

Pośrodku pomieszczenia coś zamigotało w blasku światła. To miejsce wolne było od kurzu i pyłu. Cain zobaczył krąg skomplikowanych run wyrytych w kamieniu. Portal. Dokąd prowadził, Deckard mógł jedynie zgadywać. W kręgu spoczywał kamień barwy krwi. Ktoś chciał go stąd usunąć i na podłodze zostały głębokie szczyrby, najwyraźniej jednak próba spełzła na niczym. Cain ukląkł przy skalnym odłamku, studiując z uwagą runy. Jego puls przyspieszał w miarę czytania. Wymówił głośno kilka prastarych słów, uwalniając w ten sposób kamień, i wsunął go do torby.

Poszedł po śladach stóp do niszy w przeciwległej ścianie. Przegniłe deski zwisały z połamanych podpór pozostałości starożytnej biblioteki. Tutaj przed wiekami przywoływano istoty spoza tego świata. Może nawet portal wiódł prosto do Piekieł. Z regałów niewiele zostało, nie wspominając już o księgach. Cain pochylił się, dostrzegłszy skrawek zółci za jedną z większych drzazg, i wyciągnął zza niej pergamin, pozwijany i poznaczony kropkami pleśni.

Coś się poruszyło w cieniu po prawej.

Deckard odwrócił się, unosząc wyżej lśniąca kulę. Cień sprawiał wrażenie żywego, kipiał i przelewał się niczym wzburzona woda. W tej

samej chwili głos, niczym odległe zawroźenie wiatru, wionął przez komnatę, a staremu włosy zjeżyły się na karku.

– *Deckaaaaarrddddd Caiiinnnn...*

Cain cofnął się pamięcią do czasów, kiedy był tylko małym chłopcem, a tajemniczy głos wzywał go zupełnie jak teraz. Począł się wycofywać, jedną ręką przeszukując torbę, w drugiej ściskając laskę, która chroniła go przed ciemnością. Już nie był pewien, co właściwie słyszał. Może to tylko wiatr świszczący wśród popękanych ścian, a może umysł płatał mu figle po zbyt długim pobycie na słońcu?

Jednak głos odezwał się znowu i brzmiał jak szelest kości przesypujących się w odległym grobie.

– *Wiele duchów cię nawiedza, stary człowieku, i wszystkie nie śpią.*

Zgrzyt metalu o kamień zdawał się dobiegać ze wszystkich stron. Raz jeszcze cień zagotował się, zgęstniał i rozwiął, tylko po to, by kawałek dalej przybrać kształt wojownika z mieczem. W czerwonych oczach stwora płonął ogień Piekieł.

Cain wiedział, co widzi, obraz wydarty z głębi jego umysłu, który miał osłabić, złamać wolę Deckarda. Obraz Mrocznego Wędrowca. Dym zawirował, zakłębił się i podzielił na dwie sylwetki, jedną wyższą i niewątpliwie męską, drugą niższą i drobniejszą. Dreszcz wstrząsnął ciałem Caina, gdy stare, dawno zagrzebane wspomnienie wyrwało się z otchłani niepamięci. Zacisnął powieki, czując, że tuż przed nim otwiera się otchłań najczarniejszej rozpacz i za chwilę go pochłonie.

Nie wolno mu słuchać.

– Nadchodzi burza - odezwał się głos od strony schodów. - Musimy poszukać schronienia...

Cokolwiek kryło się w tej komnacie, zasyczało z zadowoleniem, gdy Akarat wszedł, mrugając niepewnie oślepiiony magicznym blaskiem.

– Cofnij się! - krzyknął stary.

Cień rozwinął się i popłynął ku paladynowi.

A Akarat, niczym skończony głupiec, rzucił się naprzód, dobywając miecza. Ciął oburącz w dół, rozszczepiając cień na dwoje. Ostrze skrzesało iskry z kamiennej podłogi. Chłopak uniósł broń i machnął ponownie, tym razem poziomo. Niczego nie działał. Ciemność oplatała go pasmami niczym dym, wiła się wokół jego nóg i sięgała wciąż wyżej i wyżej. Cain ukląkł w pyle i wsparł łaskę o posadzkę.

Rycerz zaczął krzyczeć.

Zwoje Caina rozsypały się po podłodze. Gdzie to jest? Przerzuczał je gorączkowo.

Wreszcie znalazł. Rozwinął delikatny papier i wykrzyczał słowa mocy tą resztką sił, jaka mu jeszcze pozostała.

Demon zaskrzeczał wściekle. Nieludzki głos urwał się na najwyższej nucie, gdy pergamin w rękach Caina zamienił się w proch.

W komnacie pojaśniało nieco, czar stworzył dwie lśniące szmaragdowo sfery, które chroniły obu mężczyzn przed zakusami demona. Czarny dym wił się, ale nie mógł przeniknąć przez niewidzialną granicę czaru. Cainowi udało się zobaczyć fragmenty kończyn o wielu stawach, jakby owadzich, zaraz pochłonięte przez ciemne kłęby.

Akarat podszedł do starszego towarzysza, pomógł mu pozbierać zwoje i wstać, po czym spojrział na czerń, która zdawała się napierać raz po raz na szmaragdowe sfery. Młodzieniec oddychał ciężko, twarz zrosiły mu kropelki potu.

– Jak... jak to zrobiłeś?

– Zaklęcia klanu Ammuit - odparł stary. - To właściwie iluzja i zapewni nam bezpieczeństwo jedynie na krótko.

– Czyli jednak jesteś prawdziwym czarodziejem!

– Jestem tylko uczonym, który korzysta z tego, co odkryli inni.

Akarat odwrócił się, by spojrzeć na stwora, który ich zaatakował.

– Co to jest?

– Sługus Pomniejszego Zła, posłany tu, by strzec tej ukrytej komnaty. Nie możesz słuchać tego, co do ciebie mówi ten cień, bo tylko ścisnie ci serce i zacznie dręczyć, aż pęknie.

– Widziałem... rzeczy. Straszliwe rzeczy. - Rycerz potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić złe myśli. - O tobie... i o mnie.

Odwrócił się, a w oczach miał szaleństwo.

– Nie możesz w to wierzyć, mój synu. Musimy wyjść stąd jak najszybciej.

– Ja... - Twarz młodzieńca pociemniała nagle. - To coś jest złe. Musimy to zabić!

– To coś nie ma ciała, nie jest z krwi i kości...

– Mogę to pokonać. Muszę spróbować, na wszystkie świętości. Mądrość Zakarum naucza, jak oprzeć się złu, jak walczyć z nim do ostatniego tchu. Takie istoty zdeprawowały wysoką radę, zamordowały Kalima, pogrzyżyły naszą świątynię w mroku. - Akaratowi pot zlepił włosy, ale młodzieniec uniósł miecz i odwrócił się do zjawy. - Archanioły wesprą mnie swą mocą, przysięgam.

Jest już stracony. Serce Caina skurczyło się boleśnie, poczuł chłód przenikający go do kości. Starzec wyciągnął dłoń, by dotknąć ramienia swego młodego towarzysza.

– Istnieje sposób walki z demonami, ale nie klingi do tego trzeba...

Z cienia wyłoniła się czarna twarz o pustych oczodołach i szeroko rozwartych ustach. Akarat zachłysnął się i spał, gdy twarz zaczęła się zmieniać, póki nie przybrała rysów paladyna, które wykrzywiły się ze zgrozy, kiedy potworna rana rozdarła cienistemu popiersiu gardło. Głowa

przechyliła się do tyłu, a ze straszliwego kikuta dym buchnął na podobieństwo strumieni krwi.

Ze zdławionym szlochem młody paladyn rzucił się na spotkanie demona. Błysk rozjaśnił komnatę, gdy rycerz przekroczył szmaragdową sferę czaru ochronnego. Cain uniósł ramiona, by się osłonić, i upadł na plecy. Wcześniej jednak zobaczył, jak miecz młodzieńca tnie pustkę.

Światło zatrzeszczało niczym wyładowanie błyskawicy. Potworny krzyk Akarata urwał się jak ucięty klingą. Świat jakby zamarł, a potem czas zaczął biec do tyłu i do Caina znowu wróciło to, czego tak bardzo nie chciał pamiętać - sny, w których był samotnym i zagubionym dzieckiem krzyczącym w ciemności.

Czar został przełamany, ciemność zalała pomieszczenie, a stary powoli dźwignął się i uniósł laskę. Lśnienie kuli przygasało nieco, jak gdyby cienie w komnacie absorbowały światło. Błękitny blask pozwolił Cainowi zobaczyć swego towarzysza. Rycerz stał nadal tyłem do starego, tylko ramiona miał opuszczone, a plecy zgarbione. Upuścił miecz, ręce opadły mu bezwładnie.

– Akaracie! - Cain postąpił krok naprzód zżerany przerażeniem. Młodzieniec nie odpowiedział, tylko jego ramiona unosiły się nieznacznie i opadały, jeszcze oddychał.

Muszą opuścić to miejsce. Przyjście tutaj było błędem.

Lodowaty podmuch musnął policzki Caina, wypełnił nozdrza odorem śmierci. Kiedy stary dotknął ramienia swojego towarzysza, chłód przeniknął mu palce aż do kości. Młody drgnął, ale twarz, którą zwrócił ku Deckardowi, nie była już twarzą Akarata.

Sucha, szorstka skóra napinała się na opuchniętych brwiach i obrzmiałych policzkach, popękane wargi krwawiły. Oczy, którymi jeszcze niedawno spoglądał Akarat, teraz wbiły się w Caina z zimną nienawiścią.

Deckard pomyślał o ciele gnijącym powoli w bezimiennym grobie i wiedział, że musi odwrócić wzrok i uciekać albo ciemność ogarnie i jego duszę, zamieni krew w strugi czerni.

– *Czekaliśmy na ciebie, Deckaardzie Cainnie.*

– Uwolnijcie go - zażądał starzec.

– *Raczej nie.* - Istota uśmiechnęła się, pokazując długie, ostro zakończone zęby. - *Tyle jeszcze jest do zrobienia, by przygotować nadejście.*

Cain rozpaczliwie usiłował sobie przypomnieć, co znajdowało się w torbie, by znaleźć coś, co mogłoby mu pomóc, ale nie miał żadnego artefaktu, żadnego zwoju, którym można by odpędzić demona. A bez zwojów i bez artefaktów Cain był zgubiony. Nie miał w sobie magii.

– *Ostatni z horadrimów - zasyczał stwór drwiąco. - Jesteś niczym. Popełniłeś błąd. Rozejrzyj się, spójrz na ślady stóp, na brakujące zwoje. Byli tu inni twego rodzaju i zawiedli. Dlaczego tobie miałyby się udać?*

Inni? Cain popatrzył na ślady stóp w komnacie, niektóre pozostawił on, inne Akarat, ale część była obca. Nikły promień nadziei przebił się przez rozpacz. A jednak Deckard Cain wiedział, że to niemożliwe, w głębi serca wiedział, że jest ostatni.

Nie mógł zaufać nawet jednemu słowu tej istoty.

Demon łąże. Nie może go słuchać.

*Jesteś ostatnim z dumnego rodu bohaterów.*

– Akaracie! - powtórzył z mocą. - Mówię do człowieka w tej skorupie. Musisz walczyć, synu. Musisz walczyć z tym, co przejęło nad tobą kontrolę.

– *Nasz pan przybywa* - powiedział stwór, oblizując krwawe wargi. Jego oddech rzeźił głośno w piersi Akarata i cuchnął jak tysiąc gnijących trupów. - *Prawdziwy Władca Piekieł. Dopadnie cię, a twoja śmierć będzie długa i przepelniona cierpieniem. Albo może uczyni cię swym niewolnikiem, zmusi,*

*byś służył mu po wsze czasy. Wielu takich jak ty jest z nim już teraz.* – Demon uśmiechnął się szeroko. - *Wśród nich i ci, których znałeś i darzyłeś miłością.*

– Akaracie. Posłuchaj mnie. Nie pozwól, żeby ten stwór wygrał. Możesz zwyciężyć. Moc, by tego dokonać, jest w tobie.

Skóra na ohydny obliczu demona zafalowała i stwór zasyczał jakby z bólu. Cain trzymał laskę przed sobą, a demon się cofał.

– Uwolnij go! - krzyknął stary.

Stwór zasyczał ponownie i znowu pojawiła się twarz Akarata. Młodzieniec zamrugał zdumiony, a potem jego rysy wykrzywiły się odrażająco i rycerz zniknął.

– *Chłopiec nie ma dość sił. Ty też nie.* – Demon postąpił krok naprzód, potem kolejny, aż jego stopa dotknęła porzuconej klingi Akarata. Stwór pochylił się, by podnieść miecz, połyskujący zimno w błękitnym blasku, a potem spojrział na Caina i wyszczerzył się złośliwie. - *Czy mamy tego użyć? Precyzyjne cięcia. Może z tysiąc kawałków.*

Cain cofnął się niezgrabnie. Zanurzył dłoń w torbie, po raz kolejny próbując znaleźć tam ratunek. Palce drugiej ręki bolały, tak mocno zaciskał je na lasce, jedynej rzeczy, która zdawała się go oddzielać od powolnej straszliwej śmierci.

Akarat był zgubiony, Cain to wiedział i w duchu opłakiwał mężczyznę, jakim stałby się młody rycerz, gdyby nie napotkał na swej drodze demona.

Dobrze, że ten stwór nie zna prawdy, nie wie, że on nie ma żadnej mocy, a laska nie ma w sobie nic magicznego poza tym jednym zaklęciem...

Natychmiast pożałował tych myśli, ale było już za późno. Demon uśmiechnął się szerzej i postąpił kolejny krok naprzód.

– *Czyli jednak nie prawdziwy horadrim? Oczywiście, że nie. Twoja słabość odsłoniła prawdę.*

Cain cofnął się niezdarnie, aż w końcu znalazł się niemal na środku pomieszczenia.

– Odejdź! - Machnął laską. Światło kuli przygasło, a demon uśmiechnął się szerzej. Wyglądało to, jakby powykrzywiana twarz Akarata zapadła się w tym makabrycznym uśmiechu, tworząc czarną dziurę, która pochłania wszelkie światło i wszystko, co dobre na tym świecie.

– *Czy wiesz, coś rozpoczął? Niebiosa zapłoną, horadrimie. Plaga, jaką przyniósł temu światu Diabło i jego bracia, zblednie wobec naszego przyjścia. Nasz pan ma prawdziwą moc, by obrócić Sanktuarium wniwecz, sprawić, że ziemia zadrży i się rozstąpi. Kaldeum spłonie, archanioły upadną, a Sanktuarium będzie nasze. A ty nie zdążysz temu zapobiec. Żałosne. Twój zbawiciel jest tak blisko. Ukryty na widoku między tysiącami jemu podobnych, nie dalej jak trzy dni drogi stąd. A jednak ty niczego nie wiesz, niczego nie widzisz.*

Cain upadł na kolana. Dłoń wreszcie natrafiła na to, czego szukał, palce zamknęły się wokół klejnotu wydobytego ze środka wykreślonego runami kręgu.

– *Gdzie są teraz twoje anioły, starcze? Gdzie bohaterowie, którzy osłoniliby cię w bitwie? To wszystko, co masz? Tego chłopaczka, którego oddałeś nam, by ukryć własny egoizm i dumę? Nic nie jesteś wart. Tak jak ci, którzy byli tu przed tobą.* - Demon uniósł miecz oburącz i stanął nad Cainem, śmiejąc się skrzekliwie.

Stary cofał się, opierając na rękach. Upuszczona laska potoczyła się i znieruchomiła dwa metry dalej.

– *Zmieniliśmy zdanie. Nie będzie tysiąca precyzyjnych cięć, lecz jedno takie, które strąci ci głowę z ramion.* – Demon przechylił głowę, jakby nasłuchiwał. Cokolwiek usłyszał, sprawiło, że skulił się jak katowany pies, a kiedy się odezwał, nie zwracał się już do Caina, tylko do kogoś



niewidocznego dla oczu śmiertelnika, i nawet ton jego głosu zaczął przypominać żalosne skamlenie. – *Jesteśmy spragnieni krwi. Dlaczego nie nadszedł czas?*

Nagle stwór zauważył klejnot zaciśnięty w dłoni Caina. Deckard spróbował ukryć swą zdobycz, ale demon ciął mieczem w jego nadgarstek z taką prędkością, że starzec musiał wypuścić kamień, a i tak ledwie zdołał ocalić dłoń. Ostrze minęło ją o włos.

– *Myślałeś, że zdołasz nas przegnać za pomocą tego?* - Stwór podniósł klejnot i zrobił krok w stronę Deckarda. - *Jest bezużyteczny bez run i magii, która mogłaby go zbudzić, starcze.*

– Nakazuję ci opuścić to ciało...

– *Milcz!* - Demon uniósł miecz, tym razem jedną ręką, w drugiej ścisnął lśniący czerwienią kamień.

Cain zerknął na posadzkę.

Jeszcze tylko krok...

Demon postąpił naprzód, jego zniekształcone rysy wykrzywiła nienawiść. Nie był świadom tego, że Cain wprowadził go w pułapkę. Deckard wymówił słowo mocy, które wcześniej odczytał z run i zapamiętał. Słowo spłynęło mu z warg zaskakująco czyste i dźwięczne. Demon spojrzał pod nogi, na jego paskudnej gębie odmalowało się zdumienie, gdy zobaczył, że krąg zaczyna pulsować ostrym światłem. Kamień, który stwór wciąż ścisnął w dłoni, obudził się do życia. Demon zawył z wściekłości. Na wykrzywionym gniewem obliczu pojawił się cień innego uczucia, niechętnego szacunku.

– *Oszustwo!* – wrzasnął.

Ale Cain nie potrafił cieszyć się ze zwycięstwa, wiedząc, że wraz z demonem skazał na śmierć Akarata.

Portal, który pozwalał uczniom Bartuka przywoływać demony z Piekieł, otworzył się w czerwonym rozbłysku. Demon zaskrzeczał z bólu, gdy ściskany przezeń klejnot odpowiedział blaskiem. Miecz brzęknął o podłogę i sylwetka Akarata rozplynęła się niczym powidok, jaki słońce zostawia pod powiekami.

– Idź precz do Piekieł - powiedział Cain i portal zamknął się równie nagle, jak i otworzył. Ciało Deckarda pulsowało głuchym bólem.

Akaracie, mój synu, wybacz mi.

Z wysiłkiem dźwignął się, podniósł laskę. Błękitny blask zgasł już niemal całkiem. Demon zginął. Ale poległ też towarzysz Caina. I niczego wartościowego nie znaleźli. Akarat na próżno oddał życie.

+

Deckard Cain wrócił schodami do szczeliny i przecisnął się na zewnątrz, gdzie wśród ruin szalała burza. Niósł miecz Akarata i ciężar w sercu. Znów zawiódł. Znów nie zdołał ocalić przed śmiercią bliskiej mu osoby.

Ciemne chmury sunęły mu nad głową. Wiatr targał tuniką. Światła ubywało.

Musi się spieszyć.

Ta wyprawa jednak wciąż mogła przynieść jakąś korzyść i w imię pamięci Akarata Cain był zdecydowany odnaleźć jej sens.

Obszedł ruiny.

Z tyłu między połamanymi kolumnami i popękаныmi blokami kamienia znalazł ścieżkę, prowadzącą do miejsca, które kiedyś mogło być ogrodem. Pośrodku otwartej przestrzeni zobaczył pozostałości po obozowisku, porzucone tobołki i trzy połamane laski. Cainowi mocniej zabiło serce.

Cokolwiek przytrafiło się jego poprzednikom, zdarzyło się właśnie tutaj. Nie wiadomo, czy tu zginęli, czy może jednak przeżyli, najwyraźniej jednak przynieśli do ogrodu to, co znaleźli w komnacie. I zdążyli rozbić obóz.

Wiatr tarmosił arkusze na wpół zagrzebane w piasku.

Księga zaklęć Vizjerei. Demonia magia Bartuka. Stary wolumin. Zapewne pochodzący ze świątyni. Czyli jednak było tu coś wartościowego.

Deckard Cain rozejrzał się w poszukiwaniu kolejnych skarbów. I kilka kroków dalej znalazł następną księgę. Przepowiednie horadrimów.

Przez chwilę patrzył osłupiały. Teksty horadrimów? Tutaj? W tym miejscu? Jak to możliwe? Strony były porozrywane, wielu fragmentów brakowało, słowa ledwie dawało się odczytać. Cain podniósł księgę delikatnie, z szacunkiem, tak jak wszystkie inne teksty. Dla niego były bezcenne, traktował je niczym własne dzieci.

Ale to znalezisko przewyższało wszystkie inne.

Na pierwszej stronie wypalony był herb bractwa, niczym piętno. Znak pochodzenia, świadectwo niezwykłej doniosłości tekstu. Wyglądało na to, że symbol został sporządzony przez samego Tal Raszę, jednego z pierwszych horadrimów, któremu archanioł Tyrael nakazał pojmanie i uwięzienie Władców Piekieł.

Cain przekładał strony, a serce waliło mu w piersi. Słowa, które pozostały czytelne, zapowiadały kolejną wojnę światłości i mroku, wojnę, przy której zbledną wszystkie poprzednie.

*A Niebiosa spadną na Sanktuarium, gdy fałszywy przywódca z prochu powstanie... I z grobu podniesie się Al Cut, a śmierć zbierze krwawe żniwo wśród ludzkiego rodzaju...*

Hałas kazał mu się obrócić. Piaskowa osa unosiła się jakieś trzy metry od niego. Ciężki odwłok zbrojny w żądkło zwisał nisko, gdy polatywała nad

ziemią w pobliżu porzuconych plecaków.

Cain stał nieruchomy, póki nie odleciała, potem ruszył sprawdzić, co też ją zwabiło. W torbach znalazł resztki gnijącego jedzenia i kolejne teksty. Usiadł i zaczął przeglądać je ostrożnie. Stanowiły mieszaninę zapisków horadrimów, zakarumitów i Vizjerei. Cain nijak nie mógł pojąć, w jaki sposób ktokolwiek miałby zgromadzić taką kolekcję, ani też po co zostawił ją na pustkowiu.

Przeglądał woluminy, czując znajome podniecenie, przybierające na sile, w miarę jak przewracał strony. Wziął kolejną księgę i ta natychmiast wydała mu się inna w dotyku. Była bardziej współczesna. Kopia księgi zakłęć, na oko miała nie więcej niż rok. Wykonanie było staranne, strony świeżo zszyte i zapisane. I wszystko wskazywało na to, że należała do jednego z horadrimów.

*Rozejrzyj się, spójrz na ślady stóp, na brakujące zwoje. Byli tu inni twego rodzaju i zawiedli.*

Myśli mknęły przez głowę Deckarda jak oszalałe. Przez lata w Sanktuarium pojawiło się wiele fałszerstw tekstów horadrimów, a jednak ten wydawał się bardziej autentyczny niż inne, które Cain czytał wcześniej. Zaczął uważniej przeglądać księgę, zwracać uwagę na styl, słownictwo, melodię języka. Uświadomił sobie istnienie energii zamkniętej w tych stronicach. Księga zdawała się wibrować dźwiękiem zbyt wysokim, by zarejestrowało go ludzkie ucho. Im dłużej czytał, tym większą miał pewność, że była to dokładna kopia oryginalnego tekstu. Tym bardziej że wolumin znajdował się pomiędzy innymi, starszymi tomami.

Kto mógłby mieć dostęp do takich ksiąg? Czyżby próbowano przywrócić tym ziemiom magię klanów?

Cain przypomniał sobie inne słowa demona.

*Twój zbawiciel jest tak blisko. Ukryty na widoku między tysiącami jemu podobnych, nie dalej jak trzy dni drogi stąd.*

Najbliższym miejscem, w którym znajdowało się tysiące ludzi, było Kaldeum, największe miasto handlowe w Kedzystanie. Tam również można było wyprodukować i kupić taką księgę. Ale w Kaldeum był także ktoś, kogo od dawna Cain planował odwiedzić. Przyjaciel z mrocznych czasów Tristram, odpowiedzialność, której z uporem unikał. To da mu dobry pretekst.

*Musisz iść do Kaldeum.*

Głos był tak mocny, że przez chwilę Cain wręcz zobaczył przed sobą Akarata w lśniącej złoto zbroi i z oczyma rozświetlonymi wewnętrznym ogniem.

*Los tego świata zależy od równowagi. Musisz iść.*

Cain zamrugał, przetarł oczy i spojrzał raz jeszcze. Przed sobą nie zobaczył niczego. Tylko wiatr świszczął pośród skał, a z nieba spadły pierwsze grube krople deszczu.

Deckard podniósł miecz Akarata. Broń zaciężyla mu w dłoniach. Cain nie był wojownikiem. Nie miałby żadnego pożytku z takiej klingi.

Wbił ją głęboko w piach i pozostawił, niczym swoisty pomnik dla innych podróżników. Zebrał teksty do torby i opuścił ruiny Vizjerei, wspinając się na kolejne wydmy tak szybko, jak pozwalało na to jego stare ciało. Zastanawiał się nawet, czy się nie zatrzymać na noc i nie odpocząć, ale głos go popędzał.

Nie było chwili do stracenia.

Bitwa o ten świat właśnie się rozpoczęła.



## TRZY



### *Kaldeum*

Dziewczynka, chudziutka jak ptaszek, niewiele ponad ośmioletnia, wysunęła się spomiędzy prętów zardzewiałej kraty kanału ściekowego, gdy ostatnie promienie słońca prześlizgnęły się po miedzianych dachach i iglicach miasta. Świat powoli dryfował ku nocy.

Kosmyki brązowych włosów wisały wokół ślicznej, delikatnej buzi, poznaczonej smugami brudu. Grzywka została przycięta króciutko, dla wygody przy sporadycznym myciu.

Dziewczynka przemykała wśród cienia uliczek. Zmienił się kierunek wiatru i prysnął jej w twarz tysiące kropel wody niesionych znad kaskad, które były dziełem ludzkich rąk. Woda dudniła w oddali. Dziewczynka mruknęła pod nosem, a młoda kobieta przechodząca obok rzuciła jej zaskoczone spojrzenie i ominęła ją szerokim łukiem, zbierając fałdy chłopskiej spódnicy. Nie zauważyła wcześniej małej, bo ta stała w cieniu zupełnie nieruchoma. Dziewczynka nie zwróciła na kobietę większej uwagi. Przyzwyczała się już do tego, że inni jej unikają i wzdrygają się na sam widok. Bardziej była zainteresowana tym, co działo się obok, wśród

namiotów handlarzy ustawionych w piasku pod murami miasta. Matka zabroniła jej tu przychodzić, ale targ fascynował ośmiolatkę. Tylu wokół było rozmaitych ludzi, tłoczących się i przepychających, pokrzykujących nieustannie na siebie nawzajem: wieśniaków z wózkami wyładowanymi sukniem, warzywami i mięsem, strażników miejskich zbrojnych w ciężkie miecze i tarcze, targujących się kupców, szlachciców w jedwabnych szatach oraz sług. Kaldeum było miastem upału i spłowiejących barw, a ostatnio także napięcia, jakby ludzie spodziewali się, że wydarzy się coś strasznego.

Ale dziewczynka, samotna i przepełniona niepokojem, którego tak naprawdę nie potrafiła zrozumieć, żyła z dala od nich, we własnym cieniu i mroku. Od namiotów zapachniało jedzeniem i małej zaburzało głośno w brzuchu. W tym samym momencie z alejki wyszedł starzec. Wydawało się, jakby pojawił się znikąd. Jego włosy były masą splątanych kosmyków, broda sięgała piersi. Na ramieniu niósł wypchaną torbę, tak ciężką, że kołysał się z boku na bok. Dziewczynka aż się spięła, kiedy wmieszał się w tłum targowiska - zaraz go ludzie wywróca, rozdepczą. Ale kiedy mężczyzna zrzucił torbę w pył ulicy, postawił na niej stopę i zaczął rozglądać się wśród wózków i straganów, przechodnie tylko klęli i złorzeczyli, ale omijali go, tak jak strumień wody opływa kamień.

Starzec mruknął pod nosem, ale zbyt cicho, by dziewczynka mogła cokolwiek usłyszeć. Pogrzebał w torbie i wyciągnął kawałek materiału, pozostałość tuniki, na którym krwawymi literami napisane było: *Koniec wszelkich dni*. Rozciągnął sobie ową szmatę nad głową i wzniosł brudne pomarszczone ręce, jakby szykował się do przysięgi.

- Strzeżcie się, albowiem zło nadciąga! - zakrzyczał żebrak, a jego głos był równie poszarpany co skrawek tuniki. - Najpierw upadnie góra i otworzą się bramy, a potem przyjdzie czas grozy i śmierci! Niebo zaciągnie się czernią, ulice spłyną krwią!



Grupa chłopców zebrała się po przeciwnej stronie ulicy. Tręciami się łokciami i palcami pokazywali sobie starca. Rozbawieni podeszli do niego i otoczyli kręgiem.

– Zejdź z drogi, staruchu - odezwał się jeden z nich. - Bo jeszcze ci się broda wkręci w jakieś koło.

Głowa żebraka zakołysała się, gdy wodził spojrzeniem po twarzach wyrostków.

– Jesteście straceni. Mroczny jest potężny, powiadam wam. Na jego rozkaz stanie armia demonów! Martwi będą kroczyć wśród żywych!

Chłopcy znów wybuchnęli śmiechem.

– Ty już śmierdzisz jak truposz - stwierdził któryś. - Może to cię zmyliło.

Inny wyrwał starcowi torbę. Dłonie żebraka zerwały się jak ptaki do lotu, próbując pochwycić utraconą własność. Chłopcy zaczęli przerzucać tobół między sobą, niemalże trafiając kobietę z dzieckiem, która przemknęła bokiem, odwracając wzrok. Żebrak chciał odzyskać torbę, ale chłopcy zwarli szereg, zmusili go do cofania się i obrzucali przekleństwami. A kiedy po raz kolejny wyciągnął ręce, jeden z łobuzów popchnął go i starzec się zatoczył, ledwie zdołał utrzymać się na nogach.

Dziewczynka nie mogła już tego znieść. Oglądanie okrucieństwa chłopaków przypominało oczekiwanie na uderzenie monstrualnej fali nadciągającej do brzegu. Wyprostowała drobne ramionka i wyskoczyła z cienia.

– Zostawcie go w spokoju - zażądała.

Chłopcy podnieśli na nią wzrok.

– Patrzcie tylko - powiedział ich przywódca, pochylając się nad dziewczynką. Przerastał ją co najmniej o głowę. Miał świńskie, wredne oczka. - Ten stary ma anioła stróża. A może to TY JESTEŚ chodzącym truposzem, o którym bredził?

Serce dziewczynki zabiło mocniej, bo reszta chłopców porzuciła starego żebraka i podeszła do niej.

– Czego chcesz od tego durnia, co? - zapytał ten o świńskich oczkach. - To twój narzeczony czy co?

Dziewczynka popatrzyła na starca, który zebrawszy swoje rzeczy, oddalał się, mamrocząc pod nosem. Wielka fala emocji, jeszcze przed chwilą piętrząca się przerażająco, załamała się, rozbiła jak woda o skały. Na chwilę dziewczynka poczuła ulgę. Ale wtedy Świńskie Oko dźgnął ją tłustym paluchem w ramię.

– Ty, mówię do ciebie.

Pozostali podeszli bliżej, wymieniając między sobą szerokie uśmiechy. *Dopiero teraz rozpocznie się zabawa* - mówiły ich rozbawione miny.

– Nie lubię cię - stwierdziła dziewczynka. - Jesteś wstrętny w środku, o, tutaj. - Dotknęła dłonią chudziutkiej piersi.

Świńskie Oko spojrział na nią spod przymrużonych powiek. Już się nie uśmiechał.

– A ty jesteś wstrętna na zewnątrz - odparł, a jego głos zaczął nabierać piskliwych tonów. - Widziałem cię już kiedyś, nie? Lea, tak się nazywasz, nie? Gdzie jest twoja pomyłona matka? Znów obsługuje gości w tawernie, co?

Pozostali chłopcy pohukiwali, śmiejąc się głośno, i poklepywali się nawzajem po ramionach, ale Świńskie Oko wciąż spoglądał jej w twarz.

– I wiesz co? Ja też cię nie lubię - wycodził cicho. Znów dźgnął dziewczynkę paluchem. - Zrozumiałaś? Nikt cię nie lubi. Jesteś ściekowym szczurem. Powinniśmy wrzucić cię do fontanny, żeby zmyć smród tych kanałów, w których ciągle się czołgasz, ale jakoś zapomnieliśmy sprzedać bilety na taki cyrk.

Reszta znów rechotała ubawiona.

Ściekowy szczur. Lea nienawidziła, gdy ją tak nazywali.

– Nie dotykaj mnie - powiedziała twardo, a kiedy spojrzała chłopakowi w oczy, ten cofnął się mimowolnie. W oczach dziewczynki migotała ciemność, głębia sprawiająca, że inni odwracali wzrok. Lea tak naprawdę nie wiedziała dlaczego. Wiedziała jedynie, że inni dostrzegają w niej coś niepokojącego i że dziwne rzeczy dzieją się wokół niej. Jakby sama jej obecność zwiastowała pecha. Ale tego tutaj to nie powstrzyma, szczególnie nie wtedy, gdy zająci przyglądają się jego przyjaciele. Spróbuje zrobić jej krzywdę, sprawy wymkną się spod kontroli, ONA wymknie się spod kontroli, a nie wiedziała, jak mogłoby się to skończyć...

Nad ich głowami zakrakał kruk. Zatoczył krąg i z łopotem skrzydeł wylądował jakieś sześć metrów dalej. Przechylił łepkę i popatrywał na wyrostków i dziewczynkę koralikowymi oczkami, podskakując raz po raz w kierunku martwego szczura. Wóz przetoczył się drogą, koło załomotało tuż obok, ptak odskoczył zgrabnie i zaraz wrócił w poprzednie miejsce, do spleśnionego truchelka, rozjechanych flaków i futra, obejrzał je raz i drugi, zanim oderwał sobie długi, wilgotny pasek mięsa, podrzucił go i przełknął szybko.

Żołądek Lei szarpnął się, gdy kruk znów przechylił łepkę i spojrzał paciorkiem oka prosto na nią.

*Widzę cię, maleńka.* I poczuła, jakby to oko mogło otworzyć się na tyle szeroko, by połknąć ją jak kawałek surowego mięsa.

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Zaciśnęła pięści, gotowa walczyć, ale kruk zaprzętnął uwagę chłopców, więc skorzystała z tego i dała nura pod ramieniem Świniookiego, skoczyła w boczną uliczkę, po czym pobiegła ile sił w nogach. Za jej plecami rozległ się krzyk i wiedziała już, że wyrostki biegną za nią. Z oddali nadal słyszała wykrzykiwane przepowiednie starego

żebraka, a przed oczyma miała gapiącego się na nią kruka, jak gdyby była jego następnym daniem.

*Wydarzy się coś strasznego.*

Przez chwilę nie była pewna, czy to głos w jej głowie, czy może echo krzyków starego żebraka. Dreszcz przebiegł jej po plecach, zadrżała i zanurkowała w kolejną wąską uliczkę na tyłach piekarni i sklepu z sukniami. Skręciła gwałtownie, by ominąć pijaka grzebiącego w staniku jakiejś kobiety. W ciemności słyszała niewyraźne przekleństwa i krzyki chłopców.

*Coś strasznego.* Nie umiała powiedzieć, dlaczego tak myślała, ale słowa te odbijały się echem w pamięci, łopotały niczym skrzydła kruka. Już wcześniej zdarzało się Lei słyszeć w głowie ten głos, który w niczym nie przypominał jej własnego. Zastanawiała się często, czy każdy ma taki głos, który odzywa się od czasu do czasu, czy też pod tym względem różniła się od innych ludzi.

Dobiegła do szerszej ulicy. Tutaj więcej było pieszych, a po przeciwnej stronie stało dwóch żołnierzy z dłońmi wspartymi na rękojeściach mieczy. Przy odrobinie szczęścia zauważą ścigających dziewczynkę chłopców, ale pewności mieć nie mogła. Skoczyła w prawo, prosto w chłód wejścia sklepu tytoniowego. Owionął ją bogaty aromat omszałej ziemi. Lea dobrze знаła miasto, wiedziała, że sklep ma drugie wyjście, prowadzące w bezpieczne rejony. Co prawda chłopcy też mogli to wiedzieć, ale nie znali tego, co znajdowało się pod sklepem. Zanim zrozumieją, co zrobiła, jej już nie będzie.

Popędziła przez sklep, właściciel krzyknął za nią zaskoczony. Próbowwała się rozluźnić. Nic się przecież nie stało, nic, co mogłoby ją wpędzić w kłopoty, tak długo jak matka się o tym nie dowie.

Kratę skrywały cienie zalegające na tyłach sklepu. Lea odepchnęła ją na bok i bezszelestnie opadła w ciemność kanału. Zasuwała kratę. Znała te tunele lepiej niż ktokolwiek, wieczny mrok wąskich przejść napełniał ją spokojem. Bawiła się tu, odkąd sięgała pamięcią. Ten kanał zaprowadzi ją prosto do domu.

*Jesteś ściekowym szczurem. Powinniśmy wrzucić cię do fontanny, żeby zmyć ten smród.*

Ze złością otarła łzy i cicho pobiegła naprzód. Jej oczy już się przyzwyczyły do półmroku. Nie dostaną jej, nie w taki sposób. Przez całe życie znosiła niechętnie spojrzenia i drwiny, dorastała bez poczucia przynależności, ten dzień niczym się nie różnił od innych. Ale to nie drwiny chłopców teraz ją prześladowały. Nie mogła wyrzucić z pamięci starego żebraka, jego wieszczych słów, czarnookiego kruka zerkającego znad wnętrzości, którymi się pożywiał. Dzioba rozdzierającego padlinę.

*Wydarzy się coś strasznego.*

Nie wiedziała, co to mogło oznaczać, ale wyczuwała, że nadchodzi - jakby wiatr niósł zapach zepsucia i stęchlizny.

Zanim Lea wynurzyła się z kanałów i dotarła do domu, na niebie gasły już ostatnie smugi czerwieni, powiew chłodnego wieczornego powietrza przyprawił ją o dreszcze. Chłopcy już dawno zrezygnowali z pogoni, a ona uspokoiła się na tyle, by zwątpić w przeczucie nadciągającej zagłady. Dzisiaj było tak jak zawsze, a żebrak okaże się pewnie tylko obłąkanym staruchem i tyle.

Ale kiedy otworzyła drzwi, matka czekała na nią z tym błyskiem w oku, który Lea doskonale znała i którego nauczyła się obawiać. Gillian złapała ją za rękę i wciągnęła do środka.

- Gdzież byłaś, dziecko? - syknęła, zamykając drzwi na zasuwę. Rozejrzała się, jakby się bała, że ktoś mógłby nagle wyskoczyć na nie z

cienia. - Znowu bawiłaś się w tych przeklętych tunelach? Jesteś obrzydliwie brudna. Nie możesz tak się błąkać po nocy.

– Prze... przepraszam - wymamrotała Lea. - Byłam odwiedzić... Jonasza.

Jonasz był właścicielem sklepiku, w którym kupowały zwykle jajka i mleko. Przez moment Lea obawiała się, że matka zauważy brak jakichkolwiek zakupów, ale Gillian nie zwróciła na to uwagi. Zawsze myślami przebywała gdzieś daleko, niektórzy twierdzili nawet, że jest obłąkana. Zwykle jednak jej dziwaczne zachowanie nie budziło niepokoju, przynajmniej do niedawna. Ostatnio jednak sytuacja się zmieniła. Lea potarła ramię w miejscu, gdzie palce matki zacisnęły się z siłą imadła, i znów pomyślała o kuku i jego szponach ostrych jak brzytwa, rozdzierających surowe czerwone mięso.

Gillian przechyliła głowę, nasłuchując. Zamruczała niewyraźnie i wciągnęła dziewczynkę głębiej do izby, odsuwając się zarazem od drzwi, jakby ktoś miał przez nie w każdej chwili wejść.

– Oni patrzą. - Padła na kolana przed córeczką i złapała ją za chude ramionka. - Są wszędzie - ściszyła głos do szeptu. - Chcą ciebie, Leo. I jeśli cię znajdą, już nigdy stamtąd nie powrócisz. NIGDY. Rozumiesz?

Ten nacisk w tonie, to błaganie sprawiało, że słowa brzmiały nie tyle groźnie, co żałośnie, ale Lea i tak była przerażona. To był inny strach niż ten, który czuła tam, w obecności chłopców, ale ani trochę mniej przejmujący. W pokoju powiało chłodem, obiema kobietami, i starszą, i tą młodziutką, wstrząsnął dreszcz. Lea skinęła potakująco głową, na przemian zaciskając i rozprostowując palce, choć nie miała pojęcia, co właściwie miała znaczyć wypowiedź matki.

Kto obserwuje? Tamte chłopaki czy ktoś inny?

Gillian wzdrygnęła się, cofnęła ręce jak oparzona. Wstała i przyłożyła dłoń do czoła, krzywiąc się z bólu.

– Zamknij się! - krzyknęła do czegoś niewidocznego, czego nikt poza nią nie słyszał. - To tylko mała dziewczynka. Nie chciała tego.

Zrobiło się jeszcze chłodniej. Na stole zabrzęczały talerze. Gillian odwróciła się błyskawicznie, oczy miała dzikie i wystraszone. Znów złapała Leę za ramię i potrząsnęła nią, aż dziewczynce zadzwoniły zęby.

– Przestań!

– Ja... Ja nie...

– Nie wierzę im - szepnęła Gillian. - Nie wierzę w ani jedno słowo. Jesteś grzeczną dziewczynką, Leo. Prawda?

Lea znów skinęła głową twierdząco. Przestraszonym spojrzeniem obrzuciła izbę, zniszczone krzesła i stół, czarne od sadzy palenisko, tani dywan, tak zużyty i wytarty, że stracił wszystkie kolory. Nie miała skąd oczekiwać pomocy, nikt by nie usłyszał jej krzyku. Dotknęła językiem bolącego miejsca po wewnętrznej stronie policzka, które sobie przygryzła. Czuła, jak coś w niej narasta, jak gdyby coś obcego, nieznanego, bo dotychczas uspionego, lecz teraz budzącego się do życia. I pomyślała o snach, jakie nawiedzały ją w środku nocy, o świecie z tych snów, który przecież nie mógł być prawdziwy, chociaż się takim wydawał.

– Umarli są niespokojni - powiedziała Gillian. - Demony gotowe na krew. PRAGNĄ JEJ, Leo. KĄPIĄ SIĘ W NIEJ. One...

Lampa w kuchni błysnęła gwałtownym płomieniem. Miska podskoczyła na stole i upadła na podłogę, zielone jabłka potoczyły się po deskach i zatrzymały u ich stóp. Gillian odskoczyła od córki, zasłoniła się wyciągniętymi ramionami, jakby spodziewała się ciosu. Potem w jej oczach błysnął gniew, usta zacisnęły się w wąską linię. Kobieta złapała Leę za ramię, szarpnięciem wyciągnęła z pokoju i poprowadziła korytarzykiem do sypialni dziewczynki.

– Nie pozwolę na to w moim domu, rozumiesz? - warknęła. - Nie pozwolę. Zostaniesz tu, póki nie powiem, że możesz wyjść.

– Matko, proszę... - W oczach Lei zakręciły się łzy.

– Czasem myślę, że też jesteś demonem - szepnęła Gillian. Ale spoglądała przy tym w dal i Lea nie była pewna, czy matka mówi do niej, czy do kogoś innego. Gillian zatrzasnęła drzwi i dziewczynka usłyszała szczęk zasuw.

Lea oparła głowę o chłodne drewno i otarła łzy. Słyszała, jak w kuchni matka brzęka garnkami, mamrocząc pod nosem, ale słowa były zbyt niewyraźne, by dziewczynka mogła je zrozumieć. Nie wiedziała, co ją czeka, ale matka nie wróciła do sypialni. Wreszcie Lea położyła się na łóżku, skuliła na boku i zamknęła oczy.

Ocknęła się kilka godzin później w całkowitej ciemności. Dom pogrążony był w ciszy i dziewczynka nie wiedziała, co ją właściwie obudziło. Przez okno widziała księżyc w tłustej pełni, nadęty i żółty żeglował nad miedzianymi dachami po czarnym, bezchmurnym niebie. Pamięć podsuwała jej niejasne obrazy ze snu, jakieś potwory ścigające ją przez pustkowia pełne ognia i magii. Matka ostrzegała ją przed tymi snami, powtarzała, że Lea nie może w nie wierzyć, nie może ich mylić z jawą, ale srogi głos, jakim wygłaszała te ostrzeżenia, zawsze budził w Lei niepokój. Być może Gillian bała się szaleństwa, które powoli pochłaniało jej zmysły. Wariactwa. Bo to właśnie się z nią działo, czyż nie? Słyszała głosy, gadała o demonach krwi i śmierci. Ostatnimi czasy nagle jej się pogorszyło i po raz pierwszy Lea zastanawiała się, co się z nią stanie, gdy matka nie będzie już mogła się nią opiekować. Nie znała ojca. Gillian nigdy nie chciała o nim rozmawiać. Z tego, co Lea wiedziała, nigdy nie miała ojca, żaden krewny nigdy nie przyjechał odwiedzić ich w Kaldeum. Zresztą równie niewiele wiedziała o tym, skąd pochodziła, miała zaledwie świadomość, że w życiu



jej matki wydarzyła się tragedia, która zmusiła je obie do wędrówki przez wiele kilometrów, opuszczenia miejsca, w którym kiedyś mieszkały, i osiedlenia się tutaj, gdzie były samotne i pozbawione wszelakich więzi. W głębi korytarza rozległo się skrzypnięcie. W szczelinie pod drzwiami pojawiło się światło, by zgasnąć chwilę później, jakby ktoś przechodził, trzymając w dłoniach lampę. Lea wstała i cichutko przyłożyła ucho do drzwi. Matka klóciła się sama ze sobą ochrypłym szeptem, który stopniowo przybierał na sile, skrzypnięcia podłogi pod jej stopami stawały się coraz szybsze, w miarę jak krążyła niespokojnie w tę i z powrotem. I znów Lea poczuła, jak coś wzbiera i w niej, i poza nią, trzeszcząca energia tak przerażająca, że dziewczynka niemal nie była w stanie oddychać. Odpełzła od drzwi, wspięła się na wąskie łóżko i podciągnawszy kolana pod brodę, zaczęła kołysać się w przód i w tył.

Gillian zakrzyczała cienko po drugiej stronie drzwi. Dźwięk zdał się nienaturalnie głośny w spowitym ciszą domu. Cichy zwierzęcy niemal skowyt wyrwał się z ust Lei, gdy usłyszała szczęk zasuw. Drzwi otworzyły się z takim rozmachem, że uderzyły o ścianę. Gillian stanęła w progu, oświetlona blaskiem trzymanej lampy. Chwiała się lekko, odziana zaledwie w koszulę nocną, włosy miała potargane, spojrzenie nawiedzone.

– Podejź tu, dziecko - nakazała. Gdy Lea się nie poruszyła, głos Gillian stał się ostry jak nóż: - Musisz słuchać. Mówię do ciebie. - Uśmiechnęła się, ale w tym uśmiechu nie było ciepła. Lei wręcz wydało się, że matki wcale tam nie ma, jak gdyby pogrążyła się w transie. - Mamy coś ważnego do zrobienia.

Lea nie była pewna, co właściwie się stało. Gdy Gillian weszła do pokoju, świat nagle się rozciągnął, wszystko stało się dalekie, a światło przygasło. Zupełnie jakby ktoś inny przejął kontrolę nad zmysłami Lei.

Kiedy trochę oprzytomniała, stały już w korytarzu, spocona ręka matki spoczywała na ramieniu dziewczynki, popychając ją naprzód do drzwi, skąd dobiegło pukanie. Ale Lea nie była pewna, czy to rzeczywisty dźwięk, czy tylko dudni jej w uszach.

Gillian zatrzymała się w pół kroku, twarz miała nieprzytomną i udręczoną. Resztki ognia zasyczały cicho iskrami, gdy pękła dopalająca się kłoda. Płomień lampy rzucał na szare ściany dziko roztańczone cienie.

Pukanie rozległo się ponownie, tym razem głośniejsze. Gillian westchnęła głęboko, jej dłoń zsunęła się z ramienia małej, ciało rozluźniło się, niemal zwiotczało, jakby dało ujście czemuś, co jeszcze przed chwilą ze wszystkich sił starała się powstrzymać. Jakakolwiek ciemność pętała je obie, więzy Gillian zostały właśnie zerwane.

– Późno - mruknęła Gillian. - Któż to może być? - Jej spojrzenie zatrzymało się na twarzyczce Lei, na drżących ramionkach. - Co się z tobą dzieje? Dlaczego nie jesteś w łóżku? Nastaw wody, a ja otworzę.

Postawiła lampę na stole i otuliła szlafrokiem chude ramiona.

Lea nawet nie drgnęła, jej małe stopy wrosły w podłogę, patrzyła w napięciu, jak matka sięga do klamki, jak otwiera drzwi.

W progu stał starzec w szarej tunice z kapturem, białe włosy i długa broda dawno już nie widziały grzebienia, z ramienia zwisała stara wypchana torba. Przez chwilę Lea myślała, że to ten zwariowany żebrak z targu, ale zaraz zrozumiała, że ten mężczyzna był całkiem inny. Odzienie miało dziwne, wydawało się, że dźwiga ogromny ciężar, ale twarz, choć wiekowa, była miła, a oczy lśniły jak gwiazdki w cieniu brwi.

– Gillian - powiedział na powitanie - wybac, że zjawiam się tak późno, ale od wielu dni jestem w drodze i nie chciałem już zwlekać.

Matka Lei stała jak skamieniała, chyba nawet przestała oddychać. Jej dłoń wolno powędrowała do ust.

– Deckard? Deckard Cain? To naprawdę ty?

Stary uśmiechnął się.

– Tak sądzę, aczkolwiek rozumiem, że pył z drogi nieco utrudnia rozpoznanie. - Przeniósł spojrzenie na Leę. - Minęło wiele czasu. Zastanawiam się, czy mógłbym wejść?

Gillian milczała, jak gdyby szukała właściwej odpowiedzi na to pytanie.

Wpuść go, prosiła w duchu Lea, błagam, choć właściwie sama nie wiedziała dlaczego. Było coś w tym człowieku, coś, co niesło poczucie spokoju. A Lea za nic nie chciałaby zostać teraz sam na sam z matką.

– Oczywiście. - Gillian wreszcie odsunęła się na bok. - Nie wiem... gdzie ja mam rozum.

Mężczyzna położył dłoń na jej ramieniu.

– Dziękuję - powiedział. - Mamy sporo spraw do omówienia, prawda?

Skinęła głową. Spojrzeli na siebie i Lea odniosła wrażenie, że rozumieją się bez słów. Stary przekroczył próg, a Gillian zamknęła za nim cicho drzwi, zostawiając za progiem noc i to, co mogło czaić się w mroku.



## CZTERY



### *Dom Gillian, Kaldeum*

Deckard Cain wszedł do ubogiego domostwa, spojrzął po wyblakłych ścianach, podrapanym i wyszczerbionym na brzegach stole, brudnym palenisku i poczuł ciężar w piersi. Zakłęcie ochronne, które Adria nałożyła na dom i jego mieszkańców, wciąż doskonale się sprawdzało - odnalazł je, ponieważ dobrze wiedział, gdzie szukać. Ale wewnątrz wszystko nosiło ślady nadmiernego zużycia. W powietrzu dawało się wyczuć wyraźne napięcie.

Do Kaldeum przywiodło go to, co wydarzyło się wśród ruin, ale nie był to jedyny powód. Przybył tu w imię dawnej przyjaźni i złożonej obietnicy, ufny, że zostanie wszystko w jak najlepszym porządku. Jednak Gillian nie była tą samą kobietą, którą zostawił tu kilka lat wcześniej. Postarzała się o wiele bardziej, niż wynikałoby to z upływu czasu. Dawniej młoda, smukła i piękna, śmiała się tak zaraźliwie, że nie sposób było się oprzeć. Teraz przytyła, jej ciało obrzmiało i zrobiło się miękkie, włosy posiwiały, stały się łamliwe jak wysuszona trawa. Cain widział ciemne podkopy pod oczyma i wyczuwał tę specyficzną aurę zaniedbania, jakby kobiecie z trudem

udawało się pamiętać, by się o siebie zatroszczyć. Nie powinien być zaskoczony, biorąc pod uwagę to, co przytrafiło jej się w Tristram. Co przytrafiło się im wszystkim. Ale Deckard, który czerpał nauki z ksiąg horadrimów, lepiej wiedział, jak walczyć z szaleństwem, podczas gdy tych kilkoro pozostałych, którym udało się przetrwać rzeź demonów, pozostało bezbronnych, złamanych i zagubionych.

– Przygotuję coś do picia. - Gillian gestem zaprosiła go do stołu. - Siadaj, proszę. Leo, nastawiłaś wody?

Cain skorzystał z okazji, żeby przyjrzeć się dziewczynce. Przeszła do części kuchennej, z zakurzonej półki zdjęła gliniany kubek i chochlą zaczerpnęła wody z beczki. Była chudziutka. Kończyny miała długie i wyglądała trochę jak źrebię, niektóre części jej ciała były za duże w stosunku do pozostałych. Włosy miała obsmyczone krótko i nierówno, a nocną koszulkę znoszoną i brudną. A jednak była w tej małej wewnętrzna elegancja, ukryta pod warstwą brudu wibrująca energia i żywiołowość. Cain mógł już dostrzec, że Lea wyrośnie na olśniewającą kobietę.

Jak jej prawdziwa matka.

To dla niej właśnie zapukał do drzwi tego domu. Zbyt długo z tym zwlekał. Spostrzegł, że i Gillian obserwuje dziewczynkę. Nie umiał powiedzieć, czy w jej oczach błyszczała miłość, smutek, czy może strach.

Lea podała mu kubek. Cain przyjął naczynie z uśmiechem, który nawet jemu wydał się nienaturalny i sztywny. Nie za dobrze sobie radził z dziećmi, nawet lata temu, gdy jeszcze w Tristram prowadził jednoizbową szkółkę. Zawsze widział w dzieciach mieszkańców innej krainy, których języka jakoś nie chciało mu się uczyć.

– Dziękuję, młoda damo - powiedział. Upił łyk, woda była ciepława i z metalicznym posmakiem, ale i tak niosła ulgę spieczonemu gardłu. - Muszę przyznać, że całkiem inaczej sobie ciebie wyobrażałem.

Oczy dziewczynki rozszerzyły się nieco.

– To... wuj Deckard - wtrąciła Gillian. - Znamy się z... z miasteczka, w którym dorastaliśmy.

– Miło wuja poznać - odpowiedziała grzecznie Lea, wyciągając rączkę. Cain zawahał się, po czym ujął drobniutką dłoń, poczuł delikatne kosteczki, leciutkie, jakby trzymał ptasie skrzydełko. Lecz zarazem poczuł siłę ukrytą w tym drobnym ciałku. Zdusił okrzyk zdumienia i nagłą ochotę, by cofnąć dłoń. Lea nie była zwyczajną dziewczynką, choć nie umiał powiedzieć, jakiego rodzaju magię w sobie skrywała albo jakie może będzie jej przeznaczenie. Jednak budziła w Deckardzie niepokój, tak samo jak ruch w ciemnej alejce niepokoi wędrowca i powstrzymuje przed wkroczeniem w cień.

Cain zwolnił uścisk. Teraz nie miał na to czasu, ale odnotował w pamięci, by przyjrzeć się bliżej dziewczynce, kiedy tylko będzie miał wolną chwilę. Intrygowała go, a świadomość jej prawdziwego pochodzenia sprawiała, że Cain był jeszcze bardziej ciekaw, jaki dar otrzymała od losu.

Gillian delikatnie popchnęła małą w wąski korytarzyk.

– Zmykaj do łóżka. Mamy do omówienia sprawy, które zanudziłyby cię na śmierć, na dodatek jest już późno. - Odczekała, aż Lea zamknie za sobą drzwi pokoju. - Co tu robisz, Deckardzie? - zapytała, wracając do stołu. Usiadła z rękoma na podolku, na przemian zaciskając i rozluźniając palce.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Gillian.

Uśmiechnęła się samymi wargami.

– Wybacz. Minęły lata, bez słowa, bez żadnych wieści. Myślałam nawet, że nie żyjesz.

– Mam sprawy w Kaldeum i chciałem sprawdzić, co u ciebie i Lei.

– Twoje sprawy bywają niebezpieczne.

– Bywają. - Skinął głową. - Szukam tego, kto to zrobił.

Sięgnął do torby i wyciągnął kopię księgi horadrimów.

– Znalazłem ją w ruinach biblioteki Vizjerei.

Gillian ujęła księgę, odwróciła i uważnie obejrzała grzbiet i oprawę.

– W mieście jest jeden handlarz ksiąg, nazywa się Kulloom. Ma zwyczaj pić w tawernie, gdzie zarabiam na życie. Może wiedzieć, kto i gdzie wykonał tę księgę.

– Dziękuję. Spróbuję z nim porozmawiać.

– To ważne?

– Los całego Sanktuarium może od tego zależeć.

– Co masz na myśli?

Cain zawahał się, zastanawiając, ile właściwie może ujawnić. Większość mieszkańców tego miasta wyśmiałaby go, gdyby powiedział, czego tak naprawdę się obawia. Ale Gillian widziała demony na własne oczy. I wiedziała, do czego były zdolne.

– Mam powody podejrzewać, że Władcy Płonących Piekieł, Belial i Azmodan, szykują się do ataku na nasz świat. Zniszczenie Kamienia Świata wywołało niepojęte dla nas skutki i uczyniło Sanktuarium bezbronnym. Pomyśl o Tristram, Gillian. O potwornościach, jakie stały się naszym udziałem. Szaleństwo, jakiego doświadczyliśmy... Nie mogę dopuścić, aby to wydarzyło się ponownie. Musimy nauczyć się, ile tylko zdołamy, zanim będzie za późno.

– Zawsze od razu przechodziłeś do rzeczy. - Gillian wpatrywała się w symbol horadrimów na okładce księgi. Zdawało się, że kobieta z wolna traci kontakt z rzeczywistością. Jej dłonie zacisnęły się spazmatycznie, w oczach pojawił się znów wyraz udręki. - Słyszę je - powiedziała cichutko, jakby do siebie. - Szepczą. Cały czas słyszę je w głowie. Nie pozwalają mi odpocząć. Mówią straszliwe rzeczy. Chcą, żebym... - ucichła, wargi jej drżały.



– Czego od ciebie chcą? Co takiego słyszysz?

Podniosła nagle palce do ust i popatrzyła na Caina, jakby zaskoczona jego obecnością. Poderwała się, zakręciła i zaczęła krzątać przy kuchni zwrócona do niego plecami.

– Jestem niemądrą starą kobietą, Deckardzie - westchnęła. - Pewnie jesteś głodny. Pozwól, że coś przygotuję.

– Wcale nie jesteś stara. Gdzie twój śmiech, Gillian, twoje uwielbienie życia? Twój niezłomny duch?

Zamarła. Mruknęła coś niewyraźnie, oparłszy dłonie na blacie kredensu. Cain usłyszał stłumiony szloch, zobaczył, jak drżą jej ramiona. Podeszedł. Gillian odwróciła się i schowała mokrą twarz w jego piersi. Płacz wstrząsał całym jej ciałem. Cainowi pękało serce. Przez moment stał tak skrepowany, po czym objął ją i przytulił. Gorące łzy moczyły mu tunikę, czuł, jak kobieta dygocze. Nigdy nie umiał pocieszać, zawsze lepiej się czuł wśród zakurzonych ksiąg niż wśród ludzi, ale Gillian jakoś to nie przeszkadzało. W końcu jej szloch ucichł, kobieta wyprostowała się i wytarła oczy rękawem.

– Nie chciałam być niegrzeczna. Pewnie myślisz, że zwariowałam.

– Dziewczynka. Nie wie?

Gillian potrząsnęła głową.

– Niewiele jej powiedziałam. To takie trudne. Ona... budzi we mnie strach, Deckardzie. Są rzeczy... kiedy jest w pobliżu, dzieją się dziwne rzeczy. Adria...

– Z pewnością nie żyje. - Cain machnął ręką, jakby sprawa była nieważna. Gillian wychowywała Leę jak własną córkę, zresztą liczył, że tak się stanie, po tym jak prawdziwa matka dziewczynki zostawiła ją pod opieką Gillian. - Wiedźma może być potężna, ale nie na tyle, aby jej moc działała zza grobu. Zresztą Adria na pewno nie chciałaby nikogo

skrzywdzić. Nie masz żadnych powodów do obaw. Jeśli nawet Lea odziedziczyła talent po matce, nie miała szans, by nauczyć się z niego korzystać. Jest niewinna.

– Adria przeraziła mnie raz. Jej dziecko przeraziło mnie wielokrotnie.

Cain przypomniał sobie własną reakcję na dotyk dziewczynki i pomyślał, że inni musieli doznawać podobnych wrażeń. Mała potrzebowała kogoś, kto nauczyłby ją rozumieć swój talent i z niego korzystać, podejrzliwość i strach mogłyby jedynie narobić szkód.

– Musisz się oprzeć tym odczuciom. To przez wspomnienia tego, co wydarzyło się w Tristram. Byliśmy tak blisko śmierci, zepsucia, to mogło wpłynąć na nasze umysły. Ale jesteś silniejsza, niż przypuszczasz.

– Nie wiem, czy jestem WYSTARCZAJĄCO silna - szepnęła Gillian, w jej oczach znów zakręciły się łzy. - Jestem zaledwie szynkarką. Te sprawy nie są dla mnie.

Zesztywniała nagle, przechyliła głowę, jakby nasłuchując. Cain wyciągnął do niej dłoń, ale kobieta cofnęła się gwałtownie, zanim zdążył jej dotknąć. Z gardła dobył się na wpół zdławiony jęk. Podniosła bochenek chleba.

– Dość już o mnie - powiedziała bardziej pewnie, drzenie jej głosu ustało wreszcie. - Zjesz coś i odpoczniesz. Możesz zostać z nami, jak długo zechcesz.

Cain przyjął oferowaną kromkę chleba i wrócił do stołu. Żując, obserwował, jak Gillian krząta się w kuchni. Szorowała garnki z prawdziwą zaciekleścią, jakby szczotka i woda mogły wytrzeć z pamięci to, co się wydarzyło. Cain czuł ciężar w sercu i ból, było mu żal Gillian, żal wszystkich tych, którzy przetrwali, nawiedzani przez wspomnienia tamtych straszliwych dni, popadający w obłąd, skażeni po spotkaniu z demonami.

Większość zginęła na miejscu. Być może, myślał Cain, to oni mieli szczęście. Upadek umysłowy Gillian z pewnością odzwierciedlał niepokój, jaki w sobie nosiła. Skażenie, jakie przyniósł na ten świat Diabło, trwało, choć Władca Grozy dawno już przestał istnieć.

Przez chwilę Deckard zastanawiał się, czy nie przycisnąć Gillian jeszcze trochę, ale uznał, że kolejne pytania mogą tylko pogorszyć jej stan. Martwił się o dziewczynkę. Kiedy dowiedział się, że Adria powierzyła małą opiece Gillian i pozwoliła zostać w tym domu, Cain uznał, że to rozsądne posunięcie. Wtedy zajmowały go o wiele większe, ważniejsze sprawy. Miał zamiar wrócić do Kaldeum, żeby odwiedzić Gillian i Leę, gdy świat na powrót się uspokoi. Ale wtedy odbyła się bitwa z Baalem pod Hagorath, zniszczona została Góra Arreat i sprawy przybrały prawdziwie mroczny obrót. Cain pozwolił, aby uwagę zaprzątneły mu złowrogie przepowiednie nadciągającego zła - może pozwolił nazbyt chętnie, a lata mijały.

Patrząc na dom i na dziwaczne zachowanie Gillian, Deckard Cain zaczął się zastanawiać, czy dokonał właściwego wyboru.

+

*Deckard Cain stał przy półkach w starożytnej bibliotece, światło maleńkiej lampki ledwie pozwalało dostrzec grzbiety ksiąg horadrimów. Księgi, niemi świadkowie jego porażki. Na dziedzińcu wiatr wył jak żywe stworzenie, uderzając raz po raz o kamienne ściany katedry. Lodowate podmuchy niczym tchnienie duchów owiewały nagie łydki mężczyzny, w blasku płomienia tańczyły drobiny kurzu.*

*Zdjął z półki jeden tom i usiadł przy stole, drżącym palcem począł wodzić po kolejnych liniach druku. Im dłużej czytał, tym więcej znajdował*

potwierdzeń informacji, które zdobył, studiując pisma Jereda Caina. Serce Deckarda przepełniał żal. To niemożliwe. A jednak. Wszystko, co mówiła mu matka, wszystkie opowieści o demonach i aniołach, które zwykł uważać za bajki przez te pięćdziesiąt lat z okładem, spisane były tutaj, w każdym szczególe. Miał przed sobą księgę zapomnianych historii. Głos jego matki odbił się echem we wspomnieniach: Krew Jereda płynie w twoich żyłach, jesteś ostatnim z dumnego rodu bohaterów...

Każda cząsteczka jego logicznego umysłu krzyczała, że to niemożliwe. Deckard nie zwykł akceptować czegoś, czego nie rozumiał. Był nauczycielem, uczonym, a nie szalonym marzycielem. Jednak nie mógł zaprzeczyć temu, co wydarzyło się w ciągu ostatnich tygodni.

Nieziemski jęk rozległ się gdzieś pod jego stopami, wtórował mu odległy brzęk metalu. Deckard próbował sobie wmówić, że to tylko wiatr zawodzi w pustych komnatach. Zadrżał i ciasniej owinął się tuniką. W Tristram panował krwawy chaos. Król Leoryk postradał rozum i najwyraźniej kierowała nim siła równie potężna, co i zła. Cain mógł jedynie zgadywać, ale po tym, co wyczytał, tylko jedno imię przychodziło mu do głowy: Diabło we własnej potwornej osobie, Władca Grozy.

Z sakwy przy pasie wyjął swój podniszczony dziennik i pochylił się nad jego kartami. Ale nie potrafił znaleźć słów, nie tego wieczoru.

Mężczyzna potarł piekące, opuchnięte oczy. Nie spał od ponad dwudziestu godzin. Płomień lampy zatańczył w powiewie świeżego powietrza i chwilę później Cain usłyszał skrzypnięcie drzwi. Podniósł wzrok i zobaczył młodą kobietę spieszącą ku niemu pomiędzy regałami pełnymi książek. Ciężki płaszcz narzucony na nocną koszulę miał ją ochronić przed ukąszeniami zimna.

– Gillian! - Deckard sięgnął po laskę i podniósł się zza stołu. - Co tu robisz?

*Śliczne oczy szynkareczki rozszerzone były strachem.*

*– Żołnierze powrócili z Zachodnich Marchii - powiedziała. – Nasza armia została rozbita. Tak niewielu odnalazło drogę do domu. A teraz jeszcze ludzie króla obrócili się przeciwko nim.*

*– A Aidan? Wrócił z nimi?*

*– Nie wiem.*

*Strach Caina przybrał na sile, skręcał się w nim i kłębił niczym czarny dym. Kiedy kapitan Lachdanan i jego żołnierze walczyli z siłami Zachodnich Marchii, król Leoryk skazał na śmierć mieszkańców Tristram, których obciążał winą za zniknięcie swego syna. Jego żądza krwi nie znała granic.*

*Martwe ptaki spadające z nieba, widma wędrujące nocą, zarżnięte krowy i inna żywnina, dziwne i przerażające istoty pojawiające się raz po raz na obrzeżach miasta - wszystko to bladło w porównaniu z zepsuciem, jakie dotknęło ludzkich dusz, z mrokiem, jaki zamieszkał w ich sercach.*

*– A gdzie jest król?*

*Gillian tylko potrząsnęła głową.*

*– Nikt nie wie. Ale ludzie idą tutaj, Deckardzie, do katedry. Musisz stąd odejść.*

*– Ale księgi...*

*Złapała go kurczowo za ramię.*

*– Możemy po nie wrócić później.*

*– Zbyt długo już zwlekałem, Gillian. Zbyt długo byłem samolubny i ograniczony, nie chciałem ujrzeć prawdy o ciemności, jaka czai się poza granicami naszego świata...*

*W głębi katakumb rozległ się krzyk. Gillian skuliła się, policzki zbieleły jej jak śnieg, ciaśniej otuliła się płaszczem.*

*– Musimy iść, Deckardzie, proszę!*

*Skinął głową i wsunął dziennik do sakwy, razem z innymi książkami, które niedawno studiował. Podał Gillian lampę.*

*Ostatni z horadrimów. Jego matka przewidziała to wszystko. Jakim cudem on pozostał tak ślepy?*

*Usłyszeli inny odgłos, tym razem z zewnątrz, nadchodzili ludzie. Cain spojrzął na szynkarę.*

*– Wyjdziemy tylnymi drzwiami – powiedział, ujmując ją za rękę. – Tędy.*

*Nie mieli już czasu. Z przedsionka dobiegł krzyk, zabręczały broje, ciężkie kroki poniosły się echem wśród wysokich ścian. Cain zdmuchnął płomyk lampy i pociągnął Gillian za rząd ławek, gdzie mogli się skryć w ciemności. Usłyszał, jak dziewczyna gwałtownie wciąga powietrze. Chwilę później jej palce wczepiły się w jego ramię, zaciskając się spazmatycznie, gdy do pomieszczenia wbiegli zakuci w broje mężczyźni. Już od progu dobyli mieczy i odwrócili się ku zbrojnym, którzy szli ich śladem. Cain rozpoznał żołnierzy króla, ścigał ich Lachdanan i pozostałości królewskiej gwardii Khandurasu. Brat przeciwko bratu, i to w katedrze!*

*Cain wypatrywał wśród rycerzy najstarszego z synów króla, ale go nie widział. Walka była zajadła. Krzyki i jęki mieszały się ze szczękiem metalu. Jedna z ławek roztrzaskała się, gdy padł na nią dowódca królewskiej straży z poderżniętym gardłem. Potworny charkot ostatniego oddechu wypełnił uszy Caina, w powietrzu rozniósł się metaliczny zapach krwi.*

*Starcie skończyło się równie szybko, jak się zaczęło. Jęki umierających przybrały na sile, by zaraz umilknąć pod ostrzami pozostałych rycerzy.*

*– Przynieść pochodnię!*

*Lachdanan stał w cieniu, oddychając ciężko. Podeszedł do niego jeden z żołnierzy. Cain i Gillian skulili się przy podłodze, gdy światło pochodni omiotło kamienne mury i odbiło się w dzikich oczach Lachdanana.*

*– Gdzie jest Czarny Król?*

– *Gdzieś pod nami, panie. W katakumbach.*

– *Prowadźcie. Musi zapłacić za swoje grzechy. Szybko!*

*Minęli Caina i Gillian w odległości nie większej niż parę metrów. Kiedyś Deckard widziałby w Lachdananie przyjaciela, ale teraz instynkt podpowiadał, by pozostać w ukryciu. Zbrojni przeszli i katedra znów pogrążyła się w ciemnościach. Deckard wstał. Straszliwa jatka napełniła go potwornym gniewem i porażającym poczuciem straty. Krew płynęła nawą, czarna w półmroku, ciała parowały w chłodzie.*

*Zdjęło go przerażenie.*

*Jak mogło do tego dojść?!*

*Gillian próbowała powstrzymać płacz. Cain odwrócił się w porę, by zobaczyć postać wyłaniającą się nad nimi, o oczach płonących niczym otchłanie Piekieł. Wokół rozszedł się smród śmierci. Ujrzał też kobietę trzymającą za rękę małego chłopca, w ich oczach malował się smutek i wyrzut.*

+

Cain obudził się w ciemności, niepewny i zmieszany wyrazistością snu. Prawie wszystko wydarzyło się naprawdę, sen był właściwie wspomnieniem, poza końcówką. Skąd ta postać?

I kobieta z dzieckiem...

Cain odpędził tę myśl gwałtownie, świadom zagrożenia, które wisiało nad jego głową jak miecz na włosku. Lata temu złożył tę gorzką obietnicę. Nie będzie o nich myślał. NIGDY WIĘCEJ.

Otarł twarz rękawem tuniki, całkowicie rozbudzony. Leżał na podłodze, stare kości bolały od twardego podłoża. Nasłuchiwał.

Usłyszał szmer w przedsionku i cichą melodię głosów. Wstał z trudem, wsparłszy się na lasce. Przez okno wpadało tyle światła księżycowego, że Deckard mógł dostrzec przeszkody na swojej drodze. Zrobił krok, drugi, po czym zatrzymał się i znów zaczął nasłuchiwać. Nic.

Drzwi do sypialni Lei były otwarte. Podeszedł do nich i zajrzał. Gillian stała w nogach łóżka dziewczynki, wpatrywała się w małą i szepcząc, kołysała się miarowo w przód i w tył.

– Gillian! - zawołał ją cicho Cain. Chyba go nie usłyszała. Cień przesłonił światło padające z okna i na moment w pokoju zapanowała ciemność. Deckardowi wydało się, że to gigantyczny ptak załopotał skrzydłami.

Gillian odwróciła się gwałtownie i minęła Caina, jakby go tam nie było. Powieki miała uniesione, oczy niewidzące. Lea mruknęła niezrozumiale i obróciła się na drugi bok. Cain poszedł za starszą kobietą korytarzem aż do drzwi jej sypialni, które zamknęła cicho za sobą. Stał tam chwilę, ale nic się nie wydarzyło, wrócił więc na swoje miejsce przy dogasającym ogniu. Długo leżał bezsennie, z głową pełną kłębiących się myśli, i czekał na nadejście świtu.





## PIĘĆ



### *Czarna Wieża*

Sześćdziesiąt metrów nad ziemią w pustej komnacie z poczeriałego kamienia samotna postać obserwowała zniszczony krajobraz, podczas gdy słońce powoli chowało się za horyzontem. Wiatr wciskał się przez wąskie, pozbawione szyb okna i szarpał jej szaty, próbował zerwać kaptur. Mężczyzna przytrzymał skraj kaptura długimi, kościstymi palcami. Wydawały się niemal przejrzyste, błękitne żyły biegnące tuż pod skórą wyglądały jak linie skomplikowanego tatuażu. Mężczyzna starał się, aby tylko niewielki skrawek ciała wystawiony był na działanie powietrza. Pilnował, by twarz pozostawała osłonięta, mimo że tutaj przebywał sam. Odślaniał ją jedynie wtedy, gdy ciemność skrywała go przed ciekawskimi oczyma.

Niewielka cena za nieśmiertelność.

Mroczny odwrócił się od okna. Myślał o rzeczach, które były martwe, a teraz przy użyciu szponów uwalniały się z błotnistych grobów. Ostatnimi czasy niemal nieustannie o nich myślał. Porzucił krainę żywych przed wielu laty, choć sam nie był umarłym, więc egzystował pomiędzy dwoma

światami, związany z tą samą mocą, która go uwolniła. Dziwaczny paradoks, przynajmniej jak na razie. Ale dzięki mrocznej magii Vizjerei mężczyzna wiedział już, że w stosownym czasie będzie mógł wykorzystać tę samą moc, która teraz kontrolowała jego.

Kiedyś brakowało mu tej pewności. W czasach młodości, gdy traktowano go jak śmiecia, ignorowano, bito i uważano za coś ledwie użytecznego. Ale przy pomocy prawdziwego Władcy Płonących Piekieł oraz starożytnych tekstów, które mężczyzna pożerał zachłannie, gdy tylko zdołał dostać je w swoje ręce, wiedza zamieniła się w moc. Odkrycie to umocniło w mężczyźnie wiarę i poczucie wyższości. W pewnym sensie płynęła w nim królewska krew, urodził się zatem do wyższych celów. To było jego przeznaczenie. Sprawić, aby ten świat zatoczył pełne koło, i położyć kres pladze zwanej ludzkością, która przejęła nad nim kontrolę.

Nadszedł czas na kolejne spotkanie.

Po jego skórze wędrowały dreszcze oczekiwania. Wypadł z komnaty i zbiegł po schodach, a czarne szaty powiewały za nim na podobieństwo wody opływającej czarny kamień. Mężczyzna oczekiwał tych spotkań z mieszaniną zachwytu i przerażenia, za każdym razem odczuwał niemal religijne uniesienie. Dygotał jak dziecko, które po raz pierwszy staje w obliczu śmierci.

Pamiętał, kiedy jego pan przybył po raz pierwszy, niesamowicie doniosłą chwilę, doświadczenie, które całkiem odmieniło życie mężczyzny, choć wtedy nie do końca pojmował jego wagę. Spieszył ulicami Kurast, niosąc paczkę dla swego pana, potężnego i okrutnego Taana, maga, który słynął z maltretowania swoich sług. Sługa drżał ze strachu, że za spóźnienie znowu zazna bicza. Wtedy właśnie żebraczka skinęła nań z cieni bocznej uliczki. Młody sługa zawahał się nieufny, kobieta była potężnej budowy, a suknię miała w odrażającym stanie, ale było coś w jej oczach, co go przekonało.

Jego pan z pewnością go zbije, ale to akurat nic nowego. Sługa przyzwyczał się już do trzasku bicia. Podszedł do żebraczki i ta decyzja na zawsze odmieniła jego życie.

+

– Odejm kurtynę z ocz jego - szepnęła żebraczka, a popękany, obłączym ze skóry palcem delikatnie pogładziła młodzieńca po policzku. Wzrok kobiety sparaliżował go, zatrzymał na granicy świadomości, podczas gdy moc popłynęła przez jego członki. - Zbudź się, mój synu.

Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł. Każdy mięsień napiął się do ostateczności, na szyi zarysowały się ścięgna. Żebraczka zacharczała rozbawiona, uśmiech obnażył bezzębne dziąsła. Podciągnęła młodzieńcowi rękaw i wyrysowała kształt runy na jego ramieniu. Poczul na skórze gorąco, jakby napiętnowano go żelazem. Tłuszcz zasyczał i kapał na ziemię, w powietrzu rozszedł się zapach przypalonych włosów. Oczy żebraczki pochłaniały młodego mężczyznę, utonął w nich jak w jeziorach.

W tych żółtych oczach płonął nieludzki blask. Młodzieniec widział w nich przebiegłość i pewność siebie, i bezgraniczną potęgę - moc, która pozwoliła mu zerwać więź i odpłynąć od samego siebie.

Istota patrząca tymi oczyma nie była żebraczką. I mogła dokonać wszystkiego.

Poczul, jak w głębi otwiera się przed nim zupełnie inny świat. Jakaś jego część oderwała się od reszty i popędziła w dół, w otchłań, gdzie płonęły ognie Piekieł, gdzie potworne stworzenia, na które nie był w stanie patrzeć, a zarazem nie umiał odwrócić wzroku, wrzeszczały i bełkotały. Monstra pozbawione skóry, o odsłoniętych mięśniach, ścięgnach i żyłach oraz inne,

które wyglądały jak tłuste, wijące się pijawki. Były tam chochliki o czerwonych gębach i brudnych szponach, a także potworne, jakby rozdęte zwłoki, które zawodziły głucho i powłóczyły obrzmiałymi nogami. Stwory o spleątanych, skołtunionych brodach skrzeczały dziko i machały zakrwawionymi kosami. Młodzieniec miał wrażenie, że tonie, jego skóra się rozdzieliła, dusza została wyrwana z ciała, uwiązana do czegoś ohydneho, makabrycznego. Zakrzyczał w cierpieniu, gdy gdzieś daleko, daleko w górze żebraczka ułapiła jego bezwolne ciało i przycisnęła do cuchnącej piersi rękoma podobnymi żelaznym szponom. I gdy próbował zakrzyknąć raz jeszcze, wyrósł przed nim potworny kształt, potężniejszy niż wszystkie pozostałe, rozwinął się niczym wąż z dymu, głowa zdobna w trzy rogi zwróciła na niego nieruchome żółte oczy.

– To, jak widzisz świat, w którym żyjesz, jest objawieniem - rzekła bestia.  
- A ty jesteś najrzadszym z ludzi: tym, który potrafi przejrzeć iluzje, jakie tworzą inni. W Sanktuarium nie musisz wierzyć, umiesz bowiem przejrzeć tę grę. Dlatego zostałeś wybrany.

Bestia mówiła dalej, a w młodzieńcu rozgorzało coś, czego istnienia dotąd nie był świadom. Później, gdy wrócił do domu, przyjął porcję batów i jeszcze jedną za utratę paczki, która przepadła bez śladu. Ale prawie nie czuł bólu, nawet nie krzyknął. Mag przerwał wreszcie wymierzanie kary, świadom zmiany, jaka zaszła w jego słudze: oto sierota przygarnięty z ulicy stał się mężczyzną. Od tego dnia bicie ustało. Wkrótce też młody mężczyzna opuścił dom maga. Dla niego wszystko zmieniło się po spotkaniu w uliczce, potwierdzała to runa wytrawiona w skórze jego ramienia. Jego dusza została związana z inną, z duszą istoty o niemal nieskończonej potędze, skończenie nieludzkiej. Potrzeba było jeszcze kolejnych kilku miesięcy, zanim mężczyzna w pełni zrozumiał znaczenie tego, co stało się jego udziałem. Władca Kłamstw wybrał go osobiście.

*Teraz był sługą Piekieł.*

+

Mroczny zszedł do podnóża schodów. Tu pod podłogą ukryte zostały kolejne komnaty wieży. Odsunął płytę w posadzce. Ukazały się następne schody prowadzące w ciemność. Z otworu wionęło wilgocią. Mroczny zatrzymał się i nasłuchiwał. W czerni jęki niosły się odległym echem, wtórowało im pobrzękiwanie metalu. Ten swoisty koncert przepełnił mężczyznę uczuciem radosnego oczekiwania.

Schody zakręcały wokół pustego rdzenia wieży. Mroczny szedł, a jego krokom towarzyszyło skrobanie paznokci, gdy sunął długimi palcami po kamieniu rdzenia, wyczuwając wibrującą energię. Kamień był gorący jak ciało w chorobie, porośnięty lśniącym w ciemnościach mchem. Im niżej schodził mężczyzna, tym jaśniejsze stawało się światło pochodni i tym więcej słyszał jęków i krzyków potępionych. Wreszcie dotarł do korytarza, wzdłuż którego ciągnęły się po obu stronach drzwi. Komnaty tutaj zaprojektowano niezwykle starannie, w kamieniach posadzek umieszczono kratę i rury, które zbierały energię cierpiących męki więźniów i odprowadzały ją do głównego szybu, a stamtąd do podziemnego zbiornika.

Mroczny wszedł do pierwszej komnaty. Światło pochodni zamigotało, wprawiając cienie na ścianach w ruch. Lubił zakradać się do cel i obserwować, jak na twarzach więźniów pojawia się groza, gdy uświadamiają sobie jego obecność. Miał nad nimi władzę absolutną.

Jeden więzień wisiał na czterech łańcuchach zakończonych hakami, które przebijały ciało na barkach i ramionach. Przypominał makabryczną marionetkę zawieszoną na grubych sznurkach. Głowa mężczyzny zwisała

na pierś, długie włosy zasłaniały twarz. Trwał nieruchomo, jedynie nieznaczny ruch klatki piersiowej pozwalał stwierdzić, że jeniec żyje.

Wieśniak z Gea Kul miał w sobie iskrę naturalnych zdolności magicznych, naturalnej energii, nigdy jeszcze niewykorzystanej. Do teraz.

Mroczny zbliżył się niczym duch. Ten człowiek był świeży, nie został tak wydrenowany jak inni. DOSKONAŁY. Mroczny wyciągnął palec zakrzywiony na podobieństwo szponu i pogładził policzek więźnia.

– Zbudź się, mój synu - szepnął, wspominając żebraczkę z uliczki. Wieśniak szarpnął się i poderwał głowę. W jasnoszarych oczach zaśniła czysta groza. Próbował się odsunąć, ale łańcuchy i haki trzymały go mocno. Naprężył rozpostarte ramiona. Mroczny uśmiechnął się zachwycony tym pokazem ducha walki. W rzeczy samej Władca Kłamstw znajdzie ten egzemplarz bardzo odpowiednim.

– *Odejm kurtynę z ocz jego* – wyszeptał Mroczny. Gdy rozpoczął inkantację, pochodnie na ścianach zapłonęły jaśniej. Na ciele wieśniaka rozjarzyła się białym ogniem runa. Inni więźniowie zdawali się wyczuwać wzbierającą energię, bo jęki i krzyki poniosły się echem w korytarzu, jak bełkotliwy śmiech przeklętych. Człowiek na łańcuchach szarpnął się raz jeszcze, począł rzucać głową w przód i w tył, napiął się do granic możliwości i mięśnie wybrzuszyły się na ramionach i karku. Po czym nagle głowa znów opadła mu na pierś, oczy się zamknęły, a oddech uspokoił.

W pomieszczeniu pociemniało, cień spowił ściany. Kiedy głowa wieśniaka uniosła się ponownie, w pustej skorupie ciała nie było już człowieka. Żółte oczy, dzikie, a zarazem pełne inteligencji, spoglądały w twarz Mrocznego. Ślad uśmiechu wykrzywił wargi opętanego.

Moc płynęła falami. Mroczny zadrżał mimowolnie, wspominając tamten dzień w alejce i inne, które przysłyły potem. Po raz kolejny stanął w obliczu swego pana, Władcy Płonących Piekieł. Czekał, aż Belial zdecyduje się

przemówić. Władca Kłamstw głos miał głęboki i potężny, niczym dudnienie kamieni, które brało swój początek w ludzkiej piersi i niosło się szerokim echem po wieży.

– Nasz czas jest bliski. Jesteś gotów.

To było stwierdzenie, nie pytanie. Niemniej Mroczny potwierdził.

– Gwiazdy znajdą się we właściwym położeniu za niecałe dwa tygodnie, tak jak przepowiedziały księgi i ty, panie. Rozpocznie się miesiąc ratham. Nasi słudzy nie próżnowali. Komnata szybko się zapełnia.

Belial nieznacznie skinął głową.

– Jednak dziewczynka pozostaje ukryta przed naszym wzrokiem. Wiesz, co to oznacza?

– Zakłęcie, które ją chroni, jest potężne...

– Nie będzie już naszym zmartwieniem. Zadbałem o to. - Władca Kłamstw uśmiechnął się. - Wkrótce dziewczynka zostanie nam ujawniona. Nie zawiedziesz.

I tym razem nie było to pytanie. Mroczny spuścił oczy, w gardle mu zaschło, zastanawiał się, czy ośmielił się może dać wyraz swoim wątpliwościom. Przez całe życie nikt go nie doceniał. Nie potrzebował wsparcia. Miał wszystko pod kontrolą, a dziewczynka przecież mogła nie istnieć.

Czuł potężne wibracje mocy pod stopami. Wyobrażał sobie labirynt komnat poniżej, zagubionych budynków, zakurzonych pomieszczeń i tych, którzy w nich spoczywali, czekając na swego przywódcę, który ich zbudzi i powoła z powrotem do życia. Czekając na NIEGO.

– Czy jesteś pewien, panie, że to konieczne? Jestem... jestem pewien, że to tylko kwestia czasu, zanim ją odnajdę...

– Czy kiedykolwiek powiodłem cię na manowce? Dałem powód, byś nie ufał memu słowu? - Żółte oczy pojaśniały radością, uśmiech stał się



szerszy, ton wręcz swawolny. Ale Mroczny wiedział, jaka moc kryje się w tych oczach, jakie okrucieństwo. Nie kwestionuje się słów Władcy Kłamstw, jego autorytet był absolutny.

– Oczywiście, że nie, mój panie.

– Wybrałem cię ze względu na rzadki dar i krew płynącą w twych żyłach. Krew królów. Pokazałem ci to, dałem dowód na to, kim jesteś, choć ci, którzy cię wychowali, nie mieli o tym pojęcia. Ale są inni, którzy poprowadzą nasze armie, jeśli okażesz się niegodny.

– Nie zawiodę.

– Nie żywię co do tego wątpliwości. - Żółte oczy mrugnęły i nagle Mroczny nie stał już w komnacie pod wieżą. Ściany rozplynęły się i oto znalazł się na pustej, ogromnej równinie. Nad jego głową płynęły kipiące chmury, na horyzoncie w oddali majaczyło miasto. Spierzchnięty i popękany grunt eksplodował nagle, gdy legiony umarłych wdarły się na powierzchnię. Martwi uwalniali się z okowów ziemi, prostowali i stawali gotowi na rozkazy. Nad nimi górowała w oddali sylwetka Władcy Kłamstw z Płonących Piekieł, bestii tak potwornej, tak potężnej, że spoglądanie na nią było jak patrzenie w samo słońce.

Wizja rozwiała się równie szybko, jak się pojawiła. Mroczny stał wstrząśnięty jej siłą, drżał i spazmatycznie walczył o oddech, a jego ciało aż buzowało oczekiwaniem. Wydawało się po prostu niemożliwe, by biedny sierota z Kurast mógł zostać najpotężniejszym człowiekiem na świecie, a jednak ta potęga była na wyciągnięcie ręki. Belial we własnej osobie będzie kroczył przez te ziemie, a Mroczny poprowadzi jego armię na Kaldeum i zajmie należną mu pozycję władcy Sanktuarium, rozpocznie nową erę, w której ludzkość zajmie właściwe miejsce. Aż zadrżał na myśl o zemście na swych dawnych wrogach i tych, co źle go ocenili.

– Znajdź dziewczynkę. Przyprowadź ją do mnie, zanim gwiazdy zajmą właściwe pozycje, zanim rozpocznie się ratham. Wezwanie starej krwi musi się odbyć dokładnie o czasie. Pierwszego dnia ratham, gdy słońce dotknie morza. Wiele jest do zrobienia, ale przygotujesz wszystko doskonale. Jeśli nie... - głos Beliala ścichł i pusta skorupa ludzka zwiśla bezwładnie w łańcuchach. Ale jej oczy wciąż płonęły żółtym światłem i pozostawały wpatrzone w twarz Mrocznego. - Bo jeśli nie, zmuszony będę uciec się do innych sposobów, które mogą wydać ci się znacznie mniej opłacalne.

+

Mroczny wspiał się powoli na schody. Belial opuścił go i powrócił do ognistych otchłani, a wieśniak z Gea Kul wisiał, krwawiąc z oczu, uszu i ust. Człowiek na nic się teraz nie zda, pijawce będą musiały przynieść kolejnych, a niewielu zostało w okolicy. Będą musiały rozszerzyć teren łowów poza Kurast.

Wkrótce Kaldeum będzie jego. Realizacja planów postępowała bardzo szybko. Już od dawna Mroczny wyczuwał zakłócenia równowagi między Niebem a Piekłem, ale ostatnimi czasy wyczuwał też działanie innych mocy. Gdzieś daleko narastała fala energii skupiająca się wokół tego starego durnia Deckarda Caina. Coś potężnego zbierało siły, by stanąć przeciwko Mrocznemu, jakby w odzwierciedleniu heroicznego starcia sprzed lat. I jeszcze to niedobre przeczucie...

*Znajdź dziewczynkę.* Mroczny nie do końca był pewien, jakie Władca Kłamstw ma plany wobec niej, ale w starożytnych tekstach odnalazł przepowiednie: dziecię ukryte gdzieś niedaleko trzymało klucz do wszystkiego, do czego dążył od tak dawna. A jednak dziewczynkę skrywało

zaklęcie, którego Mroczny nie potrafił przełamać, nieważne, jak bardzo się starał. Zaklęcie miało wielką moc.

Gdzie ona jest?

Mroczny dotarł na szczyt wieży, do komnaty rytuałów, podszedł do wąskich otworów okiennych i wyjrzał ostrożnie. Gdy ostatnie promienie słońca zaiskrzyły na horyzoncie, oczy zaczęły mu łzawić: Zacisnął powieki, broniąc się przed bólem. Nie mógł znieść tak jasnego światła. Był stworzeniem ciemności, które wyrosło z garstki żalonych, obszarpanych uczniów i odrzuciło ich dawno temu. Horadrimowie. W jaką głupią grę próbowali grać? Już ich nie potrzebował. Przerósł ich, byli słabi, bezwolni, ograniczeni.. Nie potrafili zrozumieć ani jego, ani jego talentu, nie rozpoznali prawdziwej mocy ukrytej w demoniej magii starożytnych. Mocy pozwalającej rozkazywać każdej istocie, która kiedykolwiek nawiedzała ludzkie koszmary. Mocy z samych Piekieł.

Za wieżą rozciągały się pustkowia śmierci i zniszczenia, brzegi obmywało morze nieruchome i śmiertelnie ciche, uspiona bestia o tysiącu macek, ziemia obrzmiałych zwłok i wilgotnych grobów.

Mroczny wymówił słowa mocy, wezwanie, które poniosło się przez noc, a gdy usłyszał łopot skrzydeł, uniósł ramiona. Stado kruków przyleciało do okien, jeden po drugim lądowały na parapecie i zeskakiwały na posadzkę komnaty. Było ich trzynaście, o skrzydłach lśniących czernią. Ptaki spojrzały na Mrocznego.

– Chodźcie - szepnął, a one poczęły skakać ku niemu, pomagając sobie skrzydłami, aż w końcu usiadły na wyciągniętych ramionach. Poczuł, jak ostre szpony zagłębiają się w jego ciele. Rozkoszując się tym bólem, spoglądał na nie z upodobaniem, a one odpowiadały spojrzeniem czarnych paciorków oczu. Zimne, beznamiętne spojrzenia budziły dreszcze.

– Moje oczy - powiedział. - Moje uszy i serce, i płuca. Lećcie dla mnie tej nocy. Rozpostrzyjcie skrzydła nad tą krainą, od gór po brzeg morza. Szukajcie od krańca do krańca tych ziem. ZNAJDŹCIE JĄ.

Największy z kruków, wielkości psa, rozwarł dziób i skrzeknął, był to surowy, dziki dźwięk, jak tarcie kamienia o metal. Pozostałe podjęły zew, kamienie odpowiedziały im grzmiącym echem, kakofonia zdawała się wprawiać w drżenie masywną podłogę.

Mroczny opuścił ramiona i ptaki zerwały się do lotu. Przez chwilę krążyły po komnacie, by wreszcie zniknąć w ciemnościach nocy.

Podszedł do okna, patrząc w ślad za nimi. Wyobrażał sobie, że kruki są jego przedłużeniem, i patrzył ich oczyma, jak w dole przemyka ziemia, obserwował obcy krajobraz. Dziewczynka już się przed nim nie ukryje, nieważne, jak silny czar strzegł jej do tej pory. Mroczny przyprowadzi ją przed pierwszym dniem miesiąca ratham, jeśli nie tym sposobem, to innym. Takie było przeznaczenie. Sanktuarium padnie, a Mroczny będzie rządził nowym światem, odrodzonym w takiej formie, jaką powinien był przyjąć od początku. A tych, co staną na drodze przeznaczeniu, czeka Piekło.



# SZEŚĆ



## *Opowieść handlarza ksiąg*

Następnego dnia Caina obudził zapach świeżo smażonego boczku. W brzuchu mu głośno zaburczało. Kawałek czerstwego chleba poprzedniego wieczoru był jedyną strawą, jaką miał w ustach od bardzo dawna, i umierał z głodu. Przetarł oczy i usiadł. Gillian krzątała się w maleńkiej kuchni, nucąc niemelodyjnie. Na żelaznej patelni skwierczało apetycznie mięso.

– Obudziłeś się - zauważyła. - Najwyższy czas. Spałeś jak zabity. Wysłałam Leę po coś dobrego do jedzenia. Zwykle nie jadamy jajek na boczku, ale to wyjątkowa okazja, nie co dzień przecież odwiedza nas wuj Deckard.

– Niepotrzebnie się kłopotañas. - Cain podniósł się i przeciągnął, aż mu chrupnęło w plecach. Za stary był, żeby sypiać na podłodze. - Pozwól, że choć zaoferuję coś w zamian...

– Bzdura. - Gillian zbyła go machnięciem ręki. - Nie grozi mi wyrzucenie na ulicę, przecież wiesz. Mam herbatę gahah.

Cain skłonił głowę w geście podziękowania i usiadł przy stole, a Gillian podała mu parujący kubek. Powoli popijał gorący napar, ciesząc się ciepłem

rozgrzewającym mu palce. Tego dnia nastrój kobiety był krańcowo odmienny. Wydawała się całkiem inną osobą i Deckard zastanawiał się, czy pamiętała lunatykowanie z poprzedniej nocy.

– Gdzie mała?

– Och, lubi się włóczyć. Zjawi się, gdy jedzenie będzie gotowe, to pewne. - Postawiła przed nim pełny talerz. Gorąca strawa sprawiała, że jedząc, aż się uśmiechał, mimo że resztki wczorajszego snu wciąż jeszcze oblepiały mu myśli niczym porwana pajęczyna.

Wbrew zapowiedziom Gillian Lea nie zjawiła się na śniadanie. Cain skończył jeść, podziękował i ruszył na poszukiwania Kullooma, handlarza książek. Gillian dała mu wskazówki, jak dojść do sklepu. Nie było to zbyt daleko, jednak stopy Deckarda były w opłakanym stanie po wędrówce przez pustkowia, przystanął więc, by opatrzeć pęcherze zakupioną po drodze gazą. Kobieta, która sprzedała mu tkaninę, była stara, plecy miała wykrzywione chorobą i odwracała wzrok, jakby przerażała ją sama obecność Caina. Owszem, był obcy, jego strój też się wyróżniał, ale w mieście takiej wielkości przyjezdni nie stanowili chyba fenomenu. Dziwne. Inni miejscowi też zachowywali się podobnie, unikali spojrzenia Caina, odwracali wzrok i przyspieszali kroku, jakby bardzo zajęci pilnymi sprawami.

Miasto kwitło, ale nie było tu radości. Mimo słońca Kaldeum spowijały czarne chmury.

Cain bez trudu odnalazł sklep, ale okazało się, że ciężkie drzwi są zamknięte, a zasłony opuszczone. Kiedy zapukał, licząc, że może jednak ktoś otworzy, zwrócił na niego uwagę mężczyzna zamiatający schodki sklepiku obok.

– Szukacie Kullooma? - Zmrużywszy oczy, puknął Caina paluchem w ramię. - Ostatnio słabo mu idzie interes. Głowę dam, że topi smutki w

Rozpalonych Piaskach. Zapewne opowiada o tych niby swoich przygodach. - Mężczyzna przechylił głowę i zmierzył Caina uważnym spojrzeniem. - Zastanówcie się lepiej dwakroć, zanim tam pójdziecie w takim stroju. Nie lubią tam za bardzo takich jak wy.

Cain podziękował za radę i ruszył w kierunku, który wskazał mu miejscowy, zastanawiając się, co właściwie znaczy *takich jak wy*. Kilka przecznic dalej znalazł karczmę, ubogie, ponure miejsce, przed którym stało kilka mułów i wielbłądów, a ze środka dochodziła muzyka. Od progu owionął Deckarda zapach stęchłego piwa i gorącego jadła. Z zaskoczeniem stwierdził, że izba pełna jest klientów, nawet o tak wczesnej porze. W przeciwieństwie do tego, co zaobserwował na ulicach, tu tętniło życie, wręcz desperacko, zupełnie jakby ktoś powiedział tym ludziom, że jutro zostaną straceni, a oni ze wszystkich sił starali się jeszcze użyć tego ostatniego dnia.

Kiedy zauważono przybysza, muzyka najpierw przycichła, by potem zamilknąć zupełnie. Wszystkie oczy zwróciły się na Caina poza tymi należącymi do grubego jegomościa, który nadal zamazyście gestykułował i głośno opowiadał coś grupce innych. Ale nawet on w końcu się zorientował, że w karczmie zapadła nietypowa cisza, i spojrzał na Caina.

Deckard wsparł laskę na lepkiej podłodze i zrobił krok do przodu.

- Szukam człowieka o imieniu Kulloom - odezwał się do nikogo w szczególności.

- No toście go znaleźli - odpowiedział grubas, a na jego twarz wypłynął rumieniec. - O co chodzi? Mam ważne rzeczy do przekazania tym ludziom.

- Gillian poradziła mi, abym was poszukał. Mam pewną sprawę do omówienia.

Grubas napiął się czujnie, a kilku innych klientów poczęło wymieniać się szeptanymi uwagami.



– To nie kapłan - stwierdził Kulloom, rozglądając się po izbie. - Spójrzcie na jego tunikę. To wędrowiec. - Popatrzył na Caina i gestem wskazał mu wolne miejsce przy stole. - Siadajcie i porozmawiamy.

Cain podziękował skinieniem głowy i przecisnął się za plecami potężnego handlarza ksiąg do wskazanego miejsca.

– Nie miejcie im za złe - powiedział Kulloom, kiedy już usiedli, a wokół ponownie zawrzały rozmowy. - W tym stroju wyglądacie troszkę jak kapłan lub wyznawca Zakarum, szczególnie dla tych miej wyedukowanych. Stąd ta reakcja. - Potrząsnął głową. - Tyle pożytku z tych kapłanów, co z węża skrytego w trawie. A i szlachta z Kurast nie lepsza. - Przyglądał się Cainowi lekko mętym spojrzeniem, mówił też trochę niewyraźnie. - Ale wy nie jesteście członkiem zakonu. Swego czasu bywałem tu i tam w świecie i rozpoznam nekromantę na pierwszy rzut oka. Mam rację?

– Owszem. Jestem tylko wędrowcem, jak powiedzieliście.

– No cóż. - Kulloom zbył kwestię machnięciem tłustej dłoni. - A gdyście wspomnieli imię tej kobiety, to tylko pogorszyło sytuację. Ludzie myślą, że postradała zmysły i bredzi o końcu świata. Właściciele nie chcą, by dłużej obsługiwała klientów. A dziewczynka - znów potrząsnął głową - przynosi pecha. Wiecie, że jak tu raz przyszła, to karczma niemal spłonęła? Gillian trzymała ją z tyłu i piec się zapalił. Tylko dzięki szybkiej reakcji waszego uniżonego sługi udało się wszystko ugasić.

– Więc sporo wam zawdzięczają.

– W rzeczy samej. Już nie muszę tu płacić za napitek. To też kłopot. Łatwiej pić i wspominać przeszłe czasy, niż pracować w sklepie. Ale prawda jest taka, że interes upadł. Imperator zawarł umowę z radą konsorcjum handlowego i członkowie rządu Kurast zostali przyjęci w nasze szeregi, Asheara i jej najemnicy zapewnili... ee... wsparcie. Ale to jeno dym w oczy. To tylko kwestia czasu, zanim wszystko zacznie się sypać. - Twarz

Kulloom lśniła potem. Podniósł kufel do fioletowych warg i upił solidny łyk, po czym otarł usta rękawem. Pochylił się nad stołem, ścisząc głos. - Nie tylko w naszym mieście wszystko się rozpada. Podróżowałem przez Kedżystan, a patrząc na was, myślę sobie, że wy też. Wiecie, co mam na myśli? Świat się zmienia, i to nie na lepsze. Widziałem rzeczy... na sam widok pogubilibyście te wasze sandały. - Odchylił się na oparcie i obrzucił Caina spojrzeniem, w którym nagle pojawiła się podejrzliwość, jakby przebiła się przez opary piwka. - A skąd znacie Gillian? Jaką właściwie macie do mnie sprawę?

- Jestem jej starym znajomym i poleciła mi was znaleźć, potrzebuję bowiem oceny eksperta - mówiąc te słowa, Cain zastanawiał się, czy jest w ogóle sens pytać o księgę. Kulloom wyglądał bardziej na pijaka niż na człowieka interesu i najpewniej jego informacje okażą się bez wartości. Ale skoro handlował rzadkimi księgami, to może Cain uzyskać choćby strzępek informacji, który będzie mógł wykorzystać. Postanowił zaryzykować, nie dzieląc się przy tym zbyt szczerze własną wiedzą. Sięgnął do torby i wyjął kopię księgi horadrimów. Rozwinął kawałek tkaniny, w który zapakował tom, i kiedy odsłonił symbole na okładce, Kulloom natychmiast zmrużył oczy.

- Skąd to macie? - spytał. - Jesteście Vizjerei? Zakarumici ostatnio jakoś tolerują magów, ale to wciąż niebezpieczne miejsce dla nieostrożnych.

- Prowadzi mnie nauka horadrimów. Uważam, że to kopia autentycznej księgi. Muszę wiedzieć, gdzie powstała.

Dziwna zmiana zaszła w Kulloomie. Spojrzenie stało się niewidzące, twarz wydłużyła się, tracąc nieco na kolorze. A kiedy się odezwał, ton jego głosu zmienił się w jednostajny.

- Horadrimowie... Wielu uważa, że nie pozostał żaden z horadrimów, o ile w ogóle istnieli. Ale ja słyszałem co innego.

Fala podniecenia zalała Deckarda. Sięgnął do torby i wyjął bryłkę złota, którą położył na stole. Nie miał obowiązującej w Kaldeum waluty, liczył jednak, że złoto wystarczy.

– Powiedzcie mi wszystko, co wiecie.

Kulloom zdawał się nie widzieć bryłki.

– W jednym z namiotów pod miastem kilka tygodni temu spotkałem kupca z Południa, człowieka o stosownym doświadczeniu i wiedzy. Powiedział mi o grupie ludzi, którzy nazywają się horadrimami i których prowadzi potężny mag. Plotki głoszą, że jego cele są mroczne, że szykuje się, by wezwać coś straszliwego do naszego świata. Jaki jest jego cel, tego kupiec nie potrafił mi powiedzieć. Ale mówił, że ludzie się lękają.

– Lękają czego?

– Snów. Ponoć ten człowiek, czy też to, czym się stał, został skażony i zdeprawowany przez istotę potężniejszą, niż można pojąć. Macki tej istoty już sięgnęły naszej ziemi. Straszliwe stwory wypełzają z najczarniejszych zakamarków nocy, by kraść ludziom dusze podczas snu i tworzyć tym sposobem żoźnierzy zła. Kupiec widział strach na twarzach ludzi, a raz... raz widział takiego upiora, na wzgórzach pod murami Kaldeum. Nic więcej na ten temat nie mówił, tylko tyle, że istota była potworna i jej wspomnienie wciąż go prześladowe. - Nagle Kulloom znów skupił uwagę na Deckardzie. Wyciągnął rękę i zacisnął tłuste paluchy na nadgarstku starca. Dłoń miał miękką i śliską od potu, a gdy go przyciągnął, wydał się Cainowi tonącym, który ostatkiem sił walczy, by utrzymać głowę na powierzchni fal.

– Musicie coś z tym zrobić - wyszeptał. - Musicie odnaleźć tych ludzi i powstrzymać...

Uścisk handlarza książek miał siłę żelaza. Cain oparł się chęci cofnięcia ręki. Czekał. Ale Kulloom nie powiedział już nic więcej. Milczenie się wydłużało, a oni siedzieli naprzeciw siebie, jak partnerzy w jakiejś dziwnej

grze. I w izbie znów poczęła zapadać cisza, w miarę jak kolejne głowy odwracały się ku nim.

Kulloom zamrugał. Napięcie opuściło już jego ciało, opadł na krzesło i dopiero teraz jego spojrzenie zawadziło o złotą bryłkę. Zgarnął ją błyskawicznie, zamknął w pulchnej pięści i skrzyżował ramiona na piersi. Kiedy ponownie spojrzął Cainowi w oczy, wzrok znów miał zmacony alkoholem.

– Powiedzcie mi coś więcej o tej grupie, co się zwie horadrimami - poprosił Deckard. - Nie rozumiem, jak mogliby się sprzymierzyć z ciemnością. Nie takie są założenia zakonu.

– Przykro mi, ale więcej nic nie wiem. - Kulloom potrząsnął głową. - Przez moment zatraciłem się w opowieści, ale ta konkretna nie ma końca. Daję się czasem ponieść, niech szlag trafi tutejsze piwo. Powiedziałem za dużo, prawda? Wystraszyłem was?

– Nie, bynajmniej - odparł Cain. I on odchylił się na oparcie i uważnie przyglądał Kulloomowi. - Byliście niezwykle pomocni.

Ludzie wokół podjęli rozmowy, gdy tylko się zorientowali, że tym razem obejdzie się bez bójk. Szynkarka przyniosła Kulloomowi kolejny kufel piwa, który handlarz osuszył natychmiast, po czym gestem poprosił o następny.

– Ta książka - poklepał okładki księgi, wciąż jeszcze spoczywającej na blacie pomiędzy nimi - to tania robota. Nie wziąłbym takiej do sklepu. Najpewniej z Kurast. Mogę zdobyć inne, jeśli jesteście zainteresowani.

– Kurast? Myślałem, że miasto jest opuszczone.

– To siedlisko złodziei i wszelkiego plugastwa. - Kulloom popił piwa. - Przy nich tutejsi klienci to sami anieli. - Uśmiechnął się do Caina, ale nie był to miły uśmiech. - W Kurast nie ma prawa, ciągną tam ci, którzy wolą

działać z dala od czujnych oczu imperatora. Mam kontakt, który mógłby popytać...

– Wolałbym osobiście porozmawiać z tym, kto zrobił tę księgę. - Po raz kolejny Deckard sięgnął do torby. Ta bryłka złota była większa od poprzedniej. Kulloom wytrzeszczył oczy, gdy zobaczył ją na blacie. - Jest wasza, jeśli podacie mi imię - powiedział Cain.

– Jeśli tam dotrzecie, pytajcie o Hylanda. Nie wiem, czy takie imię dali mu rodzice, ale pod takim znany jest teraz. To ktoś w rodzaju wodza w tym przeklętym miejscu. - Kulloom wziął drugą bryłkę i schował do kieszeni. - W Kurast być może dowiedzie się czegoś więcej o tym magu i o istotach, którym rozkazuje. Ale ostrzegam, to nie jest miejsce dla starego człowieka. Tamtejsi zabiorą wam wszystko, co zdołają, i zostawią, byście skonali na drodze. Są też inne rzeczy. - Wzdrygnął się. - Jeszcze gorsze.

– Umieję o sobie zadbać.

Kulloom przyglądał mu się coraz trzeźwiej.

– Idźcie więc - stwierdził wreszcie. - Mam swoje sprawy.

– Ostatnie pytanie. - Cain nie mógł przestać myśleć o drugiej księdze horadrimów, tej, która wyglądała na napisaną przez samego Tal Rashę. Coś nie dawało mu w niej spokoju, coś w przeczytanych wersach - imię, którego nie rozpoznawał mimo swojej rozległej wiedzy i znajomości spraw zakonu. - Słyszeliście może o człowieku nazywanym Al Cut? Albo wiecie, gdzie jest jego grobowiec?

– Nie. - Kulloom pokręcił głową. - Ale grobowce to nieprzyjemne miejsca. Lepiej byście zrobili, obchodząc je z daleka.

Cain popatrzył nań, starając się odgadnąć, co kryje się w głowie tego człowieka. Niestety, nie potrafił nic dostrzec. Podziękował więc i wstał, zbierając księgę i laskę. Odwrócił się do wyjścia, gdy Kulloom go zawołał.

– Bądźcie ostrożni z tą waszą znajomą - ostrzegł. Po raz kolejny rozmowy umilkły, a oczy odwróciły się w ich stronę. - I z dziewczynką też. Ma nie po kolei w głowie.

– Otóż to - dołączył się łysiejący mężczyzna o bulwiastym nosie i poczerniałych zębach. - Historie o czarnej magii i chodzących truposzach to aż nadto, żeby stracić włosy.

– I tak masz ich niewiele - odgryzł się Kulloom. - Napijmy się i zapomnijmy o tych bzdurach. Niektórzy z nas muszą niedługo wracać do pracy.

Kilku klientów parsknęło śmiechem, jeden klepnął Kullooma w potężne plecy, ale grubas się nie uśmiechał i nie spuścił wzroku z twarzy Caina. Deckard skinął głową na pożegnanie i zostawił go w towarzystwie kompanów. Podniesione głosy i huczny śmiech zgłuszyły ostanie słowa Kullooma, które mogły być kolejnym ostrzeżeniem albo po prostu pożegnaniem.

+

Wyszedłszy na ulicę, Cain zamrugał oślepiiony słońcem. Nadal czuł podniecenie, które wzbudziła w nim rozmowa z Kulloomem. Zastanawiał się, ile z tego, czego się dzisiaj dowiedział, miało jakąś wartość, a ile było po prostu bełkotem pijaka, który nie zdołałby wymacać własnego tyłka przy użyciu obu rąk. Kulloom okazał się diametralnie inny, niż Cain się spodziewał. Deckard wyobrażał sobie handlarza inaczej po tym, co powiedziała mu Gillian. Nie miał jednak wątpliwości, że kobieta sama nie była już mile widziana w karczmie. A skoro tak, jej fundusze wkrótce się wyczerpią. Caina znów ogarnęło poczucie winy, że zostawił Gillian z

dzieckiem, które nie było jej. Coraz bardziej też martwił się o to dziecko. Bez odpowiedniego szkolenia wrodzone umiejętności Lei, bez względu na to, jakiego były rodzaju, mogły ją zniszczyć. Ale co mógł na to poradzić? Co Deckard Cain mógł zaoferować młodziutkiej dziewczynce, czy w ogóle jakimkolwiek dziecku?

Kiedy uczył w Tristram, jego zadaniem było przekazywanie wiedzy, którą sam zdobył podczas długich studiów, ale dzieci okazały się trudne i frustrujące. Nigdy nie chciały słuchać wykładów, ani też niewiele sobie robiły z książek, które Cain tak bardzo cenił.

No i miał teraz daleko ważniejsze zmartwienia. Wspomniał słowa Kulloom. *Musicie coś z tym zrobić. Musicie odnaleźć tych ludzi i powstrzymać...*

Tylko przed czym? Co owi ludzie mogli mieć wspólnego z upiorami, które ponoć nawiedzały Sanktuarium? Zbyt wiele było tu niedopowiedzeń, ale Cain zorientował się, że Kulloom wiedział niewiele więcej i nękanie go pytaniami byłoby tylko stratą czasu. Trop okazał się bardzo słaby, w najlepszym razie, ale myślał, że gdzieś na południu działa grupa magów, napęliła serce Caina poczuciem celu.

*Horadrimowie.*

Kulloom użył tego słowa, choć chyba nie zdawał sobie sprawy z jego wagi. I choć Cain wzbraniał się uwierzyć, nadzieja przydała lekkości jego krokom. Czy to w ogóle możliwe? Czy naprawdę istniał jakiś związek między tamtymi magami a naukami horadrimów? Wydawało się to mało prawdopodobne. Wszystko, w co Cain wierzył, co czytał, wszystko, co odkrył w ciągu minionych lat, potwierdzało, że zakon od dawna był historią.

Najpewniej grubas i jego kupiec byli w błędzie. Jeśli ta grupa magów w ogóle istniała i działała, to zapewne pochodziła z Kaldeum. Tym bardziej

jeśli wziąć pod uwagę wszystkie te ostrzeżenia Kulloomo i sam koncept, że magowie mieli jakiś złowrogi cel. Horadrimowie zostali powołani przez samego archanioła Tyraela, by chronić Sanktuarium przed Diabło i jego braćmi. Cain nie mógł uwierzyć, by jakikolwiek zwolennik ich nauk mógł zadać się z ciemnością.

Jedno było pewne: bez względu na to, czy zakon umarł, czy istniał nadal, Cain będzie musiał dokładniej zbadać tę sprawę. A wszelkich odpowiedzi musi zacząć szukać w Kurast.

*Z grobu podniesie się Al Cut.*

Cain obracał tę frazę na języku jak pies ciężką kość. Nigdy nie słyszał tego imienia. Na pewno przepowiednia mówiła o tym coś jeszcze, ale starożytny tekst urywał się nagle, jakby ciągu dalszego należało szukać w kolejnym tomie.

Starzec nie wiedział, o co chodzi, ale przecucie podpowiadało mu, że to coś ważnego. Odpowiedź mogła być zawarta w kolejnym tomie przepowiedni.

Kiedy tak szedł ulicą, na tyle szybko, na ile pozwalały mu obolałe nogi, nie mógł się pozbyć wrażenia, że ktoś go obserwuje. Odwrócił się nagle, spodziewając się zobaczyć za plecami Kulloomo i jego kamratów z tawerny, śledzących obcego z zamiarem rozbicia mu czaszki laską i dobrania się do zawartości torby. Ale ulica za plecami Caina była pusta z wyjątkiem mężczyzny z dzieckiem, którzy szli z opuszczonymi głowami, starannie ignorując przybysza. Zresztą zniknęli za najbliższym rogiem.

Słońce paliło, zalewając ściany budynków jasnym światłem. Cain miał przedziwne, a zarazem dojmujące wrażenie, że jest w mieście sam. Że wszyscy ludzie zniknęli z oblicza świata w jedno mgnienie oka i tylko on pozostał w Sanktuarium. Wyobraził sobie istoty kryjące się w cieniu, które przybywają do ruin miasta, by zawładnąć tym, co kiedyś należało do ludzi.



Wizja się rozwiąła, gdy obok przetoczył się wózek zaprzęgnięty w muła, a z pobliskiej karczmy wyszła grupa głośno rozmawiających mężczyzn.

Nikt go nie obserwował, a jednak wciąż czuł spojrzenie wbijające mu się w plecy.



## SIEDEM



### *Pożar*

Cain spędził resztę dnia, wędrując po Kaldeum w poszukiwaniu informacji o grupie magów nazywających siebie horadrimami. Starał się ukryć, że cała ta sprawa budziła w nim prawdziwą ekscytację, ale i tak ludzie go unikali, nie chcieli rozmawiać, a tych niewielu, którzy porozmawiać się zgodzili, na wzmiankę o Kurast patrzyli nań, jakby miał dwie głowy. To dawno umarłe miasto, pełne morderców i gwałcicieli, to nie miejsce dla starego człowieka.

Im dłużej szedł, tym bardziej był zniechęcony, a pomysł, że istniało jakiegokolwiek powiązanie z horadrimami albo ich naukami, wydawał się teraz tylko desperackim przebłyskiem nadziei. Kiedy Cain wyszedł z karczmy, był zafascynowany pomysłem, ale teraz, po upływie godzin, zaczynał wierzyć, że Kulloomo ktoś wprowadził w błąd albo grubas wymyślił tę historię, żeby zdobyć bryłkę złota.

Popołudniem Cain też został przepytany, przez trzech Żelaznych Wilków, wielkich i umięśnionych, zbrojnych w ciężkie miecze i odzianych w złoto-srebrne zbroje. Na szczęście nie posunęli się tak daleko, by przeszukać

torbę, w przeciwnym razie trafiłby do więzienia. Nie było wątpliwości co do napięcia narastającego w Kaldeum między przywódcami magicznych klanów a radą konsorcjum handlowego, czyli mieszanką szlachty z Kaldeum i tej przybyłej z Kurast, gdy miasto zajął Mefisto i jego demony. Ludzie bali się, że mrok i zepsucie, które dosięgły Kurast, przeniosą się na Kaldeum, i może mieli rację. W tych czasach liczyły się układy, dlatego też strażnikom na nic się nie zdał staruch, który był albo i nie był magiem renegatem. Udzielili Cainowi ostrzeżenia, polecieli zakończyć sprawy i puścili wolno. Deckard z zapadnięciem zmroku powrócił do domu Gillian.

Tak naprawdę nie wiedział, czego się tam spodziewać. Poranne zachowanie kobiety tak bardzo się różniło od tego z uprzedniego wieczoru, jakby miało się do czynienia z dwiema osobami. Dom pogrążony był w ciemności i ciszy. Cain zapukał, ale nikt mu nie otworzył. Już miał odejść, przekonany, że Gillian wyszła, gdy kobieta stanęła w progu. Twarz miała szarą i pozbawioną życia.

– Rozmawiałem z twoim przyjacielem Kulloomem - powiedział Cain, gdy zamknęła za nim drzwi. - Interesujący człowiek.

Czuł znajomy zapach, ale nie mógł go z niczym skojarzyć. Woń przyprawiała go o skurcze żołądka. Gillian stała bez ruchu.

– Nie jest moim przyjacielem - szepnęła. - Nie byłam z tobą do końca szczerą, Deckardzie. Ja... już tam nie pracuję. - Spojrzała w prawo i wymamrotała coś niewyraźnie, jakby zwracała się do kogoś trzeciego, choć poza nimi nikogo w pomieszczeniu nie było.

– Rozumiem. Jak się utrzymujesz?

– Ja... jakoś sobie radzę.

W jej głosie słyszał napięcie. Podeszedł do stołu i zapalił lampę. Gillian szarpnęła się w tył, jakby płomień ją sparzył. Jej wzrok znów powędrował w prawo, oczy przeszukiwały każdy kąt w pokoju, na twarzy lśnił pot, pod

oczyma czerniały podkowy, a jej usta ani na chwilę nie przestawały się poruszać, jakby kobieta miała zamiar coś powiedzieć, jednak milczała.

Sądząc po stanie gospodarstwa, z pewnością nie zostało jej już zbyt wiele pieniędzy, do tego jeszcze zajmowała się dzieckiem. To mogło okazać się ponad jej wątle siły. Co takiego powiedziała poprzedniego wieczora?

*Szeptają. Cały czas słyszę je w głowie. Nie pozwalają mi odpocząć. Mówią straszliwe rzeczy.*

Kontakt z demonami niejednokrotnie wpędzał ludzi w szaleństwo i proces ten mógł trwać latami. Gillian unikała wzroku Caina. Rękę wciąż trzymała za plecami.

– Co tam masz? - zapytał, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej naturalnie, choć instynkt ostrzegał, że dzieje się coś złego.

– Nic. - Cofnęła się o krok.

– Pokaż mi to, Gillian.

Potrząsnęła przecząco głową, podnosząc drugą rękę, jakby chciała go zatrzymać. Plecami dotknęła drzwi. Kiedy się przesuwała, Cain złowił wzrokiem błysk. Wydawało się, że Gillian toczy ze sobą walkę. Twarz miała wykrzywioną, wargi jej drżały. Po policzku wolno spływała łza. I nagle popatrzyła na niego twardo, ze złością.

– Nie. NIE. Opuść ten dom, Deckardzie. Natychmiast. Nie jesteś tu już mile widziany.

– Chyba powinnaś usiąść. Pozwól, że zaparzę ci herbaty.

– Nie chcę żadnej herbaty! Pewnie ją zaczarujesz, żebyś siedziała cicho. Czy nie to właśnie robisz? Tacy jak ty pilnują, by sprawy na zawsze pozostały pogrzebane w przeszłości. Tak jak to, co ci się przytrafiło w Tristram.

– Nie wiesz, co mówisz.

Wyraz twarzy Gillian znów się zmienił. Głos stał się melodyjny, ton niemalże swawolny.

– Dorastałam z nim, nie pamiętasz? Zanim zniknął...

– Dość! - krzyknął. - Nawet o tym nie mów.

Gniew i żal do samego siebie zagotowały się nagle i poczęły kipieć. Cain ruszył ku niej, a wtedy Gillian wyciągnęła rękę zza pleców. Trzymała w niej duży nóż. Splamiony krwią.

Wiedział już, co za zapach poczuł, gdy wszedł do domu. Metaliczną woń krwi.

– Kroiłam mięso - powiedziała. - Na obiad dla nas.

– Gdzie dziewczynka?

– Śpi. Kazały mi jej nie budzić. - Uśmiechnęła się nieoczekiwanie, szerokim, drapieźnym uśmiechem, przypominała węża, który szykuje się do pożarcia szczura. Jej oczy zrobiły się szklane i uciekły w głąb czaszki.

Pokój się zakołysał, jakby gigantyczna klatka piersiowa uniosła się w oddechu. Dziecko! Cain zostawił kolejne niewinne dziecko samo w obliczu niebezpieczeństwa. Skupiony na swoich poszukiwaniach pozwolił, by przelano niewinną krew. Przeklął się. Za ślepotę i głupotę. Za brak umiejętności czytania znaków, które miał pod samym nosem jeszcze wczoraj. Gillian była chora, najpewniej również niebezpieczna, a on zignorował wszystkie tego oznaki. Jak zawsze.

Przeszłość zwała się nań przytłaczającym ciężarem. Tym razem musi zacząć działać, zanim będzie za późno.

*Tacy jak ty pilnują, by sprawy na zawsze pozostały pogrzebane w przeszłości.*

Chwycił lampę i pokuśtykał do sypialni małej, najszybciej jak mógł. Drzwi pokoju dziewczynki miały zasuwę od zewnątrz, ale nie była zamknięta. Z dziko walącym sercem przekroczył próg i niemal natychmiast

zamarł. W świetle lampy zobaczył dziewczynkę skuloną na wąskim łóżku, leżała na boku, a buzię miała spokojną. Oddychała powoli i regularnie, a w pokoju nie było żadnych śladów krwi. Cain odetchnął z ulgą. Gillian kroїła mięso i tyle. Nie było czym się niepokoić. Lei nic się nie stało.

Owszem, niby tak. Tylko że nie wyjaśniało to dziwaczego zachowania Gillian ani nie zmieniało faktu, że kończyły im się środki do życia, a napięcie w domu rosło z każdym dniem. Nie tłumaczyło głosów, jakie słyszała Gillian, ani strachu, jaki odczuwała przed Leą.

*Tak jak to, co ci się przytrafiło w Tristram.*

Usłyszał szmer za plecami i odwrócił się szybko. Gillian z nożem w dłoni wchodziła do sypialni. Cain miał wrażenie, że go nie dostrzegła. Podeszła do łóżka, a w pokoiku zrobiło się jakby chłodniej. Lea usiadła, wciąż z zamkniętymi oczami, najwyraźniej spała. Wtedy Gillian uniosła rękę z ostrzem. Rozległ się trzask energii i Gillian została brutalnie rzucona na ścianę przez niewidzialną siłę.

Deckard cofnął się wstrząśnięty. Nie dostrzegł żadnego ostrzeżenia, tylko ten dziwny rodzaj magii. Lea była jak marionetka na sznurkach. Jej głowa kołysała się w hipnotycznym transie. Przypomniął sobie, co czuł, gdy trzymał w dłoni jej rączkę. Moc ukrytą w drobnym ciałku, magiczną energię, której niewiele brakowało, by wyrwać się z niewiadomym skutkiem.

Co to jest?

Gillian wstała. Znowu podeszła do łóżka. Oczy Lei otworzyły się szeroko i dziewczynka krzyknęła ze strachu, cofając się gwałtownie, a ta sama niewidzialna siła wydarła nóż z dłoni Gillian i cisnęła go na podłogę.

– Zło! - wrzasnęła Gillian, parszcząc śliną i tocząc dzikim wzrokiem. Próbowwała kopać i drapać coś, co ją unieruchomiło. - Dziecko więdźmy! Twoja czarna magia już cię nie uchroni! Martwi idą po ciebie!

Obudzona w pełni Lea najwyraźniej nie potrafiła zapanować nad tym, co się działo, zupełnie jakby straciła kontrolę nad ciałem. Oszalałym spojrzeniem wodziła od Caina do Gillian i z powrotem.

Deckard wiedział, że musi położyć temu kres, zanim będzie za późno. Odstawił lampę i sięgnął do torby. Wyszarpnął stamtąd flakon wypełniony białym proszkiem z kości zmieszanych przez kapłankę Rathmy z korzeniami drzewa rosnącego w dżungli Torajan. Wyszarpnął korek, nasypał nieco proszku na dłoń i dmuchnął Lei w twarz. Dziewczynka zwała się na łóżko nieprzytomna.

Cain odwrócił się do Gillian. Ta uwolniona od tego, co ją trzymało, sięgała znowu po nóż. Starzec sypanął w nią resztką proszku. Pod kobietą ugięły się nogi, upadła ciężko jak kamień, uderzając przy tym głową o ścianę. Dom ucichł nagle, z pokoju znikło napięcie i energia. Cain sprawdził puls Gillian. Jej serce biło z niesamowitą prędkością, oddychała szybko i płytko. Starzec poczuł, jak wzbierają w nim torsijskie. Proszek nekromantów otwierał przejście do miejsca pomiędzy światem żywych a umarłych - zbyt mała ilość mogła wywołać wizje bez utraty przytomności, zbyt duża wysłać człowieka tam, skąd nie było już powrotu. A Cain nie miał czasu odmierzyć właściwej ilości proszku i teraz było za późno, by coś na to poradzić.

Podszedł do łóżka, by sprawdzić, co z Leą. Spała mocno, jej serce biło miarowo, twarzyczkę miała spokojną, niemalże anielską. Zalała go fala niespodziewanych emocji: ta malutka dziewczynka tkwiła w szponach czegoś, czego nie mogła kontrolować ani zrozumieć. Nie знаła swojej przeszłości i właśnie obudziła się, by zobaczyć, jak kobieta, którą uważała za matkę, rzuca się na nią z nożem. W tym, co się działo, nie było winy Lei, dziewczynka niewątpliwie była zmieszana i przerażona zarazem.



Cain musiał znaleźć sposób, by ją ochronić. Musiał jej jakoś pomóc, ale nie był żadnym bohaterem: nieraz to już udowodnił. Cóż mógłby począć z takim małym dzieckiem. Był starym człowiekiem z własnymi problemami. I jeśli nie znajdzie sposobu, by ocalić Sanktuarium i powstrzymać nadciągające zło, to, co się tutaj wydarzyło, będzie bez znaczenia, bo wkrótce Gillian, Lea i inni ludzie stracą życie, wszyscy. W najlepszym wypadku.

+

Deckard wsunął ręce pod ramiona Gillian, ale nie zdołał jej unieść. Jego kolana i plecy zaprotestowały bólem. Zostawił więc kobietę tam, gdzie upadła, i podniósł Leę, zbierając przy okazji jej ubranie i buty. Zaniósł małą do pogrążonej w ciemności głównej izby, gdzie położył dziewczynkę ostrożnie przy ogniu. Zapalił drugą lampę, by przegonić cienie, które zdawały się gromadzić wokół nich. Lea ani drgnęła.

Wrócił do sypialni. Oddech Gillian wyrównał się nieco, serce zwolniło. Cainowi udało się położyć ją na łóżku dziewczynki, po czym zamknął drzwi na zasuwę.

Chwilowo usatysfakcjonowany, podniósł z podłogi nóż i wrócił do dziewczynki, odtwarzając w myślach to, co się właśnie wydarzyło. Zdaje się, że mała dysponowała mocą obronną, budzącą się, gdy jej życie było zagrożone, ale ta moc była o wiele potężniejsza niż zwykłe zaklęcie. Czegoś takiego Cain jeszcze nie widział. Prawdziwa matka Lei była potężną wiedźmą, może zatem przekazała swój talent dziecku. Ale wiedźmy to nie magowie. Wyszkoleni magowie umieli kontrolować żywioły, fizycznie oddziaływali mocą na świat - a do osiągnięcia takiego

poziomu umiejętności trzeba było lat. To, że maleńka dziewczynka tak sprawnie posługiwała się mocą, i to bezwiednie, było niesamowite. I szalenie niebezpieczne.

Musiał znaleźć się ktoś, kto nauczy ją, jak to kontrolować.

Niemal wbrew sobie Cain pomyślał o magach, o których wspominał Kulloom. Jeśli zgłębiali nauki horadrimów, może będą w stanie pomóc. Prawdziwy horadrim zrozumiałby naturę talentu Lei i pomógłby jej żeglować po tych wzburzonych wodach.

Być może oni wcale nie istnieją, upominał się w duchu. Ale ty, stary głupcze, jesteś tylko uczonym, który o tym jedynie czytał. Żaden z ciebie mentor. Bez nich jaką jeszcze możesz mieć nadzieję?

W powietrzu ciągle unosił się zapach krwi. Cain zajrzał do kuchni i zobaczył wielkiego martwego szczura. Truchło pozbawione było głowy i po części wnętrzości. Najwyraźniej to właśnie Gillian szykowała na obiad. Zbyt zmęczony, by czuć obrzydzenie, wyrzucił szczątki do beczki z odpadkami, a potem usiadł na krześle i przyglądał się śpiącej Lei. Mała będzie pod wpływem proszku jeszcze przez kilka godzin, a Cain w tym czasie będzie musiał podjąć decyzję, co zrobić z nią i z Gillian. Sytuacja definitywnie wymagała zmiany, jednak nie mógł wymyślić rozwiązania.

Ciężar nowej odpowiedzialności straszliwie go przygniatał. Nagle wróciło wspomnienie snu z poprzedniej nocy: jak ukrywał się z Gillian w cieniach katedry, a potem odwrócił się i zobaczył potworną postać unoszącą się nad nimi oraz tamtą kobietę z dzieckiem. Wyobrażał sobie wyrzut w ich oczach, oskarżenie, które próbował pogrzebać w niepamięci już prawie pięćdziesiąt lat: *Dlaczegoś nas nie ocalił?* W rzeczywistości wydarzenia potoczyły się nieco inaczej, nie było żadnej wielkiej postaci ani nieprzyjemnie znajomej kobiety z dzieckiem. Król zginął z ręki Lachdanana, ale to tylko pogorszyło sytuację. Lachdanan został przeklęty, a

ludzie poczęli znikać. Szaleństwo wkroczyło na ulice miasteczka. Dziwaczne odgłosy i przemykające postacie demonicznych stworów wielu skłoniły do ucieczki. Ale też i sprowadziły wielu śmiałków, którzy chcieli zdobyć miano bohatera i skarby ukryte ponoć pod starożytną budowlą horadrimów. Jeden po drugim mimo ostrzeżeń Caina schodzili w katakumby, a potem ich krzyki wracały echem wśród mrocznych korytarzy, gdy jeden po drugim ginęli w starciu z hordami Diabła.

Cain był zdruzgotany, porażony poczuciem winy, że zabrakło mu wiary i uporczywie odwracał się od słów i nauk matki. Teraz wstawał o bladym świcie, by czytać, gromadzić każdy, najmniejszy nawet okruch informacji o horadrimach. Potem szedł do karczmy Pod Wschodzącym Słońcem, by spotkać się z innymi i opowiadać o tym, co wyczytał. Był jednak zbyt stary i zbyt słaby, aby samemu stawić czoło demonom. Nie zdołał też przekonać innych, z czym tak naprawdę mają do czynienia, póki nie było za późno.

Przybywało coraz więcej wojowników, niektórzy prawdziwie imponujący. Jednak sytuacja pozostawała beznadziejna. Do chwili, gdy najstarszy syn króla powrócił z wyprawy do Zachodnich Marchii.

Aidan, który wyjechał jako rozpuszczone chłopię, powrócił mężczyzną. Cain ledwie go rozpoznał, ale szybko miarą szacunku dla księcia stało się miano *bohater*, jakie mu nadał. Deckard opowiedział Aidanowi, co wyczytał w tekstach Jereda i tych, które odnalazł w katedrze. Ze wszystkich sił starał się ostrzec księcia przed tym, co kryło się w starożytnych podziemiach. Jednak nic nie mogło przygotować młodego mężczyzny na potworności, jakim przyszło mu stawić czoła.

+

Wnętrze karczmy było puste i pogrążone w ciemności; jakiekolwiek duchy tu mieszkaly, teraz pozostawaly milczące i nieruchome. Cain znalazł Aidana siedzącego na krawędzi łóżka z głową wspartą na dloniach. Książę miał na sobie zbroję, jego miecz leżał obok. Podniósł głowę, słysząc, że ktoś wchodzi, i Cain miał okazję zobaczyć to, co kryło się pod maską spokoju oraz pozornej równowagi – przystojną twarz młodego księcia wykrzywiały ból i rozpalony do białości gniew.

– Mój ojciec nie żyje - powiedział. - Mój brat zaginął. Miasto obraca się w perzynę. Jak możesz radzić mi, bym czekał?

– Nie lekceważę twojej straty - odpowiedział Cain najłagodniej jak umiał. - Ale zanim tam pójdziesz, musisz przynajmniej zrozumieć, z czym przyjdzie ci walczyć...

– Dość już zrozumiałem. - Młodzieniec wstał i ujął miecz. Znów był spokojny. - Demon, który odpowiedzialny jest za to plugastwo, musi zostać odesłany do Piekieł. Sam to powiedziałaś. - Podeszedł do starego nauczyciela i położył mu dłoń na ramieniu. - Nie jestem już wystraszonego chłopcem, którego znałaś kiedyś, przyjacielu. Uczyłem się i trenowałem u najlepszych mistrzów w Kurast. Walczyłem z dzielnymi żołnierzami w Zachodnich Marchiach. Stawię czoła demoniemu pomiotowi i będę wybijał jednego po drugim. Aż w końcu znajdę źródło tej zarazy i pozwolę mu poznać moje ostrze.

– Katakumby pełne są demonów, tych mniejszych i tych potężniejszych - ostrzegł Cain. - Lazarus wielu powiódł na śmierć. Tam... spotkasz tych, których kiedyś znałaś i kochałaś, teraz przywróconych z martwych i potwornie odmienionych. Mogą zjadać ludzkie mięso, żywić się ciałami tych, którzy staną im na drodze. Twój ojciec może być jednym z nich.

Oczy Aidana pociemniały, błysnęły w nich iskierki gniewu.

– Lazarus to zdrajca i dostanę jego głowę, zanim to zakończę. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wypędzić diabelski pomiot z Sanktuarium.

– A twój brat, Albrecht? - Cain nakrył dłonią rękę bohatera. - Co zrobisz, jak będziesz musiał stanąć przeciwko niemu? Jego los może być jeszcze potworniejszy. Najpewniej został splugawiony...

– Zgładzę go. Moim obowiązkiem jest zakończyć jego cierpienia.

– Przynajmniej pozwól sobie towarzyszyć. Jest tu wojowniczką z Zakonu Niewidzącego Oka, dziewczyna niezłomnego ducha, czarodziejka Vizjerei...

Potworny, rozdzierający krzyk przeszył noc. Aidan rzucił się do okna, a potem wybiegł z pokoju. Cain ruszył za nim, zbiegł po schodach przed dom. Znalazł Aidana klęczącego przy rannej kobiecie. Obok stał ktoś jeszcze z widłami unurzany w krwi. Farnham. Poszedł do katakumb za Lazarusem, a gdy wrócił, nie mógł mówić o tym, co się tam wydarzyło. Po ataku pijaństwa Farnham kilkakrotnie próbował wrócić do katakumb i najwyraźniej wreszcie mu się udało. A teraz wrócił na powierzchnię w towarzystwie.

– Pomóżcie jej! - błagał, rozglądając się bezradnie. - Gdzie uzdrowiciel?! Gdzie Pepin?!

Ramiona pokryte miały śladami ugryzień, skórę zdartą z głowy, krwawy strzęp wisiał mu nad uchem, ale nie zważał na rany, uwagę skupiał na kobiecie.

Cain podszedł o krok. Ładna buzia została rozcięta od policzka po szczękę. Zdawało mu się nawet, że to Gillian, ale ta kobieta była drobniejsza, figurę miała dziewczęcą. Córka Farnhama. Szesnastoletnia zaledwie. Tułów też miała poraniony, głębokie cięcia jak od topora makabrycznie rozchyłały brzegi. Aidan dotknął jej twarzy, starając się przytrzymać rozdarte ciało, ale dziewczyna jęknęła i cofnęła głowę, a jego palce ześlizgnęły się we krwi. Nagle wyprężyła się, kręgosłup wygięła w łuk

*i zaczęła się trząść. Skóra ześlizgnęła się, odsłaniając kość szczęki, świeża krew popłynęła po szyi. Aidan znów próbował dziewczynę przytrzymać, a Farnham rzucił się na pomoc, ale Cain go powstrzymał.*

*– Co się wydarzyło? - zapytał, zastępując mu drogę. - W katakumbach. Musisz mi powiedzieć.*

*Farnham potrząsnął głową, opryskując Deckarda deszczem rubinowych kropelek.*

*– Poszli za Lazarusem na zagładę, razem z innymi durniami. Zszedłem tam i znalazłem moją córkę, żywą. Pozostali są martwi. Wszyscy martwi. A ziemia przeklęta. Te stwory tam to plugastwo!*

*– Kto ci to zrobił?*

*– Rzeźnik i jego topór – odpowiedział Farnham. - Zarżnął większość ludzi tam, na dole. Widziałem go, ale udało nam się ukryć, przeczekać, aż mogliśmy uciec. Widziałem komnatę, w której zabijał. Pełną ciał. Niektórzy mogli jeszcze chodzić, ale to już nie byli ludzie, Deckardzie. Nie ludzie. - Krwawe palce Farnhama zacisnęły się na tunice Caina, zostawiając plamy czerwieni. - Oni mnie... gryźli.*

*Dziewczyna wydała z siebie zdławiony bulgot. Farnham krzyknął rozpaczliwie, padł na kolana przy jej boku i złapał bezwładną dłoń. Aidan wstał, jego oczy mówiły wszystko: dziewczyna była stracona. Cain odciągnął go na bok.*

*– Może wstać, kiedy jej dusza odejdzie - powiedział półgłosem. - Zabiorę stąd Farnhama. A ty musisz zrobić, co należy, i zakończyć jej cierpienia. -*

*Aidan skinął głową.*

*– A potem zejść do katakumb, żeby położyć temu kres - powiedział stanowczo. - Te potworności muszą się skończyć.*

*Nieludzkie wycie rozległo się od strony katedry, odbiło w ciemności echem, przyprawiając Caina o lodowaty dreszcz. Potem zabrzmiało potężne*

*uderzenie i wysoki, skrzeczący śmiech potępionych.*

*Coś się poruszyło w ciemności lasu, coś wielkiego i nieludzkiego.*

*Cain rozejrzył się po opustoszałym mieście. Nie znał innego domu. Mieszkał zaledwie kilka kroków stąd, w tym samym budynku, w którym dorastał z matką, gdzie opowiadała mu historię o Jeredzie Cainie, Tal Rashy i horadrimach, bohaterach, którzy zwalczali Pierwotne Zło.*

*Przeznaczenie Caina nie zostało dopełnione. Tylu zginęło tylko dlatego, że nie chciał słuchać, że ignorował ostrzeżenia matki, a książki, które mu podsuwała, zbierały kurz, podczas gdy on udawał, że goni za prawdziwą wiedzą. Nie wierzył w demony, a jednak ich czas nadszedł. Ciężar winy był niewyobrażalny.*

*Zawiodłem, pomyślał Deckard Cain. Zawiodłem wszystkich i teraz czeka mnie Piekło.*

*Zapach dymu wypełnił mu nozdrza. Miasto płonęło...*

+

Deckard Cain obudził się, mając pod powiekami obraz konającej dziewczyny. Zasnął na krześle, pilnując Lei. Widział ją w migotliwym świetle lampy, śpiącą i nieruchomą.

Coś było nie tak. Knot już się dopalił, a jednak płomień i dym ze snu nie zniknęły.

Tristram nie spłonęło. Nie wtedy.

Otrzeźwiało natychmiast. W przedsionku migotało światło.

Zerwał się na równe nogi i wybiegł z pokoju. Dym snuł się szparą wokół drzwi do sypialni dziewczynki. Płomień lizały suche drewno na podobieństwo demonich języków. Cain czuł żar na skórze. Wymruczał

kilka słów, żeby zlikwidować zakłęcie, jakie nałożył na drzwi, i spróbował sięgnąć klamki. Jednak temperatura była zbyt wysoka. Zostawił w tamtym pokoju lampę i w jakiś sposób zaproszył ogień. A Gillian znalazła się w pułapce.

– Gillian! - krzyknął. Nikt mu nie odpowiedział. Dym zawirował wokół jego głowy, wcisnął się do płuc i zmusił do kaszlu. Cain poczuł w ustach gorzki posmak. Próbował zasłonić twarz rękawem, ale to nie pomogło i zaczynał już mieć zawroty głowy.

– Co się dzieje?

Lea stanęła tuż za nim, zdążyła wciągnąć sukienkę i buty, twarzą miała bladą jak papier, oczy rozszerzone strachem. Po głosie poznał, że mała jest na skraju paniki.

– Dom się zapalił - odpowiedział. - Grozi nam straszne niebezpieczeństwo.

– Ale matka...

– Nie zdołamy jej pomóc - stwierdził. - Żar jest zbyt wielki, nie zdołam tam wejść. Musimy uciekać.

Lea potrząsnęła głową, zaciskając pięści.

– Nie! Nie możemy jej zostawić!

– Nie mamy czasu, Leo. Nie bądź niemądra. - Podszedł do małej i chciał zabrać ją do głównej izby, ale dziewczynka stała niewzruszona niczym skała. Wiedział, że musi dziecko jakoś uspokoić, zanim je wyprowadzi, ale nie wiedział jak. Przyzwyczyił się dawać rady wojownikom idącym do walki, dorosłym, rozsądnym, kierującym się logiką, którzy rozumieli ryzyko i podejmowali decyzję w oparciu o fakty. Co miał powiedzieć dziecku w takiej sytuacji? *Gillian najprawdopodobniej już nie żyje i my też zginiemy, jeśli się stąd nie ruszymy?* Jak radzić sobie z czymś tak strasznym?



Dudniący odgłos wstrząsnął domem, coś rozbiło się w kuchni. Lea zacisnęła powieki, zaczęła dygotać. Cain poczuł, jak temperatura wokół niego spada, tak samo jak wtedy, gdy Gillian ruszyła z nożem do ataku. W powietrzu zatrzaskało napięcie, mężczyzna poczuł łaskotanie na skórze. Drewno trzeszczało i jęczało wokół nich. Za zamkniętymi drzwiami rozległ się ogłuszający świst.

W pobliżu paleniska huknęło i Cain zobaczył gwałtownie rozpełzające się płomienie. Skoczył w tamtym kierunku i znalazł drugą z lamp przewróconą na podłodze, jej zawartość ożywiła dogasający już ogień. Płomienie pełzły po podłodze do stołu. Jeśli Deckard i Lea się nie pospieszą, zostaną odcięci.

Wrócił do dziewczynki. Stała sztywna tam, gdzie ją zostawił. Powieki i pięści miała zaciśnięte, skórę pokrytą kroplami potu. Odniósł wrażenie, że Lei tak naprawdę tam nie ma, jakby coś ją porwało i zaniosiło daleko, zostawiając jedynie pustą skorupę ciała.

Czy to ta mała sprawiła, że wywróciła się druga lampa? Co się działo z tą dziewczynką?

Sięgnął do ramienia Lei z wahaniem, niepewny, czy dotykanie jej jest dobrym pomysłem. A potem przyszło uderzenie, jak potężna fala ognia, przepłynęło przez ramiona Caina i odrzuciło go. Zdążył zauważyć, że powieki Lei się unoszą, że dziewczynka ma w oczach ten sam wyraz przerażenia jak i wtedy, gdy Gillian zamachnęła się na nią nożem. I poczuł coś jeszcze. Obecność, nie całkiem ludzką, unoszącą się na wielkich czarnych skrzydłach, która szukała czegoś lub kogoś, ale nie mogła odnaleźć.

Cain uderzył w ścianę i wstrząs był niczym tysiące mrówek wgryzających mu się w skórę. Jakimś cudem starzec utrzymał się na nogach, choć ból w plecach przybrał na sile dziesięciokrotnie. Lea cofała

się przed nim, potrząsając głową, machając rękoma, jakby chciała odepchnąć wszystko to, co jej się przytrafiło. To było dla dziewczynki zbyt wiele. Oczy uciekły jej w głąb czaszki i osunęła się na podłogę nieprzytomna.

Niesamowita energia zniknęła. Cain podniósł małą i przerzucił sobie przez ramię. Wrócił do głównej izby po laskę i torbę. Dym go oślepił, a ciężar dziewczynki niemal przewrócił, gdy schylił się po swoje rzeczy. Poczul ulgę, odzyskawszy dobytek i artefakty, ale nie trwało to długo.

Płomienie stawały się coraz większe i gorętsze. Ogień wspiał się na ściany i sięgnął sufitu. Cain nie widział drogi ucieczki. Pomieszczenie wydawało mu się nieskończenie długie. Pomyślał o ptaku latającym w poszukiwaniu robaka: kuku wielkim jak miasto, rozpościerającym skrzydła, które przesłoniłyby słońce.

Kiedy Cain zatoczył się po raz kolejny, drzwi pękły z hukiem, przełamując czar nałożony na dom. Powiało świeże powietrze. Wizja czarnych skrzydeł zbladła. Wielgachny, czarnobrody mężczyzna wpadł do środka, zakrywając nos i usta rękawem. Przedarł się przez dym, chwycił Caina i wyciągnął wraz z nieprzytomną Leą za próg.



## OSIEM



### *Dom obłąkanych*

Przed domem zebrał się tłum. Mężczyźni podawali sobie wiadra z wodą, próbując zdusić płomień na dachu i w oknach, zanim pożar przeniesie się na kolejne domy. Niektórzy tylko się przyglądali, przestępując z nogi na nogę i pokazując coś sobie palcami.

Człowiek, który wyciągnął Caina i Leę z płomieni, nazywał się James i, jak się okazało, był kowalem. Mieszkał zaledwie kilka domów dalej. Cain podziękował mu za pomoc.

– Poczuję dym - powiedział James. - Mieliście szczęście, że nie sypiam dobrze. - Wskazał na Leę. - Macie coś przeciwko, żebym ją obejrzał?

– Będę wdzięczny.

Kowal zdjął dziewczynkę z ramienia Caina, jakby nic nie ważyła, i delikatnie położył ją na ziemi. Posłuchał serca, podniósł powieki, po czym wstał i cofnął się o krok.

– Nie jest poparzona, wygląda na to, że nic jej się nie stało.

– To nie ogień - wyjaśnił Cain. - Obawiam się, że to był atak paniki. Napięcie okazało się dla niej zbyt mocnym doznaniem. I słusznie.

James skinął głową ze zrozumieniem.

– Mam córkę w podobnym wieku. Mieszka z matką po drugiej stronie miasta. Nie widuję jej zbyt często. - Westchnął. - Jej mama i ja nie byliśmy dla siebie zbyt dobrzy, taka jest prawda. A jeśli chodzi o tą małą - wskazał na Leę - nigdy nie wierzyłem w to, co ludzie gadali o niej albo o jej matce. Czasem jak ktoś się trzyma na uboczu, to się go zaraz oskarża o coś, czym nie jest.

Gillian. W szaleństwie płomieni Cain zupełnie o niej zapomniał. Odwrócił się teraz ku ludziom, którzy nadal gorączkowo uwijali się z wiadrami. Chyba udało im się zapanować nad pożarem. Okna były czarne od sadzy, a płomienie wciąż pełgały po dachu. Gillian nie mogła tego przeżyć.

Deckarda przygniotło zmęczenie, desperacko pragnął przysiąc gdzieś na chwilę, dać spocząć obolałym kościom. Ale wiedział, że to niemożliwe. Coraz więcej miejscowych przyglądało mu się uważnie i szeptało do siebie. Pogłoski rozniosą się lotem błyskawicy. Cain był obcy i jako taki od razu budził podejrzenia. A jeśli dodać do tego, że pojawił się w domu Gillian, to niejeden zacznie się zastanawiać, co się właściwie wydarzyło w nocy.

Z niewiadomego powodu Cain znów pomyślał o skrzydlatej istocie przeszukującej pustkowiec i wypatrującej go nawet wśród poczerniałych kości dymiącego jeszcze domu. Zastanawiał się, czy obecność, którą poczuł, gdy ogień zamknął się wokół niego, była rzeczywista, czy jedynie złudna.

Na tyłach domu zrobiło się poruszenie i Cain usłyszał ochryple krzyki kobiety. Poprosił Jamesa, by miał baczenie na Leę, i wspierając się na lasce, poszedł w stronę tego głosu, z sercem w gardle.

Za rogiem domu natknął się na niewielki tłumek, dwóch wysokich strażników prowadziło pod ramiona szarpiącą się kobietę. Cain stanął jak

wryty. Gillian. W porwanej i poszarpanej koszuli nocnej, brudna od sadzy, z włosami rozsypanymi na ramionach. Wyglądała, jakby postradała zmysły, i pewnie tak było w istocie.

– Złapaliśmy ją przy końcu ulicy, próbowała uciekać - wyjaśnił jeden ze strażników ludziom, którzy otoczyli ich kręgiem. - Wylazła oknem na tyłach, mówi, że to ona podpaliła dom...

– *Smaż się w Piekło* – zaskrzeczała Gillian, bryzgając śliną z popękanych warg. - Zrobiłam to! Tak! Zrobiłam! Żeby wypalić grzech, uwolnić nas od zła. Ślepi durnie! Wszyscy! Nadciąga koniec świata! Niebo poczernieje, a ziemia będzie rzygać plugastwem!

Próbowała się wyrwać strażnikom, wijąc się w ich uścisku, próbując drapać jak wściekły kot. Trzymali ją oburącz i mimo że byli dwakroć od niej więksi, kobiecie niemal udało się pociągnąć ich na ziemię.

– Trzymajcie ją, do cholery - odezwał się jakiś mężczyzna. Najwyraźniej to on tu rządził, zapewne był szlachcicem niższego rodu. Ubrany w nocną koszulę, znalazł się chyba dość daleko od domu. Twarz miał nalaną i wykrzywioną złością. Podszedł do Caina i puknął go palcem w pierś. - A ty kto?

– Jedyne prosty wędrowiec - odparł Deckard. - Znałem tę kobietę przed laty w mieście zwanym Tristram. W Kaldeum szukałem pod jej dachem noclegu.

– Żaden z ciebie wędrowiec - stwierdził tamten, obrzucając kosym spojrzeniem laskę i torbę. - Tristram? Czy to nie owo miejsce opuszczone kilka lat temu, kiedy to Leoryk postradał rozum? Słyszałem o tym mnóstwo opowieści, żadna nie miała wiele sensu. Żebracy i złodzieje, wszyscy jak jeden.

– To demon z samego dna Piekieł - zasyczała Gillian. - Nie dajcie się zwieść.

Szarpnęła się znowu z taką siłą, że niemal wyrwała się z uścisku strażników. Nagle znieruchomiała, zapatrzyła się w przestrzeń, jakby czegoś nasłuchiwała, a potem obnażyła zęby, niczym drapieżnik gotów zaatakować.

– Wszyscy jesteśmy skażeni. Zrodzeni z demonów. Nasze dusze szerniały od ich smrodu. Czuję je. Wróć, by nas zabrać.

Szlachcic zignorował słowa Gillian, ale reszta zaczęła przestępować nerwowo z nogi na nogę i szemrać z niezadowoleniem.

– Co z nią nie tak? - krzyknął ktoś.

Szlachcic uciszył go machnięciem ręki.

– Ta kobieta - wskazał na Gillian - sprawiała miastu jedynie kłopot. Tak jak i jej córka. Zaproszyła już raz ogień, w karczmie. Obie są dziwne, ludzie nie lubią przebywać w ich towarzystwie. Tym razem pożar udało się ugasić, ale następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia. Nie możemy pozostawić ich samych sobie.

– Doświadczyły potwornej tragedii w rodzinnym mieście - odparł Cain. - Wielu wtedy straciło życie. Jej duch i umysł nie zniosły tej próby. Proszę, okażcie jej litość.

– Mogła spalić całą okolicę - odezwała się kobieta, okrywając szalem kościste ramiona. Nie była już najmłodsza, policzki miała zapadnięte, oczy podkrążone, a głos drżący. - Jej córka to wiedźma. Każdy tak mówi.

Cain popatrzył po otaczających go twarzach. Krzyki Gillian i zamieszanie, jakie zrobiła, zwabiły jeszcze większy tłum i starzec zaczął się obawiać, że sprawy mogą przybrać bardziej gwałtowny obrót. Ludzie się bali, a obłąkane wróżby tylko pogarszały sytuację.

– Zapytajcie o jego sekrety - wysyczała Gillian przebiegle. Nadal uśmiechała się drapieżnie. - Zapytajcie, dlaczego najbliżsi go opuścili. Dlaczego wszyscy ZNIKNEŁI.

– Gillian - zaczął Cain, podchodząc bliżej - musisz skończyć z tymi głupotami...

Rzuciła się w jego stronę tak szybko, że strażnicy, którzy ją przytrzymywali, niemal stracili nad nią panowanie.

– Horadrim. To już nic nie znaczy. Przeklęty czarnoksiężnik! Ufałam ci, ale jesteś tylko naczyniem. Jak reszta. Ty wiesz, co po nas idzie, prawda? Ogień i krew, umarli wygrzebują się z ziemi, jak zrobili to w Tristram. Ziemia się otworzy i bluźnie Piekłem! Wiesz, że tak się stanie! Widziałeś to, jak ja!

Pomruk zmieszał się z wymuszonym śmiechem, z tłumy podniosły się przekleństwa na stan umysłu Gillian. *Kobieta nad sobą nie panuje* - powtarzali ludzie. *Czas zamknąć ją na dobre.* Głowa Gillian kołysała się z boku na bok, a ci, co stali najbliżej, cofali się, jakby nawet bliskość szalonej kobiety mogła ich zatruć.

– Słyszę, jak szepczą. Opowiadają mi straszne rzeczy, straszliwe rzeczy o Adrii i jej córce. Jest przeklęta!

Cain postąpił kolejny krok, na tyle blisko, by jej dotknąć. Kiedy położył dłoń na jej ramieniu, Gillian zamarła, a potem zadygotała. Skórę miała tak rozpaloną, że aż parzyła. Nagle jej oczy wypełniły się łzami i Gillian, którą Cain znał od tak dawna, znów powróciła.

– Ja... przepraszam - szepnęła. - Jestem zagubiona i zmieszana. Powiedzieli... mówili, że dziecko musi umrzeć. Musiałam to zrobić. Nie mogłam ich dłużej powstrzymywać. Pomóż mi, Deckardzie, błagam. Spraw, by przestały.

– Już cicho... - Ścisnął jej ramię. Po czym odwrócił się do szlachcica. - Co chcecie, żebym zrobił?

– Na północnym krańcu miasta jest dom dla obłąkanych - odparł tamten. - Będzie chyba odpowiedni w tym przypadku. Ta kobieta nie może chodzić



wolno. Ludzie się boją o życie, a te jej wrzaski o końcu świata tylko pogarszają sprawę. - Założył ręce na piersi i wydawało się, że gotów jest zaprowadzić oboje na szubienicę na pierwsze słowo sprzeciwu. Cain po raz kolejny popatrzył na ludzi wokół, spoglądali wrogo i podejrzliwie. Poczul, jak przepelnia go bolesny smutek, oto tracił jedną z niewielu osób, która pamiętała go jeszcze z dawnego życia. Jednak Gillian potrzebowała opieki, jakiej nie mógł jej zapewnić. Spotkanie z demonami zniszczyło jej umysł i duszę, może na zawsze. Widziała rzeczy, jakich nikt w tym tłumie nie zdołałby pojąć, stawiała czoła demonom i przeżyła, by o tym opowiedzieć. Na jej oczach ludzie byli rozrywani na strzępy, dzieci pożerane przez wygłodniałych nieumarłych, głowy nabijane na pale przez bestie, które kapały się we krwi mieszkańców Tristram. A jednak mieszkańcy Kaldeum nie potrafili dojrzeć siły Gillian, wewnętrznej szlachetności. Tylko Cain znał prawdę. Ta kobieta mogła śmiało równać się z bohaterami, o jakich miejscowym nawet się nie śniło. Ogromna tragedia, która niczym czarna chmura unosiła się nad Gillian, stała się w końcu przyczyną jej upadku.

Cain otarł łzę. Nic więcej nie mógł dla niej uczynić. Wciąż świadom był strachu i gniewu, jakim emanował tłum, przemoc wisiała w powietrzu. A on obiecał Adrii, że Lea będzie bezpieczna. Nie mógł złamać tej obietnicy.

Skinął szlachcicowi głowę.

- Zatrzymam dziewczynkę - zdecydował. - Znam krewnych, którzy ją przygarną.

- I natychmiast opuście miasto?

- Z pierwszym brzaskiem.

Szlachcic wyraźnie rozważał za i przeciw. Jeśli nawet wątpił w słowa Caina, to wiedział, że stwierdzenie tego głośno przysporzy mu jedynie kłopotów.

– Odejdźcie więc oboje - powiedział wreszcie. - Pożar ugaszony, a ci dobrzy ludzie powinni powrócić do łóżek. - Odwrócił się do tłumu. - Idźcie do domów.

– Nie! - Gillian znów zaczęła wrywać się i wierzgać, jej krzyk rozdarł noc. - Jak mogłeś, Deckardzie!

Strażnicy odciągnęli ją na bok, ale to tylko sprawiło, że tym mocniej zaczęła stawiać opór.

– Zobaczcie! - wrzeszczała. - Jesteście ślepi, ale wkrótce przejrzyście na oczy. W Kaldeum otworzy się Piekło! Będziecie żałować, że nie spaliłam miasta do gołej ziemi!

Kiedy dotarli do rogu, jeden ze strażników stęknął i zaklął, otrzymawszy celny cios. Gillian znów była wolna. Wrzawa się podniosła, gdy kobieta biegła do Caina, z rękoma nad głową, z palcami zakrzywionymi jak szpony. Twarz miała czarną od sadzy, oczy dzikie. Wyglądała jak prawdziwa wariatka i wszyscy usuwali jej się z drogi, jakby się bali, że ich pomorduje.

Ale gdy dopadła do starca, zdawało się, że czas się zatrzymał. Wtuliła się w pierś Caina, przytrzymała mocno i tchnęła w ucho gorącym oddechem.

– Idź do Kurast - szepnęła. - Czekają tam na ciebie, Deckardzie. Twoi bracia. Zabierz Leę i idź, proszę. I pamiętaj: Al Cut! Dowiedz się wszystkiego. To twoja jedyna szansa.

Zanim zdążył zareagować, straż była już przy Gillian. Zbrojni oderwali kobietę brutalnie od Caina, rzucili na ziemię twarzą w dół, wykręcili ramiona, aż zakwiliła z bólu.

– Stójcie - krzyknął Cain, ale zignorowali jego wołanie. Podnieśli Gillian i powlekli ulicą. Chciał iść za nimi, ale szlachcic złapał go za rękę, a tłum zamknął się przed nimi, znów pełen strachu i złości. Strażnicy skręcili za róg, rozległo się głośne łupnięcie i wrzaski Gillian umilkły. Cain przepełniony był bólem i rozpaczą. Kobietę czekał dom dla obłąkanych,

pełen najgorszych szaleńców i potępionych, takich, których zamyka się i krępuje, gdzie przykuci do ścian krzyczą aż do zachrypnięcia. Nafaszerowani dekoktami, bici. Cain słyszał, że w takich miejscach doktorzy nadal praktykują wiercenie dziur w głowach pacjentów, by obniżyć ciśnienie i uspokoić ducha tych, którzy nie mogli zaznać spokoju.

Serce mu pękało i stary człowiek po raz kolejny gotów był rzucić się śladem Gillian, ale wiedział, że nie może. Stawka była o wiele, wiele większa. Niezależnie od tego, co czuł, nie mógł pozwolić, by sytuacja Gillian przesłoniła mu cel.

Co mogły znaczyć jej ostatnie słowa? *Czekają na ciebie, Deckardzie. Twoi bracia. A reszta? Al Cut.* Czyżby Cain wypowiedział przy niej te słowa? A może Gillian wiedziała więcej, niż mu zdradziła?

Tłum postać jeszcze chwilę, czekając, czy coś się wydarzy, ale gdy Gillian odprowadzono, emocje szybko opadły i ludzie zaczęli się rozchodzić.

Dopiero teraz szlachcic uwolnił ramię Caina z uścisku.

– Jeśli wrócę tu jutro rano i znajdę jakiś ślad po tobie - zaczął - skończysz w więzieniu, a dzieciak zacznie żebrać po ulicach.

– Wasza łaskawość jest przytłaczająca - odpowiedział Cain.

– Bacz na słowa!

Cain zrobił krok do przodu, stali teraz na wyciągnięcie ręki. Szlachcic był szeroki w ramionach, ale przy tym krępy i niski. Deckard nad nim górował.

– Wierzę, że wam podziękowałem. Ale są jeszcze inni sędziowie charakteru, którzy mogą nie być równie wyrozumiali. Powinniście się zastanowić, panie, co was czeka w tym życiu albo następnym.

Szlachcic zamrugał, zbladł nieco. Wydawało się, że rzuci się zaraz na Caina z gołymi rękoma, lecz życie w luksusie sprawiło, że zmiękł. Tylko

potrząsnął pięścią przed nosem starca.

– Jutro - powtórzył i odszedł.

Lea. Cain przesunął dłonią po twarzy, próbując pozbyć się odrętwienia. Był wyczerpany, a umysł miał zaprzątnięty nowym problemem. Gillian najwyraźniej powierzyła małą opiece Deckarda. Tylko co, na wszelkie świętości, miałby począć z dzieckiem? Wrócił myślą do tego, co działo się w domu, gdy Lea z zaciśniętymi powiekami i pięściami emanowała energią, która wstrząsała ścianami. To nie była zwykła dziewczynka. A Cain nie miał pojęcia, jak sobie z nią poradzić.

Wrócił za róg, przed dom, gdzie garstka ludzi przyglądała się, jak nad zgliszczami unoszą się ostatnie pasma dymu. Z ciemnego wnętrza wyszło kilku mężczyzn z wiadrami, o twarzach czarnych od sadzy. Minęli go bez słowa i jednego spojrzenia. Chronili własne domy i rodziny, nic więcej ich nie interesowało.

Lea była przytomna. Stała skulona obok Jamesa, niesamowicie maleńka w porównaniu z tym gigantem. Kowal zdjął opończę i owinął jej chudziutkie ramiona. Cain poczuł nagłą falę wdzięczności i ciepłych uczuć dla człowieka, który uratował im życie. Bez względu na to, co jeszcze wydarzyło się tej nocy, James udowodnił, że na świecie wciąż jeszcze istnieje dobroć.

Wielkolud zauważył Caina.

– Dopiero co się ocknęła - oznajmił. - Na moje oko wszystko z nią w porządku. Kazałem jej tu poczekać, żeby uniknąć zamieszania. - Kciukiem wskazał miejsce, gdzie pojmano Gillian. Po jego spojrzeniu Cain poznał, że kowal słyszał, co tam się działo. Skinął głową. A potem podszedł do Lei. Dziewczynka milczała, zaciskając rączki na płaszczu. Twarz miała brudną od sadzy, rozmazanej chyba łzami, a jednak zachowała przy tym wdzięk niepozobawiony upor. Patrzyła na Deckarda bez słowa.

– Pójdiesz ze mną - zaczął sztywno. - Matka... nie będzie mogła się dłużej tobą opiekować z powodu choroby. Znajdziemy ci bezpieczne miejsce i zapewnimy fundusze, które pozwolą ci się utrzymać do czasu, aż zaczniesz sama zarabiać. - A potem dodał niezręcznie: - Przykro mi...

Jeśli Lea go usłyszała i zrozumiała, to nie dała tego po sobie poznać. Jej szeroko otwarte oczy pozostały nieruchome, nawet nie mrugnęła. Cain miał wrażenie, że powracają doń duchy przeszłości, a wśród nich dziecko, które stało przed nim dokładnie tak, jak ta mała teraz.

– Możecie zatrzymać się u nas - odezwał się James i wrażenie prysło. - Rano sprawy będą się wydawać prostsze.

Cain uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech, wypuścił go więc z cichym świstem.

– Lepiej, jak od razu opuścimy Kaldeum - odpowiedział.

James zmarszczył brwi.

– Jest ciemno, a mała ma tylko to, co na grzbiecie. Dom pełen jest sadzy...

– Dziękuję - przerwał mu Cain. - Kupię jej to, czego będzie potrzebować. Zrobiłeś dla nas więcej, niż moglibyśmy prosić. Ale kazano nam przed świtem opuścić to miejsce pod karą więzienia. Nadto mam jeszcze pilne sprawy w innym mieście i to nie może czekać.

Wielkolud wyglądał, jakby miał zaprotestować, ale niespodziewanie wzruszył ramionami.

– Skoro nalegacie - skwitował. Spojrzał na Leę, a kiedy dziewczynka chciała mu oddać pelerynę, machnął wielką ręką. - Zatrzymaj ją, póki nie znajdziesz czegoś, co będzie na ciebie lepiej pasować. To płaszcz przynoszący szczęście, wiesz? Kiedyś ocalił mi życie, może to samo zrobi dla ciebie.

Lea z powrotem naciągnęła pelerynę na ramiona. Sięgała jej prawie do ziemi. Cain uściskał dłoń kowala i zwrócił się do dziewczynki:

– Pora ruszać. Nie ma sensu zwlekać.

Lea poszła za nim bez słowa. Jeśli zostawianie za sobą domu dzieciństwa obudziło w niej jakieś emocje, skrzętnie je skrywała. Kiedy skierowali się do bram miasta, Cain obejrzał się jeszcze. James stał dokładnie w tym samym miejscu, w którym się pożegnali. Starzec pomachał, ale kowal się nie poruszył.

+

Za bramami wiatr sypał piaskiem na drogę. Namioty handlarzy teraz puste łopotały na wietrze, jak skrzydła wielkich szarych ptaków z nagła obudzonych do lotu. Cain szedł przodem, Lea kilka kroków za nim. Zwiesiła głowę, wpatrując się w pył pod stopami, i powłóczyła nogami jak więzień skazany na katorgę. Ale nie wydała najlżejszego nawet dźwięku.

Kilkoro strażników obrzuciło uważnymi spojrzeniami dziwną parę, ale nie próbowali ich zatrzymać. Mieli za zadanie nie wpuszczać niewłaściwych ludzi do Kaldeum, a nie bronić im wyjścia z miasta.

Słońce powoli rozjaśniało niebo, nad odległymi górami pojawiły się pierwsze różowości świtu. Cain z Leą minęli grupkę umęczonych podróżnych z wózkiem wyładowanym kolorowymi tkaninami. Na ich szczycie siedział chłopiec i przyglądał im się ponuro, kiedy wózek podskakiwał na kamieniach.

Wkrótce dotarli na rozstaje. Cain zatrzymał się i wsparł mocno na kosturze. W prawo droga wiodła ku morzu, więcej tu było podróżnych, no i sam trakt był mocno wydeptany. W lewo szło się do Kurast. Tu z rzadka

można było kogokolwiek spotkać, a szlak powoli zaczynały zarastać chwasty.

Kurast. Miasto morderców i gwałcicieli. Co to za miejsce dla dziecka? A jednak tam właśnie musieli się udać, bo tam prowadziła droga do ocalenia. Jeśli Cain się nie mylił, to tam właśnie znajdzie odpowiedzi na swoje pytania. Tam znajdzie rozwiązanie zagadki tajemniczej grupy magów nazywających się horadrimami. Cain nie śmiał wierzyć, że oni w ogóle istnieją. Ale jeśli tak, to mogliby pomóc dziewczynce. Mogli też posiadać klucz do ocalenia Sanktuarium od wiecznego mroku.

I kiedy tak stali na rozdrożu, zdało mu się, że niebo pociemniało, a nad ziemią powiało chłodem. Cain poczuł tę samą potworną obecność, która niczym czarna chmura przesłoniła gwiazdy. Pomyślał o zaklęciu ochronnym, które Adria rzuciła na miejsce pobytu swojej córki, zaklęciu, które pozostało nienaruszone do chwili, gdy Cain pojawił się w progu domu Gillian. Ale ogień naruszył czar i teraz cokolwiek ich szukało, zyskało szczelinę, przez którą mogło zajrzeć.

Nagle z pamięci wypłynął głos demona z ruin Vizjerei: *Nasz pan nadchodzi...*

Chłód przeniknął ciało Caina, zagnieździł się w kościach, zamieniając bolące kolana w bryły lodu, wstrząsając dreszczem wszystkie kończyny. Deckard odłożył laskę na ziemię i zaczął przeszukiwać torbę. Dziewczynka stała tuż za nim, ale zapomniał o niej przejęty lękiem. Starał się zapanować nad palcami, które nagle zmartwiały. Wreszcie wydobył zwój. Ścisnął go w dłoniach, czując, jak serce mu galopuje, a tętno dudni w uszach. Podarunek od Adrii na taką właśnie okoliczność.

*Nie potrwa długo, zanim cię znajdą, a gdy znajdą, to twoje zadanie będzie skończone, zanim się tak naprawdę rozpocznie...*

Z każdym słowem jego głos stawał się silniejszy. Słowa mocy, zaklęcie ochronne, które Deckard otrzymał od Adrii przed laty, spowijały Caina i Leę niewidzialną zasłoną, chroniły przed wzrokiem tego, który chciał ich odnaleźć. Przynajmniej na jakiś czas.

Przez tyle lat Cain zaprzeczał istnieniu mocy horadrimów, wyparł się prawdy o swoim pochodzeniu, buntował przeciwko naukom matki i nie chciał spojrzeć w to, co wydawało się obłędem. Deckard żył w zaprzeczeniu, pokładając wiarę w mądrościach zwykłych ludzi. Ale świat magii, demonów i aniołów zawsze był tuż obok. Tylko czekał na odkrycie. Walka dobra ze złem nie ustawała od wieków, wieczna wojna o Sanktuarium i dusze wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy żyli tu w błogosławionej nieświadomości. Moc zła zawsze była obecna, zawsze tuż obok, jak gorący oddech bestii na karku. Cain zakosztował jej przed laty i przez resztę życia starał się pozbyć potwornego wspomnienia, przynajmniej póki inwazja na Tristram i pojawienie się Diabła nie zmusiły go do zaakceptowania prawdy.

Ale ciemność nie mogła istnieć bez światłości. Ludzkość pełna była sprzeczności - stanowiła mieszankę dwóch składników - ale posiadała moc powstrzymywania mroku. Cain wiedział o tym doskonale. Wielokrotnie doświadczył działania tej mocy.

Z każdym wymówionym słowem powietrze wokół niego i dziewczynki stawało się cieplejsze, a niebo nad ich głowami jaśniejsze. Aż wreszcie zaklęcie zostało wypowiedziane i Cain schował księgę z powrotem do torby. Podniósł laskę. Był starym człowiekiem, ale przez te wszystkie lata nauczył się dość, by zapewnić sobie i małej bezpieczeństwo. Przynajmniej na razie. Mógł się tylko modlić, by udało im się odnaleźć innych, którzy potrafią o wiele więcej. Bitwa, która rozpoczęła się w ruinach Vizjerei, już



się rozszalała i nikt nie mógł przewidzieć, jaki koszmar jeszcze ich czeka i jak daleko będą musieli dojść, zanim to wszystko się skończy.

– Chodź, Leo - powiedział Cain. - Przed nami długa droga, a musimy dotrzeć jak się da najdalej, zanim zapadnie ciemność.

Dwójka wędrowców ruszyła w stronę umarłego miasta i tego, co tam na nich czekało.



CZEŚĆ DRUGA  
Nadchodzi mrok





## DZIEWIĘĆ



### *Jaskinia wśród wzgórz*

Obserwował dwie postacie kroczące w pyle drogi. Wysoką i szczupłą i drugą mniejszą, o dziesięć kroków w tyle. Nie wydawali się w najlepszych stosunkach, choć niewątpliwie podróżowali razem. Z daleka nie sposób było zobaczyć twarzy, ale on wiedział, że wysoki wędrowiec to stary mężczyzna, a jego niższy towarzysz to mała dziewczuszka.

Dreszcz podniecenia przebiegł ciało młodego mnicha. Znalazł ich. Zajęło mu to miesiące zmagania z fałszywymi śladami i wskazówkami, nawet teraz na szerokiej równinie ich postacie były niewyraźne, rozmyte, jakby oglądał je przez ścianę wody. I bynajmniej wcale nie z powodu rozgrzanego w słońcu powietrza. To magia ich otaczała i tylko niesamowita koncentracja Mikułowa i znaki od bogów pozwoliły mu w końcu ich zobaczyć.

Przykucnął za wielkim głazem i otarł kropelkę potu znad oka. Oddychał równomiernie, serce biło miarowo, jednak Mikułow nie był zadowolony ze swej kondycji. Mimo że czekał na ten moment, jego reakcja była niepokojąca - dreszcze ekscytacji i pot, widomy znak, że ciało nie znajdowało się w doskonałej harmonii z umysłem. Mistrzowie byliby

rozczarowani. Mnisi z Iwogrodu słynęli w świecie z samokontroli, którą zdobywali po latach nauki. W chwilach nadmiernego napięcia umysł mnicha opuszczał ciało i przechodził na wyższy poziom istnienia, stapiając się w jedność ze wszystkim, jak chcieli Patriarchowie.

Mikułow cicho opuścił swą kryjówkę i wrócił między wzgórza. Poruszał się niczym duch wśród skalnych posągów zeszlęcych drzew, nawet maleńka jaszczurka, która wygrzewała się w palącym słońcu, nie drgnęła, gdy przechodził. Zamierzał czekać, póki mężczyzna i dziewczynka nie oddalą się od miasta, wtedy się ujawni. Bogowie wskażą mu czas i miejsce. Patriarchowie nauczyli Mikułowa, że jest bronią, żyjącym i oddychającym narzędziem w rękach bogów. Narzędziem zniszczenia zła tego świata. Musiał tylko zaakceptować swoje przeznaczenie i być mu posłusznym.

+

Mikułow przekroczył bramy Klasztoru ponad Chmurami jako młody chłopiec, tak samo jak setki przed nim. Łatwo został wybrany spośród grupy rówieśników z uwagi na swe naturalne zdolności, szybkość, zwinność i bystrość umysłu. Przez następne piętnaście lat jego mistrzowie uczyli go ścieżki bogów, taktyki i drogi ku zbawieniu. Bogowie byli wszędzie, jak mówili mistrzowie. Nauczyli Mikułowa, jak medytować godzinami, by mógł odnaleźć w sobie środek istnienia, gdzie znikła świadomość samego siebie, a umysł jednoczył się z wszechświatem i mógł służyć Patriarchom.

Ale Mikułow zawsze był niespokojny. Nie nadawał się do wielogodzinnych medytacji, a cierpliwość nie leżała w jego naturze, mimo że dla nauczycieli cierpliwość była wszystkim. Zmagał się z tym z całych

sił, dopóki pewnego dnia nauki zawiodły go do starożytnej księgi przepowiedni i wszystko się zmieniło.

Dzięki księdze Mikułow dowiedział się o bractwie magów zwanych horadrimami, którzy przed dziesiątkami lat walczyli ze złem i pokonali je na długo. Przepowiednie iwogrodzkie zwiastowały udział horadrimów w nadchodzącej bitwie, bitwie bardziej krwawej niż jakakolwiek dotąd, która ponoć z woli bogów pochłonie świat. Wkrótce Mikułow zaczął śnić o starciu bogów. Najpierw sny były niejasne, niosły ze sobą niepokój i co rano budził się z uczuciem straty i lęku, którego nie potrafił przezwyciężyć. Ale z każdym mijającym miesiącem sny stawały się coraz straszniejsze i coraz bardziej wyraźne: widział umarłych kroczących przez krainy żywych, a dowodził nimi człowiek o zasłoniętej twarzy.

Mroczny. Zzerająca go nienawiść płonęła niczym słońce, a jego czyny miały pograżyć Sanktuarium w zapomnieniu. Ale pod powierzchnią było coś jeszcze, coś o wiele starszego i bardziej śmiertelnego, coś, co kierowało Mrocznym i popychało go do działania. Jeśli Mroczny nie zostanie powstrzymany, starożytny byt powstanie i pochłonie wszystko na swej drodze.

Mikułow kontynuował studia przygnieciony narastającą potrzebą pośpiechu. Był przekonany, że wojna nadejdzie szybciej, niż się spodziewano. Znaki były wszędzie, przepowiednie mówiły o wydarzeniu, które będzie miało miejsce pierwszego dnia ratham, miesiąca umarłych, kiedy gwiazdy ustawią się w symbol straszliwej mocy i destrukcji.

Utracone miasto powstanie, a wraz z nim Piekło zstąpi na ziemię. Bogowie to przewidzieli.

W końcu i mistrzowie Mikułowa zaczęli dostrzegać i odczytywać znaki. Delikatna równowaga świata została zakłócona. Sanktuarium nawiedziła niewidzialna plaga, zło sączyło się do świata, sługi zepsucia poczynaly

sobie coraz śmielej, ciemność się rozprzestrzeniała. Ale mimo próśb Mikułowa odpowiedź Patriarchów była jednoznaczna: to nie był właściwy moment, by stawać do walki, a młody mnich nie był na to gotów.

Mnisi z Iwogrodu nie sprzeciwiają się woli mistrzów i Mikułow spędził wiele nocy, próbując odkryć, jaką ścieżką powinien podążać. Szukał znaków od bogów. Sny przybierały na intensywności, ale Patriarchowie nadal nie chcieli działać. Wreszcie wbrew samemu sobie i ze straszliwym poczuciem straty Mikułow zdecydował się opuścić mury klasztoru i odnaleźć horadrimów, a potem zaoferować im pomoc.

Ta decyzja całkowicie odmieniła jego życie i miał świadomość, że mogła doprowadzić do jego śmierci. Klasztor był jedynym domem, jaki znał. Mistrzowie nigdy nie pozwolą mu powrócić. Patriarchowie mogliby nawet zlecić jego egzekucję. Ale Mikułowa prześladowały obrazy pojawiające się, gdy tylko nocą zamykał oczy, i wiedział, że musi działać albo jego życie przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. Tak czy inaczej, przestanie istnieć.

To była jego droga i musiał nią podążać. Bogowie nie spoczną, póki tego nie uczyni.

Wyruszył z ciężkim sercem. Odnalezienie jakichkolwiek śladów horadrimów okazało się trudniejsze, niż przypuszczał. Zakon dawno już zniknął z ziem Sanktuarium, a ostatni z członków bractwa najwyraźniej zmarł przed wieloma laty. Ale wreszcie Mikułow odkrył, że fala demonów, która pochłonęła Kurast i Górę Arreat kilka lat temu, rozpoczęła się w Tristram, w dawnej siedzibie zakonu horadrimów. A wkrótce potem odnalazł Deckarda Caina.

To był jedyny trop prowadzący do horadrimów i Mikułow nie zamierzał przepuścić tej okazji. Miesiącami podążał śladem starego. Nieraz był na tyle blisko, że mógł go zobaczyć, ale nie był to właściwy czas na spotkanie.



Mnich słuchał, co bogowie mówili poprzez wiatr, deszcz, nurt rzek i dzikie stworzenia. Spotka się z Cainem, kiedy oni tak zdecydują.

Być może już wkrótce wśród wzgórz otaczających Kaldeum Mikułow dostanie swoją szansę.

+

Zło było tutaj.

Mikułow je wyczuwał, kryło się niewidoczne dla oka.

Wiatr szepnął, a promienie słońca zapulsowały żarem. Jaszczurka uciekła do kryjówki.

Tchnieniem wiatru bogowie nakazali mnichowi spojrzeć w górę. Wysoko nad głową niesione gorącym podmuchem z pustyni krążyły czarne ptaki.

Wrażenie niebezpieczeństwa było tak silne, że go poraziło. Ziemia przed nim oferowała azyl. Wsunął się między dwa wielkie głazy, w cień szczeliny, znajdując schronienie przed natrętnym wzrokiem. Powietrze tu było jeszcze gorętsze, rozpadlina ciągnęła się w głąb wzgórz dalej, niż się spodziewał. Szedł wolno, podczas gdy oczy przyzwyczajały się do półmroku. W wąskiej jaskini poczucie zagrożenia, zamiast zamilknąć, jeszcze przybrało na sile. Z każdym krokiem czuł, jak jego świadomość się rozszerza, wyczulone zmysły spowiła mgła niczym we śnie.

Przed sobą zobaczył stopnie wyciosane w skale, prowadzące w ciemność. Począł schodzić z rękoma wyciągniętymi przed siebie. Pajęczyny grube jak liny omiatały mu twarz. W dole błyskało światło na tyle jasne, by widział otoczenie. Im głębiej schodził, tym bardziej oddalały się ściany, miał wrażenie, że wchodzi do przeogromnej jaskini głęboko pod wzgórzami. Tutaj mogły się kryć zarówno cuda, jak i straszliwe

niebezpieczeństwo. Pomyślał o pająkach snujących sieci wśród stosów zgniłych ciał i spoglądających z cieni tysiącem lśniących oczu, z obnażonymi kłami spragnionymi świeżej krwi.

Schody zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Mikułow nie był już pewien, jak długo idzie. Zatrzymał się, zastanawiając, gdzie podziały się ściany i sklepienie jaskini. Miał wrażenie, że gdzieś nad nim rozpościera się niebo usiane gwiazdami - ale nie to, które dobrze znał - niebo innego czasu i wymiaru. Tam bogowie przemówią poprzez gwiazdy i wskażą drogę do zbawienia. Gdzieś tam, w dole, znajdzie odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania, choć wiedział zarazem, że odpowiedzi te mogą zniszczyć Sanktuarium.

W dole zobaczył krąg starych, zapadających się budynków, ziemię usianą odłamkami kamieni, pogrążoną w ciszy i bezruchu. Zobaczył zniszczone uliczki biegnące we wszystkich kierunkach na podobieństwo szprych w kole. I poczuł, że tam w zapomnianych komnatach spoczywają gnijące ciała, a ich puste oczodoły patrzą martwo przed siebie w nieskończony czas.

Zaginione miasto.

Mikułow cicho prześlizgnął się pod kamiennym łukiem nadgryzionym zębem czasu. Miasto rozciągało się przed nim, upadłe przed wiekami, zamarte na wieczność. Po lewej widział świątynię, szeroko otwarte drzwi ziały pustką. Za budowlą ciągnął się szeroki bulwar, przecięty szczeliną niczym rozwartą bezzębną paszczą plującą ogniem z samych chyba Gorejących Piekieł.

Coś się poruszyło w cieniach świątyni.

Mikułow spojrział w otwarte drzwi. Początkowo nic się nie działo. Nagle dziwnym szarpiącym krokiem, jak dziecko, które dopiero co stanęło na nogi, ze świątyni wynurzyła się istota. Człowiek, a przynajmniej kiedyś był

to człowiek. Z jego ramion zwisały resztki odzienia na podobieństwo makabrycznych wstążek. Lśniące bielą kawałki kości połyskiwały wśród zbrązowiałych resztek ciała. Twarz była w zasadzie nagą czaszką z wyszczerzonymi zębami oraz nędznymi resztkami skóry i powiewającymi gdzieśgdzie kępkami włosów. Istota ruszyła do przodu, potem odwróciła się w tył i w przód, jakby szukając czegoś na oślep. Znieruchomiała, gdy puste oczodoły natrafiły na Mikułowa. A kiedy tak stała, następna jej podobna wychynęła zza drzwi, a potem następna i następna. Mikułowa odwrócił się, ale trupy otaczały go ze wszystkich stron, wyciągały ręce, próbując go dosięgnąć. Odwrócił się ponownie, ale za plecami było ich jeszcze więcej. Odcięły mu drogę do schodów i bezpieczeństwa, a kiedy tak stał zmartwiał, usłyszał tysiące szkieletowych stóp maszerujących ulicami tuż za zasięgiem wzroku.

Mikułowa skoczył między najbliższych nieumarłych, czując, jak ich kościste palce muskają jego ramiona, gdy prześlizgiwał się obok. Biegł. Kiedy zbliżył się do bulwaru, usłyszał krzyki i zobaczył grupę ludzi otoczonych przez potworne demoniczne istoty, biegające na czworaka jak psy, o wyschniętych bladych ciałach i lśniących nagich czaszkach. Ludzie zostali zapędzeni w ślepy zaułek, za plecami mieli ścianę budynku. Było ich sześćcioro. Jeden o białych długich włosach, wyższy i chudszy od pozostałych.

Deckard Cain.

Mikułowa patrzył bezradnie, jak upiorne istoty zacieśniają krąg. Coraz więcej ich przybywało, zbyt wiele, by zliczyć. Za nimi zaś stała postać w czarnej oponczy. Twarz miał przysłoniętą kapturem. Mroczny.

Potwory zaatakowały. Cienki, wysoki krzyk zagłuszył tupot maszerujących stóp. Krzyk śmiertelnie przerażonej dziewczynki.

Mikułow ruszył biegiem, ziemia pod jego stopami dygotała. Nagle szczelina otworzyła się szerzej tuż pod jego nogami, zmuszając go, by się zatrzymał. Coś gigantycznego poczęło się z niej wygrzebywać, potworne opancerzone pazury pojawiły się na krawędziach, za nimi wychynęła trójroga głowa o oczach płonących jak żółte jeziora ognia. Stwór wyprostował się, górując nad nim, nieopisanie wielki, gigantyczny, otworzyły się kolejne lśniące kule oczu, płonących jak same Gorejące Piekła. Monstrualna szczęka opadła, ukazując potworne lśniące zęby w ogromnej paszczy.

Nie było sensu walczyć z takim potworem. Mikułow odwrócił wzrok. Głęboki, dudniący śmiech powalił go na kolana i tak skulony mnich czekał na cios.

+

Dotyk twardego kamienia przywrócił go nagle do rzeczywistości i Mikułow zrozumiał, że patrzy na gładką ścianę.

Przez chwilę jeszcze klęczał nieruchomy - gorąco panujące w wąskiej szczelinie, w której się schował, było niemal nie do zniesienia i utrudniało oddychanie.

Wreszcie mnich dźwignął się na nogi. Rozejrzał. Szczelina kończyła się gwałtownie po około trzech metrach. Nie było żadnych schodów. Żadnej jaskini. Nic, co przed chwilą zobaczył, nie było prawdziwe.

Zamknął oczy, szukając spokoju. Obrazy pod powiekami zbladły, a on znów poczuł obecność bogów. Szelest piasku pieszczącego skałę, wołanie małego zwierzątka w oddali, ciepło na skórze. Pozwolił, by serce zaczęło mu bić normalnym rytmem.

Ta wizja była silniejsza niż wszystko, czego dotąd doświadczył. Zastanawiał się, jakie miała znaczenie. Bogowie pokazali mu ją nie bez przyczyny, nie wiedział tylko, czy to, co zobaczył, było zapowiedzią przyszłych zdarzeń, czy też skrywało inne znaczenie, które powinien zrozumieć. Oczywiście takie przekłete miejsce nie istniało, a straszliwa istota z wizji nie mogła być stworzeniem z krwi i kości. Potworny śmiech, zło płonące w żółtych oczach - nawet teraz Mikułow nie mógł wyrzucić tego z pamięci.

Wreszcie otworzył oczy. Wciąż znajdował się w niewielkiej, wąskiej jaskini. Ściany nadal były skończenie twarde i rzeczywiste. Mikułow wyszedł z powrotem w palące słońce i spojrzał w bezchmurne niebo. Ptaki zniknęły. Poczucie bliskiego niebezpieczeństwa rozwiało się wraz z nimi. Ale bardziej niż dotąd czuł, że czas ucieka.

Zaswędziało go na plecach, gdzie od karku do połowy łopatek rozciągał się tatuaż stanowiący znamię każdego mnicha z Iwogrodu. Kiedy Mikułow umrze, ten tatuaż opowie bogom historię jego życia. Modlił się, aby była to historia zwycięstwa nad plagą zagrażającą Sanktuarium i żeby żył na tyle długo, by doczekać dokończenia rysunku na plecach.

Ale będzie potrzebował wsparcia w boju od tych, którzy już raz stoczyli taką walkę. Jeśli po ziemi chodzili jeszcze horadrimowie, Deckard Cain będzie wiedział, jak ich odnaleźć. A mała dziewczynka odegra we wszystkim ważną rolę. Tak zostało przepowiedziane, choć przepowiednie wspominały jedynie o dziwnej mocy dziecka, nie powiedziały jednak, jak należy nią władać.

Tylko jedno było jasne: czasu zostało niewiele. Zbliżał się ratham, a Mroczny szykował się do natarcia.

Mikułow ruszył na drogę do Kurast - ku swojemu przeznaczeniu.



## DZIESIĘĆ



### *Za murami Kaldeum*

Droga była pusta, popękane koleiny obrosły niemalże bezbarwną trawą, przypominającą sierść na grzbiecie bezpańskiego psa. Kiedyś stanowiła główny trakt, ale teraz zapomniana popadła w ruinę. Droga prowadziła przez piaszczyste i wietrzne równiny, które otaczały Kaldeum, obok ogromnych skalnych płyt, podobnych śpiącym olbrzymom albo szkieletowi gigantycznej istoty wybielonemu przez słońce i czas.

Lea zatrzymała się na szczycie łagodnego stoku i spojrzała na miasto. Słońce wzeszło już wyżej, światło skrzyło się w wodospadach, błyskało na miedzianych dachach świątyń, przywodziło na myśl garść klejnotów rzuconych w piach pustyni. Podobnie słońce odbijało się w łzach, które zawisły na rzęsach dziewczynki.

*Mój dom.*

Wymówiła te słowa bezdźwięcznie, żeby głębiej poczuć ich znaczenie, ale tak naprawdę dla niej miały go niewiele. Poczucie beznadziei okryło ją niczym całun. Prawda była taka, że choć mapę ulic i kanałów Lea znała na pamięć, nigdzie nie czuła się w domu, może jedynie w tunelach pod

miastem. Była wyrzutkiem i mimo że całe życie spędziła w Kaldeum, nie znalazła tam przyjaciół. I może miasto z wierzchu wyglądało pięknie, ale Lea знаła jego ciemne i brudne podbrzusze, okrucieństwo ludzi, brud gromadzący się po kątach, gdzie pęczniał, nabrzmiewał i rósł, gotów przeobrazić się w wielką nienasyconą bestię, która połknie wszystko.

Przynajmniej tak mawiała Gillian. Na myśl o matce Leę zalała potężna fala sprzecznych emocji. Straszliwe poczucie osamotnienia niemal zaparło jej dech, ale czuła też przerażenie ściskające boleśnie wnętrze. Matka nie był zdrowa, tyle Lea rozumiała. Pamiętała swój strach, kiedy dwie noce temu Gillian, mamrocząc bez ładu i składu o demonach kąpiących się we krwi, wyciągnęła Leę z łóżka i powlokła ku drzwiom. Tylko przybycie starego człowieka zapobiegło jakimś okropnym wydarzeniom. Albo ostatnia noc - dym, płomienie, chaos i niejasne wrażenie, że to właśnie matka była za to wszystko odpowiedzialna.

Lea miała też i inne wspomnienia, które niewątpliwie potwierdzały, że Gillian pogrążyła się w szaleństwie. Ale Gillian była zarazem jedyną rodziną, jaką dziewczynka miała. Jedyną osobą, która troszczyła się o Leę. I przecież były też dobre chwile. Wystarczająco wiele, by miało to znaczenie.

To jej matka.

A to, zrozumiała dziewczynka, to wystarczyło. Świadomość, że matki teraz zabrakło, bolała jak głęboka rana. Lea czuła się rozbita, a do tego samotna i zagubiona.

Co się z nią teraz stanie? Co stanie się z Gillian? Gdzie ją zabrano?

Panika zaczęła dławić Leę w gardle i dziewczynka bez skutku próbowała przełknąć ślinę. Gdzie była jej matka? Chciała zapytać starca - wuja Deckarda, jak miała się do niego zwracać, choć nie dowiedziała się, jak niby byli spokrewnieni - jednak zamknęła usta, zanim wymknęło się z nich choćby jedno słowo. Wuj szedł wolno, wspierając się na swoim kosturze,



coraz mniejszy, w miarę jak dystans między nimi się zwiększał. Obserwowała go w milczeniu. Był jakiś dziwny, sztywny i zasadniczy, i onieśmielający, jak wymagający nauczyciel. Jednak Lea zdawała się go denerwować. Nie bardzo wiedziała dlaczego, ale zachowywał się, jakby w każdej chwili mogła zrobić coś niespodziewanego. Wybuchnąć pieśnią. Stanąć na głowie. Ruszyć biegiem w koło, wrzeszcząc ile sił w płucach. Gillian najwyraźniej mu ufała, ale co, jeśli wuj Deckard zamierzał sprzedać Leę w niewolę, albo i co gorszego?

Wiedziała wystarczająco dużo na temat czarów, żeby rozpoznać zaklęcie, gdy je już usłyszała. Nie wiedziała jednak, co to był za czar, bo przecież nic się nie stało. Jeśli starzec był czarownikiem, to chyba nie bardzo potężnym.

A jeśli praktykuje czarną magię? Jeśli ona ma być ofiarą dla tych demonów, które według słów matki zawsze zamierzały ją porwać?

Ta myśl przyprawiła ją o zimne dreszcze. Nie chciała wcale się nad tym zastanawiać, ale słowa Gillian wracały uporczywym echem.

*One cię pragną, Leo, a kiedy cię znajdą, nigdy już nie wrócisz. Nigdy.*

Miała wrażenie, jakby świat wokół niej zniknął i nagle została sama wśród piachu. Przypomniała sobie naraz starego żebraka i chłopców, którzy próbowali go dręczyć, zanim zwrócili się przeciwko niej. Jestem jak ten żebrak, pomyślała, nikogo nie obchodzę i nie mam dokąd pójść. Wytarła łzy, które spłynęły po brudnych policzkach, rozmazując sadzę. Z trudem zdusiła w sobie chęć, by rzucić się za starcem i paść mu do nóg, nawet jeśli przerażał ją jak wszystko inne na tej strasznej i opustoszałej drodze. Łopot wyrwał Leę z transu. Ogromny kruk krążył nad jej głową. Skrzydła miał tak rozłożyste jak rozpostarte ramiona człowieka. Wzdrygnęła się, bo przypomniał jej się tamten kruk z ulicy i to, jak ostrym dziobem rozdzierał martwe ciało szczura, jak przechylał głowę, łypiąc paciorkiem oka, jak pasek mięsa zwisał mu z dzioba. Nagle przypomniała sobie wrażenie, że

coś ją obserwuje, coś o wiele potężniejszego i niebezpieczniejszego niż kruk.

Nadciąga coś strasznego...

Zdało jej się, że niebo nagle pociemniało. Zacisnęła rączki na opończy Jamesa i pobiegła kamienistą drogą za starcem, póki nie znalazła się na tyle blisko, by poczuć się lepiej. Teraz on był jedynym człowiekiem, który mógł ją ochronić. Nie wiedziała tylko, czy obchodziła go na tyle, by miało to znaczenie.

+

Obozowali na gołej ziemi i pod gołym niebem. Lea trzęsła się z zimna przykryta jedynie peleryną. O świcie znów byli w drodze. Na śniadanie musiało wystarczyć jej tylko parę kęsów chleba i łyk wody z małej manierki. Kilka godzin później żar lał się z nieba, a starzec szedł miarowym krokiem, przyspieszając lekko, gdy schodził ze stoku, i zwalniając, gdy wchodził pod górę. Od rozstajów nie spotkali na drodze ani jednej osoby. Nie zamienili zbyt wielu słów. Ta cisza stała się niemal namacalna, jakby szedł z nimi ktoś trzeci. Lei zaschło w gardle, w brzuchu burczało, głód coraz dotkliwiej kąsał wnętrzności. Nie miała w ustach niczego poza odrobiną chleba i wody, a jej opiekun wydawał się nieświadomy, że istnieje coś takiego jak jedzenie.

Po jakimś czasie dotarli do rzeki o stromych brzegach porośniętych trzcina. Dalsza droga prowadziła przez drewniany mostek, który wyglądał dość niepewnie. Woda przepływała pod nim czarna i cicha. Za mostkiem droga pięła się w górę usianego kamieniami wzgórza i dalej w stronę widocznych w oddali gór.

– Tu rozbijemy obóz - odezwał się starzec. Odwrócił się i spojrzał na Leę, wsparty na kosturze. Zobaczyła zmęczenie w jego twarzy, głębokie linie wokół ust i nad brwiami. Już nie wydawał jej się straszny, wysoka, wychudzona sylwetka była bardziej krucha niż okazała.

Kim był i dokąd ją prowadził? Dziewczynka chciała go zapytać, ale strach zamykał jej usta. Zeszli z drogi, podążając przez chwilę brzegiem. Wyschnięta trawa syczała cicho, ocierając się o brzeg opończy Jamesa. Zatrzymali się pod kępą drzew. Pnie nie były zbyt grube, a gałęzie cienkie i prawie nagie, ale grunt w tym miejscu był suchy, a drzewa zasłaniały ich trochę przed zbyt ciekawskimi spojrzeniami.

Na nieosłoniętej drodze upał stał się nie do zniesienia, ale w cieniu było odrobinę chłodniej. Starzec położył torbę obok płaskiego kamienia. Lea zbliżyła się do niego powoli, uchylając się przed niskimi gałęziami. Pozwoliła sobie na chwilę odprężenia, czekając, aż oczy przyzwyczają jej się do cienia. Z ciężkim westchnieniem starzec usiadł na kamieniu, założył nogę na nogę i ostrożnie potarł stopę. Lea dostrzegła opatrunek pod znoszonym sandałem, widniały na nim ślady krwi.

– Zauważyłem, że na brzegu rosną trzciny - powiedział. - Wysokie, z szarymi pióropuszcami na czubku. Ich kłocza nadają się na balsam leczniczy. Przyniosłabyś mi kilka?

Lea opuściła cień i pobiegła do miejsca, w którym widziała kępę trzcין. Zsunęła się po stromym brzegu, starając się unikać błota, a potem zaczerpnęła wody w złożone dłonie i piła, długo i łapczywie. Woda miała ziemisty i metaliczny posmak, ale Lei smakowała wybornie. Piła tak długo, aż poczuła bulgoczący ciężar w brzuchu. Dopiero wtedy wyrwała kilka trzcין. Nie było to trudne. Kiedy wspinała się z powrotem, z jej dłoni zwisały podobne tłustym robakom białe korzenie. Cain położył je na kamieniu i drugim rozgniół na papkę, potem ostrożnie zdjął sandał i

opatrunek i nałożył biały balsam na stopę otartą do żywego mięsa. Posykiwał przy tym cicho, jakby nakładanie lekarstwa bolało. Dopiero po dłuższej chwili westchnął głęboko i zamknął oczy.

– Wydaje mi się, że jakiś składnik tego korzenia uśmierza ból, a balsam chroni i osusza rany, żeby mogły dobrze się goić. Pepin leczył w ten sposób niejedną ranę w Tristram, po tym jak... - Zerknął na Leę. - Przypuszczam, że jesteś głodna. Chyba mam jeszcze trochę chleba.

Lea nie potrzebowała bardziej wyraźnego zaproszenia. Natychmiast zaczęła myszkować w torbie i znalazła maleńką kromkę wśród oszałamiającej ilości książek, niewielkich, tajemniczych pudełeczek i flakoników oraz zwojów. Cain popatrzył na rezultaty jej poszukiwań i potrząsnął głową.

– Musimy znaleźć ci coś lepszego - stwierdził.

Tym razem oboje zeszli ku wodzie, w miejscu, gdzie w zakolu utworzyło się niewielkie oczko. Drzewo rosnące na samym jego brzegu rzucało na nieruchomą taflę splątane cienie i wysuwało z błota cienkie macki korzeni. Cain napełnił wodą niewielki bukłak wyciągnięty z torby, potem wziął zwój, ukląkł na brzegu i odczytał słowa zapisane na pergaminie. Po czym zanurzył w wodzie końcówkę kostura.

Z głośnym trzaskiem błękitna błyskawica strzeliła w stronę dna i gdzieś spod splątanych korzeni wypłynęła na powierzchnię srebrzysta ryba. Zupełnie nieruchoma.

– Złap ją szybko - polecił Cain cicho i Lea natychmiast wykonała polecenie. Ryba był miękka i wyslizgiwała się z rąk. Z głębiny wypłynęła następna, niewielka i smukła, a potem jeszcze jedna, największa z wszystkich trzech. Lea wyciągnęła je jedną po drugiej. Cain wstał, krzywiąc się przy tym, jakby bolało go całe ciało. - Słowa napełniają drewno ładunkiem, który potem dostaje się do wody. Rozluźnia mięśnie i

na chwilę paraliżuje ryby. Ładunek nie jest zbyt potężny, ale i tak lepiej się sprawdza niż przynęta na haczyku. No i tak jest dużo łatwiej. W ten sposób złapaliśmy sobie kolację. A teraz zabierzmy ryby i rozpalmy ognisko.

Wrócili do kępy drzew. Cain niewielkimi kamieniami odgrodził ognisko, potem zebrał nieco trawy i patyków na rozpałkę. Słońce zachodziło, robiło się coraz chłodniej. Lea odszukała porzuconą opończę i okryła ramiona, wdzięczna za odrobinę ciepła, z przyjemnością wydychając znajomy już zapach.

Starzec najwyraźniej był jednak magiem. W Kaldeum też pojawiali się czarodzieje, ale Lea nie widziała, żeby wykonywali coś poza prostymi sztuczkami, więc to, co robił Cain, niezwykle ją intrygowało. Przyglądała się, jak mężczyzna ponownie sięga do torby, posypuje przygotowane ognisko jakimś proszkiem, krzesze iskrę. Trawa zajęła się natychmiast, proszek trzaskał i strzelał, a płomień poczęły żarłocznie lizać drewno.

Cain ułożył w poprzek paleniska płaski kamień, a na nim wszystkie trzy ryby. Wkrótce smakowity zapach uniósł się w powietrze. Lei zaburczało w brzuchu, głośniejsze nawet niż poprzednio. Ciepło płomieni owiewało jej twarz i dłonie. Najpierw przyszło odprężenie, a za nim dreszcze i szloch, który wstrząsał drobnym ciałem dziewczynki. Po policzkach popłynęły strumienie łez.

Przez dłuższy czas Cain siedział w milczeniu, jakby niczego nie zauważał.

– Spodziewałem się tego wcześniej - odezwał się wreszcie, nawet na nią nie patrząc. - Wiem, że to trudne, bo jesteś jeszcze młoda, ale musisz nad sobą panować. Doświadczasz właśnie fizycznej reakcji na wstrząsające zdarzenia. Teraz, bo nie grozi ci już bezpośrednie niebezpieczeństwo. To całkiem naturalne, nie masz się czego obawiać.

– Moja matka... czy ona... umarła?

– Nie, Gillian nie umarła - zapewnił Cain. Popatrzył na Leę i było w tym spojrzeniu coś dziwnego. - I nie jest twoją matką.

Te słowa sprawiły, że usiadła gwałtownie. Zaskoczenie natychmiast zatrzymało łzy. Czekwała na to, co starzec miał zamiar jej powiedzieć, z walącym sercem i wyschniętymi ustami.

– Zastanawiałem się, ile ci powiedzieć. Nie widzę powodu, by dłużej z tym zwlekać. Bez względu na twój wiek powinnaś znać całą prawdę. Twoją prawdziwą matką była kobieta o imieniu Adria. Z Tristram. Kobieta o niezwykłym talencie.

– Nie... nie wierzę ci.

– Adria i Gillian razem przybyły do Kaldeum, uciekając z Tristram, gdzie wcześniej mieszkały. Adria cię urodziła, ale wiadomo było od razu, że ona nie osiadzie w jednym miejscu. Nie była osobą stworzoną do opieki nad małym dzieckiem. Gillian bardziej zadomowiła się w mieście, wydawało się, że z nią będziesz bezpieczna. Że to dla ciebie najlepsze rozwiązanie, skoro Adria nie mogła się tobą zająć. A ja... ja też się do tego nie nadawałem, nawet wtedy, gdy już uwolniłem się od zobowiązań.

– Kłamiesz!

– Nie - ton jego głosu stwardniał. - Obawiam się, że jednak nie.

– Kłamiesz!

– Leo, musisz się uspokoić...

– Nienawidzę cię! Zostaw mnie w spokoju! - krzyknęła, znowu zalewając się łzami. Ogień gwałtownie strzelił w górę, sycząc głośno. Dziewczynka zerwała się i zaczęła cofać chwiejnie, byle dalej od starca, byle dalej od zapachu pieczonych ryb, teraz przyprawiającego o mdłości. Wyciągnęła ręce, szukając drogi w ciemność. Wyczuła gałęzie i rzuciła się między drzewa, w chłód nocy. Biegła przez trawę i miała wrażenie, że zaraz wymiotuje kawałek chleba, który ciążył jej w żołądku niczym ołów. A w

głowie huczała jej tylko jedna myśl: ona nie jest twoją matką... nie jest twoją matką...

Narastał w niej gniew. Jak ten starzec mógł powiedzieć coś takiego? Wszystkie potworne emocje, poczucie beznadziei, przerażenie, samotność, zwały się na dziewczynkę makabryczną lawiną. Oczywiście, że Gillian była jej matką, nie mogło być inaczej.

A jednak... czyż Lei nie dokuczała samotność, której nie potrafiła pojąć? Czyż chłopcy nie wyśmiewali jej, nazywając wyrzutkiem, bez więzi, bez miejsca, do którego mogłaby należeć?

Przypomniała sobie nagle dzień, kiedy nad Kaldeum przetoczyła się straszliwa burza. Wiatr pędził doliną, porywał namioty i chłostał mury miasta. Dziewczynka była wtedy maleńka. Gillian spieszyła do domu, ściskając mocno rączkę Lei. Wokół zaczęły padać pierwsze krople, wielkie niczym winogrona, a potem grad zabębnił dziko o dachy, rozzwoniły się pękające okna. Gillian porwała Leę na ręce i biegła ile sił w nogach, a kiedy już dotarła do domu, śpiewała malej, gładząc jej włosy, i powtarzała, że wszystko będzie dobrze. Matczyne obietnice.

*Twoją prawdziwą matką była kobieta o imieniu Adria...*

Nie. Lea zacisnęła pięści, aż paznokcie wbiły jej się w skórę. Była zaledwie małą dziewczynką, jak miała sobie z czymś takim poradzić? Gniew, przerażenie i nieopisany żal spiętrzyły się, urosły i eksplodowały. Krzyk wyrwał jej się z gardła i rozdarł ciemność, przybierając na sile, aż nie było już nic poza wibrującym dźwiękiem. Przed oczami Lei zawirowały plamki światła i dziewczynka zwała się bezwładnie na ziemię. Jej krzyk wrócił do niej echem, trzask potężny jak grom wstrząsnął ziemią. Lea ukryła głowę w ramionach i zwinęła się w kłębek wstrząsana przeraźliwym dreszczem, a ból sprawił, że zakrzyczała ponownie.

Usłyszała, jak ktoś woła jej imię, a potem jeszcze kilka rozkazujących słów i hałas wraz z gromem ucichły natychmiast.





# JEDENAŚCIE



## *Sny o Tristram*

Śniłem dziś o śmiertelnym krzyku dziecka. Wyrwał się z otchłani i wprawił w drżenie witraże zrujnowanej katedry. Kiedy się obudziłem, zrozumiałem, że był to krzyk konającego w mękach Diabło. Nie mogąc zasnąć po tak przejmującej pobudce, wyszedłem zatem czekać powrotu bohatera. Wreszcie pojawił się, zbryzgany krwią, w równej mierze swoją, co ubitych potworów. Czuję wielką ulgę, widząc go żywym, wiedząc, że koszmar dobiegł końca. Ale nie mogłem zaznać spokoju, gnębiony pytaniem: czy doszłoby do tego, gdybym nie zlekceważył własnego dziedzictwa?

*Deckard Cain podniósł głowę znad stron swego dziennika i zapisków, jakie poczynił wczoraj. Siedział przy dawnym biurku swojej matki w pustej i cichej izbie. Duchy, które go prześladowały, umilkły wreszcie. Słońce weszło nad Tristram, po raz pierwszy od długiego czasu.*

*Zastanawiał się, co jeszcze mógłby dodać. Następny wpis w dzienniku powinien być radosny. Na zewnątrz ci nieliczni, którzy ocaleli z masakry, wciąż jeszcze świętowali. Słyszał ich radosne okrzyki. Powinienem być tam*

z nimi, pomyślał. Diabło został pokonany, Aidan powrócił z katakumb zwycięsko, a demony, które wypluła otchłań piekielna, poszły w rozsypkę. Powinienem radować się końcem plagi.

A jednak nie mógł. Miasto było w ruinie, ulice spływały krwią. Ogromniszczeń zasmucił go i przygnębił. Część zabudowań strawił ogień, zostawiając poczerniałe zgliszcza, a budynki położone najbliżej katedry rozerwało do samych fundamentów. Miasto może już nigdy się nie podnieść po tym ataku. A wszystko to stało się z jego winy. A co gorsza, znowu zaczęły go dręczyć wątpliwości. Bał się straszliwie, że to tak naprawdę jeszcze nie koniec.

Westchnął i przetarł bolące oczy. Pozostali przy życiu mieszkańcy Tristram zapewne nie chcieli tego widzieć, ale cienie wciąż jeszcze wisiały nad tym miejscem. Ziemia została przeklęta i chyba lepiej byłoby wypalić ją żywym ogniem jak złośliwą narośl na ciele, by powstrzymać rozprzestrzenianie się zarazy. Cain rozejrzył się po niewielkiej izdebce, stosach starych ksiąg, pamiątkach po przeszłości: większość z historią Sanktuarium i zamieszkujących je ludzi albo naukowymi dysertacjami, suchym świadectwem nagich faktów. Żadna tak naprawdę nie zawierała informacji o tym, co kryło się poza zasłoną. Ale były też i inne księgi, te, które znalazł w katedrze zakarumitów, dające świadectwo zupełnie innej historii, mówiące o aniołach i demonach w Sanktuarium, o ich zmieszanej przed wiekami krwi, która dała początek rasie ludzi. Część tych opowieści przypominała te, które powtarzała Cainowi matka. Innych nigdy dotąd nie słyszał. Nie zaprzeczał już istnieniu zła, któremu musiał stawić czoła, ale czy reszta tych historii była równie prawdziwa? Wszystko to prawda? Jeśli tak, Cain przez lata zgłębiał niewłaściwy przedmiot. Całe jego życie było kłamstwem.

*Czuł, że się dusi w tej maleńkiej izbie. Potrzebował powietrza. I musiał załatwić pewną sprawę, która nie mogła już czekać.*

*Gwałtownie odsunął krzesło i wstał, chwycił nie ten kostur, na którym zwykle się opierał, ale drugi, stojący w ciemnym kącie. Wydawało się, że zło płynie z laski niczym ropa z zakażonej rany. Cain, trzymając ją jak najdalej od siebie, wyszedł do miasta.*

*Nad rynkiem unosił się dym. Cain nie umiał powiedzieć, czy to ognisko, wokół którego bawili się mieszkańcy, czy może gdzieś dopalały się zabudowania. Cokolwiek by to było, płomienie pomogą mu dokończyć dzieła.*

*Ktoś grał na flecie, inni śpiewali. Cain pomyślał, że pieśń nie jest ani lekka, ani radosna, przypomina raczej płacz gołębicy nad ciałem ukochanego.*

*Cain minął pogrążony w ciemności dom sąsiada, uzdrowiciela Pepina. Drzwi były na wpół otwarte. Na framudze widniał pojedynczy krwawy odcisk dłoni. Deckard nie zajrzał do środka, obawiał się tego, co mógłby tam znaleźć. Jako jedyny uzdrowiciel Pepin zrobił nieskończenie wiele dla mieszkańców Tristram. Najsmutniejsza była jednak historia Wirta, którego porwały demony. Niewiele brakowało, a chłopak postradałby życie, w ostatniej chwili uratował go kowal Griswold. Wirt został jednak ciężko ranny i Pepin zmuszony był amputować mu nogę. Matka chłopca zmarła z rozpaczy, zanim jej syn został odnaleziony. Po tym wszystkim Wirt stał się zgorzkniałym odludkiem. Jego ciche uczucie do Gillian tylko pogarszało sytuację, kobieta nie podzielała jego uczuć i złamała mu serce. Cain nie był do końca pewien, co stało się z chłopakiem, ale obawiał się najgorszego. Dzieciak z drewnianą nogą nie miał szans na ucieczkę przed złem, które po niego przyszło.*

*Deckard dotarł do centrum miasta. Mieszkańcy rozpalili ognisko na placu, kilku mężczyzn dorzucało drewna, podsycając płomienie. Cain naliczył piętnaście, może dwadzieścia osób, w większości starych lub niedołączonych. Nie mieli innego wyjścia, jak tylko zabarykadować się w domach i starać się przeczekać nawałnicę. Jak na ironię, poza kilkoma dzielnymi wojownikami to oni właśnie przetrwali.*

*Farnham, ojciec, któremu Rzeźnik odebrał córkę, siedział na uboczu. Twarz miał czerwoną od trunku. Podniósł na Caina mętne oczy, mruknął i uniósł do ust butelkę wypełnioną cuchnącym płynem bursztynowego koloru. Cain zbliżył się do ogniska, a ludzie rozstąpili się, pozwalając mu przejść. Kilku spojrzało na laskę w jego dłoniach i cofało się ze wzdrygnięciem, jakby nagle stanęli w obliczu zaklinacza węży i śmiertelnie niebezpiecznej kobry. Po drugiej stronie ognia Deckard zauważył Aidana, skulonego w bezruchu w cieniu między budynkami, skąd obserwował zabawę. Zrzucił już broję i zmył z siebie krew, ale to, co widział i co uczynił, wciąż przygniatało go ponurym ciężarem. Czoło Aidana, do niedawna gładkie, teraz na podobieństwo opaski przecinała świeża blizna.*

*Cain czuł ciężar w piersi. Aidan zwyciężył, ale za to zwycięstwo zapłacił straszliwą cenę. Stał się zupełnie innym człowiekiem. Jego młodszego brata, Albrechta, opętał i odmienił sam Diabło. Albrecht był zaledwie dzieckiem. Cain wiedział, że w chwili śmierci straszliwie zdeformowane ciało chłopca wróci do pierwotnego kształtu. I choć Aidan o tym nie mówił, widok młodszego braciszka leżącego na skrwawionej ziemi oraz świadomość, że zadał mu śmierć własną ręką, musiały być o wiele gorsze niż walka z demonem.*

*Cain pamiętał lekcje z Aidanem w królewskich kwaterach. Szczupłym, ciemnowłosym młodzieńcem pełnym życia i potencjału. Wtedy, skupiony bez reszty na sobie, Deckard nie przepadał za owymi zajęciami. Na myśl o*

tamtych czasach Cain poczuł, jak mroczna, straszliwa tajemnica ciśnie mu się na usta. Z wysiłkiem powstrzymał tę chęć i skupił się na terażniejszości.

Popatrzył na kostur w dłoniach. Przeklęta rzecz. Aidan powinien to zrobić, uznał Deckard. Prawowity dziedzic tronu Khanduras, przywódca, który ocalił Sanktuarium. A jednak Aidan odmówił z niewiadomych powodów, zostawiając wszystko w rękach dawnego nauczyciela.

Cain podszedł do ognia.

– Obywatele Tristram - zaczął - spojrzeliście w najgłębszą otchłań i przetrwaliście. Choć każdego z was dotknęła bolesna strata. Diabło, Pierwotne Zło, jest martwy, ale to, co sprowadził na miasto, nadal kryje się w ciemnościach i w sercach każdego z nas. Nie zapomnijcie tego, co tu się stało. Nie pozwólcie nigdy, by zło was tak zaskoczyło.

Popatrzył po otaczających go twarzach, naprędcie pozszywanych ranach, ciemnych kręgach pod oczyma, pustych oczach tych, którzy widzieli więcej, niż mogły znieść ich dusze. Każdy stracił kogoś bliskiego, każdy cierpiał.

– Daję wam laskę Lazarus - powiedział Deckard. Podniósł kostur wysoko, tak by zgromadzeni mogli go widzieć. - Zdrajca, który obudził Diabło, nie będzie już nas prześladował.

Cain cisnął laskę w płomienie. Ogień przyjął ofiarę z głuchym rykiem. Deckard aż się zatoczył uderzony żarem. Poczuł, jak podtrzymują go czyjeś ręce. Zawisł na nich, ciesząc się z pomocy. Może nie musiał tak naprawdę wszystkiego robić sam.

Kostur pękł w płomieniach, torturowane drewno zakrzychało wysoko i pękło, uwalniając chmurę zielonego dymu. Resztki laski poczerniały i zapadły się między płonące polana.

Cain westchnął. Chciał wygłosić podnoszącą na duchu mowę, w pewien sposób odprawić ceremonię kładącą kres cierpieniom. Ale teraz ten gest wydawał mu się pusty. Lazarus dawno dołączył do martwych, jego laska nie

była niczym więcej jak tylko kawałkiem drewna i spłonęła tak samo jak każdy inny.

Chciał się uwolnić od podtrzymujących go rąk, ale te trzymały mocno. Odwrócił się i zobaczył okrągłą twarz kowala Griswolda, którego łysina lśniła w słońcu.

– Stary przyjacielu - odezwał się kowal - zostań z nami przez chwilę, napij się.

Cain uśmiechnął się w odpowiedzi, ale w Griswoldzie dostrzegł coś niepokojącego. Niewątpliwie kowal był groźnym i niestrudzonym sprzymierzeńcem w walce z demonami. Nie tylko wykuwał broń, lecz także rzucał się do walki, z brutalną siłą kruszył czaszki impów i innych oblegających miasto stworów, póki nie został poważnie ranny w nogę. Ale teraz spojrzenie miał nieobecne i zapowiedź przemocy unosiła się wokół niego jak zapach zepsucia.

Cain odwrócił się i spojrzał przez płomienie na Aidana, który wciąż trwał w bezruchu.

– Taak, ten jest strasznie ponury - stwierdził Griswold. - Nie ten sam chłopak, odkąd wrócił z dołu. Mało gada, trzyma się z dala od wszystkich.

– Wiele wycierpiał.

– Jak my wszyscy. - Kowal zapatrzył się w dal. - W nocy wciąż słyszę głosy. Nie mogę spać.

– Kontakt z demonami może mieć długotrwałe skutki - odparł Cain.

– To chyba właśnie tak jest - stwierdził Griswold. Jego palce zacisnęły się boleśnie na ramieniu Caina. Potrząsnął głową i rozwarł dłoń. - Idź, pogadaj z chłopakiem - burknął. Przyjął butelkę z czyjejś dłoni, pociągnął solidny łyk i odrzucił naczynie na bok. - Przyda mu się dobre słowo. I kufel piwa. W końcu przyszliśmy tu świętować.

Cain obszedł ognisko, oddalając się od rozradowanych mieszkańców. Coś było nie w porządku. Diabło został pokonany, jego sługi zgładzone lub rozpędzone. Niebezpieczeństwo minęło.

Skąd więc ten niepokój w sercu?

Deckard dotarł do przejścia między budynkami, gdzie widział wcześniej księcia, ale Aidana już tam nie było. Cain usłyszał jakieś głosy kawałek dalej i powoli zanurzył się w ciemność. Szedł ostrożnie bez laski, coraz dalej od ognia i zabawy. Zanim jeszcze znalazł się na ulicy, poczuł, jak podnoszą mu się włoski na karku.

Aidan stał jakieś piętnaście metrów dalej pod wielkim drzewem. Towarzyszyła mu kobieta. Cain zatrzymał się nagle przy załomie budynku. Przeczucie mu podpowiadało, żeby pozostać w ukryciu. Patrzył, jak kobieta dotyka ramienia Aidana, jak młodzieniec pochyla się ku niej, by coś powiedzieć, i wreszcie jak oboje oddalają się pospiesznie. Pod drzewem nie było zbyt wiele światła, a para odeszła całkiem szybko. Ale Cain wszędzie rozpoznałby tę niesamowitą mieszaninę gracji, urody i surowej siły, lekki krok, jak gdyby prześlizgujący się ponad ziemią. Kobietą, z którą odszedł książę, była Adria.

To odkrycie przyprawiło Caina o kolejną falę niepokoju, ale nie poszedł za parą. Miał ważniejsze sprawy. Poprzysiągł sobie, że już nigdy więcej nie dopuści, aby jego niechęć do studiowania wiedzy horadrimów zniszczyła komuś życie.

Jeszcze tego samego dnia zamierzał wrócić do swoich ksiąg i szukać w nich wyjaśnienia dręczącego go strachu. Nie spocznie, póki nie odkryje prawdy. .

Kiedy się odwrócił, ujrzał przed sobą małego chłopca o żałośnie wykrzywionej buzi, który trzymał się pod boki.

– Dlaczego mnie zostawiłeś? - powiedział. – Dlaczego?





Cain obudził się z suchym szlochem. Ogień już przygasł, pełgał jedynie po wypalonych polanach, rzucając cienie, które zdawały się tańczyć wśród nisko zwieszających się gałęzi. Palce Deckarda mimowolnie popęzły do ukrytej kieszonki w tunice, gdzie spoczywał bezpiecznie kawałek kruchego pergaminu. Otrzeźwiło go bicie własnego serca. Nie, pomyślał, widząc twarz chłopca w każdym, najmniejszym szczególe, zanim odpędził to wspomnienie. Tylko nie to. Nie zniosę tego po raz drugi. Nabrał głęboko powietrza i powoli je wypuścił. Nie miał wątpliwości, że to zdarzenie z udziałem Lei spowodowało na niego ten sen. Nie powinien był w ten sposób przekazać jej prawdy o matce. Fatalnie to rozegrał. Zupełnie nie wiedział, jak radzić sobie z dziećmi, ile należy im mówić, ile zdradzać, jak rozmawiać o rzeczach tak trudnych? Dzięki archaniołom, że sprawy nie potoczyły się jeszcze gorzej.

Gdy Lea uciekła, Cain ruszył za nią. Wyczuwał tę niesamowitą iskrzącą energię narastającą w dziewczynce, kumulującą się przed nieopisanie potwornym końcem. Gdyby się nie potknęła i nie przewróciła, nie wiadomo, jak to by się skończyło. Znalazł ją leżącą bez ruchu nad brzegiem rzeki. Nie reagowała na nic. Zaniósł ją więc do ogniska, gdzie mała skuliła się w szoku.

Po jakimś czasie udało mu się wreszcie wmusić w nią odrobinę ryby. Resztę pochłonęła jak oszalałe z głodu zwierzątko, wpychając sobie do ust duże kawały mięsa. A kiedy już się najadła, zaczęła zadawać pytania. Najpierw cicho, ale z każdym słowem w jej głosie rósł nacisk.

Chciała wiedzieć wszystko. Cain starał się udzielać odpowiedzi ostrożnie, mając na uwadze wrażliwość dziewczynki.

Adria przybyła do Tristram krótko po tym, jak w mieście zaczęły się kłopoty. Jej talent do wywarów, mikstur i zaklętych artefaktów, jak również przewidywania przyszłości szybko zasłynął wśród mieszkańców Tristram. Umiejętność przewidywania przyszłych wydarzeń uratowała jej życie, gdy Tristram padło. A jednak wiele miesięcy temu Deckard dowiedział się o jej śmierci gdzieś na Ponurych Ziemiach. Ta wiadomość wywołała strumienie łez na policzkach Lei i ostatnie pytanie: *Czy... wyglądam jak ona?*

Cain zaczął krzątać się wokół ognia, zerkając na Leę śpiącą pod opończę Jamesa. Buzię miała spokojną i gładką. Sprawiała wrażenie drobnej i bezbronnej. Jak mógł potraktować ją tak paskudnie? Co z nim było nie tak? Czy naprawdę tak trudno było zająć się dzieckiem, odpowiedzieć na tego dziecka potrzeby? Czy w ogóle na potrzeby jakiegokolwiek osoby - jego koncentracja na badaniach była tak naprawdę egoizmem, na który nie mógł już sobie pozwolić.

Po raz pierwszy Cain rozważał możliwość zawrócenia z obranej drogi, znalezienia schronienia gdzieś w Kaldeum lub okolicy i trzymania się od Kurast jak tylko się da najdalej.

*Nie możesz zaprzestać poszukiwań, Deckardzie.*

Głos matki był tak wyraźny, tak czysty, że starzec aż się obejrzał, pewien, że zobaczy ją tuż obok. Nie zobaczył. Jednak miał wrażenie, że Aderes Cain jest gdzieś blisko. Zaangażowanie w sprawę horadrimów przywiązało ją do tego świata na wieczność. Bez względu na to, jakie było źródło głosu w jego głowie, Cain wiedział, że słowa były słuszne. I tak ani on, ani Lea nie byli mile widziani w Kaldeum, a ucieczka przed przeznaczeniem tylko odwlecze nieuniknione. Musiał iść dalej, podążać wątlm śladem

prowadzącym do grupy magów w Kurast. Nie ustawać w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania, które wzbudziła lektura księgi z ruin Vizjerei.

*Z grobu podniesie się Al Cut.*

Kim był ów Al Cut? Tajemnica dokuczała Cainowi jak bolący ząb. Musiał odnaleźć ludzi posiadających właściwe informacje i na dodatek te informacje z nich wydobyć. Piekło zmierzało do Sanktuarium. To była jedynie kwestia czasu.

Cain popatrzył na Leę. Jeśli odnajdą grupę magów w Kurast, może uda się pomóc małej i nauczyć ją, jak zapanować nad niesamowitym talentem, który w niej drzemie. To był kolejny powód, aby kontynuować tę drogę. Starzec westchnął. Ciężar, jaki dźwigał na barkach, stawał się nie do zniesienia.

Pomóż mi wybrać dla niej właściwie, dla wszystkich właściwie.

Opończa zsunęła się z ramion Lei. Cain okrył dziewczynkę troskliwie, powierciła się chwilę i znów znieruchomiła.

Coś poruszyło się na skraju drzew. Gdzieś od strony rzeki słychać było ciężki oddech, jakby sapanie wielkiego psa albo wilka. A potem drapanie pazurów o drewno. Cain przegarnął kijem resztki ogniska, dołożył nieco gałęzi, aż płomienie strzeliły w górę. Sięgnął do torby w poszukiwaniu jakiegoś artefaktu czy zwoju, ale nic stosownego nie przychodziło mu do głowy. Jeśli jakaś istota zamierzała ich zaatakować, nie miał jak jej powstrzymać.

W oddali rozległo się melancholijne zawodzenie nie z tej ziemi. I ucichło. Cain usiadł. Ciepło ognia ukołysało go wreszcie do snu. I tym razem na szczęście nie śnił.



## DWANAŚCIE



### *Miasteczko za murem*

Kolejny ranek powitał ich chłodem. Cienka warstewka białego szronu pokrywała ziemię. Lea była blada, pod oczyma miała ciemne kręgi. Cain nakarmił ją resztką ryby, zostawiając sobie zaledwie kilka kawałków skóry. Nie rozmawiali o wydarzeniach poprzedniego wieczora, w milczeniu zebrali rzeczy i porzucili obóz. Ale tuż za granicą drzew czekało ich niemiłe zaskoczenie. Drzewo tualang, wysokie na co najmniej trzydzieści metrów, zwaliło się w nocy, niszcząc most prowadzący na przeciwległy brzeg. Jego gałęzie leżały rozrzucone we wszystkich kierunkach, przywodząc na myśl gigantyczną kałamarnicę, wokół kipiała woda, przelewając się aż na brzegi. Z mostu niewiele zostało.

W nocy było ciemno, ale Cain słyszał huk walącego się drzewa. I czuł uderzenie energii płynące od Lei. Jeśli to jej sprawka, dziewczynka ma iście potężną moc.

– A to pech - powiedział głośno. - Pień przegnił ze starości, zobacz, tutaj, przy korzeniach.

Obszedł ostrożnie gałęzie, czując, jak sandały grzęzną mu w błocie. Rzeka była zbyt głęboka, a nurt zbyt silny, by mogli brać pod uwagę przeprawę w pław. W zasięgu krzyku nie było ani mostu, ani brodu. Być może istniała szansa, że zdołają przepłynąć się po pniu, jeśli uda się ominąć gałęzie i zachować przy tym równowagę. Cain ostrzegł dziewczynkę, by trzymała się z dala od żywicy drzewa, która bardzo podrażniała skórę. Potem użył kostura, by pewniej stanąć na pniu, i zaczął powoli posuwać się naprzód, odsuwając część gałęzi i przepychając się między pozostałymi. Nie wiedzieć czemu przypomniało mu się wąskie przejście w ruinach Vizjerei, a potem nieszczęsny Akarat. Prawie się zdawało, że paladyn jest tuż przed Cainem i nagli go do pośpiechu. Ale oczywiście nikogo tam nie było. Starzec obejrzał się i zobaczył Leę. Minę miała ponurą i zdeterminowaną.

Resztki mostu jęczały głośno pod naporem wody. Wreszcie Cain dotarł do miejsca, w którym pień, pękając, zostawił tysiące drzazg, długich jak piki, sterczących we wszystkich kierunkach. Jedna z nich chwyciła go za tunikę i naznaczyła bok głęboką rysą. Poczłł piekący ból, zdołał jednak się uwolnić i zleść na brzeg. Dotknął bolącego miejsca, palce miał zabrudzone krwią.

Chwilę później Lea lekko zeskoczyła z pnia. Nagle z potwornym jękiem i hukiem, który wstrząsnął ziemią, prowizoryczna kładka zwała się do rzeki, wzbijając w górę fontanny wody wysokie na kilkanaście metrów. Rzeka zakotłowała się i zapieniła, a dwójka podróżnych w mgnieniu oka została przemoczona do suchej nitki. Cain zatoczył się, serce utkwilo mu w gardle. Gdyby przeprawiali się choć chwilę dłużej, oboje byliby martwi.

Jedno było pewne: nie mieli już odwrotu.

Szli równym krokiem, aż słońce podniosło się wysoko i przepędziło resztki nocnego chłodu. Cain wspierał się na kosturze, ale kolana i krzyż z

każdym krokiem bolały go coraz bardziej, a nowa rana ćmiła tępo. Był na skraju wytrzymałości. Czuł się nieznośnie staro.

Gdy ranek zmienił się w popołudnie, droga zaczęła się pięć lekko pod górę. W oddali wznosiło się pasmo gór, niczym kręgosłup gigantycznego stwora.

W upale Cainowi szło się jeszcze ciężiej. Grunt stał się bardziej skalisty, koleiny głębsze. Południe już dawno minęło, wypili ostatnią kroplę wody z niewielkiego bukłaczka, ale wciąż nie znaleźli miejsca, w którym mogliby go od nowa napełnić. Od czasu gdy opuścili Kaldeum, nikogo nie spotkali w podróży.

Trzy godziny później doszli do miejsca, w którym od traktu odchodziła mocno wydeptana ścieżka prowadząca między wzgórzami. Kawalek dalej dotarli do wąskiego przejścia między dwoma wzniesieniami, zaszypanego przez ogromne głazy.

Dwoje podróżnych stanęło u stóp osypiska, wznoszącego się na prawie dziesięć metrów. Droga była całkowicie zablokowana.

Cain wyciągnął z torby mapę. Ścieżka, którą przed chwilą minęli, najpewniej okrążyła feralne przejście. Mogliby powrócić na drogę kilka kilometrów dalej.

– Obejdziemy to - powiedział do dziewczynki. - Chodź.

Lea ani drgnęła. Wpatrywała się w głazy, a na twarzyczce miała wyraz głębokiego skupienia.

– Tam ktoś jest - stwierdziła w końcu.

Cain wsparł się na kosturze, przyglądając się małej uważnie.

– Dlaczego tak sądzisz?

Wzruszyła ramionami i rozejrzała się. Wzgórzami zdawały się pochyłać nad nimi, przesłaniając słońce.

– Tam jest straszno. Czuję, jakby ktoś nas obserwował.

Caina dręczyło dokładnie to samo wrażenie. Odwrócił się i spojrzął w dolinę, z której właśnie wyszli, potem na otaczające ich wzgórza, szukając miejsca, w którym mógłby się ukryć człowiek. Początkowo niczego nie wypatrzył - żadnego ruchu, nic, nie wyczuł też żadnej obecności. Ale nagle usłyszał bardzo cichy szmer, jakby lekkie drapnięcie o skałę. Z góry spadł strumyczek kamiaków.

*Tamtejsi ludzie zabiorą wam wszystko, co zdołają, i zostawią, byście skonali na drodze* - mówił Kulloom. *Są też inne rzeczy... jeszcze gorsze.*

Cain zerknął na Leę, wciąż nieruchomo zapatrzoną w osuwisko. Buzię miała poszarzałą. Straszanie jej na nic się nie zda. Nawet jeśli byli tu sami, to i tak jakieś zwierzę mogło ich obserwować, albo stworzenie całkowicie niegroźne, które zwyczajnie wolało pozostać w ukryciu.

Nie ma powodu, by myśleć, że to coś... nienaturalnego.

- Na pewno jesteśmy tu tylko my, Leo.

Dziewczynka jednak nie wyglądała na przekonaną. Zaplotła ciasno rączki na piersi.

- Dlaczego nikogo innego nie spotkaliśmy? I gdzie my w ogóle idziemy?

- Do miasta zwanego Kurast.

Lea wytrzeszczyła oczy.

- To niedobre miejsce.

- Proszę, Leo...

- Moja ma... Gillian mówiła, że jest nawiedzone. Dlaczego chcesz mnie tam zabrać? - Cofnęła się o krok. - Chcesz mnie złożyć w ofierze czarnej magii, tak? Wcale nie chcesz mi pomóc! Jesteś... jesteś czarownikiem, który przyzywa demony! Matka mi mówiła o takich ludziach jak ty! - Spojrzenie dziewczynki zaczęło umykać na boki. Cain próbował powiedzieć coś uspokajającego, ale na próżno. Sugerowanie logicznego



rozwiązania, jak to zwykle czynił w rozmowie z dorosłymi, tutaj nie zdawało egzaminu.

Zrobił krok w jej stronę i natychmiast zrozumiał, że to był kolejny błąd. Ale było za późno. Lea popędziła z powrotem ku dolinie niczym wystraszony królik, tak szybko, jak niosły ją jej małe nóżki.

– Czekaj! - Cain ruszył za nią, ale ścieżka była stroma, a jego kolana trzeszczały w bolesnym proteście. Przez głowę przemknęła mu myśl o drodze, jaka go czekała, o niebezpieczeństwach, którym przyjdzie mu stawić czoła, i o problemach, jakich przysporzy mu mała dziewczynka, jeśli będzie nieposłuszna. Patrzył, jak jej figurka staje się coraz mniejsza i mniejsza, i szedł za nią najszybciej jak mógł, opierając się ciężko na kosturze i raz po raz wołając jej imię.

Zalała go fala paniki wraz ze wspomnieniem tych, którzy przepadli, by już nigdy nie wrócić. Wydało mu się, że droga stała się szersza i przez chwilę widział wyraźnie przewrócony wóz, wciąż obracające się koło, świeżą krew na szprychach.

Cain mrugnął i makabryczny obraz rozwiął się bez śladu. Zdławił jęk przerażenia. Palce znów powędrowały do kieszeni i ukrytego tam pergaminu. Cofnął dłoń, jakby się sparzył.

Droga była pusta. Ot, zwykły pas ubitej ziemi.

Cainowi oddech świszczwał w piersi. Gardło miał zaciśnięte. Dlaczego dzieci nigdy nie słuchają, nawet dla własnego dobra?

Dzień miał się ku końcowi, gdy Cain dotarł do szczytu. I nagle ją zobaczył. Siedziała na kamieniu nieopodal, głowę podpierała rękoma. Początkowo myślał, że Lea płacze, ale kiedy podniosła wzrok, zobaczył, że oczy ma suche.

– To nie ma sensu - powiedziała. - Nie mam dokąd pójść i nikogo, kto by mi pomógł.

Cain zatrzymał się i osunął na kolana, spazmatycznie łapiąc powietrze. Jego serce galopowało niczym spłoszony koń. Nagły powiew wiatru szarpnął opończę Lei i przeniknął chłodem kości Deckarda.

Wreszcie Cain się podniósł.

– Przecież próbuję ci pomóc, Leo - wysapał, gdy już odzyskał dech. - Ale nie możesz... tak uciekać. Musisz zrozumieć, że są rzeczy... droga do Kurast jest niebezpieczna. Dziecko może zniknąć w mgnieniu oka i nikt nawet tego nie zauważy!

– Próbujesz przstraszyć mnie jeszcze bardziej?

Cain wziął się w garść i odzyskał panowanie nad sobą.

– Po prostu mówię prawdę. Taki jestem. Zawsze mówię otwarcie. Na tym świecie jest zło straszniejsze, niż mogłabyś sobie wyobrazić. Są kozłoludy i demony, i istoty jeszcze bardziej przerażające. Lepiej być ostrożnym i przygotowanym.

Policzki Lei znów pobladły. Cain myślał, że mała znowu zaleje się łzami, ale ona tylko zeszła z kamienia. A kiedy podniosła ku opiekunowi twarzyczkę, malował się na niej wyraz dziecięcego oburzenia i gniewu.

– Gillian też tak mówiła - stwierdziła. - Jesteś dziwny. Chyba cię nie lubię. - Machnęła rączką. - Chcę pójść TAM. Może ktoś nam pomoże.

Małe miasteczko przycupnęło w dolinie, otoczone wysokim murem i gęstą roślinnością, po części ukryte w oparach mgły, która nieoczekiwanie popęzła po stoku. Miasto wyglądało na pogrążone w ciemności i bezruchu, lecz naraz pojedyncze światełko błysnęło w oparach bieli i poczęło podrygiwać i tańczyć, jakby ktoś wędrował ulicami z latarnią.

W ataku paniki Cain początkowo go nie zauważył. Właściwie widok światła powinien przynieść mu ulgę, ale tylko pogłębił niepokój. Światełko tymczasem zamigotało raz jeszcze i zgasło.

Zajrzał do mapy, ale nie było na niej małego miasteczka. Popatrzył na ścieżkę wiodącą do bram osady. Jeśliby się pospieszyli, dotarliby do miasteczka, zanim gwiazdy zabłysną na niebie.

A jednak Caina nie opuszczał niepokój, coś wisiało w powietrzu, męczyło go wrażenie, że stanie się coś złego, przeczucie, jakiego nauczył się nie lekceważyć. Ale nie mieli zbyt wielkiego wyboru. Bez wody i jedzenia i tak nie zajdą daleko.

– No to chodź - powiedział, ruszając w dół zbocza. - Nie ma sensu dłużej czekać. Przekonajmy się, czy miejscowi są gościnni.

Kolejny podmuch wiatru, silniejszy niż poprzedni, przyniósł woń zgnilizny i zepsucia wraz z charakterystycznym zapachem bagnisk i stojącej wody. Mgła połknęła więcej otoczenia. Cain spojrzął przez ramię. Lea szła za nim, mocno przytrzymując poły opończy pod szyją.

Deckard czuł, jak mięśnie drżą mu ze zmęczenia. Od poprzedniego dnia nie miał w ustach nic poza kilkoma kawałkami rybiej skóry i choć jego ciało przyzwyczało się do takiego właśnie traktowania, wiedział, że to tylko kwestia czasu, a nie będzie już w stanie uczynić ani kroku.

Jesteś starym człowiekiem, pomyślał po raz nie wiadomo który. Powinieneś drzemać teraz na werandzie z kubkiem herbaty, a nie ganiać demony po pustkowiach. Na dodatek nieustannie towarzyszyło mu wspomnienie chłopca ze snu. Chłopca, który przepadł przed dziesiątkami lat.

Kiedy zbliżyli się do miasteczka, noc była blisko. Szli szeroką drogą wśród szpaleru drzew o nagich niemal gałęziach. Żelazne bramy miasta pozostawały zamknięte, ale z dobrze ukrytych drzwi w murze wyłoniło się dwóch postawnych mężczyzn. Strażnicy byli tak wysocy jak Cain, za to niemal dwukrotnie szersi w ramionach. Nosili skórzane lamelki, a w dłoniach ściskali topory o podwójnych ostrzach.

Zmrok skradł światu większość kolorów. Mgła była tu gęsta jak mleko, pełzała po ziemi, wiła się przy strażnikach, sprawiała, że wyglądali, jakby mieli nogi oberżnięte w kolanach i wdzięcznie unosili się nad ziemią. Stanęli ramię przy ramieniu, blokując przejście. Nie powiedzieli ani słowa, patrzyli tylko obojętnie.

– Pokonaliśmy wiele kilometrów i szukamy miejsca na nocleg - odezwał się Cain. - Jesteśmy nieuzbrojeni i zapłacimy za jedzenie i miejsce do spania, a rano znów ruszymy w drogę.

Deckard sięgnął do torby, wyjmując z niej grudkę złota, ale na ten gest strażnicy unieśli topory do ciosu i postąpili krok naprzód gotowi atakować.

Ktoś krzyknął po drugiej stronie bramy i z mgły wynurzyło się kilka postaci. Kolejnych dwóch strażników rzuciło się otwierać bramę, która rozchyliła się z głośnym jękiem metalowych zawiasów. Strażnicy odstąpili i wyprężyli się słuźbiście. Z bramy wyszedł mężczyzna wysoki i chudy jak szkielec, o długich czarnych włosach gładko zaczesanych do tyłu. Miał kosztowne szaty i lśniącą biżuterię. Uśmiechał się, szeroko rozkładając ramiona, jakby witał najdroższego członka rodziny.

– Przepraszam za tych dwóch. - Machnął dłonią w stronę strażników. - Zwykle nie jesteśmy tak podejrzliwi, ale czasy skłaniają ku ostrożności, co stwierdzam z przykrością. Jestem lord Brand. Zmierzacie do Kurast?

– Tak - potwierdził Cain. - I prosimy o gościnę.

– Niewątpliwie was ugościmy. - Spojrzenie lorda Branda prześlizgnęło się po Lei. Lśniące oczy wpatrywały się w jej twarzyczkę nieco zbyt długo, a uśmiech stał się jeszcze szerszy. - A któż to taki?

– Moja siostrzenica - odparł Cain. - Wybaczcie, panie, ale jest głodna. Przebyliśmy długą drogę i od rana nie mieliśmy nic w ustach.

Gdzieś z oddali nadpłynęło przejmujące wycie, odbiło się echem w dolinie. Cain poczuł zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Brand spojrzął w

stronę drzew, jego uśmiech zbladł nieco, i odsunął się, zapraszając gestem do środka.

– Zatrzymacie się w mojej posiadłości - stwierdził. - Lepiej zostańmy za murami. W tych czasach niebezpiecznie jest zostawać na zewnątrz po zapadnięciu zmroku.

Straż zamykała ten niewielki pochód w głąb miasta. Kilkoro mieszkańców wyległo na ulicę z lampami w dłoniach. Wszyscy nosili szare, bezkształtne odzienie, a obwisłe twarze mieli tej samej barwy co ubranie. Wszyscy byli też niesamowicie chudzi, jakby w ostatnim stadium śmiertelnej choroby, z zapadniętymi policzkami i szklistymi oczyma. Niektórzy mamrotali pod nosem, a każdy odwracał wzrok, gdy Cain przechodził obok. Deckard zastanawiał się, co za dziwna dolegliwość wyniszcza to miasteczko, i nawet przez moment rozważał, czy nie powinni z Leą zawrócić. Ale pochód parł niestrudzenie naprzód i zabrał go ze sobą. Z tyłu rozległ się szcęk zamykanej bramy, poniósł się pustą ulicą niczym zwiastun zagłady.



## TRZYNAŚCIE



### *Posiadłość lorda Branda*

W oknach mijanych domów czasem błyskało światło, ale Lea nie widziała tam nikogo, wkrótce też spuściła oczy i utkwiała spojrzenie we własnych stopach. W milczeniu szła za Deckardem.

Już zaczęła żałować, że skłoniła Caina do przyjścia tutaj. Coś w tym miejscu naprawdę ją przerażało, choć nie wiedziała dlaczego. Lord Brand zachowywał się przyjaźnie, ale był jakoś dziwacznie wysoki i zdeformowany, ręce i nogi miał dziwnie długie i chude, a gdy się uśmiechał, sprawiał wrażenie głodnego.

Ulice przypominały jej dom, wysokie budynki, sklepowe szyby i uliczki, które zdawały się prowadzić donikąd. Ale wczesnym wieczorem w Kaldeum wrzało życie. Tutaj było inaczej, nikt niczego nie kupował, nie wybierał się do pobliskiej karczmy na kufelek czegoś mocniejszego albo na coś do jedzenia. Tutejsi mieszkańcy mamrotali do siebie jak szaleńcy, a twarze mieli wymęczone, jakby nie spali od miesięcy. Lea, choć zaledwie ośmioletnia, była bardziej spostrzegawcza niż dzieci w jej wieku. Gillian zwykła powtarzać, że Lea lepiej odczytywała ludzi niż większość

dorosłych. A to, co dziewczynka czuła tutaj, przyprawiało ją o skurcze żołądka.

Popatrzyła na Caina. Coraz bardziej oszczędzał prawą nogę, opierając się ciężko na lasce. Kiedy Lea zobaczyła go pierwszy raz, wydał jej się nieprawdopodobnie stary z tą pomarszczoną twarzą, siwymi włosami, nastroszonymi brwiami i długą białą brodą. Teraz odnosiła jednak wrażenie, że Deckard zaraz się rozsypie.

A jeśli padnie martwy na środku ulicy? Co się ze mną stanie?

Ta myśl niemal zmieniła przepelniający Leę lęk w wybuch paniki. Uciekła wcześniej od opiekuna, bo obawiała się, że jest niebezpieczny. Jednak bez względu na to, jak dziwny jej się wydawał, cały czas starał się tylko ją chronić. Bez niego byłaby całkiem sama. Teraz gdy otaczali ich ludzie, którym ufała jeszcze mniej, zrozumiała, że jedynie Cain stał między nią a śmiercią głodową albo jeszcze gorszym losem.

Zeszłej nocy dręczyły dziewczynkę koszmary. Śniła o atakujących potworach. Teraz łąpała niespokojnie w mijane uliczki, wyobrażając sobie, co też może czaić się w ich mroku. Kozłoludy o płonących oczach i pyskach umazanych krwią. Demony łaknące krwi. *Chcą ciebie, Leo. I jeśli cię znajdą, już nigdy nie powrócisz. Nigdy.* Krata kanału ściekowego błysnęła niczym wyszczerzone kły. Lea wyobraziła sobie szpony sięgające ku jej stopom.

W oddali ponownie rozległo się wycie. Niewielka procesja zatrzymała się i Lea ujrzała zamek. Budowla miała własny mur i bramy, jakby mniejszy krąg wewnątrz większego, który stanowiło miasto. Zamek miał tyle wieżyczek, dachów, kątów, że nie można było zorientować się, jakiego właściwie jest kształtu. Lei zakręciło się w głowie i szybko odwróciła wzrok.



– Witajcie w moim domu - powiedział lord Brand z kolejnym szerokim uśmiechem na chudej twarzy.

Dwóch strażników otworzyło bramę i odsunawszy się, wyprężyło na baczność.

– Będziecie tu mile widzianymi gośćmi tak długo, jak tylko zechcecie.

Coś w jego głosie sprawiło, że Lea poczuła na plecach zimny dreszcz. Popatrzyła po budynkach kulących się w ciemności. Była pewna, że dostrzegła w mroku ruch, jakby wijące się macki, ale gdy skupiła wzrok, niczego nie zobaczyła.

Szli teraz za Brandem i jego strażnikami przez bramę, po ogromnych schodach wiodących do frontowego wejścia. Podwójne wierzeje otworzyły się z ogłuszającym skrzypieniem, za nimi zobaczyli hol wielki jak jaskinia, a w przeciwnym końcu znajdował się gigantyczny kominek, w którym dziko ryczał ogień. Na ścianach wisiały pochodnie oświetlające kunsztowne gobeliny. Powiew wprawił w ruch płomień i po podłodze przepłynęły cienie na podobieństwo wielkich czarnych skrzydeł.

Mimo ognia w zamku panował chłód, który przyprawił Leę o dreszcze. Otuliła się ciasniej opończą Jamesa. Pachniało tu dziwnie. Lea spojrzała w górę, ale sufit był tak wysoko, że ledwie go widziała. Przycisnęła ramiona do piersi, próbując przywołać wspomnienia letnich dni, ale ciemność zdawała się wypełzać z kątów i dziewczynka miała tylko ochotę krzyczeć.

Kroki Branda odbijały się echem w szerokim holu. Lei wydawało się, że szli długo, ale gdy zerknęła przez ramię, z zaskoczeniem stwierdziła, że ledwie oddalili się od wejścia. Wreszcie dotarli do kolejnego ogromnego pomieszczenia, z gigantycznym drewnianym stołem zastawionym do posiłku. Siwowłosa kobieta mniej więcej w wieku Gillian stała pod ścianą, mamrocząc do siebie. Brand klasnął, a ona pospiesznie się oddaliła.

– Mieliliśmy zasiąść do kolacji - powiedział Brand. - Nasyćcie się, a wtedy chętnie posłucham czegoś więcej o waszych podróżach.

Lea wraz z Cainem zasiedli przy końcu stołu. Zaraz służba poczęła wnosić półmiski pełne parujących dań: kurczaki nabite na poczerniałe różny, grube, soczyste płaty czerwonego mięsa, szparagi, ziemniaki, bochny gorącego chleba. Lei głośno zaburczało w brzuchu. Zaczęli nakładać sobie na talerze, podczas gdy Brand przyglądał im się z nieobecnym uśmiechem, złożony dłonie tak, by stykały się jedynie czubkami palców. Jedzenie nie miało smaku, ale Lea nie zwracała na to uwagi, było gorące i było go dużo. Wgryzła się w udko kurczaka, aż tłuszcz jej pociekł po brodzie, oderwała kawał chleba i wytarła z talerza bulion. Ziemniaki parzyły jej palce, ale i tak nie przestała jeść. Popiła wszystko kubkiem wina.

Obok Cain posilał się w milczeniu. Brand nawet nie uszczknął kęsa, tylko przyglądał się bez słowa, od czasu do czasu skinieniem polecając służbie uzupełnienie tej czy innej potrawy.

Lea jadła, dopóki nie mogła już nic zmieścić. Resztki mięsa na jej talerzu były niedopieczone i sączył się z nich różowawy płyn. Przełknęła z trudem kluchę, jaka nagle urosła jej w gardle, i odwróciła wzrok od jadła, rozglądając się po komnacie, pełnej cieni gromadzących się po kątach i pełznących po podłodze niczym czarna mgła.

– Powiedzcie więc - zagał Brand - jakie to sprawy sprowadzają was do Kurast?

Cain podniósł wzrok znad talerza. W świetle pochodni jego oczy lśniły szkliscie.

– Wolałbym o tym nie mówić - odparł. - Chętnie jednak zapłacę za gościnę. - Położył na stole bryłkę złota.

– Niech będzie. Ale nie chcę twojego złota. Nie mamy tu zbyt wielu gości, ale ci, którzy się zjawiają, zwykle zatrzymują się na dłużej, niż

zakładali.

– Rano już nas nie będzie.

– Być może. - Brand potrząsnął mankietem i w jego dłoni pojawiła się talia kart. - Wyglądacie, jakbyście czegoś szukali, moi mili. Pozwólcie, że zaoferuję wam wróżbę. Karty mogą odsłonić przed wami przyszłość i pomóc wybrać właściwą drogę.

Karty w jego dłoniach ożyły i przepłynęły między długimi palcami. Począł zgrabnie wykładać je na stole, jedną, drugą, następną. Były duże i sztywne, wymalowano na nich jaskrawe czerwono-czarne kształty. Pierwsza pokazywała zwój, druga maga z węzłem owiniętym wokół talii, trzecia mężczyznę w rydwanie ciągnionym przez dwa muły: czarnego i białego.

– Taracha to karta, której zwykle przypisuje się niewłaściwe znaczenie - powiedział Brand. Przestał przerzucać karty z dłoni do dłoni i położył resztę talii na stole. - Jej nazwa wywodzi się od słowa *taraq*, drogi. Dróg zawsze jest wiele. Nie ma niczego złego w samych kartach. Są jednak tacy, którzy odwracają się od prawdy, bowiem nie mogą jej znieść. - Popukał kartę lśniącym paznokciem. - Zwój Losu. Nadchodzi zmiana i wasze przeznaczenie. Siły zbierają się na horyzoncie, ważne, doniosłe. - Puknął w kolejną. - Widzicie? Mag. Mogę powiedzieć, że znajdujecie się pod wielką presją, na waszych barkach spoczywa teraz ciężkie brzemie. Przed wami trudne wybory, ale jesteście zaradni. To zadanie was pochłania, a jednak nie macie pewności co do jego wyników. Odpowiedzi mogą pochodzić z wewnątrz lub od kogoś innego, kto może przynieść zmianę. - Stuknął w trzecią kartę. - Rydwan. Porusza się między światami. Może zapowiadać wielką bitwę, którą będziecie w stanie wygrać, o ile odnajdziecie w sobie siły, by wytrwać od końca. Jednak do tego konieczna jest kontrola nad siłami, które mogą człowieka pokonać, i przeciwstawnymi potrzebami,

które mogą go rozerwać. Musicie zapanować nad tymi rozbieżnymi potrzebami i zjednoczyć się, tylko tak zdołacie zatriumfować. Rydwan oznacza wielkie pragnienie zwycięstwa, ale również wewnętrzne skupienie, które może zniszczyć innych wokół ciebie. - Brand zebrał karty i wziął do ręki pozostałą część talii. Tym razem, gdy ponownie zaczął je tasować, nie odrywał hipnotycznego spojrzenia od twarzy Caina, a karty zwalniały w jego dłoniach, zanim odsłoniły obrazki.

Lea patrzyła na zakapturzonego człowieka o skrzydłach utkanych ze światła, wojownika z ogromnym mieczem i na wysoką, mroczną wieżę, w którą uderzała błyskawica. Ten ostatni obrazek natychmiast uznała za niepokojący. Z wieży spadali maleńcy ludzie z wyrazem grozy na malowanych twarzyczkach.

- Sprawiedliwość - podjął Brand. - Występuje w parze z drugą kartą: Sąd. W twojej przeszłości miała miejsce wielka tragedia, musisz ją przezwyciężyć i odzyskać równowagę. Jesteś bardzo pochłonięty tą tragedią, nawet wtedy, gdy starasz się pogrzebać ją w niepamięci. Musisz przyjąć konsekwencje swoich czynów. - Stuknął w ostatnią kartę z wysokim budynkiem wznoszącym się ponad poszarpaną ziemią. Czarna kolumna rozcinała burzowe chmury. W oddali rysunek przedstawiał coś na kształt miasta. Lea przyjrzała się uważniej, u stóp wieży jakieś istoty sięgały ku spadającym ludziom. W karcie było coś przerażającego, ciemność, która zdawała się rozlewać na całą komnatę. Im dłużej Lea przyglądała się obrazkowi, tym bardziej stawał się szczegółowy. - Czarna Wieża. - Brand znowu popatrzył na Caina, na wargach zabłąkał mu się uśmiezek. - Zły omen, obawiam się. Chaos i zniszczenie staną na twojej drodze. Coś, co dawno utraciłeś, powróci. A wraz z tym objawienie i ponownie zmiana, którą zapowiadała karta Maga. Zmiana, która może

zostanie tobie narzucona, może inni ją przyniosą wbrew twojej woli, a może sam coś zmienisz i nigdy już nie będziesz taki sam.

Lea poczuła mdłości. Obrazek na karcie wił się i skręcał. Odwróciła wzrok. I przez chwilę jej umysł odmówił przyjęcia tego, co widziała. Zawartość jej talerza nagle się przeobraziła. Zamiast resztek wyśmienitego posiłku Lea zobaczyła włókna surowej, lśniącej tkanki i matowego futra, a do tego długi, bezwłosy ogon, który drgnął raz i znieruchomiał. Odsunęła talerz przerażona. Nagle Brand zaczął rosnać w jej oczach. Komnata zawirowała, a dziewczynka z coraz większym trudem chwyciła powietrze. Ich gospodarz wydał się gigantycznym krukiem, który przechylał głowę na boki, przyglądając im się niczym padlinie, której miał właśnie zamiar uszczknąć.

Służąca podeszła zmienić zastawę. Nie patrzyła na Leę i nie odzywała się ani słowem, ale dziewczynka dostrzegła sińce na jej szyi, jakby ktoś wcześniej próbował udusić tę kobietę. Chciała krzyknąć, ale nie mogła dobyć głosu. Komnata obracała się wokół niej powoli, ale Lea nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Jej ciało naprężyło się w skurczu, gotowe wyrzucić z siebie wszystko, co zjadła.

– Nie czuję się dobrze - wydusiła niewyraźnie. - Nie... nie sądzę...

Brand poderwał się tak szybko, że niemal wywrócił krzesło.

– Musicie być wyczerpani po podróży. Pozwólcie, że wskażę wam pokoje. Porozmawiamy jutro.

Cain też próbował się podnieść. Oczy same mu się zamykały, ciało osuwało, najwyraźniej z trudem utrzymywał się na nogach. Lea nie mogła się skupić, nie mogła ruszyć nogami. Z cienia wychynęło więcej tutejszych mieszkańców, szarych i pozbawionych życia, ujęli gości za ramiona i pomogli im wstać, a potem iść za Brandem korytarzami ogromnego zamku.

Pokoje ciągnęły się w nieskończoność, pełno tu było przejść prowadzących nie wiadomo dokąd. Większość zamknięta. Lea słyszała głucho uderzenia i jęki dochodzące z za drzwi. Sufit znajdował się tu dużo niżej, wyglądało to, jakby weszli do wąskiego tunelu, po którego ścianach porośniętych jakimś dziwnym zielonym mchem spływała wilgoć, a po kątach wisiały pajęczyny. Lea pomyślała, że to chyba sen, ale podtrzymujące ją dłonie były jak najbardziej realne. Z żółtawymi, zakrzywionymi szponami. Chciała krzyknąć, ale zdołała jedynie szepnąć.

Wreszcie dotarli do kamiennej klatki schodowej. Zamek ciągnął się w nieskończoność. Poprzednie piętro wydawało się niewielkie w porównaniu z tym, które przemierzali. Lea miała wrażenie, że znaleźli się w jakiejś magicznej budowli, która mogłaby pomieścić tysiące ludzi. Kiedy się z trudem obejrzała, nie zobaczyła już schodów.

Teraz cały ciężar jej ciała wspierał się na podtrzymujących ją dłoniach. Odszukała wzrokiem Caina. Starzec miał głowę opuszczoną na piersi, nogi wlokły się za nim bezwładnie. Tu zalegało więcej jeszcze ciemniejszych cieni, świece zostały ustawione w dużych odstępach w niewielkich wykuszach prowadzących do przylegających pomieszczeń.

- To tutaj. - Brand wyciągnął ramię, kierując ich do komnaty sypialnej. Na łóżu z baldachimem pomieściłoby się pięć osób. Na myśl, że gospodarz jej dotknie, Lea zapragnęła krzyknąć. - To będzie odpowiednie miejsce. Młoda dama może spać tutaj, jeśli chce. - Przeszedł do mniejszej komnaty, połączonej z pierwszą drzwiami. Cain zachwiał się i Brand natychmiast znalazł się przy nim, szepcząc mu do ucha, zbyt cicho, by Lea mogła usłyszeć. Zaprowadził Caina do łóża i posadził. - Śpijcie, jak długo zechcecie, mam nadzieję, że będzie wam tu wygodnie.

Lea chciała zaprotestować, powiedzieć coś, co przełamie tę ciszę i wyrwie Caina z transu, ale poczuła jedynie przemożną senność, jej

kończyny stały się niesamowicie ciężkie, oczy same się zamykały. Z trudem podnosząc nogi, skierowała się do mniejszej komnaty. Wydawało jej się, że widzi Gillian stojącą przy łóżku z otwartymi szeroko ramionami. Ale tamtą Gillian sprzed laty, nie tę, która postradała zmysły i próbowała pozabijać bliskich. Tamta Gillian była miła i łagodna, śpiewała Lei do snu i otulała ją kołdrą, jak matka.

*Chodź do łóżka* - powiedziała Gillian, po czym Lea wspięła się na miękką pościel i zamknęła oczy. Przez chwilę miała wrażenie, że ramiona Gillian wydłużyły się i pociemniały, zamieniając się w coś innego, w coś, co popęzło po łóżku, otulając Leę czarnym, bezdźwięcznym kokonem, po czym dziewczynka podryfowała przez nieskończony ocean snu.





## CZTERNAŚCIE



*Ten obcy*

Deckard Cain śnił o ogniu i krwi. Był uwięziony w klatce zawieszanej cztery metry nad ziemią, podczas gdy groteskowo bełkoczące demony obracały w perzynę jego ukochane Tristram.

Powróciły, gdy tylko Aidan opuścił miasto w mroku nocy. Oblężenie Tristram jeszcze się nie skończyło, a stworzenia, które przypuściły atak, były o wiele gorsze od tych, które widzieli wcześniej. Karmiły się ludzkim mięsem, rozdzierając zwłoki na kawałki, kończyła po kończyńie, po czym ścigały nielicznych, którzy przetrwali. Do władzy doszły chaos i nieład, a Cain, ostatni z horadrimów, ostatnia nadzieja dumnego rodu bohaterów, kulił się we własnych odchodach, czekając na śmierć.

We śnie pojawił się nieznany mężczyzna, twarz miał przysłoniętą kapturem czarnej opanczy, plecy garbate. Długim, kościstym paluchem wskazał Caina. Palec wydłużył się i przekształcił w poczerniałą drzazgę, która poczęła owijać się wokół prętów. Przeplatała się z metalem i w końcu pokryła całą klatkę. Wtedy wijąca się macka zaczęła się zaciskać, metal z

jękiem powoli się poddawał, a Cain kulił się w środku, próbując powstrzymać zbliżające się pręty, aż wreszcie nie mógł już oddychać.

Został pochłonięty, porzucony i zapomniany. Sam. Nie był żadnym horadrimem, żadnym bohaterem. Umrze tu samotnie, a Diabło i jego bracia, Mefisto i Baal, zniszczą Sanktuarium raz na zawsze.

Obudził się w ciemności, dysząc ciężko, ciało miał mokre od potu i tak ciasno zawinięte w kapę łóżka, że nie był w stanie się poruszyć. Początkowo nie mógł sobie przypomnieć, jak się tu znalazł, ale po chwili już pamiętał dziwne miasteczko i jego mieszkańców, kroczących cicho z opuszczonymi głowami, tajemniczego lorda Branda i posiłek przy jego stole oraz niekończące się zapasy jedzenia. Potem nic już nie pamiętał. Sklął się za nieostrożność. Niewątpliwie trafił do siedliska zła, choć trudno było zrozumieć, jaki cel przyświeca Brandowi. Co im zrobił? I kto tak naprawdę stał za tym wszystkim?

Cain spróbował usiąść, ale nie mógł. Ramiona miał przyszpilone do boków, nogi unieruchomione.

Nie było żadnej pościeli.

Komnatę oświetlał pojedynczy ogarek, w niewielkim płomyku po ścianach tańczyły dziesiątki cieni.

Łóżko pełne było szorstkich i splątanych korzeni, wiły się, pulsowały i zaciskały wokół Caina, jak kłębowisko czarnych węży. Wyrosły bezpośrednio z podłogi, by pochwycić go w swoje sploty. I widział przerażony, jak pną się kolejne, rosną dłuższe i grubsze, wpełzają na łóżko, by owinać się wokół jego kończyn.

Zarówno laska, jak i torba były poza zasięgiem jego rąk.

Lea. Cain szarpnął się, ale korzenie tylko wzmocniły uścisk, aż z trudem zaczął łapać powietrze. Gdzie się znalazła? Czy była bezpieczna?

Na łóżko padły kolejne cienie. Lord Brand pochylał się nad Cainem, a z nim jego słudzy w szarych habitach. Śpiewali monotonie, a blask lamp, które trzymali, wypełnił komnatę pomarańczową poświatą.

Brand uniósł dłoń, a słudzy zamilkli natychmiast i znieruchomieli za nim jak posągi. Lord uśmiechał się drapieżnie, a lśniące oczy wbił w twarz Caina.

– Myślałeś, że będziesz mógł sam pójść do Kurast? Znaleźć odpowiedzi, których szukasz?

– Uwolnij nas...

– Na razie tu pozostaniesz. Tego życzy sobie nasz pan.

– Któż nim jest?

Brand odwrócił wzrok, już się nie uśmiechał.

– Zrodziliśmy się w ciemności, dla światła, a on poprowadzi nas z powrotem do ognia, w którego płomieniach wykuto ten świat...

– Dość! - przerwał mu Cain. Chciał krzykiem ostrzec Leę, ale zdołał wydobyć z siebie tylko ochrypy jęk. Kosmate korzenie znów zacisnęły się na jego piersi. Stęknął boleśnie. Brand spojrzał mu w oczy.

– Jesteś słaby, Deckardzie Cainie. Szukasz innych, by wykonali za ciebie brudną robotę, a przy tym wciąż nazywasz się horadrimem. Ci, którzy tobie zaufali, zaznali jedynie bólu. Karty mówiły prawdę: pochłonie cię chaos i zniszczenie i zostaniesz osądzony za swoje czyny.

Cain wstrząsnął się jak po ciosie. Brand wiedział dokładnie, gdzie uderzyć: w głęboki strach starca, by nie okazać się tchórzem, w samolubstwo i żal. Zawiodłem. Tak właśnie działały demony, ale Deckard nie mógł pozwolić, by dostrzegły jego słabość. Jednak nie miał dostępu do swej księgi zaklęć, nie miał czego użyć, by uwolnić się z ich szponów.

– Skąd wiesz, kim jestem?

– Wiem, że jesteś głupcem - zasyczał Brand, wyrzucając głowę w przód jak atakująca żmija. - Nadchodzą piekielne plagi. Zniszczą ten świat i wszelkie na nim istnienie, a bramy Królestwa Niebios upadną. Nie możemy powstrzymać plag, ale możemy uniknąć wiecznego ognia, jeśli zrobimy to, co musi być zrobione, jeśli zostaniesz złożony w ofierze, a dziewczynka oddana...

W przyległym pomieszczeniu rozległ się wysoki krzyk. Cain szarpnął się, by spojrzeć w prawo, gdzie znajdowała się komnata Lei. Jeden z kultystów, który stał w drzwiach, nagle zatoczył się, jak pchnięty potężną dłonią. Powiało chłodem i powietrze wokół Caina zaiskrzyło znajomo. Brand odsunął się nieco od łóżka, jego jastrzębie rysy wykrzywiło zdumienie, a potem strach, gdy z przyległej komnaty dobiegł go trzask jak wtedy, gdy rozdziera się coś na strzępy. Skóra na twarzy lorda zafalowała. Na chwilę jego czoło się spłaszczyło, nos groteskowo urósł, a oczy stały się zaledwie ciemnymi paciorkami.

Cain wyczuł ruch.

Lea stanęła w progu swojej sypialni wśród resztek poszarpanych korzeni, które pewnie jeszcze przed chwilą ją więziły. Głowę trzymała wysoko, a oczy jej płonęły. Jednak nie była to Lea, nie do końca. Coś ją wypełniało, dawało jej siły, kiedy bez wahania wypadła z komnaty wprost do posłania, na którym spoczywał Cain. Brand cofnął się, wznosząc ramiona, jakby chciał się przed nią bronić. Lea też uniosła ręce i coś ogromnego i potężnego uwolniło się z jej wnętrza, zapaliło błękitne płomyki na czubkach jej palców, porwało na strzępy krępujące Caina korzenie i cisnęło kultystami o ściany.

Cain znów mógł odetchnąć pełną pierś. Łapczywie zaczerpnął tchu, choć płuca mu płonęły, a nozdrza drażniła woń miedzi, gnijącego bagniska i odór siarki skręcający mu żołądek. Starzec zsunął się z łóżka, chwycił torbę

i kostur. Lea stała w tym samym miejscu, jak skamieniała. Gdy złapał ją za ramię, zwróciła ku niemu buzię pustą i pozbawioną życia. Strzelił palcami przed nosem dziewczynki, ale nie zareagowała. Musiała być w jakimś transie, jak wtedy w Kaldeum, ale teraz nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Ludzie wokół zaczęli się podnosić.

Tam gdzie wiły się korzenie i pędy, teraz zostały jedynie czarne nasiona. Cain zgarnął ich trochę, wrzucił do torby i pchnął Leę ku drzwiom, po czym poprowadził ku schodom. Dom najwyraźniej przeobraził się w ciągu nocy, szeroki korytarz zakręcał, a klatka schodowa była o wiele dalej, niż Cain pamiętał. Zwalczył uczucie dezorientacji i ruszyli w dół po stopniach. Dalej też wszystko wyglądało inaczej, szli korytarzem dłużej, niż to zapamiętał, i mijali drzwi, których z pewnością wcześniej nie widział. Wreszcie dotarli jednak do wyjścia. Cain pchnął skrzydło drzwi i wraz z dziewczynką wybiegli w chłód nocy.

Gęsta mgła kłębiła się przy ziemi, zasłaniając podmurówki okolicznych domów. Na głównej ulicy było teraz więcej mieszkańców, skandowali równym chórem, odziani w identyczne szare opończe. Próbowali pochwycić Caina i Leę, ale byli niezdarni i powolni - Deckard zawinął kosturem i natychmiast się od nich uwolnił. Wtedy usłyszał krzyk. Odwrócił się i zamarł zdumiony. Tym miejscem zaiste rządziła potężna magia.

Lord Brand ruszył ich śladem, ale zamku już nie było. W jego miejscu stał skromny piętrowy dom ze słomianym, na wpół zapadniętym dachem.

– Biegnij, Leo - polecił Cain dziewczynce.

Bramy były uchylone. Rzucili się z Leą w ich stronę. Teraz to ona biegła przodem. Skręcili w ulicę, zanurkowali w ciemną alejkę, a Lea już zmierzała do kolejnej, podczas gdy odległość między nią a Deckardem z każdym krokiem rosła. Cain biegł niezgrabnie, płuca paliły go żywym

ogniem. Próbował nadążyć, ale Lea była szybsza i za którymś zakrętem stracił ją z oczu. Zatrzymał się na rogu, dysząc w panice. Gdzie ona się podziała?

Miasto pogrążone było w ciszy i ciemności. Wyglądało na dawno opuszczone i po raz kolejny Cain miał to samo uczucie co wtedy w Kaldeum, że tylko on jeden pozostał w Sanktuarium.

Za jego plecami rozległ się krzyk i Cain miał się już rzucić do ucieczki, gdy usłyszał nagłący szept:

– Tędy, szybko!

Ktoś dawał mu znaki z głębi alejki. W ciemności Deckard dojrzał jedynie błysk oczu i ruch dłoni. Zawahał się. Odgłosy pościgu stawały się coraz głośniejsze. Za chwilę pogoń dopadnie uciekiniera.

– Dziewczynka jest tutaj - usłyszał Cain. - Bezpieczna. Proszę! Chodź!

Niech archanioły mają nas w opiece, pomyślał i przeszedł na drugą stronę ulicy tak szybko, jak pozwoliły mu na to obolałe nogi. Zanurzył się w mrok alejki, gotów zmierzyć się z tym, co nań tam czekało.



# PIĘTNAŚCIE



## *Cmentarzysko*

Chwilę trwało, zanim oczy Caina przyzwyczyły się do ciemności i mógł zobaczyć, kto właściwie wołał go z alejki. Mężczyzna, który siedł teraz przed nim, miał gładko ogoloną głowę, a za odzienie służyła mu jedynie tkanina udrapowana wokół bioder. Poruszał się z cichą gracją, przemykając bezszelestnie przez noc.

Nieznajomy poprowadził Caina do końca uliczki, wprost na pas wolnej przestrzeni za ostatnim rzędem domów, a przed murem otaczającym miasteczko. Lea czekała na nich, ale w żaden sposób nie zareagowała na pojawienie się Caina, najwyraźniej nadal pogrążona w tym samym co wcześniej transie.

Za nimi w uliczce błysnęło światło, ktoś krzyknął i Cain usłyszał tupot biegnących stóp.

– Tędy - odezwał się mężczyzna, zsunąwszy się do rowu przy kamiennej ścianie muru. - Musimy już iść.

Cain ujął Leę za ramię i pomógł jej zejść do rowu, zaraz obok ujścia glinianej rury, z którego sączył się strumyczek wody, najpewniej ścieków



płynących z miasta i dalej, poza jego granice. Wylot zabezpieczony był żelaznymi prętami. Część z tych prętów została odgięta - w powstałej luce mógł się zmieścić człowiek.

Mężczyzna zniknął w otworze pod murem, Cain najpierw pomógł Lei, a potem sam się przecisnął. Brązowa, cuchnąca ciecz zmoczyła mu tunikę i obmyła chłodem bolące kolana i ręce, którymi się podpierał. Pod koniec musiał położyć się na brzuchu i czołgać, popychając swoje rzeczy przed sobą. Lodowata woda przemoczyła mu odzienie. Przeżył chwilę prawdziwej grozy, gdy kawałek jego ubrania zaczepił o coś i Cain nie miał sił, by się uwolnić, wtedy jednak nieznajomy ułapił go za ramiona i pociągnął aż do końca tunelu. Rozcięcie na boku, pamiątka po przeprawie po zwalonym pniu, ćmiło. Cain z trudem się podniósł. Wraz z nieznajomym wyszli ze ścieku między drzewa, na szczęście teren był płaski i w znacznej mierze pozbawiony poszycia, więc mogli poruszać się dość szybko.

Lodowaty powiew przykleił mu mokrą tunikę do piersi i nóg. Cain dygotał, zęby mu dzwoniły, ręce się trzęsły. Cienie trzepotały wokół, tworząc iluzję ruchu. Deckard słyszał, jak coś pełźnie, miękkie łupnięcia i szelest suchych liści, cichy trzask gałązki i czasem trzepotanie skrzydeł gdzieś nad głową. Dotarli do miejsca wolnego od zmarniałych drzew. Mgły tutaj nie było, za to z ziemi sterczały nagrobki niczym wielkie, nierówne zęby. Kamienie pochylające się pod najróżniejszymi kątami otaczały kręgami płacyk, na którym wznosił się grobowiec.

Cain poczuł, jak gromadzi się mroczna energia. Drzwi grobowca stały otworem. W środku czaiła się ciemność.

Nieznajomy przekroczył linię pierwszego kręgu grobów, ujawszy Leę za rączkę. W świetle księżyca Cain mógł mu się przyjrzeć. Mężczyzna był chyba mnichem. Miał gęstą czarną brodę, ciężki drewniany naszyjnik, przedramiona okryte zbroją i sięgające kolan buty. Piers miał odsłoniętą i

Cain mógł zobaczyć potężne węzły mięśni na nagich barkach i ramionach. Przyjaciel czy nie, Deckard musiał zaufać obcemu. Jak na razie zresztą Cain nie miał powodu, by wątpić w czystość intencji nieznanego. A jeśli Deckarda nie myliło przecucie, to wkrótce będą potrzebowali każdej możliwej pomocy.

I jak na zawołanie spomiędzy drzew wyłoniła się grupa niewyraźnych postaci. Prześladowcy z miasta właśnie ich otoczyli. Obce ręce pochwyciły Caina od tyłu, inne sięgnęły ku Lei i mnichowi.

Mnich ruszył z oślepiającą szybkością. Znikał w jednym miejscu, by nagle pojawić się w innym, tak szybko, że Cain nie mógł nadążyć za nim wzrokiem. Pięści nieznanego uderzały z siłą żelaznych młotów, gdy tylko któryś z mieszkańców miasteczka ośmielił się podejść wystarczająco blisko. Uścisk przytrzymujących Caina dłoni rozluźnił się i starzec opadł na kolana w miękką ziemię. Zdążył jednak dostrzec, jak mnich rozbija głowy, z ogromną siłą uderzając jedną o drugą. A potem kopnięciem w pierś odrzuca kolejnego napastnika na co najmniej trzy metry. Kiedy kilku kolejnych kultystów rzuciło się do ataku, na podobieństwo bezmyślnych marionetek, mnich zawirował i uwolnił potężną błyskawicę, która popędziła przez mrok, rażąc oczy Caina i zmuszając go, by osłonił twarz przedramieniem. Kiedy opuścił rękę, białe plamki światła wciąż tańczyły mu przed oczyma, a z kultystów pozostał jedynie makabryczny krąg poodrywanych kończyn i niekompletnych ciał. Lei, stojącej zaledwie kilka kroków dalej, nawet włos nie spadł z głowy. Dziewczynka stała nieruchomo jak wrośnięta, spojrzenie miała puste i nawet nie mrugała.

Krzyk wściekłości wstrząsnął cmentarzem i spomiędzy drzew wypadł lord Brand. Uniósł ramiona. Cain poczuł, jak ziemia pod nim zaczyna drżeć. Przerażony podniósł się z klęczek. Coś próbowało wygrzebać się na

powierzchnię. Nagle z podłoża wystrzeliła przegniła ręka, kościste białe palce rozgrzebywały piach jak robaki.

Deckard przypomniał sobie słowa Gillian wykrzyczane w noc pożaru...

*...umarli wygrzebują się z ziemi, jak zrobili to w Tristram. Ziemia się otworzy i bluźnie Piekłem...*

– Musimy uciekać - krzyknął, gdy pod jego nogami przebiegło drżenie i pojawiło się pęknięcie. Mnich porwał Leę i zarzucił ją sobie na ramię. Cain wyciągnął zwój i odczytał go najszybciej jak zdołał, runy zaśniły zielenią i pergamin począł czernieć w jego dłoniach. Czar magii żywiołów - łatwo go rzucić, ale trudno kontrolować. Powinien pomóc w ucieczce. Deckard nie czekał już ani chwili dłużej. Ruszył skrajem cmentarzyska, starając się uniknąć wyłazających z ziemi stworów. Uderzył piorun. Potem kolejny. Wzbiły fontanny ziemi i piachu, paląc przy tym gnijące resztki ciał. Trzecia błyskawica uderzyła tuż przed Brandem i odrzuciła go na idących za nim kultystów.

Cain nie zatrzymał się, by zobaczyć, co działo się potem. Mnich zniknął już między drzewami i starzec pospieszył za nim ile sił w nogach, zostawiając za sobą cmentarz wydany na pastwę żywiołu.

Biegli między nagimi pniami rozświetlanymi uderzeniami błyskawic. Przedzierali się przez zarośla. Zmoczyli nogi w kolejnym potoku. Gałęzie drapały twarz Deckarda, gdy chwiejnie parł naprzód.

W pamięci nieustannie odtwarzał to, co działo się w miasteczku i na cmentarzu, próbując zrozumieć, co kryło się za tymi wydarzeniami. Jak to możliwe, że Brand i jego ludzie dopadli Caina tak szybko? Kim właściwie był ów niby-lord? Jaki miał cel?

*Nasz pan nakazuje* – powiedział do Caina. Mnóstwo też wiedział o Deckardzie i o jego studiach nad zakonem horadrimów. Wiedział też, że

nadciągająca inwazja demonów. Ale nie odpowiedział na zasadnicze pytanie:  
kim był jego pan?



## SZESNAŚCIE



### *Ukryta komnata*

Mroczny szedł przez spękaną ziemię. Przechadzał się wśród biesów, które popiskiwały i baraszkowały pod krwawo zabarwioną tarczą księżyca, depcząc dusze potępionych rozszczepionymi kopytami. Tylko ich miał za towarzystwo i innego nie pragnął. Ta pustynia należała do niego. Ziemia pozbawiona zieleni, odarta z życia, które rozkwita pod słońcem - wolna również od ludzkiej obecności, a przynajmniej w tej części, którą uważał za swoją.

Niedaleko w ruinach opuszczonego miasta spali jak zabici żywi, wciąż oddychający ludzie, a właściwie ich łupiny, do cna opróżnione z wolnej woli. Krańcowo wyniszczeni, żyli jedynie po to, by służyć. On zaś brał, co chciał, jego upiorni żołnierze trzymali garstkę ludzi żelazną ręką. Esencja życia tych żalosnych istot stanowiła kluczowy element planów nakreślonych w oparciu o dogłębne studia nad dokonaniem największych z czarnoksiężników. Tego, co zamierzał osiągnąć Mroczny, nie próbował dokonać jeszcze nikt. Przynajmniej nie na tę skalę. Będą mu potrzebne

tysiące ludzkich dusz. I znajomość mrocznej sztuki na poziomie arcy mistrzowskim, jaki niewielu dotąd osiągnęło.

Na przykład on.

Już jako chłopiec czuł, że jest w nim coś, co nie pasuje do biedy i warunków, w jakich egzystował. Wiedział, że jego prawdziwe urodzenie jest wyższe niż innych chłopców, z którymi przebywał w kolejnych sierocińcach.

Nie znał swojej matki ani ojca. Zniknęli wcześniej, niż sięgały jego najpierwsze wspomnienia. Jedyne, co pozostało mu po rodzinie, to nazwisko i herb na obszarpanym kawałku pergaminu, który zawsze miał w kieszeni. Wyobrażał sobie, że rodzice byli szanowanymi i potężnymi ludźmi, którzy zostali zmuszeni, by się ukrywać, albo też zginęli w politycznych zamieszkach. Dlatego musieli go oddać, gdy był jeszcze niemowlęciem, inaczej groziłaby mu śmierć z rąk ich prześladowców. W sierocińcach cierpiał głód, bicie, noce spędzał w zimnych salach, na zawoszonych słomianych siennikach. Spędzał codziennie piętnaście godzin na pracy, piorąc ubrania w strumieniu, zżynając zboże i czyszcząc stajnie, a przy tym znosząc cały czas prześladowania rówieśników, które często kończyły się krwotokiem z nosa albo rozciętą wargą. Każdą wolną chwilę poświęcał na naukę czytania, a potem doskonalił umiejętność, pochłaniając każdy tekst, jaki tylko wpadł mu w ręce.

Wtedy właśnie nauczył się też przydatnych informacji o ludzkiej naturze: przeważająca większość przedstawicieli tego rodzaju, gdy pozostawiona sama sobie i narzędziom własnego przemysłu, okazuje się nie tym, czym się zdaje. Historie o demonach i potworach opowiada się, by trzymać dzieci w ryzach, jednak wszystko wskazywało na to, że prawdziwe potwory zwykle występowały w ludzkiej postaci.

W końcu ktoś zwrócił na niego uwagę. Wtedy Mroczny był już starszy i żył sam, na ulicy. Czarodziej, który go przygarnął, miał oko do naturalnych talentów i upodobanie do zadawania bólu. Ten czarnoksiężnik nie był dobrym człowiekiem, ale z pewnością potężnym i Mroczny wiele się od niego nauczył. Więcej nawet, niż podejrzewał jego nauczyciel. Mroczny znalazł tajne teksty ukryte w bibliotece. Później, gdy przeszukiwał zmurszałe grobowce i zapomniane komnaty rytualne, gdzie jego pan posyłał go dla zdobycia artefaktów z czasów, gdy to magowie rządili Sanktuarium, natrafił na znacznie więcej.

W jednej takiej ukrytej komnacie odnalazł tekst, który przemówił doń tak jak żaden wcześniej. Był to traktat genealogiczny, który opisywał szczegółowo potomków jednego z najpotężniejszych magów w historii. A na okładce, traktatu wytłoczony był herb, ten sam, który Mroczny nosił w kieszeni.

+

Wyrzucone na brzeg muszle trzaskały mu pod stopami. Plecy miał zgarbione, głowę pochyloną. Zerkał spod kaptura. Woda za plecami wypełniała mu nozdrza intensywnym zapachem siarki. Na płyciznach mieszkaly czerwonoskóre bestie, które potrafiły rozwiać się jak dym, krwawe widma krzyczące bezgłośnie po nocach. Gromadziły się tu dla niego i nie potrwa długo, zanim wszystkie znajdą się pod jego kontrolą. Wkrótce, myślał Mroczny, będę panował w całym Sanktuarium.

Zbliżał się Koniec Dni, kiedy to księżyc stanie się czarny, a jego wpływ oderwie morza od brzegów. Mroczny zakończy wtedy proces transformacji i zajmie należne mu miejsce u boku Władcy Kłamstw. A wtedy zetrze tę



plagę, jaką jest ludzkość, z oblicza świata i zapełni go prawdziwymi potworami. Otworzy bramy tym, którzy dokonają przebudowy. Takie było przeznaczenie.

*Znajdź dziewczynkę.*

Słowa wionęły mu do ucha i Mroczny natychmiast się skoncentrował. Wiatr przyniósł szum skrzydeł. Zwiadowcy wracali i mieli wieści. Nie ośmieliliby się powrócić z niczym.

Mroczny czekał, a przeogromny ptak śmignął ku niemu przez noc i wylądował z łopotem piór, wzbudzając przy tym na powierzchni wody drobne fale. Ptak wyciągnął szpony, a jego nogi wydłużyły się i pogrubily, skrzydła zwinęły się, zmieniły, pióra transformowały, zlewając się w jednolitą czarną tkaninę płaszcza, dziób przekształcił się w orli nos.

Przed Mrocznym stanął mężczyzna wysoki, wychudzony i blady. Dłonie trzymał splecione na brzuchu, na podobieństwo splątanych w walce pajaków. Płaszcz miał podobny do tego, który spływał z ramion Mrocznemu, równie przygarbione plecy, ale na tym podobieństwa się kończyły.

– Panie mój - odezwał się nowo przybyły - mam wieści. Widziałem dziewczynkę, której szukasz.

Mroczny uśmiechnął się. Na to czekał. Wkrótce dziewczyna i jej kompan będą w jego mocy.

– Masz ją zatem?

Uśmiezek lorda Branda spełzył z jego wąskich warg.

– Uciekła nam wraz ze starcem - wyznał Brand, odwracając wzrok. - Był tam ktoś jeszcze, kto udzielił im wsparcia. Mimo przepowiedni nie zdołaliśmy tego przewidzieć.

Gniew zalał czarną falą serce Mrocznego. Postąpił krok naprzód, zaciskając dłonie w pięści.

– Jak mogłeś do tego dopuścić?

– Związaliśmy ją czarem, jak zalecałeś, ale czarna magia okazała się nie dość silna. Dziewczynka się uwolniła. Nadal mielibyśmy szansę dopaść ją na cmentarzu, gdyby nie mnich i starzec. Jest... zaradny.

– Jest niczym. Słaby, bezużyteczny i pogrążony w złudzeniach.

– Wezwał potężną burzę, panie mój. A i czar, który ich ukrywa, nadal działa.

– Zawiodłeś.

– Ja... błagam o wybaczenie, panie.

– Pozwól, że coś ci pokażę - odparł Mroczny. Poprowadził Branda do wieży, przez ukrytą pokrywę do pomieszczeń poniżej. Tym razem minął cele z ludźmi wiszącymi na hakach i zszedł niżej i jeszcze niżej. Jęki i zgrzyt łańcuchów niosły się niestrudzenie do większej komnaty, gdzie na porośniętych mchem ścianach nie było ani jednej pochodni. Istoty gromadzące się w tym miejscu nie przepadały za światłem, ale Mroczny nie miał nic przeciwko ciemności, jego oczy też do niej nawykły, a mech na ścianach emanował bladą zielonkawą poświatą, zupełnie wystarczającą, jeśli chodziło o potrzeby Mrocznego. Wielka kamienna konstrukcja wypełniała komnatę niemal całkowicie. Wokół niej zostało jedynie przejście szerokie na trzy metry. Konstrukcja była niczym bulwa na końcu długiej kamiennej wici rosnąca w samym środku Czarnej Wieży. Rozmieszczone co kilka metrów półkoliście wysklepione przejścia pozwalały przedostać się do muru otaczającego konstrukcję. Z każdego z tych przejść wynurzyła się istota o bladej skórze połyskującej w słabym świetle.

Mroczny i jego towarzysz przyglądali się istotom w milczeniu.

– Czym oni są? - wyszeptał wreszcie Brand. Twarz miał białą jak śnieg, bez jednej kropli krwi, usta rozchylone ze zdumienia. - Pijawce? Słyszałem

opowieści, ale nigdy nie widziałem...

– Kiedyś byli ludźmi - odpowiedział Mroczny. - Tymi, których najłatwiej było poddać zepsuciu poprzez strach, chciwość, gniew. Teraz istnieją tylko po to, by zbierać to, co posiadają inni, i przynosić do mnie, w bezpieczne miejsce. To broń, bardzo wyjątkowa i bardzo niebezpieczna. Zapewni nam zwycięstwo w nadchodzącej wojnie.

Istoty przesunęły się do przodu na czworakach, plecy miały garbate, groteskowo wykręcone, brzuchy obrzmiałe i spuchnięte jak u kleszczy. Jedna przepęzła tuż obok, unosząc ślepą, okrągłą twarz. Mroczny położył dłoń na gorącej, spoconej czaszce, a istota zasyczała zadowolona.

Stwór podpełzł do kamiennej konstrukcji, objął ustami wąskie rurki wystające z kamienia naprzeciw każdego wejścia. Echo potwornych krzyków i szlochów przepłynęło przez komnatę, echo agonii tysiąca ludzi. Istoty wśród dreszczy i upiornych westchnień oddawały swe brzemię, a ich obrzmiałe korpusy, znów odrażająco chude, stały się szkieletami obciążonymi suchą skórą.

Brand cofnął się gwałtownie, gdy widmowe łupiny zawracały, robiąc miejsce dla kolejnych pijawców. Wraz ze swym gospodarzem obserwował, jak makabryczny cykl powtarza się raz po raz, jak wciąż pojawiają się nowe pijawce, gotowe opróżnić brzuchy do kamiennego naczynia. A krzyki i zawodzenia potępionych niosą się przez ciemność.

– To moi lojalni słudzy. Nigdy mnie nie zawodzą - powiedział Mroczny. - Rozumiesz?

– Rozumiem, panie. - Brand skłonił głowę.

– Dobrze. - Mroczny czuł, jak gniew w nim kipi, moc pieni się i burzy, wrywając na zewnątrz. Zgrzytnął zębami, kiedy wychodzili na powierzchnię, i pomyślał o tych wszystkich, którzy przez lata źle go osądzili. Zapłacał za swoje grzechy. Przez ułamek sekundy wyobraził sobie,

że ponosi porażkę, powolną śmierć, po której przyjdzie zapomnienie, a herb rodzinny ponownie zostanie pogrzebany w trzewiach historii, podczas gdy Deckard Cain i jego dziedzictwo będą trwać.

Fale z miękkością oleju obmywały teraz skalisty brzeg, w głębinach przybyło jeszcze demonów. Mroczny zwrócił się ku Brandowi. Uniósł ręce i wypowiedział słowa starożytnych Vizjerei, przyzywając moc samego Bartuka, wodza krwi, pana demoniej magii, który zaprzął do służby moc Płonących Piekieł.

Gniew Mrocznego eksplodował rozpalonym do białości błyskiem. Strzała czystej energii uderzyła Branda w pierś, otworzyła w jego ciele dymiącą dziurę i przewróciła ptasznika na ziemię. Lord zwinął się, krzycząc z bólu i strachu. Mroczny ruszył, czując, jak moc wzbiera w nim ponownie, cudowny smak euforii przepęłnił go, gdy szykował się, by uwolnić moc i zgnieść każdą kosteczkę w ciele swego sługi. Demoniczni widzowie baraszkujący wśród kipieli zakrzyczeli w podnieceniu, gotowi kapać się we krwi. Ich karykaturalne ciała pulsowały z ekscytacji w oczekiwaniu jatki.

– Czekaj - krzyknął Brand, unosząc okrwawioną dłoń. Drugą przyciskał do rany na piersi. Krew sączyła mu się między palcami i spływała na piasek. - Błagam. Nie... wszystko stracone!

Mroczny zatrzymał się. Moc przetaczała się niczym kula lawy w jego wnętrznościach.

– Mów prędko - warknął przez zaciśnięte zęby. Twarz wykrzywił mu grymas przyjemności i cierpienia zarazem. Pochylił się, odsunął dłoń ptasznika i wsadził palec w ranę w jego piersi. - Zostało ci zaledwie kilka chwil życia.

– Starzec i dziewczynka zmierzają do Kurast - krzyknął Brand, kaszląc krwią. - Jestem tego pewien. My... możemy znów ich odnaleźć.

– To prawda - rzekł Mroczny. - Może w istocie zdołamy ponownie ich odnaleźć, ale obawiam się, że nie weźmiesz udziału w tych poszukiwaniach.

Wyprostował się, zamknął oczy i uwolnił moc swej furii. Błękitny płomień strzelił z jego palców i popłynął w stronę ptasznika, spowijając sługę. Mroczny odwrócił się, gdy nad piaskiem uniósł się zapach spalonego mięsa. Demony rzuciły się na zwęglony zewłok, wyjąc z zachwyty, i poczęły odrywać spaloną skórę szponami i zębami.

Lord Brand. Mroczny potrząsnął głową. Co za pretensjonalne imię dla tak bezużytecznej istoty. Ptasznik pasowałoby o wiele lepiej. To jednak nie miało już znaczenia. Ptasznik czy Brand, wróci do Płonących Piekieł, by stawić czoła rozgniewanemu władcy.

Byli inni, wielu innych, którzy będą dlań pracować, tego Mroczny był pewien. Pomyślał o drodze do Kurast, długiej, wyludnionej, krętej, niebezpiecznej. Lecz teren, który trzeba będzie przeszukać, nie był wcale wielki i nie był daleko. Wszystko mogło się zdarzyć, podróżników można będzie zatrzymać i doprowadzić przed oblicze Mrocznego. Uśmiechnął się, gdy rozważał możliwości. Od razu poczuł się spokojniejszy. Już wkrótce dostanie dziewczynkę. Być może ta sprawa wymaga zmiany podejścia, subtelniej szych kłamstw, oszustwa, innych metod manipulacji. Tej, której zazwyczaj używali jego słudzy, by doprowadzić pożądaną osobę prosto do drzwi pana. Władca Kłamstw z pewnością to pochwali, najwyższy czas, by się spotkali i omówili tę kwestię osobiście. Czasu ubywało, a spraw do załatwienia wręcz przeciwnie.

Starzec, chce czy nie, będzie posłuszny woli Władcy Kłamstw. Głupiec zginie bolesną śmiercią, jak powinni byli przed laty zginąć jego przodkowie i jak zginie każdy, kto stanie Mrocznemu na drodze.

Koniec Dni był tuż.



## SIEDEMNAŚCIE



### *Droga do Kurast*

Mikułow stał na szczycie wielkiego głazu i przyglądał się okolicy w czystym świetle poranka. Droga wiodła przez dolinę, a im bliżej było do Kurast, tym mniej drzew rosło po obu jej stronach, tym bardziej ziemia stawała się nieurodzajna i pozbawiona życia.

Miasto potępionych. Pozostało doń mniej niż dwa dni wędrówki, a co tam się znajduje, zmieni na zawsze ścieżkę życia Mikułowa. Tego mnich był pewien. Tak mówiły przepowiednie spisane przed wiekami i jego sny. Wspomnił swych mistrzów w klasztorze z ukłuciem smutku. Nigdy nie będzie mógł powrócić. Ale takie było przeznaczenie i zamierzał wypełnić je aż do końca.

Uniósł ramiona, wyciągnął się i stanął na czubkach palców, schyliwszy głowę. Trwał tak przez pięć minut z kamienną twarzą, doskonale nieruchomy. Każdy, kto by na niego spojrział, mógłby go wziąć za wyjątkowo realistyczną rzeźbę. Nikt nie domyślałby się wewnętrznej walki z niecierpliwością, która popędzała mnicha naprzód. Jednak Mikułow

wiedział, jak ważny jest spokój. Lepiej było zachować spokój, niż rzucać się do czynu, nawet jeśli brakowało czasu.

A czasu rzeczywiście było niewiele.

Bogowie będą zadowoleni z tego, że tak bardzo się starał ocalić Caina i Leę. Po wizji w jaskini szedł za starcem i dziewczynką, wypatrując niebezpieczeństwa. Raz trącił stopą kilka kamyków i był pewien, że starzec odkryje jego obecność, bo kamyczki potoczyły się ze zbocza, ale Cain nie zauważył mnicha. Za dziewczynką i starcem Mikułow dotarł do dziwnego nawiedzonego miasta. Wtedy zrozumiał, że musi działać szybko. Tę właśnie chwilę wybrali bogowie.

Oczyściwszy umysł z resztek senności, Mikułow zmienił pozycję i rozluźnił mięśnie, wpierw stóp, potem łydek, ud, pozwalając, by energia przemieściła się do jego torsu. Zdawało się, że tatuaż opiekuna, Ytara, boga ognia, porusza się jak żywy. Mikułow pochylił się, dotknął czołem ziemi, a potem spojrzął w szare niebo. Na horyzoncie gromadziły się burzowe chmury.

Pozostali zaraz się obudzą. Już czas. Zatrzymał się jeszcze, by zebrać dary natury, które rosły w pobliżu klifu, a potem zszedł w dół zbocza i bezszelestnie pobiegł do obozu, by rozpocząć następny etap podróży.

+

Deckard Cain obudził się, uchylił powieki i zdusił jęk zaskoczenia na widok Mikułowa. Z trudem zasnął, nie mógł przestać myśleć o tym, co wydarzyło się na cmentarzu, a jego sny przepełnione wspomnieniami były jeszcze gorsze. Bolał go każdy skrawek ciała i Cain desperacko



potrzebował kąpieli. W przeciwieństwie do mnicha, który wyglądał, jakby spędził noc w najlepszych komnatach cesarskiego pałacu.

Mikułow zaprezentował zebrane w rąbek materiału czerwone jagody.

– Bogowie zapewнили nam posiłek - powiedział. - Są smaczne i mają właściwości lecznicze. Tutaj ziemia nie została jeszcze dotknięta chorobą, która wyniszczyła Kurast.

Cain popatrzył na Leę. Myślał, że mała śpi, ale oczy miała szeroko otwarte. Od wydarzeń na cmentarzu dziewczynka nie odezwała się ani słowem, niczego też nie zjadła. Jagody były bezpieczne. Rozpoznał je, kiedyś badał roślinność tego regionu, aczkolwiek nigdy nie miał okazji ich próbować. Wziął kilka i ani się obejrzał, a zjadł połowę, tak były słodkie i soczyste.

Uśmiech mnicha stał się jeszcze szerszy.

– Dobrze, dobrze - powiedział i skinął głową w stronę Lei. - Wystarczy dla dwojga.

Kolana Caina trzeszczały bólem, gdy wstał, by podać jagody Lei. Nie był pewien, co tak naprawdę zjedli poprzedniego wieczora przy stole lorda Branda, ale jagody działały cuda na podrażniony żołądek.

– Zbierz siły. - Poklepał dziewczynkę po ramieniu. - Ruszymy, gdy będziesz gotowa.

Lea wzięła owoce. W jej oczach błysnął ból tak nieskończony, tak wyraźny i przejmujący, że Cain aż się zachłysnął.

– Możemy porozmawiać? - zapytał mnich. Stał kilka kroków dalej, dłonie splótł na wysokości pasa. Nawet nieruchomy emanował siłą i wewnętrzną równowagą. Po krótkiej rozmowie, którą odbyli poprzedniego wieczora, zanim wyczerpani zapadli w sen, Cain wiedział już, że mnich czytał przepowiednie spisane przez Patriarchów i innych uczonych z Iwogrodu, które w swej treści były niemal identyczne z tekstami

horadrimów i również przestrzegały przed inwazją demonów na Sanktuarium. Mikułow był świadom, że świat musi odzyskać utraconą równowagę. Bogowie są niespokojni, jak mówił.

Mnisi z Iwogrodu w unikalny sposób potrafili połączyć religijny zapał z duchowym skupieniem i wewnętrznym spokojem. Byli nieprzejednani w walce ze złem, które nawiedziło te krainy. Mieć jednego po swej stronie było zdecydowanie atutem nie do pogardzenia.

Cain wrócił myślami do tego, co powiedział mu demon w ruinach Vizjerei.

*Twój zbawiciel jest tak blisko. Ukryty na widoku między tysiącami jemu podobnych, nie dalej jak trzy dni drogi stąd. Demony potrafiły być niezwykle przebiegłe i nie można im było ufać. Ale w ich kłamstwach kryła się zapewne prawda.*

Wraz z Mikułowem przeszli kilka kroków, poza zasięg słuchu Lei. Mnich usiadł na ziemi, krzyżując nogi.

– Nie chcę straszyć dziewczynki - powiedział. - Ale nie możemy zwlekać ani chwili. Musimy iść do Kurast.

Cain patrzył, jak Lea wstaje i podchodzi do skalnej półki, która wyłaniała się spośród martwych drzew. Dziewczynka wspięła się tam i usiadła, wpatrując się w dolinę poniżej.

– Nie mogę jej tam zabrać - westchnął cicho. - To nie miejsce dla dziecka, a wydarzenia ostatnich dni jedynie to potwierdzają. W ogóle nie powinienem był zabierać jej w tę podróż. Potrzeba jej kogoś, kto o nią zadba, zaopiekuje się, miejsca, gdzie będzie się czuła bezpieczna.

– Nie możesz teraz zawrócić...

– Jedynie nadłożę nieco drogi. Kiedy tylko znajdę dla niej dom, wrócę.

– Nie ma na to czasu - zaprotestował mnich. - Ratham rozpocznie się za kilka dni.

– Co przez to rozumiesz? - zdziwił się Cain. Nazwa miesiąca pochodziła od imienia nekromanty, który założył kościół kapłanów Rathmy. Nekromanta ów był czcicielem niebiańskiego smoka Trag'Oula i strażnikiem Sanktuarium.

Tacy jak on posiadali moc wskrzeszania umarłych.

Mikułow wyjął z kieszeni u pasa kilka ciasno zwiniętych zwojów.

– Miałem wizję komnat ukrytych pod ziemią - powiedział. - Pełne były umarłych. I widziałem człowieka albo istotę, która wyglądała jak człowiek, kryjącą się w ciemności. Nazywa siebie Mrocznym. W moich wizjach ten człowiek podnosi umarłych z grobów. - Mnich ostrożnie rozwinął jeden z pergaminów. - To kopia zwoju znalezionej w dżungli, w ruinach Torajan. - Rozwinął drugi. - To przepowiednia Zakarum z jaskiń Zachodniej Marchii. - Rozwinął trzeci. - A ten z Twierdzy Bastionu, pozyskany, gdy istniała jeszcze Góra Arreat. Wszystkie mówią o nadchodzącej wojnie między światłością a mrokiem, o powstaniu umarłych, o wydarzeniach, które będą miały miejsce pierwszego dnia miesiąca ratham.

Cain obejrzał zwoje. Serce zaczęło mu bić szybciej. Mimo że napisane w różnych językach, wszystkie zapowiadały powstanie armii umarłych pierwszego dnia ratham. Stanowiły istotny element ogromnej układanki, którą Cain starał się poskładać od upadku Arreat. A ten młody człowiek je odnalazł. Deckard poczuł lekkie ukłucie zazdrości, że to nie on odkrył te teksty, ale szybko zazdrość ustąpiła miejsca obawie.

– Odkryłem podobne teksty - przyznał. - Ale żadne nie podawały tak dokładnej daty. Jesteś pewien, że nie ma w nich błędu?

– Ich treść została potwierdzona przez Patriarchów, którzy są niezwykle biegli w tych sprawach.

Cain raz jeszcze skupił się na delikatnej pajęczynie liter pokrywającej kruchy pergamin. Jeśli ich treść była prawdziwa, to początek inwazji

demonów był bliższy, niż się spodziewano - zostało zaledwie kilka dni. Nawet teraz siły zła gromadziły się gdzieś niedaleko Kurast i ich uderzenie mogło zmieścić Sanktuarium prosto w otchłań Płonących Piekieł, doprowadzić do upadku Królestwo Niebios, położyć kres życiu w obecnej jego formie...

*... wygrzebują się spod ziemi...*

Cain nie był w żadnej mierze człowiekiem skłonny do hysterii i za swoją mocną stronę uważał umiejętność rozważnego i spokojnego podejścia do sytuacji kryzysowych. Zbadać problem, ocenić rozwiązania i wybrać najlepsze z nich. Jednak spotkanie z lordem Brandem wytrąciło go z równowagi bardziej, niż gotów był przyznać. Wciąż widział przegniłe dłonie przebijające się przez cmentarną ziemię.

Siedem dni.

Mnich czekał cierpliwie, aż Cain się odezwie.

– Ten Mroczny... - zaczął wreszcie Deckard. - Lord Brand, ten w mieście, wspomniał o kimś takim, o kimś, kto mu rozkazuje... może to ta sama osoba?

– Nie mam co do tego wątpliwości. Tego człowieka spala i pochłania nienawiść i zazdrość. To one go napędzają. Ale sam podlega rozkazom kogoś o wiele gorszego. Istoty tak wielkiej i strasznej, że nie znajduję słów, by ją opisać... Miała zbrojne szpony, trzy rogi i płonące żółto oczy. W moich wizjach widziałem ich obu.

Belial. Pod Cainem ugięły się nogi i usiadł ciężko, zmartwiały. Miał pewne podejrzenia, ale słowa mnicha zmieniły je w pewność: Władca Kłamstw.

Przez chwilę szukał właściwych słów.

– Opisałeś jednego z Władców Płonących Piekieł, jak nazywamy tę przeklętą otchłań. Są i inni, ale on i brat jego, Azmodan, urosli w siłę, po

tym jak Najwyższe Zło zostało wypędzone z Piekieł do naszego świata. Widziałem, jak padła potężna góra, gdy zniszczono Kamień Świata. I wiedziałem, że choć Baal i jego armia zostali pokonani, tak naprawdę był to zaledwie początek. Zło zawładnęło naszą krainą. Oznaki zepsucia, jakie dotknęło Sanktuarium, są wszędzie: plaga zaczęła niszczyć nasze morza i lasy, coraz częściej słyszymy opowieści o demonicznych istotach pojawiających się na Ponurych Ziemiach albo wśród dżungli Torajan. Ludzie znikają bez śladu albo gorzej, trawi ich potworna choroba, która rozprzestrzenia się tylko w określonych miastach. Ale obawiam się, że największe zagrożenie dla ludzkości dopiero nadejdzie.

Cain opisał swoją wyprawę do ruin Vizjerei na Pograniczu i to, co tam znalazł: dowody, że zakon horadrimów przetrwał w jakiejś formie. Dowody, które potwierdziły jeszcze słowa Kulloomu w Kaldeum.

Mikułowi skinął głową.

– Musimy odnaleźć tych, co zwą się horadrimami - zdecydował. - A jednak... nie jesteś pewien. - Zerknął w stronę Lei.

– Mam zignorować te znaki i zadbać tylko o dziecko? Ale też jak mogę tak narażać jej życie? - Cain już kiedyś dopuścił się czegoś podobnego wskutek egoizmu i zaniedbania. Nie mógł pozwolić, by wydarzyło się to raz jeszcze.

– Dziewczynka przypomina ci o strasliwym cierpieniu, które stało się twoim udziałem - stwierdził Mikułowi. - Widzę to wyraźnie. To naturalne, że próbujesz ją chronić. Ale ona jest częścią tego, tak samo jak ty. Przepowiednie o nadchodzącej wojnie i dla niej przewidują rolę.

– Jest zaledwie dzieckiem...

– Musisz pogodzić się z teraźniejszością i ze wszystkim, co przyniesie przyszłość. To, czego doświadczyliśmy zeszłej nocy, winno być nam ostrzeżeniem. Działa tu niebezpieczna magia. Taką mocą, która zdolna jest

obudzić umarłych, nie każdy może władać. Ktokolwiek za tym stoi, jest wielkim czarownikiem i zna najbardziej niszczące z demonich zaklęć. A jego czas nadchodzi i nadejdzie, jeśli go nie powstrzymamy.

+

Lea nadal siedziała na skale ze skrzyżowanymi nogami i wpatrywała się w dolinę. Cain usiadł obok. W milczeniu czekał, aż dziewczynka się odezwie.

– Tu nie ma zwierząt - szepnęła po chwili. - Gdzie zniknęły? I drzewa. Spójrz tylko.

Cain spojrzał. Dolina wiodąca do Kurast była niczym skaza na obliczu ziemi. Dawniej roślinność rosła tu bujnie i zieleniła się intensywnie. Ale teraz im bliżej miasta, tym więcej drzew było szarych i obumarłych, jakby ogień przeszedł tędy, zamieniając ich liście w popiół.

– Podejrzewam, że zwierzęta się ukryły, tak jak i większość ludzi - odparł Cain. - Wyczuwają, że otoczenie nie jest przyjazne. Drzewa się pewnie do tego przyczyniły.

– Czy my też się ukrywamy?

Niemożnością było zostawić to pytanie bez odpowiedzi. Dawniej Cain może zacząłby wykład na temat zła i narodzin bohaterów, którzy walczyli z owym złem. *Pod nieobecność prawdziwych bohaterów inni muszą odpowiedzieć na wezwanie.* Ale coś kazało mu zamilczeć.

– Tak mi się wydawało - powiedział po prostu. - Myślałem, że należy znaleźć miejsce, w którym byłabyś bezpieczna.

Spojrzała na niego bystro.

– Zostałbyś tam ze mną?

– Moja wędrówka jeszcze się nie skończyła, Leo. Nie mogę uciec przed przeznaczeniem. Ale znajdę jakieś miejsce dla ciebie, obiecuję. I wrócę, kiedy przyjdzie na to czas.

Zapadło milczenie. Cain myślał o długiej drodze powrotnej, o zawalonym moście i o schronieniu, którego przecież nie mieli co szukać w Kaldeum. Gdzie mieliby pójść? Przepłynąć morze do Zachodnich Marchii? Tam też nie znajdzie schronienia dla małej dziewczynki. Sierocińce były zaledwie nieco lepsze od obozów niewolników. Cain westchnął i potarł podbródek. Taka podróż trwałaby tygodniami, a na to nie mieli czasu.

– Tęsknię za matką - oznajmiła smutno Lea. Łza spłynęła jej po policzku.  
- I nie pamiętam, co stało się wczoraj w nocy. Dlaczego nie pamiętam?

– Umysł czasem płata nam figle. Ale wszystko będzie dobrze... - Już kiedy wymawiał te słowa, czuł gorycz zdrady i kłamstwa, jaką niosły ze sobą. - Prawda jest taka - przyznał - że nie wiem dlaczego. Nie znam wszystkich odpowiedzi, choć chciałbym.

Lea jakby zapadła się w sobie, skuliła ramiona.

– Proszę, nie zostawiaj mnie. - Uniosła buzię, oczy lśniły jej w porannym słońcu. – PROSZĘ.

– Będzie lepiej...

– Chcę iść z tobą! - Przechyliła się gwałtownie i objęła go jak mogła najmocniej. Małe piąstki zacisnęły się na tunice Caina, łązy zmoczyły tkaninę. - Nikogo już nie mam. Nawet nie wiem, kim była moja prawdziwa matka. I nie chcę być sama. Moja matka... Gillian ci ufała. Powiedziałeś jej, że się mną zaopiekujesz!

Cain siedział sztywno wyprostowany, podczas gdy Lea nie przestawała szlochać. Tysiące myśli gnało mu przez głowę, niektóre zaś poruszyły wspomnienia ukryte tak głęboko, że zostały zaledwie fragmenty, jak kawałki potłuczonego witraża. Śmiech małego chłopca. Jęki cierpiącej

kobiety. Drewniane koło o szprychach splamionych krwią, obracające się leniwie, oświetlone jasnym, bezlitosnym słońcem.

Nie zniosę tego, pomyślał Cain, nie zniosę ani chwili dłużej. Ale zamiast odepchnąć dziewczynkę, przygarnął ją do siebie, kołysząc w uścisku, póki nie usłyszał, jak szloch cichnie z wolna.

– Już dobrze, Leo - wyszeptał. - Nie zostawię cię, obiecuję. Pójdziemy do Kurast razem.





# OSIEMNAŚCIE



## Zagłada Tristram

*Jak tonący chwytą się brzytwy, tak Deckard Cain łapał się prętów, które oddzielały go od zapomnienia. Gorący wiatr kołysał łagodnie klatkę, niosąc woń zwęglonego drewna i spalonego ludzkiego ciała. Wstyd i przerażenie cięły mu wnętrzności jak nóż. Jęknął na wspomnienie cierpienia i przelanej krwi, których był świadkiem, bolejąc nad tym, co utracił.*

*Wszystko, co miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie, przepadło. Aidan, najstarszy syn króla, dawny uczeń, który wyszedł z katakumb jako bohater, przepadł potem w mrokach nocy. A Tristram stało się przedsionkiem Piekieł.*

*– Mój Aidan - wyszeptał spękanyymi wargami. - Moje Tristram. Dość już, błagam. Dość...*

*Modlitwa, która trafiła w pustkę.*

*Jego członki drżały z wyczerpania, ciało niemal się poddało. Od wielu dni nic nie jadł. Załzawionymi oczyma oglądał pożar, który pochłaniał resztki jego miasta.*

*Przyszli bez ostrzeżenia. Wrócili dobić ocalałych, którzy dopiero co ośmielili się odetchnąć z ulgą po tym, co zgotował im Diabło. Ludzie*

walczyli dzielnie, choć ostatekiem sił, i udało im się parę demonów odesłać do Piekieł. Skrwawiony zewłok kozłogłowego demona leżał na ścieżce z toporem wbitym w pierś. Głowa chochlika spoglądała bezmyślnie na Caina z cembrowiny studni, oczy były do połowy przysłonięte powiekami, zamglone okna do Piekieł.

Ale mieszkańcy Tristram słono zapłacili za swój opór. Ziemia przesiąkła krwią, wszędzie poniewierały się oderwane kończyny, na wpół obgryzione kawałki ciała. A jeszcze niedawno płonęło tu ognisko dla uczczenia zwycięstwa.

Jedno z oderwanych ramion miało charakterystyczne, na wpół zaleczone ślady ugryzień: należało do Farnhama, pijanego ojca trójki dzieci, który wyszedł z katakumb i nadal pozostał sobą.

Ukochane rodzinne miasto Deckarda przepadło na zawsze.

Starzec zakrzyczał, szarpiąc metalowe pręty. Potworny, przygniatający ciężar jego win był nie do zniesienia. Nie mógł żyć dalej, wiedząc, że Aidan przepadł, pochłonięty przez istotę, z którą tak zaciekle walczył. A można było tego uniknąć, gdyby tylko Cain był takim człowiekiem, jakim chciała go widzieć matka. Czy to kara za jego wcześniejsze przewiny? On sprowadził to na nich wszystkich? Nie mógł znieść tej myśli.

– Wracajcie tu, wy odrażające mordercze tchórze! Chodźcie dokończyć swoją brudną robotę! CZEKAM!

Jakby w odpowiedzi na jego wołanie, coś poruszyło się w cieniu za dopalającymi się resztkami tawerny.

Wyszedł stamtąd mężczyzna, powłócząc prawą nogą. Zatrzymał się, przechylił głowę, jakby nasłuchując, i ruszył wprost na placyk, gdzie Cain wisiał w swojej klatce.

Griswold. Kowal. Ale coś było z nim nie tak. Nadzieja Caina umarła wraz z krzykiem na jego wargach. Oczy kowala były dzikie, puste i

bezduszne, wykrzywione usta obnażały zęby, a pokrwawione ręce darły powietrze. Skórę miał bladą, jak to bywa w przypadku umarłych.

Kowal podszedł bliżej. Zatrzymał się pod klatką, popatrując w górę z głodem wymalowanym na twarzy. Wyglądał, jakby widział swój ostatni w życiu posiłek. Dźwięk wydobywający się z jego ust przywodził na myśl lament wiatru w pustej krypcie.

– Nie, Griswoldzie - szepnął Cain. Odsunął się od prętów, trzęsąc głową.  
- Nie ty też...

I gdy przekłeta istota sięgnęła do liny, aby uwolnić klatkę, strzała wbiła się w jej ramię. Griswold zawył i wyrwał grot ze złością. Czarna krew popłynęła mu po ręce. Strząsnął ciemne krople, jak pies otrząsa się z wody, rozbryzgując je we wszystkich kierunkach.

Kolejna strzała świsnęła tuż przy jego głowie. Przekłety kowal rozejrzał się i odkuśtykał, wyjąc ze złości i z bólu.

Cain znów złapał za żelazne pręty. Piękna, wysoka kobieta w stroju amazonki wyłoniła się zza osłony osmalonych krzaków. Rozejrzała się i podeszła do klatki, zakładając łuk na plecy. Miała złocisty hełm i zbroję.

Złapała linę i ostrożnie opuściła klatkę na ziemię. Cain wytoczył się z niej wprost w krwawe błoto. Palcami wczepił się w ziemię i trząsł się cały z ulgi.

Jestem wolny, myślał, uratowany. Tylko po co?

Kiedy podniósł wzrok, zobaczył i innych wojowników: nekromantę, barbarzyńcę, czarodziejkę i paladyna. Wyszli na otwartą przestrzeń i stanęli obok amazonki, otaczając Deckarda półkolem. Pozbierał się jakoś i spróbował wstać, ale nie zdołał. Amazonka ujęła go pod ramię i podniosła.

– Jestem Deckard Cain - powiedział, usiłując zapanować nad miękkimi kolanami. - Ostatni żywy w tym przeklętym miejscu. Jestem waszym dłużnikiem.

– Musieliśmy zmierzyć się z Piekiełm, by tu dotrzeć - powiedział paladyn.  
- Ocaleni łaską światła. Gotowi jesteśmy walczyć dalej. Ale potrzebujemy twego przewodnictwa.

Pod Cainem ugięły się kolana, ale amazonka nie pozwoliła mu upaść. Targała nim prawdziwa burza emocji: myśli o tych, co polegli tutaj, i tych, którzy polegną w najbliższych dniach. Piekielna plaga wcale nie zbliżała się do końca, to był dopiero początek. Teraz rozpełźnie się po świecie.

Chyba że znajdą sposób, aby ją powstrzymać.

– Mroczny Wędrowiec - szepnął Cain. Przeklęte imię samo spłynęło mu z warg, nie mógł już użyć imienia, które człowiek ten nosił dawniej. Już nie. Aidan, którego Cain znał, umarł. - Ma w sobie demona i będzie próbował uwolnić Mefista i Baala. Musimy go znaleźć, zanim będzie za późno.

Potworny krzyk odbił się echem od ścian doliny, wysoki, nieludzki, a kiedy ucichł, straszniejszy jeszcze i głośniejszy grom maszerujących stóp rozdarł ciszę i przyprowadził Caina o lodowate dreszcze przerażenia.

To był krok maszerującej po nich śmierci.

+

Caina obudziło potrząsanie za ramię. Otworzył oczy i w szarym świetle świtu zobaczył zmartwioną twarz Mikułowa.

– Krzyczałeś - powiedział mnich cicho, zerkając na śpiącą obok Leę.

Szli przez cały następny dzień i pod wieczór rozbili obóz wśród wzgórz. Od Kurast dzielił ich zaledwie jeden szczyt. Mikułow udowodnił, że jest wyjątkowo cennym towarzyszem podróży. Sprawdzał, czy przed nimi nie ma zasadzek, umilał drogę opowieściami o swoim życiu w klasztorze Iwogrodu. Z każdym krokiem Lea była nim bardziej zafascynowana.

Cain chciał dalej wypytywać mnicha, kiedy już rozbili obóz, ale zmęczenie go pokonało. Zasnął tylko po to, aby śnić o swej niewoli i rychłej śmierci z rąk demonów, które równały z ziemią jego miasto.

Przewrócił się na bok, łapiąc powietrze jak ryba wyrzucona z wody i ocierając pot z czoła. Spojrzał w ołowiane niebo, nad górami błysnęły pierwsze promienie wschodzącego słońca. Sny stawały się coraz wyraźniejsze, coraz bardziej szczegółowe i niepokojące. Przenosiły go do czasów, których tak bardzo nie chciał pamiętać. Nawet teraz czuł smród zgnilizny i brudu, czuł żelazną podłogę klatki pod stopami, ciepło ognia na twarzy.

Potworne poczucie straty i winy bolało niczym świeża rana. Pamiętał żywo cierpienie i rozpacz z tamtych wydarzeń... Ukochany syn króla został zmuszony do zabicia własnego brata. W oczach starca wezbrały łzy.

– Śniłem o Mrocznym Wędrowcu - powiedział, chwytając oddech. - I o zagładzie Tristram.

Mikułow przykucnął obok, balansując na piętach. Smutek i poczucie straty niemal odebrały Cainowi zdolność formułowania słów. Przez chwilę leżał nieruchomo, wpatrując się w niebo.

– Aidan został obarczony straszliwym brzemieniem, nawiedzony przez potworność. Powinienem był dostrzec znaki, które miałem przed oczami. Byłem jego nauczycielem! Ale myślałem, że to z powodu tego, co był zmuszony uczynić swemu bratu. Myślałem, że to rozpacz, bo był przecież świadkiem rzeczy strasznych. Nigdy nie podejrzewałem... że wsadzi ten przeklęty Kamień Dusz do własnej głowy. Że przyjmie w siebie esencję zła, Diabło. Że stanie się... Mrocznym Wędrowcem.

– Ścigałeś go przez ziemie Sanktuarium.

– Wraz z grupą nieustraszonych śmiałków, owszem. Wymknął się z Tristram w mroku nocy i krótko potem plaga demonów spadła na to, co

zostało z miasta. Ja... zostałem uwięziony w klatce i zawieszony na słupie, aby tak doczekać śmierci. Zmuszony patrzeć... - głos odmówił Cainowi posłuszeństwa. Otarł mokrą twarz skrajem rękawa. - Na niewysłowione okrucieństwa... Wreszcie uwolniono mnie. Horda demonów została odparta, ale Aidan był już daleko, pochłonęło go zło i pragnienie uwolnienia braci Diabło. Aidan, nasz bohater, mój przyjaciel, był stracony. Moi bohaterowie ruszyli za nim, a ja za nimi, ale zawsze byliśmy o krok w tyle. Pokonaliśmy Andariel w podziemiach przeklętego klasztoru, walczyliśmy z Pomniejszym Złem, Durielem, w grobowcu Tal Rashy. Ścigaliśmy Mrocznego Wędrowca do Kurast, po tym jak miasto już padło, w Travincal zwyciężyliśmy Mefista, brata Diabło. Wreszcie dopadliśmy Diabło w Płonącym Piekło i pokonaliśmy go. Aidan... został zgładzony.

- Przykro mi - powiedział Mikułow. - Nasi Patriarchowie uczą, że śmierć jest jedynie drogą do odrodzenia.

- Chciałbym wierzyć, że to możliwe - westchnął Cain. - Ale potworności, które widziałem... - Dygotał od nadmiaru emocji, łzy znów moczyły mu policzki. - Najwyższe Zło zostało pokonane, ale pozostali wciąż mogą zniszczyć ten świat, jeśli taka będzie ich wola. Niektórzy mówią, że tamci są jeszcze bardziej niebezpieczni. Jeśli Belial albo Azmodan przekroczą granice Sanktuarium, niech archanioły mają nas w opiece...

+

Zebrali kilka rzeczy i po krótkim postoju na parę łyków świeżej wody przy pobliskim strumieniu ruszyli dalej. Obozowali zaledwie kilkanaście metrów od drogi, więc szybko na nią powrócili. Szli z ponurą determinacją.

Dzień był zimny i szary, wiatr szarpał ich odzieniem, napełniał nozdrza wonią stęchlizny. Wonią śmierci, jak myślał Cain. Być może Lea nie potrafiła rozpoznać tego zapachu, ale Mikułow skojarzył go bez wątpienia. Popatrywał na Caina posepnie.

Ponownie przekroczyli rzekę, tym razem po mocnym moście. Niebo pociemniało, wiatr się wzmógł. Drzewa tutaj były uschnięte i pozbawione liści, ziemia równie naga. Raz Cainowi wydawało się, że czuje dym, a jakiś czas później natknęli się na resztki ogniska, najwyraźniej zagaszonego w pośpiechu, ale ludzi nie widzieli. Dalej szli ostrożniej, pilnując, by Lea znajdowała się zawsze między nimi dwoma. Ostatnie drzewa ustąpiły miejsca pustynnym chałupkom, stosom śmieci i połamanych mebli. Zobaczyli nawet gnijący zewłok konia.

Przed nimi, jak czyrak na obliczu świata, rozlewało się Kurast.





# DZIEWIĘTNAŚCIE



## *Czerwony Krąg*

Okolica sprawiała wrażenie całkiem wyludnionej. Kiedy weszli szerokim gościńcem do miasta, przez otwarte bramy, kruki krakały im nad głowami. Wiatr gnał ulicą kawałki pergaminu. Zapach mułu z doków czepiał się ich ubrań wraz z innymi woniami, nawet mniej przyjemnymi i trudniejszymi do zidentyfikowania.

Dawne centrum władzy i potęgi Sanktuarium, perła nauki i kultury, zredukowane do tego... miasta duchów, pełnego żebraków i złodziei. Tragedia ta niemal powaliła Caina na kolana. W mgnieniu oka znalazł się w przeszłości, w dniu, w którym on i jego towarzysze podróży przybyli do Kurast śladem Mrocznego Wędrowca. Wtedy miasto znajdowało się pod oblężeniem, ludzie uciekali stąd, żeby ocalić życie. W dokach znajdowali się już ostatni uchodźcy, objuczeni dobytkiem, mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy z twarzami wykrzywionymi przerażeniem, świadkowie niewypowiedzianych potworności.

Ostrzeżenie Kullooma wróciło do Deckarda jak szept wiatru: *Tamtejsi ludzie zabiorą wam wszystko, co zdołają, i zostawią, byście skonali na*

*drodze. Są też inne rzeczy... Jeszcze gorsze.*

Deszcz zaczął padać grubymi, leniwymi kroplami i Lea zadrżała. Noc była blisko, musieli jak najszybciej znaleźć jakieś schronienie.

Ulice Dolnego Kurast były ciche i zastygłe w bezruchu. Niewielkie domki wielorodzinne porzucone popadały w ruinę, wnętrza były ciemne i puste. Najbiedniejsza dzielnica miasta, przeznaczona dla robotników, świetne miejsce, aby się ukryć, jeśli istniała taka potrzeba. Nad nimi wznosiły się większe budynki Górnego Kurast, którego najwyższy punkt stanowiła zapomniana świątynia i relikwiarz. Pod ulicami miasta natomiast żyły istoty, których wspomnienie wciąż jeszcze mroziło Cainowi krew w żyłach. W podziemnych katakumbach błakali się nieumarli i potwory, zarówno śmiertelne, jak i te demonicznego pochodzenia. Tylu ludzi nie chciało dostrzec niebezpieczeństwa czającego się tuż pod ich stopami. Mieszkańcy Sanktuarium nie chcieli wierzyć w anioły i demony ani w światy inne niż ten.

Lea przysunęła się do Caina i Mikułowa, gdy drogę przebiegł jej szczur wielkości niewielkiego psa.

- Trzymaj się blisko, maleńka - polecił Deckard. Spojrzał na mnicha. - Musimy pamiętać, po co tu przybyliśmy. Gdzieś w tym mieście jest człowiek, który będzie mógł nam powiedzieć, czy zakon horadrimów nadal istnieje.

Coś się poruszyło w cieniu między dwoma chatami, coś wielkiego, surowego i połyskującego, po czym natychmiast się schowało. Cain podszedł bliżej. Trup kobiety siedział wsparty o ścianę, w oczodołach kłębiły się larwy, połowy szyi brakowało, jakby coś pogryzło nieszczęsną. Rana wciąż była wilgotna.

Owionął go mdlący zapach. Cain oczyma wyobraźni widział, jak nieboszczka odwraca się w jego stronę powoli - puste oczodoły, rana jak

drugie usta, ramiona uniesione niby zaproszenie do uścisku.

Zza pobliskiego budynku nadpłynął niski jęk. Sześć metrów przed nimi zza rogu wytoczyła się postać. Mężczyzna kiwnął się raz i drugi, jakby pijany, zanim udało mu się stanąć w miarę prosto. Był ledwie co wyższy od Lei, odziany w łachmany z ciemnymi plamami krwi czy też odchodów. Włosy miał długie i skołtunione, brodę natomiast rzadką i pozlepianą brudem, paznokcie tak długie, że podwinęły się do dłoni, z których zdarły skórę do żywego mięsa. Rozejrzał się, mamrocząc pod nosem, wykrzywiony, jakby żuł własny policzek. Szkliste oczy latały mu dziko na boki, aż wreszcie zatrzymały się na wędrowcach. Rzucił się do przodu, składając dłonie w błagalnym geście.

– Macie dla nas jedzenie? Jesteśmy głodni. Błagam.

– Szukamy kwaterunku - odpowiedział Mikułow, stając przed Cainem i Leą. - Miejsca na nocleg.

Mężczyzna popatrzył na mnicha z otwartymi ustami. Zaczął chichotać, najpierw cicho, w garść, ale później już otwarcie, ukazując połamane zęby.

– Chcecie zostać... tutaj? - zapytał, krztusząc się od śmiechu, aż mu łzy stanęły w oczach. - Poszaleliście?

– Szukamy człowieka o imieniu Hyland - powiedział Cain. - Jeśli nas do niego zaprowadzisz, zapłacimy.

– Teraz już za późno. Za chwilę będzie całkiem ciemno. Biedacy. - Znów parsknął śmiechem, rozglądając się przy tym, jak gdyby się bał, że ktoś go usłyszy. - Wszyscy jesteśmy zgubieni. Nie możemy uciec. Wezmą, co zechcą, i nic nie zostawią.

– O kim mówisz? - indagował Cain.

Tamten popatrzył na niego wzrokiem bez wyrazu.

– Przychodzą z Gea Kul, podróżują w nocy. Zobaczycie. - Skinął głową, oczy utkwione miał w punkcie nie z tego świata. - Zobaczycie.

Odchylił głowę, prezentując szyję, całą w siniakach, jakby zostawionych przez gigantyczne paluchy.

Lea pociągnęła Caina za tunikę, wskazując na chaty. Z cieni spoglądali inni ludzie, o twarzach białych jak pergamin, wszyscy, jak ich rozmówca, ubrani w łachmany. Cain dostrzegł dziewczynkę w wieku Lei, stojącą obok kobiety, która mogła być jej matką, i drugiej starszej, może babci.

Stara rana zapiekła boleśnie, uczucia, których istnieniu zaprzeczał.

Sięgnął do torby, wyjął kilka czarnych nasion zebranych w posiadłości lorda Branda.

– Jest w nich czarna magia - powiedział, wyciągając dłoń do rozmówcy. - Oddam je w zamian za miejsce na nocleg. Jeśli posadzicie je pod progiem, nocą urosną w las korzeni i pędów. Musicie być ostrożni, ponieważ złapią i usidlą wszystko, co znajdzie się w ich zasięgu. Ale mogą ochronić was przed tym, co przychodzi z zewnątrz, by na was polować. Czarnej magii obojętne, co pochwyti w swoje sidła. Nie jest wybredna.

Człowieczek szybko zagarnął nasiona i rozejrzał się czujnie, jakby spodziewał się, że coś go może w każdej chwili zaatakować.

– Chodźcie ze mną - powiedział.

+

Poprowadził ich wąskimi uliczkami, w milczeniu kołysząc się z boku na bok. Niebo ciemniało, w miarę jak zbliżała się noc. Deszcz wciąż padał. Po drodze nikogo nie widzieli, ale gdy wydostali się z Dolnego Kurast i zbliżyli do doków, usłyszeli muzykę. Lirę najpewniej, a jej stłumionemu pobrzękiwaniu towarzyszyły podniesione głosy. Tutaj ulice były szersze, a domy nie całkiem opuszczone, w jakimś oknie dostrzegli światło, kawałek

dalej zobaczyli rząd opuszczonych sklepów, okno największego z nich też wypełniał blask.

– Czerwony Krąg - szepnął dziwny człowieczek. - Może za stosowną cenę dostaniecie tu pokój. Powodzenia - rzucił i zniknął w cieniu, zostawiając ich samych.

W powietrzu czuć było gotowanym mięsem, dochodziły też odgłosy trzaskania, rozbijania. Gdy Mikułow otworzył drzwi karczmy, przybyłych zaatakowało jeszcze więcej woni i dźwięków, dziwaczna mieszanina zapachów jedzenia i ludzkiego potu, niemelodyjne brzdąkanie, ochryple śpiewy i szum dziesiątek rozmów. Karczma była pełna, część klientów wyśpiewywała pieśni przy wtórze liry, inni siedzieli przy stołach nad kuflami piwa.

Jeden z pijanych gości szynku zauważył natychmiast obcych i zatoczył się ku nim, po czym uwięził ramię Caina w żelaznym uścisku i wciągnął starca do środka.

– To nie jest miejsce dla dziewczynki - ryknął prosto w twarz Deckarda, brodę miał wilgotną od potu. Wskazał na Leę gwałtownie i zamasyście. - Jak możecie ją tu przyprowadzać? - A potem mrugnął. Nie był tak wysoki jak Cain, ale za to solidnie zbudowany.

Mikułow napiął się natychmiast, ale Cain wykonał uspokajający gest i pozwolił, aby brodacz poprowadził go w głąb pomieszczenia. Przy kontuarze mężczyzna złapał za kubek z piwem i wcisnął go Cainowi w dłoń, a sam wziął drugi.

– No to chlup! Do dna! - krzyknął, stuknął swoim kubkiem o naczynie Caina i wychylił bursztynowy płyn kilkoma wielkimi haustami, po czym wytarł brodę rękawem. - Wiecie - zaczął, przekrzykując gwar - że sto lat temu w tym dokładnie miejscu stała szubienica? Tam, gdzie stoicie, powieszono pięćdziesięciu chłopów. Jak jeden z drugim mieli szczęście, to

im kark trzasnął, a jak pecha... nogi wierzgały, oczy wyłaziły na wierzch, gęba robiła się fioletowa. Aż się w końcu dławili. Paskudna, powolna śmierć. A jeden to za nic nie chciał umierać. Mówią, że dwa dni wisiał. Tręcali go kijem co parę godzin, a on otwierał te wyłazące na wierzch oczy, gapił się na nich i charczał. Myśleli, że to demon jakiś. Wreszcie go odcięli i puścili wolno. Ale już mu do końca życia został czerwony krąg wokół szyi. Na pamiątkę. - Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. - Tak właśnie wpadłem na nazwę dla tego miejsca. - Wyciągnął dłoń, a Cain ją uścisnął. - Nazywam się Cyrus - powiedział. - I jestem właścicielem Czerwonego Kręgu. Witajcie u progu Piekieł. Albo, jak to inni mówią, w Kurast.

Cain wyciągnął bryłkę złota.

- Szukamy miejsca na nocleg.

Uniesionym kciukiem Cyrus wskazał Mikułowa, który stał tuż obok Lei, krzyżując ramiona na piersi.

- Powiedzcie mu, żeby się odprężył, dziadku. Jeśli wasze złoto jest prawdziwe, dam wam pokój. Jakoś nie mamy zbyt wielu gości spoza miasta, nie jesteśmy przepelnieni i wiem, co mówię. - Pochylił się i ściszył głos. - Ale ja bym tak tym nie machał. Bo jeszcze kto wam ręce obetnie, żeby się szybciej dostać do waszego bagażu. Rozumiecie?

Cain rozejrzał się szybko. Klientelę baru stanowili sami obszarpańcy, głównie mężczyźni, z wyjątkiem kilku prostytutek w rozchełstanych sukienkach, z zapraszającymi uśmiechami na twarzach. Atmosfera święta było nieco zbyt chropawa i przesycona desperacją, widoczną w oczach każdego klienta karczmy.

Lira zamilkła, kufel uderzył o blat stołu, ktoś gromkim głosem domagał się muzyki. I po chwili grajek podjął melodię, tym razem o tonach szybszych i bardziej gorączkowych.

– Pełno tu piratów, złodziei, albo i gorzej - powiedział Cyrus. - Plewy, co zostają, po tym jak uczciwi ludzie wyjadą. Piraci wypływają aż do morza poza równiny Kaldeum, unikając głównych szlaków i Imperialnej Gwardii. No i jeszcze... innych rzeczy, na które mogą trafić po drodze, wiecie, co mam na myśli. Dzisiaj w nocy przyplynie statek pełen łupów z Królewskiego Portu. - Machnął ręką w stronę wypełnionej sali. - Ale ich też już niewielu zostało jakoś tak ostatnio. Nawet złodzieje tu wymierają. - Cyrus nagle spowaźniał. - Gea Kul. Oto co to jest i co tu żyje. Trzeba przejść przez to piekielne miejsce w drodze do górnej rzeki i nikt nie chce tego robić.

– Miasto portowe - stwierdził Cain.

– Ano. - Cyrus skinął głową. - Wyrosło z czegoś, co było pokręcone jak grzbiet garbusa. Jeśli Kurast to bramy Piekieł, to Gea Kul grzeje się w samym środeczku płomieni.

Obecność Lei zwróciła tymczasem powszechną uwagę, rozmowy ucichły, a spojrzenia zwróciły się ku dziewczynce i jej towarzyszom. W nagłej ciszy rozległ się wysoki kobiecy śmiech, potem plaśnięcie wymierzonego policzka i stłumiony krzyk.

– No dobra - huknął Cyrus. - Dalej, wracać do picia i kurwienia się, wszyscy. Dziecka żeście nie widzieli?

– Dawaj ją tu! - krzyknął któryś z klientów i natychmiast zakotłowało się wokół niego, bo drugi wymierzył mu potężnego haka w szczękę.

Lea przesunęła się bliżej Mikułowa.

– Chwila - mruknął Cyrus i oddalił się chwiejnym krokiem, rozpychając się łokciami. Zamieszanie przybrało na sile, ktoś krzyknął wysoko i boleśnie, a potem wszystko znów się uspokoiło.

Cain z Mikułowem spojrzeli po sobie, a potem na Cyrusa, który właśnie do nich wracał. Twarz poczerwieniała mu jeszcze mocniej, a z wargi kapiała



krew. Uśmiechnął się do nich szeroko, pokazując splamione czerwienią zęby.

– Mówiłem, że to nie jest miejsce dla małej dziewczynki - wypomniał. - No dobra, tym się zająłem, przez chwilę nie wstanie. Naszykuję jedzenia i zaprowadzą was do pokoi.

Przyniósł michę parującego gulaszu i bochenek chleba, a potem poprowadził ich wąskimi schodami do ciasnego korytarzyka. Podłoga była stara i zdarta, ściany zachlapane krwią i poznaczone śladami ostrzy. Zza mijanych drzwi dochodziło niekiedy pukanie, skrzypienie i stłumione jęki.

– Tutaj ludzie znikają często, czy tego chcą czy nie - mówił Cyrus. - Może nie chcecie, żeby was ktoś znalazł. Wszystko jedno, wasze złoto jest tak dobre jak i każdego innego.

– Szukamy człowieka o imieniu Hyland - wtrącił Cain.

Cyrus aż się zatrzymał i odwrócił.

– A czego chcecie od tego śliskiego drania? - zapytał. - Wydaje mu się, że tu rządzi. Nikt nie rządzi w Kurast. To złodziejska dziura.

– Powiedziano nam, że może mieć informacje, które są nam potrzebne.

– A, chyba. - Cyrus machnął lekceważąco ręką. - Hyland ma informacje, jasne. Tylko nijak nie będziecie wiedzieć, czy one są coś warte. Nie można wierzyć jednemu jego słowu. Ale co tam, sami się przekonacie. Jutro jest takie spotkanie w dokach. Hyland tam będzie ze swoim cyrkiem. - Zatrzymał się przed poobijanymi drzwiami. - Wasz pokój - burknął, a w jego głosie nie było już radości. Podał mnichowi miskę z gulaszem i chleb. - Na waszym miejscu bym zamknął drzwi na klucz.

A potem minął ich i zniknął na dole.



## DWADZIEŚCIA



### *W dokach*

Podzielili się posiłkiem, a potem spali jedno przy drugim na słomianym sienniku. Robactwo wpełzało im do ubrań i gryzło dotkliwie. Muzyka i pijackie śpiewy trwały do świtu, jednak gdy wreszcie ucichły, Cain uznał, że z dwojga złego wolał hałas niż ciszę. Krzyki i muzyka dawały mu poczucie, że przynajmniej dzieli tę noc z innymi ludźmi, w ciszy był sam. Raz czy dwa rozległ się jakiś krzyk, Cain słyszał coś, co mogło być głosami ghuli. Lea zakrzyczała przez sen, dręczona chyba koszmarem, a Cain dotknął jej dłoni, próbując uspokoić dziewczynkę. Dygotała, skórę miała rozpaloną niczym piec, mimo że w pokoju wcale nie było ciepło. Poczul, jak zalewają go uczucia dla tej nieszczęsnej dziewczuszki. Straciła ostatnią osobę na tym świecie, która miała dla niej jakiegokolwiek znaczenie, straciła dom, w którym dorastała, a wszędzie czyhało na nią niebezpieczeństwo i mrok. A jednak dziewczynka się nie poddała, więcej nawet, była silna, a przeciwności losu witała prowokującą miną.

Lea zacisnęła paluszki wokół jego dłoni, zaczął więc nucić kołysankę, którą pamiętał sprzed dziesiątek lat. W oczach wezbrały mu łzy. Wreszcie

dziewczynka się uspokoiła, przestała drżeć, oddech jej się wyrównał, sen najwyraźniej stał się spokojniejszy. Deckard Cain nie mógł zasnąć. W starych kościach łupało dotkliwie, rana w boku swędziała boleśnie. Patrzył przed siebie szeroko otwartymi oczami, aż w końcu ciemność poszarzała i zimne światło świtu zaczęło się sączyć przez niewielkie okienko.

Do początku miesiąca ratham pozostało pięć dni.

+

Kiedy ruszali w drogę, w karczmie panowała cisza. W brudnej kuchni za salą biesiadną Mikułow znalazł kawałek chleba. Żuli go, wędrując pustą ulicą w kierunku doków. Przez większość nocy padał deszcz, ale zamiast splukać ulice, sprawił, że śmieci wypłynęły ze wszystkich zaułków, a w nierównym bruku zebrały się brudne kałuże.

Cainowi dokuczał potworny ból w krzyżu, tunika zaczynała już nieco cuchnąć, a do tego Deckard miał wrażenie, że skórę dokładnie pokryło mu kilka warstw brudu. Do tego od ugryzień pluskiew dostał swędzącej wysypki. Mikułow i Lea też nie wyglądali wiele lepiej. Pierwsze wrażenie robili wyjątkowo żałosne, aczkolwiek Cain nie sądził, by w okolicy natknęli się na wiele osób, na których mogliby to wrażenie wywierać.

W tym względzie mylił się mocno, bo nie zdążyli nawet wejść do doków, gdy spotkali grupę jakiś dwunastu osób zmierzających w tym samym kierunku, składającą się zarówno z kobiet i mężczyzn, jak i dzieci. Szli w milczeniu, twarze mieli poważne, sylwetki wychudzone, na których zwisały łachmany. Tłumek rósł szybko, stawał się też bardziej ożywiony, w miarę jak zbliżali się do drewnianych pomostów na brzegu, ograniczonych rzędem chat zbitych z desek i krytych słomą. Większość sadyb dawno już

została porzucona, choć nie wszystkie. W powietrzu unosił się zapach ognisk, gotowanego jedzenia, zmieszany z charakterystyczną wonią mokrego piasku i nabrzeżnego mułu.

Na największej platformie do grupy dwudziestu, trzydziestu osób przemawiał jakiś mężczyzna. Wysoki, dobrze zbudowany, o włosach przyprószonej siwizną, odziany w jedwabne szaty, które choć nieco zniszczone i przybrudzone, pozwalały zakładać, że ich właściciel jest szlachcicem. Stał na prowizorycznym podwyższeniu ze skrzynek.

– Nie jesteśmy więźniami - mówił, wodząc spojrzeniem po twarzach słuchaczy. - I nie jesteśmy bezradni. Kurast to nasze miasto, nie ich!

Wielu ludzi ścisnęło prowizoryczną broń, jakieś młotki, żelazne pręty, dechy nabijane gwoździami. Niektórzy półgłosem wyrażali poparcie, inni zaś przecząco kręcili głowami.

– Zapomnijcie o piratach - krzyknęła jakaś kobieta. - Co z pijawcami?

Mężczyzna gestami próbował uspokoić wzburzenie słuchaczy.

– Pijawce atakują tylko mieszkańców dżungli i bagien, wybiją słabych i chorych - powiedział. - Jak długo będziemy tutaj, nic nam nie grozi.

– Brednie - krzyknął ktoś inny. - Są już w Dolnym Kurast. Przynoszą sny. I ludzie widzieli te stwory. Ostatniej nocy zauważyłem jednego ledwie dwie przecznice od mojego domu.

Podniosły się kolejne głosy, wszystkie pełne gniewu i strachu, i nie umilkły, kiedy mówca po raz kolejny uniósł ręce, by uciszyć słuchaczy. Cain czuł, że sytuacja zaraz wymknie się spod kontroli.

– Pomóż mi przepchnąć się do przodu - powiedział do Mikułowa.

Mnich natychmiast spełnił jego prośbę. Ludzie rozstępowali się przed nim jak pod wpływem zaklęcia, cofali o krok, gdy tylko go zobaczyli. Na widok obcych w tłumie zaczęły rozchodzić się szepty, a kiedy mijani ludzie dostrzegali Caina, odwracali oczy ze strachem.

– Wy jesteście Hyland? - zapytał Cain mówcę.

Mężczyzna przytaknął.

– Dlaczego mi przerywacie? - chciał wiedzieć.

– Mamy do was ważną sprawę. Nazywam się Deckard Cain i usłyszałem od niejakiego Kulloom, że moglibyście mi pomóc. Ale może to ja będę mógł pomóc wam wszystkim. - Cain odwrócił się do tłumu, pokazując ludziom księgę zaklęć horadrimów, którą wyciągnął z torby. - Jestem uczonym z Tristram i studiowałem nauki horadrimów.

Reakcja była natychmiastowa. Na sam dźwięk słowa *horadrim* ludzie zaczęli się cofać w popłochu.

– To pijawiec w przebraniu! - krzyknął ktoś.

– Nie, to sam Mroczny - zawtórował mu ktoś inny. Jakaś kobieta krzyknęła. I nagle wokół zapanowało szaleństwo. Ludzie przepychali się, przewracali, deptali po sobie nawzajem. Mówca próbował jakoś nad tym zapanować, ale nikt nie słyszał jego głosu. Dwóch mężczyzn, największych pośród niedawnych słuchaczy, rzuciło się na Caina z pięściami i mordem w oczach. Zanim Deckard uczynił choćby krok, Mikułow zasłonił zarówno jego, jak i Leę, jednego z mężczyzn położył kopniakiem w kolano, drugiego ciosem w szczękę.

Nie minęły sekundy, a walka była zakończona. Napastnicy leżeli na deskach pomostu, jęcząc, reszta tłumu zniknęła gdzieś w dokach.

– Może moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy - zaproponował Cain.

+

– Wybaczcie moim ludziom - odpowiedział Hyland. Zdjął z półki flaszkę z grogiem i napełnił Cainowi kubek. - Są wystraszeni. Prawdziwie czarna

godzina na nas nadeszła, koszmar stał się naszym udziałem.

Siedzieli w budynku, który kiedyś był pewnie składem, a teraz mieścił prowizoryczne biuro Hylanda. Okolica była niebezpieczna, ale jako samowładny burmistrz Kurast Hyland był zdania, że jego obowiązkiem jest pokazywać się publicznie, a nie tchórzliwie szukać kryjówki.

Dwóch mężczyzn, którzy zaatakowali Caina, pełniło straż pod drzwiami biura. Obaj jeszcze pocierali sińce i stłuczenia, jakie im zostały po spotkaniu z Mikułowem. Jednak Cain był pewien, że obrażenia ponieśli głównie na dumie i godności. Mikułow nie zrobił im wielkiej krzywdy.

– Kulloom was do mnie przysłał, prawda? - zapytał Hyland. - Stary partner w interesach, jednakowoż nie nazwałbym go przyjacielem. Nie był zadowolony, gdy przejąłem kontrolę nad miastem i skorzystałem z innych ofert poza tą, którą on miał dla mnie.

Cain po raz kolejny wyciągnął księgę zaklęć horadrimów.

– Mówił o was z wielkim poważaniem. Powiedział, że może będziecie w stanie pomóc mi odszukać ludzi, którzy to zrobili.

Hyland przez chwilę uważnie oglądał księgę.

– Najpewniej wykonał ją człowiek, który żył tu kiedyś - stwierdził. - Grupa młodych uczonych szukała kiedyś kogoś, kto byłby w stanie zrobić kopie kilku starożytnych woluminów. I tak dotarli do Garretha Raua, uczonego, znawcy literatury, jednego z najlepszych twórców ksiąg na świecie. Był pod wielkim wrażeniem woluminów, które przedłożyli mu młodzi badacze, i zdumiony ich potencjałem. W końcu dołączył do nich i opuścił Kurast.

– Gdzie mogę go znaleźć?

Hyland oddał księgę i odruchowo wytarł dłoń o ubranie, jakby dotykał czegoś zepsutego.

– Ponoć został zabity przez Mrocznego, potężnego czarnoksiężnika, który obrócił samą naturę magii przeciw niej i zszedł na ścieżkę zła.

Mroczny. Nie pierwszy raz słyszał to imię. Cain upił łyk grogu. Żołądek zaprotestował kolejnym bolesnym skurczem.

– Ludzie wzięli mnie za niego, ale zapewniam was, nie jestem żadnym czarnoksiężnikiem. Dlaczego uciekali?

Hyland zakołysał napitkiem w kubku, po czym wychylił do dna i nalał sobie kolejną porcję.

– Bo dla nich jesteście wrogiem.

– Nie rozumiem...

– W mieście nie lubią za bardzo horadrimów - odparł Hyland. - Obywatele Kurast bardzo się ich obawiają. Mówią, że zło spaczyło wszystko, co ludzkość miała cennego. Nawet horadrimów.

– Niemożliwe - zaprotestował Cain. - Zakon zawsze stał po stronie światła i sprawiedliwości. To była najbardziej podstawowa z zasad bractwa, tak nakazał im sam archanioł Tyrael. Jeśli w Sanktuarium pozostał choćby jeden prawdziwy horadrim, nigdy nie splamiłby się demonią magią.

– Tak mówicie. Ale tamci młodzi uczeni, którzy przybyli do Raua, przynieśli ze sobą teksty horadrimów i mówili tak, jakby to był ich zakon. Ludzie wierzą, że to właśnie te księgi i zawarta w nich magia sprowadziły tu Mrocznego.

Cain poczuł, jak zimno przenika go do kości. Pamiętał ostrzeżenie Kulloomo dotyczące grupy magów prowadzonych przez mrocznego czarnoksiężnika.

*Musicie coś z tym zrobić. Musicie odnaleźć tych ludzi i powstrzymać...*

Hyland przysiadł na jednym ze starych krzeseł i gestem zaprosił swoich gości, by zajęli pozostałe miejsca. Jednak Cain nie usiadł. Mikułow i Lea stanęli u jego boku.



– Obraziłem was - stwierdził Hyland. - Nie mogę nic poradzić na przekonania moich ludzi. Ale być może nie mylą się aż tak bardzo. Wiecie coś na ten temat? Jesteście po prostu starcem. A świat bardzo się zmienił, i to nie na lepsze.

Napięcie w pomieszczeniu stało się wręcz namacalne. Cain czuł gorący rumieniec, który wypełził mu na twarz, spiął mięśnie, zacisnął pięści i postąpił krok naprzód. Mikułow położył mu dłoń na ramieniu.

– Wuju - odezwała się Lea cichym, drżącym głosem.

Hyland uśmiechnął się.

– Siadajcie, proszę - powiedział. - Porozmawiajmy jak ludzie cywilizowani.

Mikułow zerknął na Caina, ten odpowiedział skinieniem głowy, próbując się uspokoić. Nie było sensu jeszcze bardziej straszyć dziecka, a poza tym Hyland z pewnością miał niejednego osiłka na zawołanie. Nawet z Mikułowem i jego umiejętnościami nie daliby rady w obliczu takiej przewagi liczebnej. Do tego Hyland wzbudzał u Caina niepokój. Deckard chciał nawet ryknąć na tego aroganta, a jednak coś go powstrzymywało. Ten człowiek miał istotną informację tuż, na wyciągnięcie ręki.

– Wiesz, kim jest ten Mroczny? - zapytał Mikułow, kiedy już usiedli naprzeciwko Hylanda. - My też słyszeliśmy już o potężnym czarnoksiężniku władającym magią demonów. Ale to powiązanie z zakonem horadrimów... To właśnie wyprowadziło z równowagi mego przyjaciela. Zakon to sens jego życia. Rozumiecie?

– I dobrze - odparł Hyland. - Gniew tutaj daje władzę. To jedyna prawdziwa waluta w tym miejscu. - Zerknął na Leę, która siedziała cichutko obok Mikułowa, zaplótłszy ramionka na piersi. - Może dziewczynka zechciałaby coś zjeść? W tym czasie moglibyśmy porozmawiać swobodniej.

Mikułow wyprowadził Leę, a wtedy Hyland zaczął mówić dalej.

– Powiem wam, co wiem. Ale wy najpierw. Co to za dziewczuszka? A ten z nią? Z Iwogrodu, co? Mnich? Słyszałem o jemu podobnych.

– Lea to córka przyjaciela. Opiekuję się nią, po tym jak zabrakło jej matki. A Mikułow uratował nam życie kilka dni temu. Jego ścieżka jest trudna i zagmatwana, ale nie znaczy, że nieważna.

– Hm. Mówiliście, że możecie pomóc. Ciekaw jestem jak.

– Próbuję odszukać pozostałych jeszcze członków zakonu horadrimów - odparł Cain. - Macie rację, w Sanktuarium nie dzieje się dobrze. Nadchodzi wojna, inwazja demonów, starcie sił Nieba i Piekła. Byłem w Tristram, gdy słudzy Diabła obrócili miasto w ruinę, i zapewniam, że wszystko, co słyszeliście na temat tamtych wydarzeń, jest zgodne z prawdą. Ale to, co nadchodzi, sprawi, że tamten koszmar będzie niczym zabawa dzieci. Widziałem znaki, czytałem przepowiednie. Już niedługo. Jestem pewien, że kłopoty, które dręczą Kurast, są z tym związane.

Hyland skinął głową.

– Dochodziły mnie pogłoski na ten temat. O sprawach, które opisaliście - powiedział. - Jest tu kilku starców, którzy twierdzą, że byli w Kurast, gdy demony zdobyły je przed laty. I nie ma wątpliwości, że i teraz działa tu zło. Ale na jakiej podstawie sądzicie, że możecie powstrzymać mrok? Niejeden wojownik tego próbował tylko po to, by przepaść bez wieści. Jesteście niemłodzi, panie Cain. Bez urazy.

– Jeśli powiecie mi coś więcej o tym, co dzieje się w Kurast, będę mógł zajrzeć do moich ksiąg, starożytnych tekstów, i znaleźć jakiś sposób, by temu zapobiec. Nie mamy zbyt wiele czasu. Ratham wkrótce, a mamy dowody, że pierwszy dzień tego miesiąca będzie dla nas wszystkich chwilą prawdy.

Hyland wysączył ostatni łyk grogu i popatrzył w naczynie, jakby na jego dnie spodziewał się znaleźć odpowiedzi. Westchnął głęboko i dolał sobie trunku.

– Nazywamy ich pijawce - powiedział po chwili milczenia. - Przychodzą nocą, terroryzują tych, co żyją na granicy Dolnego Kurast. Czasem kradną dzieci, a nawet porywają zdrowych mężczyzn i kobiety, ale najczęściej po prostu się nimi... karmią. Nie wiemy, jak to robią. Ich ofiary jakby bladły powoli, stają się słabsze, osowiałe i chore. Zmieniają się niemal w chodzące trupy. - Upił spory łyk rumu. - Ludzie mówią, że pijawce przychodzą z Gea Kul. Nikt już tam nie zagląda. Kurast jest opuszczone, ale Gea Kul to skończone pustkowie.

Już po raz trzeci, odkąd dotarli do Kurast, usłyszeli wzmiankę o Gea Kul.

– Kulloom opowiedział mi o kupcu, który widział istoty podobne do tych pijawców.

Wzrok Hylanda stał się nieobecny.

– Pełno jest plotek i pogłosek. Wielu twierdzi, że widziało pijawce czające się w ciemnościach nocy, straszliwe ghule, które wydają się unosić w powietrzu, znikać i pojawiać wedle woli. Są jak robactwo o ludzkich kształtach, wspinają się po ścianach na czworaka, wślazą na sufity, odęte, obrzmiałe nieszczęsne istoty, których widok przyprawia o szaleństwo, tak trudny jest do zniesienia. Ponoć służą Mrocznemu, o którym wam już wspominałem.

Cienie wokół nich zdawały się gęstnieć, powietrze stawało się coraz chłodniejsze.

– A wy myślicie, że ci uczeni w naukach zakonu horadrimów sprowadzili te istoty do Sanktuarium?

– Wielu tutaj tak myśli. Ale może ci uczeni wraz z Rauem odeszli do Gea Kul, by tam zmierzyć się ze złem, które już zbierało siły. - Hyland się

wzdrygnął. - Znałem kilku tych młodzieńców z czasów, gdy tu mieszkali. Sprawiali wrażenie porządnych ludzi o dość dobrych intencjach. Nie mam podstaw, żeby wierzyć, że byli... skażeni złem.

– Wiecie, czemu pojawiają się pijawce?

– Być może przybywają tutaj, by odebrać ludziom wolę. Wszak bezwolnymi łatwiej kierować. A może to tylko bajki rozprowadane przez głupców i pijaków. - Hyland wstał, by po raz kolejny dolać sobie grogu. - Takich pewnie jak ja.

– Chciałbym porozmawiać z kimś, kto widział pijawca - zdecydował Cain. - Może powiedziałały mi coś bardziej pomocnego...

Hyland machnął ręką.

– Nie sędzę, żebyście w promieniu stu metrów znaleźli kogoś chętnego do rozmowy z wami - stwierdził. - Dodam jeszcze, że ci, którzy widzieli pijawce z bliska, niezbyt są chętni do rozmów w ogóle. Ale mam coś innego. - Zaczął przerzucać stosy książek i papierów. - Wiem, że gdzieś tu położyłem... aaa! - Podniósł plik pergaminów. - Kilka tygodni temu przyszła do mnie kobieta obawiająca się o swoje życie. Jej syn, utalentowany artysta, choć zaledwie dwunastoletni, powoli gasł, jak wam to opisałem. Poszedłem go odwiedzić, a on dał mi to.

Wręczył Cainowi pergaminy.

Na pierwszym ujrzał szkic istoty, bliżej nieokreślonej, być może zwierzęcia, kucającej w rogu pomieszczenia. Pokój był ciemny, kąty znaczyły gwałtowne pociągnięcia węglem, niewyraźny kształt jakby wyłaniał się z mgły.

Drugi rysunek zawierał więcej szczegółów. Istota miała wielką, zdeformowaną głowę, garbate plecy i obrzmiały brzuch, a twarz niczym czarna dziura.

Jednak to trzeci rysunek był tak straszny, że Cain aż się zachłysnął. Na pergaminie widniała istota o ludzkich kształtach unosząca się nad posłaniem małego dziecka. Wyciągała dłonie o długich szponach, jakby zamierzała pogłodzić pieszczotliwie swą ofiarę. Jej ohydna obecność dominowała na rysunku, wypełniała arkusz, budząc nieokreślony lęk, przerażenie. Istota twarz miała uniesioną, z łysej głowy zwisały smętne kosmyki włosów, a oczy przypominały studnie, nieskończenie puste, wypełnione tylko głodem, którego nic nie może zaspokoić.

Poniżej rysunku, napisane z siłą tak wielką, że rozdarła pergamin, widniały dwa słowa: *Al Cut*.

– Nie wiem, co to znaczy - powiedział Hyland. - Myślę, że chłopiec też nie wiedział. Co dziwniejsze, jego matka nie prosiła mnie, bym go ocalił, tylko wygnał, by pijawce przestali nawiedzać jej dom. Odmówiłem i dwie noce później zniknęła. Chłopiec został. Cień samego siebie. Jak duch snuje się po ulicach Kurast. Widziałem go, ale mnie nie poznał.

Cain patrzył na rysunki. Nawet uwięziona na pergaminie istota była tak silna, że zdawała się poruszać, obracać przekłętą, naznaczoną głodem twarz. Długie szpony niemal się rozchyliły, aby go sięgnąć. Ale to usta, otwarte łapczywie, szukające na oślep, wypełnione głodem, to usta stworzenia sprawiły, że serce Caina ścisnęło się lodem przerażenia.

– Jeśli zostanieie tutaj - odezwał się Hyland - nie będziecie musieli się martwić o to, jak zdobyć wiedzę o pijawcach. - Ponownie osuszył naczynie i mętными oczami spojrzął Cainowi w twarz. - Będziecie o nich śnić. A wkrótce zobaczycie jakiegoś na własne oczy.



## DWADZIEŚCIA JEDEN



### *Pijawiec*

Deckard Cain znalazł Mikułowa i Leę nad wodą, gdzie mnich uczył małą, jak puszczać kaczki. Nie znaleźli nic do jedzenia. Nad ich głowami krzyczały mewy, również szukające przekąski. Gdy powrócili do Czerwonego Kręgu, dawno minęło południe.

Po Cyrusie nie było śladu. Gospoda nadal drzemała, nieliczni, którzy się tu zatrzymali, spali jak dzieci, słodki zapach stęchlizny niósł się po izbach na parterze. Mikułow znalazł w kuchni więcej zjełczałego gulaszu. Zjedli, co się dało, nim zaczęli przychodzić pierwsi goście, zaspani, burkliwi i mokrzy od deszczu, który znowu się rozpadał.

Z dala od uszu Lei Cain wyjaśnił mnichowi, czego dowiedział się od Hylanda. Uczni horadrimów najwyraźniej byli prawdziwi i przebywali blisko Kurast. Może nadal w Gea Kul. W obecnych okolicznościach Cain nie mógłby życzyć sobie więcej. Ale związek horadrimów ze stworem, którego Hyland nazwał Mrocznym, oraz podlegające mu pijawce martwiły starca. Bez wątpienia właśnie Mroczny był fałszywym przywódcą z przepowiedni w odnalezionej w ruinach księżce horadrimów. Zapewne był

to ten sam stwór, który w wizjach nawiedzał Mikułowa. Najprawdopodobniej również owego Mrocznego lord Brand w wiosce nazwał *panem*.

Czy ten czarnoksiężnik zabił Raua i horadrimskich uczonych? Czy też wspólnie spiskowali przeciw ludziom z Sanktuarium?

– Al Cut - zamyślił się Mikułow. - Uważasz, że to żywy człowiek?

– Tekst jest dość stary i mówi tylko o jego grobowcu, więc zakładam, że Al Cut jest martwy, chyba że to przepowiednia wydarzeń, które mają nadejść. Jednak nigdy nie słyszałem o kimś takim, a od lat studiuje historię. Skoro był tak ważny, powinien doczekać się choć jednej pisanej wzmianki.

– Hm. - Mikułow wzruszył ramionami. - Gea Kul jest niedaleko stąd. Ze dwa dni podróży, jeśli się postarać.

Ciemność zapadała za oknami, gdy ustawili miski na stole przy kuchni. Wsłuchali się w jęk wiatru pod okapami.

– W klasztorze - odezwał się Mikułow - mistrzowie uczą nas słuchać ziemi, nieba i wiatru, bogowie są bowiem wszędzie, wystarczy otworzyć na nich umysł. Mówią do nas teraz.

Cain skinął głową. W powietrzu wisiało coś ciężkiego, jak gdyby zwiastun przemocy i krwi. Lea chyba też to wyczuwała, dziewczynka od wyjścia z doków milczała, trzymała się blisko Caina, a kiedy spora grupa mężczyzn weszła do gospody, wsunęła paluszki w dłoń opiekuna i zacisnęła kurczowo wilgotną, kruchą jak kosteczki ptasiego skrzydła rączkę.

Wrócili do izby i Lea zasnęła na sienniku.

– Wybacz - rzekł Mikułow - ale wyczuwam, że coś jeszcze cię dręczy.

– Wszyscy mamy przeszłość, którą wolelibyśmy zapomnieć.

– Niektórzy bardziej niż inni - zgodził się mnich. - Patriarchowie mówią, że jeżeli nie stawimy tym sprawom czoła, nie będziemy w pełni sobą. I w ciemności będziemy słabi.



– Widziałem potworności, po których niewielu ludzi by się podniosło - odparł Cain. - Widziałem, jak mordowano moich przyjaciół, jak niszczone moje miasto. Przez większą część życia dręczyło mnie poczucie winy, ponieważ pozwoliłem, by do tego doszło, i nie dość wcześnie zacząłem walczyć, by tak się nie stało.

I Lea, pomyślał, ale nie wypowiedział tego na głos. Jaka była jej rola w tym wszystkim i co znaczyła dla Caina? Szansę na zmiany, sposób na walkę z ciemnością, która prześladowała go przez większość dorosłego życia?

Przeszłości nie można zmienić.

Mikułow długo spoglądał mu w twarz, jakby szukał wypisanej tam prawdy.

– Wyczuwam, że jest tego więcej, dużo więcej. Cokolwiek w tobie jest, stanowi brzemię, które dźwigać musisz sam. Jeśli jednak potrzebowalbyś przyjaciela...

– Dziękuję, Mikułow. - Cain wyjął horadrimską księgę przepowiedni z plecaka. - Ale do rana muszę znaleźć więcej odpowiedzi. Zostało tylko pięć dni, nim według proroctwa do Sanktuarium wkroczy Piekło. Nie ma czasu. Musimy odpocząć i jak najszybciej wrócić znowu do pracy.

Mikułow otworzył usta, jakby chciał znowu się odezwać, potem jednak tylko wzruszył ramionami i skinął głową.

– Jak sobie życzysz.

+

Cain przeglądał tekst do późna w nocy, szukając czegokolwiek, co mogłoby pomóc, ale nie znalazł niczego konkretnego. Nasilające się przecucie, że musi się śpieszyć, trzymało go na nogach o wiele dłużej, niż

zakładał, że wytrzyma. Czas uciekał, a oni nie zbliżyli się do rozwiązania. Doprowadzało to Caina do szaleństwa. Wreszcie zasnął na siedząco, a księga zsunęła mu się na kolana. Śnił, że idzie długą, zakurzoną drogą rozświetloną szpalerem ognia, a płomienie kęsały mu skórę i sprawiają, że włoski na ramionach kurczą się i czernieją. W pobliżu Cain wyczuwał obecność tak ohydną, tak przepełnioną złem, że skręcały mu się wnętrzności i robiło niedobrze. Szukał kogoś, kogo ignorował zbyt długo. A odrażająca obecność tę osobę mu odebrała. Cain uświadomił sobie też, że śledziły go pijawce, polatujące przy poboczach jak duchy - blade, podobne do krabów sylwetki podążały za nim krok w krok. Cain przyśpieszył, ale stwory go doganiały. Były ich setki. W oddali dostrzegł dwie postacie trzymające się za ręce, jedna wyższa niż druga. Oddalały się od Caina i nieważne, jak szybko szedł, postacie ciągle pozostawały daleko na horyzoncie. Cain przyśpieszył kroku, wreszcie zaczął biec - laska obijała się o ziemię, torba kołysała mu się na ramieniu - ale nie był ani trochę bliżej.

– *Oni są moi* – huknął głos w jego głowie, tak potężny, że Cain krzyknął. Śmiech poniósł się wokół echem i ciągnął za starcem, choć ten biegł jeszcze szybciej. - *Zabrałem ich przed laty, schwytałem na drodze do Kaldeum. A teraz cierpieć będą przez wieczność.*

Śmiech rozdarł go jak szpony, szpaler ognia buchnął w górę i rozległ się krzyk małego dziecka.

– *Byłeś ślepy, a teraz przejrzałeś.*

Obudził się zlany zimnym potem. Usta miał wyschnięte, nogi odrętwiałe. W izbie było ciemno i cicho, dochodziły jedynie odgłosy oddechu Mikułowa i Lei. Teksty spadły na podłogę. Cain zebrał je i wsunął do torby, starając się nie myśleć o śnie. Koszmar był bardziej wyrazisty niż inne, a głos ohydnej obecności wydawał się rzeczywisty. Cain wytarł łzy z

policzków. To było wiele lat temu, tak wiele lat. Teraz nic nie mógł na to poradzić, przeszłości wszak nie można zmienić. Musiał żyć dalej. To stało się jego mantrą, powtarzaną tyle razy w duchu, że powoli zaczynał wierzyć w jej moc. Wierzyć, że mantra wymaże przeszłość i przyniesie mu odkupienie. Musiał żyć dalej.

Cichy jęk poniósł się korytarzem na dole z za zamkniętych drzwi sypialni. Cain zamarł, nasłuchując. Poprzedniej nocy słyszał podobne odgłosy, ale ten chyba bardziej nim wstrząsnął - nawiedzony, samotny jęk umierającego człowieka.

Jęk zabrzmiał ponownie, a po nim tępy łomot, jak przy upadku ciężkiego przedmiotu na podłogę.

Cain ujął laskę i uchylwszy drzwi, wyjrzał. Korytarz spowity był w mroku rozjaśnionym tylko przyćmioną poświatą z okna na końcu. Noc miała barwę szaroniebieską jak głęboka woda. Cain czekał. Wkrótce usłyszał szmer poruszenia z za drzwi trzy metry po prawej. Brzmiało to, jakby po podłodze ciągnięto ciężki przedmiot.

Caina przeszył zimny dreszcz. Coś było w tamtym pokoju. Instynkt nakazywał starcowi odwrócić się, obudzić Mikułowa z Leą i zabrać ich jak najdalej od tego miejsca. Jednak wyczuł też, że cokolwiek się stało za tymi drzwiami, już się nie powtórzy. Ktoś znalazł się w straszliwym niebezpieczeństwie. Tuż przy ścianie Cain zaczął skradać się przez korytarz najciszej jak umiał. Wyobrażał sobie, że wokół niego płonie ogień, jak we śnie, pcha go naprzód.

Drzwi były uchylone. Wewnątrz panowała ciemność.

Kolejny cichy jęk przerwał ciszę. Cain wymamrotał słowa z księgi zaklęć horadrimów, jego laska zajaśniała znajomym błękitnym blaskiem. Szeroko otworzył drzwi.

Blady, niemal przezroczysty stwór przysiadł nad wyprężonym ciałem Cyrusa, oberżysty, leżącym na podłodze. Kilka kosmyków zwisało z łysej czaszki, ciało przypominało szkielet opięty suchą skórą cienką jak pergamin, ze spletanym wzorem sinych żył. Szponiaste palce zaciskały się na szyi Cyrusa. Nagie ramiona poruszyły się, gdy stworzenie pochyliło się nad wielkim mężczyzną i pocałowało go w usta.

Palce Cyrusa drgnęły.

Pijawiec przylgnął doń jak pasożyt. Jego tors rozdał się, gdy wessał to, co Cyrus oddawał z powolnym, płytkim tchnieniem. Gdy błękitna poświata z laski Caina oblała izbę, stwór spojrział przez ramię czarnymi, pustymi oczodołami i rozchylił bezzębną upiorną paszczę, z której ciekła ślina. Cyrus zaczął się trząść, jego bosc pięty rytmicznie zabębniły o podłogę.

Co to jest, u diabła?

Cain wyjął ostatnie czarne ziarna z torby i rzucił je pod nogi stwora. Nasiona natychmiast zakiełkowały, korzenie i pędy wbiły się w szczeliny, rozrosły z niewiarygodną prędkością. Pijawiec wrzasnął. Wysoki, rozdzierający uszy skrzek, jak szkło trące o metal, poniósł się w powietrzu, gdy czarne wici rozciągnęły się po izbie, zaciskając na wszystkim w zasięgu i tworząc ruchomy, falujący las.

Cain zatrzasnął drzwi i zadrżał. Mikułow, usłyszawszy hałasy, wypadł na korytarz, a Lea deptała mu po piętach.

– W pokoju Cyrusa jest pijawiec - powiedział Deckard.

Spod karwasza Mikułow wysunął ostrze tak, że wystawało przed jego pięść. Zabłyśło znakami mocy wytrawionymi w stali. Odgłosy zza drzwi nagle się urwały.

– Boję się, wuju - szepnęła Lea.

Cain spojrział w jej bladą twarzyczkę, lśniąca w mroku jak malutki księżyc.

– Nie pozwolę, aby ci się coś stało - zapewnił. - Przyrzekam.

Mikułow otworzył drzwi do izby oberżysty. Czarne, grube pędy blokowały przejście. Mnich rozciął je, a ich kawałki, gdy upadły, wiły się jak węże, nim skurczyły się z powrotem do nasion. Cain zebrał je skrzętnie. W krótkim czasie mnich oczyścił sobie przejście i zniknął z widoku. Zaraz też pojawił się znowu, tym razem z Cyrusem przewieszonym przez ramię.

– Stwór uciekł przez okno - oznajmił. - Na razie jesteście bezpieczni.

Przeniósł Cyrusa do ich izby i położył na podłodze, a Cain przykucnął przy bezwładnym ciele, szukając ran. Oberżysta miał mocno posiniaczoną szyję. Chwilę później otworzył oczy, spojrzenie miał nieprzytomne, głowa opadła mu na bok, ciało zwiotczało. Cain próbował skłonić go do mówienia, ale bezskutecznie. Wyglądało, jakby mężczyzna był w transie lub został odurzony.

Wielki oberżysta wydawał się teraz mniejszy i chudszy, miał zapadnięte oczy i policzki, wystające kości, a skórę pomarszczoną jak na wysuszonym owocu. Poruszające się oczy i otwarte usta sprawiały, że pusta skorupa ciała wydawała się jeszcze bardziej przerażająca. Płytki, chrapliwy oddech przypominał ostatnie tchnienia umierającego.

Ale Cyrus nie umarł. Pozostał w tym stanie - bezwładny, z nieregularnym oddechem i słabym pulsem. Cain przysłuchiwał się tchnieniom oberżysty i myślał o stworzeniu, które zobaczył, o ślepych spojrzeniu, jakie na niego zwróciło. Cichy łopot skrzydeł dobiegł zza ścian izby i Cain poczuł, jakby nagle ciemność przecięła ich drogę i z westchnieniem znikła. Zadrżał.

Zbliżała się chwila prawdy. Wkrótce Cain dowie się, czy horadrimowie nadal żyją, czy też przeszli do legendy i tylko on pozostał, ostatni bastion broniący ich przed niepamięcią.

Niedługo zacznie się miesiąc ratham.

Niech archaniołowie nas chronią.

Jutro wyruszą do Gea Kul.



## DWADZIEŚCIA DWA



*Krew Al Cut*

Pod wieżą z kamienia i morzem Mroczny narysował krąg wokół znajomego symbolu: ósemki z bursztynowym klejnotem na przecięciu linii. Pośrodku migotała świeca, jednak jej światło nie sięgało ścian pomieszczenia, pozostawiając kąty zasnutę cieniem czarniejszym niż noc. Jednak Mroczny widział wszystko doskonale. Jego oczy zyskały niezwykłą wrażliwość na światło. Zresztą nie była to jedyna zmiana, a niektóre okazały się nawet bardziej drastyczne. Stanowiły część procesu transformacji człowieka w bóstwo.

Jego ghule przemierzały krainę, zbierając energię życiową, która wypełniała tę właśnie komnatę. Czuł, jak zgromadzona tutaj moc pulsuje niczym magiczna pułapka, gotowa eksplodować w każdej chwili.

Zostało cztery dni do jego koronacji. Czas na pierwszy kontakt.

Coś chlapnęło prosto w środek symbolu. Mroczny spojrział w górę. Nad nim na łańcuchach wisiał człowiek, mocne haki przebijały jego łopatki. Więzień kopał i wierzgał, próbując uwolnić się z tych makabrycznych



więzów. Krew płynęła mu po nogach, kapiąc na kamienie. Runa Beliala płonęła na przedramieniu niczym ogień.

Mroczny uśmiechnął się. Jego pan nie raczy zbyt długo przebywać w ciele tego człowieka. Ale przecież było ono zaledwie naczyniem i mógł wezwać doń innego gościa. Gościa, którego chciał spotkać już od dawna.

Podszedł do księgi przygotowanej na postumencie obok kręgu i głośno odczytał kilka wersów. To była ceremonia wymagająca szczególnej uwagi i wszystkich jego umiejętności, by sięgnąć przez tyle lat i tyle wymiarów. Przeszłość była niczym skomplikowana machina wirujących płaszczyzn, zachodzących na siebie, zmieniających położenie, tworzących niebezpieczny labirynt iluzji. Można się w nim było zgubić na zawsze. Płomień świecy rozbłysł z głośnym trzaskiem, po czym znów przygasł. Krąg i symbole zapłonęły czerwienią. Mroczny dobył sztyletu i wbił go sobie w dłoń. Z rany pociekła krew, zebrała się wokół ostrza, a potem wolno popłynęła w górę, jak żywy, płynny robak popęzła po ostrzu. Mroczny patrzył zafascynowany, jak klinga chłonie krew, tworząc tym samym nierozzerwalną więź między nimi.

Ukląkł na krawędzi kręgu i recytując więcej słów mocy, uniósł sztylet oburącz, a potem wbił go w ziemię, tam gdzie kapłała krew więźnia, w samym centrum wyrysowanej ósemki. Sztylet zatonął po ostrze, tnąc twarde kamień niczym miękkie mięso.

Mroczny poczuł pulsowanie potężnej energii pod swoimi stopami. Podłoga drżała. Wokół ostrza eksplodowała fontanna krwi, jak z czysto przeciętej tętnicy. Chlapnęła po twarzy Mrocznego i obmyła kamienie, mocząc jego płaszcz. Wystrzeliła w górę i skapała wiszącego więźnia, aż przestał być podobny do ludzkiej istoty. I płynęła dalej i dalej, jak krew umarłych i potępionych, krew niezliczonych ofiar i wojowników, zarzniętych na polach bitew, skazanych na otchłań piekielną po wsze czasy.

Krew Al Cut.

– *Odejm kurtynę z ocz jego* – powiedział Mroczny. - Więż została zadzierzgnięta.

Jego jaźń poczęła się rozciągać we wszystkich kierunkach, podczas gdy strumyki krwi płynęły spoinami i pęknięciami wśród kamieni. Mroczny wędrował poprzez czas i przestrzeń, połączony z tysiącami bestii na całym świecie, ukrywającymi się w kanałach, piwnicach i jaskiniach, i w mrokach nocy: duchami, pajakami i pajęcznikami, łowcami ciał, kazra, ścierwojadami oraz upadłymi. Wyczuwał setki tysięcy umarłych, drzemiących na dnie mórz przez stulecia. Kruszejących w katakumbach i grobach, zamkniętych pod ziemią. Wszyscy czekali na jego wezwanie.

*Nie na twoje* - szepnął wewnętrzny głos, ale Mroczny odepchnął wszelkie wątpliwości. Moc podlegała jego władzy. I tylko jego. Po zniszczeniu Kamienia Świata jego przeznaczeniem było zniszczyć ludzkość w całym Sanktuarium, tak jak jego przodkowie przynieśli jej ocalenie przed wiekami. Mroczny wytnie narośl, jaką jest ludzkość. Zapisano to w przepowiedniach, wypalono na kartach historii. Widział to wszystko na własne oczy.

Światło i mrok na zawsze związane ze sobą.

ZNAJDŹ DZIWCZYNKĘ.

Głos przywrócił go do rzeczywistości. Grzmiał w jego głowie, bezdźwięczny, a jednak tak głośny, że Mroczny aż się skrzywił boleśnie. Wezbrał w nim dobrze znany gniew. Dlaczego jego pan chce polegać na dziecku? To ON winien dowodzić armią Beliala, ON przyniesie Kaldeum zagładę i rządy Płonących Piekieł. Starzec Cain był ślepy na jego knowania, nie miał żadnej mocy, był zaledwie pionkiem w grze potężniejszych od siebie.

Mroczny stał pośrodku rozległej komnaty, wokół huczały wściekle ognie piekielne, wycie potępionych niemal powaliło go na kolana. W tle słychać było brzęk metalu przekuwanego na miecze. Krew niczym rwąca rzeka obmywała mu łydki. Wszelakie okrucieństwa, tortury, dekapitacje, obdzieranie żywcem ze skóry, palenie żywcem, wszystko to działo się w tej samej chwili. Zajmował to samo miejsce na przestrzeni niezliczonych wieków, świat istniał w takim kształcie dłużej nawet, niż istota stojąca przed nim sięgała pamięcią.

Belial pochylił się nad nim. Oczy demona podchwyciły i uwięziły spojrzenie Mrocznego.

– *Twoja potęga robi wrażenie – powiedział potwór. - Zawładnąłeś czasem. A jednak zostałeś pokonany. Tak wiele jeszcze musisz się nauczyć, zanim staniesz się mistrzem, jakim się głosisz.*

– *Sam zdołam ich podnieść - odpowiedział Mroczny. - Nie potrzebujesz dziewczynki. Pozwól mnie spróbować.*

– *Spróbować. - Belial sprawiał wrażenie rozbawionego. - Tym jednym słowem dałeś dowód swojej słabości. I dlaczego miałbyś pominąć ją i jej towarzyszy? Twoja szansa na odkupienie jest na wyciągnięcie ręki. Ten człowiek, Cain, splamił nazwisko twego rodu własnym. Zdrada boli gorzej niż śmierć, czyż nie? Nie pragniesz zemsty?*

Puls Mrocznego przyspieszył gwałtownie.

– *Pragnę, panie.*

– *Tak właśnie myślałem. Wiedziałaś, że on ma w swej krwi magię demonów? Jak myślisz, jakżeby inaczej jego przodkowie pokonali twoich? Urokiem i uporem? Nie, dzięki oszustwu i potędze Płonących Piekieł. Nawet teraz historia jest przekręcana. Świat wierzy w kłamstwo, a prawda została pogrzebana głęboko, jak Tal Rasha pod Lut Gholein.*

– *Ja...*

– *Zwab dziewczynkę tutaj, przywróć Al Cut do życia i weź swą pomstę na tym starcu. To jedyny właściwy sposób. Jedyny sposób.*

– Rozumiem, panie mój. - Mrocznemu kręciło się w głowie od straszliwego wysiłku, jakim było utrzymanie swego miejsca w czasie, płaszczyzny przemieszczały się coraz szybciej i szybciej, labirynt się zmieniał, a Mrocznemu groziło, że utknie w nim po wsze czasy.

Udało mu się utrzymać w jednym miejscu na tyle długo, by skupić spojrzenie na potężnej bestii.

– Muszę już odejść. I użyć tego naczynia... do innych celów.

Belial roześmiał się, a dźwięk ten przetoczył się po jaskini, jak krzyk tysiąca umierających.

– *Nie mów mi, co musisz zrobić. Ale dobrze. Wycofam się z gracją. Baw się swymi zabawkami, ale nie zapomnij, com ci powiedział.*

Płaszczyzny temporalne zmieniły położenie, połykając w jednej chwili Beliala i całą krew Piekieł. Mroczny znalazł się w kolejnej jaskini, równie wielkiej jak poprzednia. Wokół niego trwało miasto, a on widział wszystkie chwile tego miasta w tym samym momencie. Budynki i ulice pokrywał pył, były zniszczone i zarazem tętniły życiem. Bitwa magów toczyła się tuż obok bawiących się dzieci, przy czym ani jedni, ani drudzy nie byli świadomi siebie nawzajem. Całe pokolenia przenikały się niczym duchy. Mroczny skupił cały wysiłek woli na terażniejszości i na duchu, z którym pragnął się skontaktować. Powoli zjawy przeszłości zbladły i zniknęły, a on został sam wśród ciszy, pyłu i rozpadu. Czuł, jak pulsuje krew stuleci, czuł energię Al Cut, potężną i niewykorzystaną, niczym rzeka napierająca na tamę i gotowa ją sforsować.

– *Odejm kurtynę z ócz jego - powiedział Mroczny.*

Ziemia poczęła świecić, w miarę jak runa, znak Beliala, znaczyła swój ślad w pyle ulicy. Grunt zadrżał i otworzył się z hukiem, a Mroczny aż

wstrzymał oddech na widok ręki szkieletu, która chwyciła za skraj rozpadliny.

– Obudziłem go - wyszeptał. - Jest tutaj.

+

Jakiś czas później otworzył oczy. Znow był w komnacie pod Czarną Wieżą. Krew zniknęła, a jego płaszcz był suchy. Ze świecy pozostał zaledwie ogarek. Ale więź, jaką zadzierzgnął, pozostała. Tysiące krwawych nici biegło we wszystkich kierunkach.

Jego armia aż dygotała w radosnym oczekiwaniu na rozkaz swego pana.

Hałas skłonił go do podniesienia głowy. Człowiek na łańcuchach patrzył się na niego. Ale teraz spojrzenie więźnia było inne. Mroczny zluzował łańcuchy, opuszczając jeńca na ziemię. Mężczyzna nie przestawał przyglądać się Mrocznemu, a w oczach miał pewność siebie i poczucie władzy. Nie był to Belial, ani też człowiek, który wcześniej zajmował naczynie tego ciała. Mrocznym wstrząsnął dreszcz. Dokona tego. Dotychczas miał ukryte obawy, czy jest to w ogóle możliwe. Zmartwychwstanie człowieka. I to nie jakiegoś tam człowieka. Tego, który stanie na czele oddziałów maszerujących na Kaldeum. Tego, który położy kres ludzkości.

A on, Mroczny, był panem tego człowieka.

Uśmiechnął się.

– Mamy wiele do omówienia - rzucił.

Pod jego stopami, głęboko, coś nieskończenie potężnego wstrząsnęło ziemią. I towarzyszył temu niski jęk budzącej się ze snu gigantycznej bestii. Ostatnia sekwencja się rozpoczęła.

Koniec Dni zbliżał się nieubłagane.  
Władca Kłamstw nie będzie dłużej czekał.



CZEŚĆ TRZECIA  
Władca Kłamstw







## DWADZIEŚCIA TRZY



### *Droga do Gea Kul*

*Gdy tylko stanął na podłodze, portal zamknął się z sykiem i trzaskiem energii. Deckard Cain rozejrzył się zdumiony. Stał na szerokiej kamiennej platformie. Przecinał ją szpaler ogromnych kolumn zwieńczonych łukami, wiodący pod kamienne schody, za którymi znajdował się kolejny poziom oddzielony ognistą fosą. Dalej była tylko ciemność.*

*Cain nigdy nie widział czegoś tak niesamowitego. Kolory zmieniały się, gdy patrzył, kształty zdawały się falować wraz ze światłem. Przed sobą miał palenisko niemal dwukrotnie większe od niego, płomienie huczały tam jak w gigantycznym kowalskim piecu. Nad nim zawieszono miecze, topory i młoty - broń lśniła w blasku płomieni.*

*Coś... ktoś stał obok ognia, płonąc własnym wewnętrznym światłem.*

*Oddech Caina uwięził mu w piersi. Te wszystkie lata, które spędził wpierw na zaprzeczaniu, potem na powolnym poznawaniu i akceptowaniu spuścizny Jereda, doprowadziły go do jednej konkluzji: istnieje inny wymiar rzeczywistości, wymiar poza Sanktuarium, którym władają istoty nieśmiertelne. Jednak wciąż w głębi duszy miał wątpliwości, niewielkie*

ziarenko zwątpienia, którego nie zdołał się pozbyć nawet na widok demonów we własnym mieście. Jego umysł domagał się racjonalnych wyjaśnień. Istoty, które widział, mogły przecież ulec deformacji przy narodzinach, albo może odmieniła je jakaś dziwna choroba. Cain był człowiekiem nauki.

Archanioł rozwinął skrzydła.

Pasma rozpalonego do białości światła wystrzeliły z jego pleców, naładowane energią, która aż iskrzyła, i spowiły archanioła blaskiem tak jasnym, że Cain musiał osłonić oczy. Tak naprawdę to nie skrzydła, zrozumiał Deckard, a przynajmniej nie w tym sensie, jaki nadali temu słowu ludzie. Strumienie światła nieustannie pozostawały w ruchu, któremu wtórował dźwięk harmonijny niczym najpiękniejsza z pieśni.

– Tyrael - szepnął Cain. W oczach wezbrały mu łzy, ledwie co widział. - Archanioł sprawiedliwości, założyciel zakonu horadrimów.

– Witaj w Fortecy Pandemonium - rzekł archanioł. - Znałem dobrze twego przodka Jereda. Od dawna czekałem, by cię poznać, Deckardzie.

Głos Tyraela był głęboki i uspokajający, wibrował w komnacie, odbijał się echem od kamienia i sprawiał, że ściany mieniły się tęczą. Archanioł przewyższał siłą każdego człowieka. A jednak był ranny. Z pewnością w starciu z Najwyższym Złem.

Koniuszek jednej świetlistej wici dotknął ramienia Caina. Po ciele Deckarda rozlało się ciepło tak dojmujące, że niemal powaliło go na kolana. Zadygotał, jednak udało mu się utrzymać na nogach, choć zużył na to całą wolę, jaka jeszcze mu pozostała.

Zaczerpnął głęboko powietrza. To prawda. Archaniołowie istnieli.

Postąpił krok naprzód, wspierając się na lasce.

– Reszta moich towarzyszy dołączy do nas za chwilę - powiedział. - Zniszczyliśmy kulę zniewolenia za pomocą Woli Khalima. Mefisto został

powstrzymany. Szukamy Mrocznego Wędrowca, w nim znajduje się bowiem Diabło, którego pokonamy raz na zawsze.

– Wiesz wiele, ale nie wszystko. - Twarz Tyraela przesłaniał kaptur, pod którym widać było jedynie ciemność, ale i tak patrzenie weń było niczym gapienie się prosto w słońce. Cain odwrócił się, mrugając, by odzyskać ostrość wzroku. - Dobrze się spisałeś, ostatni z horadrimów. Ale jeszcze niejednemu zadaniu musisz sprostać, zanim staniesz przeciwko Diabło. Mój zaufany porucznik, Izual, przed wiekami uległ złu. Należy uwolnić go od cierpień. Musisz dojść do Piekielnej Kuźni i użyć Kowadła Zagłady, by zniszczyć Kamień Dusz Mefista raz na zawsze. Zanim jeszcze przekroczysz rzekę płomieni. I lękam się, że i to nie będzie wszystko. Przepowiednie mówią o zachwianiu równowagi sił, które może zniszczyć Sanktuarium, jakie znamy.

– Kiedy miałyby to nastąpić?

– Tego nie wiemy – odparł Tyrael. - Tak jak nie wiemy, czy w ogóle to nastąpi.

– Zrobię, co w mojej mocy, aby wesprzeć naszych bohaterów w walce przeciw ciemności.

Tyrael skinął głową.

– Nie wątpię, że służyś im mądrą radą. Ale pewnego dnia możesz stanąć przed koniecznością zrobienia czegoś więcej i obawiam się, że twoja przeszłość obróci się wtedy przeciw tobie w sposób, którego nie zdołasz znieść.

Zimne palce strachu dotknęły serca Caina. Dobrze już poznał świat aniołów i demonów, ale wiele jeszcze musiał się nauczyć. Co wiedzieli o przyszłości? Czy ta przyszłość się cały czas pisała? Czy może była od zawsze wyryta w kamieniu?

– Nie... nie rozumiem.

*Tyrael machnął dłońią, a jego złota zbroja brzęknęła cicho.*

*– Musisz pogodzić się z tym, co uczyniłeś, zrozumieć, kim jesteś i kim byłeś. Zrobię wszystko, by chronić cię w trakcie tego zadania, tak jak chroniłem każdego z horadrimów od powstania zakonu. Ale pewnego dnia może będziesz musiał stawić czoła ciemności w pojedynkę.*

*Lodowe palce strachu zaczęły się zaciskać. Ogień w palenisku zaryczał, potem przycichł. W świątyni pociemniało, cienie się wydłużyły, ciemne pasma rozwinęły się wokół Caina jak czarne węże, głuchy grzmot wibrował w ścianach i podłodze komnaty, jakby pod stopami człowieka i archaniola kruszyło się samo Sanktuarium. Na ich głowy poleciał deszcz pyłu zmieszany z drobnym gradem skalnych okruchów. Uszy Caina wypełniło echo krzyku tysiąca umęczonych dusz. Deckard stracił równowagę, upadł, wypuszczając kostur, który potoczył się po kamieniach podłogi.*

*Znikąd popłynął śmiech, głęboki i zimny, wypełnił mu głowę chrapliwym dudnieniem, niemal przyprawiając o utratę zmysłów. Czarne wici sięgały już teraz od ściany do ściany, a blask płomieni przygasł. Cain podniósł wzrok i ujrzał Tyraela w uścisku gigantycznych szponów. Pasma świetlistych skrzydeł powiewały bezradnie. Tyrael krzyczał przejmująco z bólu i wściekłości. A nad nim wznosił się tors zwieńczony gigantyczną głową demona tak odrażającego, że Cain musiał odwrócić oczy i z trudem powstrzymał torsje.*

*– Pokłoń mi się – zażądał demon, a jego śmiech wstrząsnął fundamentami Fortecy Pandemonium, a jego oddech był niczym gorący wiatr z samego dna Piekieł. - Pokłoń się Belialowi, Władcy Kłamstw.*

+

Cain usiadł na sienniku. Jakimś cudem udało mu się zasnąć po spotkaniu z pijawcem. A kiedy spał, świt zakradł się do pomieszczenia, malując wszystko wokół smętną szarością.

Cain był mokry od potu, dyszał jak po ciężkim biegu i miał wrażenie, że ściany pędzą ku niemu za każdym razem, gdy próbował skupić wzrok. Sny stawały się coraz gorsze. Przychodziły, gdy tylko zamknął oczy, i jak w krzywym zwierciadle przeinaczały obraz dawnych wydarzeń, wikłając serce Deckarda płataniną kłamstw, aż w końcu nie mogło już się uwolnić. Im bliżej znajdowali się odpowiedzi na pytania, które ich dręczyły, tym bardziej sny się zmieniały. Cain nie wiedział już, co tak naprawdę wydarzyło się przed laty. Niewątpliwie spotkał Tyraela w Fortecy Pandemonium i spotkanie to zmieniło jego życie już na zawsze. Ale Belial, jeden z Władców Płonących Piekieł, nigdy się tam nie pojawił.

Wszystko było nie tak. A jednak sen zasiał w jego sercu ziarno wątpliwości i Cain poczuł, że nie może już ufać własnym wspomnieniom.

Gdyby tylko Tyrael był tutaj. Strata archanioła sprawiedliwości wraz ze zniszczeniem Kamienia Świata była druzgocąca. Spotkanie go twarzą w twarz było najbardziej brzemienne wydarzeniem w życiu Caina. Po tylu latach wątpliwości, po horrorze, jaką była inwazja na Tristram, spotkanie z archaniołem twarzą w twarz było niczym spotkanie ze słońcem. Nie raz słyszał teorię, że anioły są równie złe jak demony i przede wszystkim pragną, aby ludzkość została zgładzona. Ale nie znali prawdy. Tyrael ochraniał horadrimów i resztę ludzi, podczas gdy wielu innych członków Rady Angiris najchętniej by ich zgładziło, co do ostatniego. Tyrael był wcieleniem sprawiedliwości, istotą tak czystą, że inni wydawali się przy nim niczym ćmy krążące wokół płomienia.

Ale teraz odszedł, zostawił Sanktuarium obnażone i słabe. Kto ich teraz ocali? Kto wkroczy, gdy świat znalazł się na krawędzi zagłady?

Kto powstrzyma Beliala przed zniszczeniem całej ludzkości?

+

Cain i Mikułow wyprowadzili Leę z Kurast, zanim jeszcze słońce na dobre wspięło się na nieboskłon. Biegająca przed nimi droga wyglądała niczym blizna na spalonym ciele. Martwe pnie drzew tuliły się do siebie w niewielkich grupkach, jakby chciały się bronić przed straszliwą plagą, która pozbawiła je życia. Niektóre z nich były poczerniałe, jakby osmalił je ogień.

Na poboczu drogi leżał wywrócony wóz. Makabryczne resztki wołów wciąż trwały w zaprzęgu. Kiedy go mijali, Lea przysunęła się bliżej Caina i natychmiast wyczuła w nim napięcie. Nie mógł oderwać oczu od wozu, obchodząc go zarazem szerokim łukiem.

Puste oczodoły wołów zdawały się patrzeć na nią szyderczo. *Skąd pomysł, że ty to przeżyjesz?* - pytały niemo. Przegniłe wargi odsłaniały zęby w odrażającym uśmiechu. *Dalej czeka cię tylko śmierć. Odwróć się i uciekaj, najszybciej jak potrafisz.*

Przez moment Lea chciała uciekać. Ale już w następnej chwili pomyślała o Kurast, o tym, co mogło jej się tam przytrafić bez opieki Caina i Mikułowa. Ludzie, których tam spotkali, przypominali zaledwie skorupy, puste łupiny. Jak duchy. Wszyscy byli martwi, tylko jeszcze tego nie wiedzieli. I tak naprawdę nie widziała, co działo się w pokoju Cyrusa, ale Cain widział - i Lea odniosła wrażenie, że to, co zobaczył, bardzo go przeraziło.

Z jakiegoś powodu zaczęła myśleć o swojej matce (nie prawdziwej matce, szepnął głosik w jej głowie, twoja prawdziwa matka cię zostawiła).

Lea przypomniała sobie jak Gillian robiła im śniadania, zanim w słońcu poranka wyruszyły razem do Jonaha po świeże warzywa. Czasem szły do bram Kaldeum, żeby przespacerować się wśród kolorowych namiotów handlarzy, i jeśli Lea miała szczęście, dostawała miodową pałeczkę. To były dobre czasy, zanim choroba Gillian odebrała im radość. Ta myśl okazała się zbyt bolesna.

– Co się stało? - Cain spoglądał na dziewczynkę z troską i Lea uświadomiła sobie, że łzy płyną jej po twarzy. Potrząsnęła więc głową w obawie, że znowu usłyszy wykład o tym, jak być odpowiedzialną, silną i stawiać czoła swoim lękom, ale zamiast pouczać, Cain objął ją za ramiona, a ona wtuliła się weń, wdychając zapach dymu i kurzu drogi, jakim przesiąknięta była jego tunika, i cieszyła się, że go ma, tak bardzo się cieszyła. Chociaż był dziwnym starym człowiekiem i chociaż tak do końca mu nie ufała.

Żeby umilić im wędrówkę (i, jak podejrzewała Lea, zająć czymś jej myśli), Mikułow opowiadał o swoim kraju, leżącym u podnóża gór na skraju puszczy Sharval, oraz o wszechstronnym szkoleniu, jakie odbył w klasztorze. O tym, jak siedział godzinami bez ruchu, ucząc się słyszeć głos bogów we wszystkim, co go otaczało, o zatracaniu tożsamości na rzecz potrzeby służenia Patriarchom. Opowiadał o wyczerpujących ćwiczeniach, o wyprawach w góry, gdzie brał się za bary z gigantycznymi bestiami, które żyją daleko poza granicami ludzkiego świata. Mimo młodego wieku Lea podchodziła do tych opowieści z pewną dozą sceptycyzmu, ale Mikułow mówił z zaskakującą swadą i entuzjazmem i zaszuchana dziewczynka szybko straciła poczucie czasu.

Cain wypytywał mnicha o jego wiarę i Lea szybko wyczuła, że po odejściu z klasztoru i opuszczeniu swych nauczycieli Mikułowa przepełnia głęboki smutek. To była decyzja, jak mówił, która mogła się okazać



równoznaczna z wyrokiem śmierci, choć tego akurat Lea nie mogła zrozumieć. Potem zaczęli rozmawiać o horadrimach, a Lea, straciwszy zainteresowanie, przestała słuchać. Połowy z tej rozmowy w ogóle nie mogła zrozumieć, tylko tyle, że wuj był członkiem jakiegoś magicznego klanu, a oni powinni zrobić coś, co Cain uważał za bardzo istotne. Reszta rozmowy dotyczyła jakichś starych ksiąg i przepowiedni. Absolutnie dość, by zanudzić małą dziewczynkę na śmierć.

Lea zauważyła, że niebo pociemniało mocno, a na horyzoncie zaczęły się gromadzić czarne chmurzyska, dokładnie tam, gdzie zmięrzali. Poczwała, że przenika ją chłód. Starła się przypomnieć sobie, co wydarzyło się w jej domu podczas pożaru. Niewiele pamiętała. Zapach dymu załedwie. A potem obudziła się, dygocząc, okryta opończą Jamesa. Cain jakoś musiał ich oboje wydostać z płomieni, ale jak? Nie wiedziwała.

Podobnie było w przypadku nocy spędzonej na zamku złego człowieka. Zjadła obfitą kolację i zasnęła. A potem ocknęła się z uczuciem narastającej paniki, miała wrażenie, że coś dziwnego rośnie i przesuwawa się po łóżku, krępując ją niczym czarne liny. A potem nagle byli na zewnątrz, biegli przez noc, a ludzie ich gonili. Dotarli do cmentarza... Lea westchnęła. Po prostu nie wiedziwała. Jakby ktoś wchodził jej do głowy, zabierał ciało i oddawał dopiero jakiś czas później.

Nie lubiła tracić kontroli, a jeszcze bardziej nie lubiła nie pamiętać. Co to wszystko mogło znaczyć? Może to obłąd?

Straszna myśl przejęła ją lodowatym dreszczem: a co, jeśli i ona była chora tak samo jak Gillian?

+

Zatrzymali się na noc w pewnej odległości od drogi, gdzie ogromna skalna półka stworzyła naturalną ochronę przed wiatrem i zbyt ciekawskimi spojrzeniami. Cain wyjaśnił Lei, że nie rozpalą ognia, ponieważ nie chcą zwracać na siebie uwagi. Nie mogli pozwolić, aby ktoś skradł im tę odrobinę jedzenia, jaką mieli. Lea zostawiła opończę Jamesa, kiedy uciekali przed ludźmi lorda Branda, i teraz bardzo tego żałowała, nie tylko ze względu na ciepło, jakie dawało okrycie, ale też na silny zapach, przywodzący na myśl bezpieczeństwo ojcowskich ramion.

Mikułow zabrał z kuchni Cyrusa trzy bochenki chleba i bukłak wody. Podzielili się kawałkiem i wodą, skuleni jedno blisko drugiego w poszukiwaniu odrobiny ciepła. Posiłek był tak skromny, że żołądek Lei burczał jeszcze długo później.

Kolejny świt był zimny i mokry, ziemia pokryta rosą śmierdziała jak zepsute jaja. Ruszyli w drogę, tym razem nie rozmawiając wiele. Zatrzymali się w południe, podzielili między sobą następną porcję chleba i podjęli marsz. Od czasu do czasu któreś z nich robiło uwagę na temat otoczenia albo rzucało zdanie czy dwa, ale Mikułow już nie snuł opowieści. Ostatni cień radości, nawet tej lekko wymuszonej, rozwiął się jak dym.

Lea zerknęła na Caina, który obserwował chmury na horyzoncie, kipiące i przelewające się nieustannie, dokładnie w tym samym miejscu co dzień wcześniej. Lea doszła do wniosku, że tak naprawdę to wcale nie chmury, tylko oleisty dym, albo nawet jakaś istota, obecność, oczekująca ich przybycia. Aby wtedy zaatakować.

I nieoczekiwanie wróciło do niej wspomnienie ptaka oddzierającego strzępy czerwonego mięsa. Kruka, którego widziała w Kaldeum. Znów spoglądał na nią paciorkami oczu, szponiastą stopą przytrzymując szcurze truchło, ostry czarny dziób uniósł gotów, by uderzyć. W jej wspomnieniach

ptak urósł do rozmiarów człowieka, jego pióra jednak nie były czarne i lśniące, lecz zakurzone, a naga skóra wзираła tam, gdzie ich brakowało.

Każde z wędrowców wpatrywało się w kłębiące się chmury, gdy szli w górę łagodnego wzniesienia. Wreszcie dotarli na szczyt.

Poniżej w oddali przytulone do morskiego brzegu rozpościerało się Gea Kul. Żałośnie wyglądające miasto już dawno przelało się przez własne granice. Szałasy i ziemianki przysiadły po obu stronach drogi, która biegła w dół zbocza. Tu było jeszcze więcej powywracanych wozów, w zaprzęgach tkwiły trupy koni i wołów. Lea uświadomiła sobie, że poza ciałami zwierząt na poboczach leżały też ludzkie zwłoki. Widziała obrane z ciała ręce wyłaniające się zza powywracanych wozów, jakby ludzie zostali uwięzieni i próbowali wyczołgać się na wolność. Morska bryza niosła smród rozkładu.

Wszystko wskazywało na to, że troje podróżników znalazło się w ostatnim miejscu, w którym znaleźć się powinni. Skoro mieszkańcy Gea Kul tak bardzo starali się uciec z miasta, dlaczego ich trójka tak bardzo starała się tam dojść? Czy ci horadrimowie, których Cain z Mikułowem chcieli znaleźć, mogli przeciwstawić się złu, jakie pochłonęło miasto? Skoro byli tak potężni, dlaczego nie pomogli ludziom, którzy umierali na tej drodze?

Nagła myśl zdjęła Leę prawdziwym przerażeniem: a co, jeśli właśnie ONI byli za to odpowiedzialni?

Daleko na widnokręgu coś się ruszało, maleńkie plamki, które roily się nad miastem jak komary. Kruki. Setki kruków.

Lea starała się powstrzymać drżenie. Nie mogła wymazać z pamięci kruka z Kaldeum. Okrągłe oko patrzące na nią z góry niczym czarny księżyc...

Powoli za Cainem i Mikułowem ruszyła w dół zbocza. U podnóża łagodnego stoku musieli przejść między dwoma wozami: jednym wywróconym na bok, drugim ustawionym w poprzek drogi. Spod przewróconego wozu sterczało ramię martwej kobiety, o palcach odartych do żywego mięsa i pozbawionych nawet resztek paznokci.

I gdy Lea próbowała minąć tę makabryczną rękę jak najszybciej, krwawe palce chwyciły ją za kostkę.

Dziewczynka wrzasnęła.

Uścisk był mocny i lodowato zimny. Przerazenie dodało Lei sił, szarpnęła się tak mocno, że wyciągnęła kobietę spod wozu. Tamta otworzyła oczy. Gapiła się na dziewczynkę, między popękkanymi, łuszczącymi się wargami poruszał się szarawy język. Twarz kobiety była jak czaszka obciążona skórą, włosy matowe, ciało sine.

– Jesteście przekłęci... - szepnęła. - Oni wrócą... wkrótce...

Lea patrzyła przerażona na fioletowe sińce na szyi kobiety. Coś obcego zaczęło się budzić w dziewczynce. Krzyknęła raz jeszcze. Cain zjawił się u jej boku, uderzył kosturem w nadgarstek kobiety raz i drugi, aż trzasnęła kość, a on mógł odciągnąć podopieczną.

Kobieta nadal próbowała ich dosięgnąć, choć jej dłoń zwisała bezwładnie, a nogi miała uwięzione pod powozem. Zaczęła charczeć, jakby się dławiła, i dopiero po chwili Lea zrozumiała, że kobieta się śmieje.

Odbiegli wszyscy troje jak najdalej od tego potwornego widoku, a obłąkany śmiech niósł się za nimi z wiatrem, aż wreszcie krakanie kruków zagłuszyło wszystko.



## DWADZIEŚCIA CZTERY



### *Komnaty horadrimów*

Kobieta żyła.

Kiedy zbliżali się do nieszczęsnego portu, niebo nad ich głowami stawało się coraz ciemniejsze. Cain zmagął się z potężną falą poczucia winy.

Kobieta była najwyraźniej kolejną ofiarą pijawców, świadczyły o tym sińce na szyi. A on złamał biedaczce rękę, żeby uwolnić Leę. Potrzeba chronienia dziewczynki była w nim tak potężna, że spanikował i działał bez zastanowienia.

Pijawce były jedynie pionkami. Pszczołami robotnicami, bezmyślnymi insektami wykonującymi zadanie zleczone przez kogoś innego. Ale co to było za zadanie? Kto je zlecił? Przed czym uciekali ludzie, którzy zginęli na tej drodze?

Kruki były wszędzie. Siedziały na poczeriałych kikutach gałęzi, żywiły się ludzką padliną. I krążyły nad głowami przybyszy, kracząc głośno, jak jakaś makabryczna parada pod niespokojnym niebem, pełnym kłębiących się chmur, które zawisły nad miastem.

Lea trzymała się Caina tak blisko, że niemal się o nią przewrócił, gdy wkraczali do miasta. Położył jej dłoń na ramieniu, żeby ją uspokoić, bo przy tamtej kobiecie poczuł, że w dziewczynce coś się zbudziło do życia. Poczł znajomy chłód zapowiadający manifestację jej mocy. Wszyscy byli napięci niczym struny liry.

Ulice Gea Kul stanowiły labirynt tandetnych, obdrapanych budynków i zagmatwanych skrzyżowań. Charakterystyczny zapach morza przesycił wilgotne powietrze, delikatna mgła zamazywała kontury otoczenia. Krzyk kruków przybrał na sile, ale przez mgłę ciężko było odgadnąć, z której to strony.

A jednak żyli tu ludzie. Cain ich wyczuwał, schowanych w przejściach, ukrytych w cieniach. Raz po raz dostrzegał w przelocie blade, naznaczone cierpieniem twarze, które spoglądały z okien, kryjąc się w głębi domu, gdy tylko on próbował im się przyjrzeć. Czasem wydawało mu się, że dostrzega jakiś ruch, słyszy ostrożne kroki. Ale ludzie tutaj okazali się bardziej płochliwi niż sarny. Spojrzał więc na Mikułowa i zobaczył ostrze wysunięte z karwasza.

Za następnym rogiem zobaczyli na ulicy chłopca, niewiele starszego niż Lea. Żebra sterczały mu nawet przez ubranie. Za niedorostkiem stanęło dwóch mężczyzn ściskających prowizoryczne pałki. Po chwili za nimi bezgłośnie pojawili się następni, wszyscy chudzi jak szkielety. Cain zerknął w górę, dachy obsiadły kruki i nastroszone z zimna w bezruchu obserwowały ludzi poniżej.

Mężczyźni z pałkami postąpili do przodu. Milczenie tłumu było niepokojące, w powietrzu wyczuwało się przemoc. Lea złapała Caina tak mocno, że jej paznokcie wbiły mu się w skórę. Była tak napięta, że zdawała się wibrować cała niczym kamerton.

Skrzyp takielunku zmaćił ciszę. Ulicą poniósł się niski jęk zakończony wysokim zawodzeniem, którego echo niosło się jeszcze przez chwilę. Kruki jak na komendę poderwały się z dachów z głośnym łopotem skrzydeł. Jęk rozległ się ponownie, tym razem głośniej, i tłum rozbiegł się we wszystkich możliwych kierunkach. Wkrótce trudno było uwierzyć, że w ogóle byli tu ludzie.

Ulicą nadbiegał mężczyzna. Przez mgłę ciężko było dostrzec szczegóły, ale Cain i jego towarzysze widzieli, że był wielki i białowłosy, a przy tym lekko zgarbiony. Dopiero gdy znalazł się bliżej, zauważyli róg w jego dłoni. Uniósł go do ust i ulicą potoczył się głośny jęk.

– To nie jest miejsce dla takiej układnej panny - powiedział nieznajomy. - Tutejsi nie lubią mojego rogu, bo przypomina im wołanie pijawców nocą. Ale zarutko wróć. Chodźcie za mną, przyjaciele. Nie chcecie mieć ich za plecami, słowem rękę.

Poszli więc za nim do budynku, który niejednen kaprys pogody miał już za sobą. Znak nad drzwiami głosił, że jest to Kapitański Stolik. Mężczyzna otworzył drzwi i zaprosił ich gestem do pogrążonej w ciszy i bezruchu izby jadalnej, oświetlonej kilkoma lampami. Wnętrze wyglądało na równie zniszczone co fasada budynku. Okna zabito drewnianymi płytami, ale w środku panował ład i porządek.

– Nie wiem, czemu sobie zawracam głowę. - Mężczyzna zamknął za nimi drzwi. - Nie mam żadnych klientów, ale nie umiem inaczej żyć. Służba mnie tego nauczyła. Tak ściel wyrko, żeby się z niego moneta odbiła, mówili, albo szoruj pokład, aż palce do krwi zedrzesz. - Wyciągnął do Caina dłoń. - Wybaczcie, moje maniery zardzewiały jak stara łajba w porcie. Kapitan Hanos Jeronnan, do usług waszmościów. Te wody znają mnie bardzo dobrze. Osiadłem tu z córką, żeby jakoś się ustatkować, na



życie zarobić, gdy Gea Kul było jeszcze całkiem niezłym miejscem. - Spojrzenie starego marynarza stało się nieobecne. - Dawno temu.

Cain wyczuwał w tym człowieku dobroć i siłę. Jeronnan był niemłody - pobrużdżoną twarz, kręcone włosy i rozwiane bokobrody białe jak mleko - ale bary miał szerokie, a uścisk nadal mocny.

- Wasza córka wciąż tu mieszka?

Jeronnan potrząsnął głową.

- Żem ją stracił lata temu. Ale i tak utrzymuję to miejsce. Mam swoje powody. - Skinął głową w stronę Lei, rysy mu złagodniały, gdy na nią patrzył. - Głodnaś, panienko? Miska rybnego gulaszu zaraz cię rozgrzeje.

Poszurał do kuchni i wrócił zaledwie chwilę później z trzema miskami na tacy. Cain chciał coś powiedzieć, ale marynarz uciszył go uniesieniem dłoni poznaczonej siatką żył.

- Najpierw napełnijcie brzuchy - nakazał. - Potem pogadamy.

Cofnął się o krok, krzyżując na piersi potężne ramiona.

Cain skosztował stawy i zdał sobie sprawę, że umiera z głodu. Gulasz był wyśmienity. Deckard opróżnił miskę w kilka chwil, a gdy podniósł głowę, zobaczył, że Jeronnan już niesie następną porcję, razem z kuflami spienionego piwa i wodą dla Lei.

Wreszcie najedli się i gospodarz przysunął do nich swoje krzesło.

- Nic tak człowieka nie cieszy jak widok obcych zajadających jego potrawy.

Jego energia okazała się zaraźliwa i nawet Lea zaczęła się uśmiechać nieśmiało, zerkając na wielkoluda, gdy ten na nią nie patrzył. Najwyraźniej znalazła sobie nowego bohatera. A kiedy Jeronnan wyciągnął dla niej z kieszeni miodową pałeczkę w papierku, dziewczynka rozjaśniła się z zaskoczenia i szczęścia, jakby wręczył jej funt złota.

– A teraz powiadajcie, co tutaj robicie? Dla mnie Gea Kul jest domem od ponad czterdziestu lat, ale to przeklęte miejsce. Legendy mówią, że zbudowano je na polu bitwy, gdzie walczyli ze sobą starożytni magowie. Nie raz usłyszałem, że muszę być szalony, skoro chcę tu zostać, ale ja się nie poddam. No ale niewielu tu przychodzi z własnej woli. - Jeronnan zmierzył Caina uważnym spojrzeniem. - Wyśta jest czarnoksiężnik - stwierdził.

– Jestem uczonym horadrimem - odparł Cain.

– A... - Jeronnan potarł brodę. - Znaczy się pewnieście przyszli tu do swoich braci.

– Tak - potwierdził Cain, czując chłodny dreszcz na plecach. - Widzieliście ich może?

– Ano. - Jeronnan rozparł się na krześle, twarz miał nieprzeniknioną. - Mam słabość do magii i nie bez powodu, nawet jeśli orzekiecie, że jestem dziwny. Lata temu przez to miasto przejeżdżała słodka nekromantka, tu siedziała, w tym samym miejscu... - Potrząsnął głową z szerokim, łagodnym uśmiechem. - Wiem, że wystarczy sama myśl o nekromantach, żeby niejednego skłonić do ucieczki, a do tego większość wygląda dziwniej niż statek na suchej ziemi, ale Kara była inna. Słodka, delikatna na swój sposób. Odeszła stąd, z tego świata, a może i jedno, i drugie, a ja pozostałem upartym jak baran starym kapitanem, który nie wie, kiedy przestać.

– Horadrimowie - przypomniał mu Mikułow łagodnie. - Widzieliście ich?

Jeronnan skinął głową.

– To przez nich miasto spotkał ten koszmarny koniec, a przynajmniej tak się mówi. Wielu magów widziałem w swoim życiu. Ale ten, co ich

prowadzi... - Znów potrząsnął głową. - Nie sadzę, żeby takie zło mogło się narodzić w jakimkolwiek zakonie ludzi.

I tak stary wilk morski opowiedział im o grupie horadrimów, którzy przyszedli do Gea Kul przed wieloma miesiącami, o człowieku imieniem Rau, który założył zakon w mieście i nakazał budowę wielkiej kamiennej wieży na brzegu morza. Ale wkrótce później Rau zniknął ku rozpaczy jego ludzi i to wtedy wydarzyła się tragedia.

– Mrok zagnieździł się w tamtym miejscu - powiedział Jeronnan. - I w końcu ciemność zagarnęła i Gea Kul. Coraz częściej słyszało się o istotach, które przychodziły w nocy, żeby wyssać z ludzi życie. Jedni zamykali drzwi i okna i siedzieli przy zapalonym świetle. Inni zaczęli się dziwnie zachowywać. Jakby byli nawiedzeni. Czasem uśmiechali się upiornie, przechylali głowy, jakby nasłuchiwali głosów. Można by pomyśleć, że całe miasto popadło w obłąd. Inne rzeczy też się działy. Niektóre sami widzieliście. Tych ludzi tam, marniejących powoli, jak chodzące trupy.

– A jak wam się udało uniknąć takiego losu? - spytał Cain.

Jeronnan sięgnął do kieszeni i wyjął coś ukrytego w skórzanym futerale. Zdjął ów futerał ostrożnie i zaprezentował gościom sztylet z kości słoniowej.

– Podarunek od starej przyjaciółki. Wróciła z jednej ze swoich przygód na pustyni i podarowała mi to zakłęte ostrze. Dar, na jaki nie zasługuje taki stary marynarz jak ja. Nie lubią go te pijawce. Trzymają się z daleka ode mnie. - Podał broń Cainowi.

Deckard obrócił sztylet w dłoni, wyczuwając staranne wyważenie i zamkniętą w klindze energię. Ostrze nekromanty było bardzo istotną częścią ich magii, żaden nie oddałby dobrowolnie osobistej broni. Ale ten egzemplarz podobny był do sztyletów używanych przez kapłanów Rathmy w ich rytuałach. Przyjaciółka kapitana najpewniej sama zakłęła ostrze.

– Musiała was głęboko podziwiać, skoro dała wam taki prezent.

Jeronnan uśmiechnął się ponownie, tym razem jednak z odrobiną smutku.

– Kara była dla mnie jak druga córka. Ale odeszła w poszukiwaniu kolejnych przygód u boku tego całego Norreca i nie słyszałem o niej od lat.

Cain wyciągnął z torby księgę horadrimów i położył na stole. Kapitan spojrzał na znajomy symbol na okładce, ósemkę i bursztynowy klejnot w jej centrum.

– Już taki widziałem - stwierdził. - To jest znak ich zakonu. Znałem dwóch chłopców z miasta, którzy przyłączyli się do bractwa, zanim jeszcze nadeszły pijawce. Cały czas chodzili z takimi księgami. To byli dobrzy chłopcy, bez względu na to, kto ich prowadził.

– Ci uczeni - zaczął Cain - nadal są w Gea Kul?

– Zebrali się i uciekli kilka miesięcy temu, po tym jak stanęła wieża. Ale w mieście jest ukryte miejsce, gdzie kiedyś zbierał się zakon. Nie wiem, gdzie dokładnie, ale mogę was zaprowadzić w tamtą okolicę, jeśli chcecie.

+

Ulice były puste. Lśniły obmyte niedawnym deszczem.

Cain szedł za Jeronnaniem przez mgłę, starając się trzymać jak najbliżej wielkoluda. Ciągłe nie mógł się zdecydować, czy zaufać kapitanowi, czy nie. W końcu tamten mógł go prowadzić prosto w pułapkę. Ale w intencjach Jeronnana nie wyczuwało się zdrady. Zabrał ze sobą róg i sztylet, by ludzie trzymali się z daleka, ale Cain nie dostrzegł nawet jednej osoby. Zupełnie jakby w Gea Kul tylko Jeronnan był jeszcze żywy.

Mikułow i Lea zostali w oberży. Mimo że Cain chciałby bardzo, by mnich mu towarzyszył, jeszcze bardziej chciał, by Lea była bezpieczna. Wymógł na kapitanie obietnicę, że i on dołączy do mnicha i dziewczynki, gdy tylko dotrą do okolicy, w której mieściło się tajne miejsce spotkań.

Jeronnan zatrzymał się na ulicy pełnej zrujnowanych szałasów. Śmieci gromadzące się po kątach śmierdziały przegniłym jedzeniem. Ogromne szczury wyskakiwały z nich płoszone odgłosem ludzkich kroków.

- Te spotkania odbywały się gdzieś tutaj - powiedział kapitan. - Widywałem ich na tej dokładnie ulicy. I nagle znikali, nigdy jakoś nie zbadałem, gdzie dokładnie. Nie wiem, jakieście sobie zaplanowali ich znaleźć, ale nam bardzo potrzebna jest każda pomoc. Dawno temu to miasto odwiedzali handlarze, tawerny pełne były klientów, a doki pękały od towarów dla Kurast i Kaldeum. Może nie było to miejsce dobre dla królów, ale za to pełne życia. Ja się znam na ludziach i coś mi mówi, że jesteście człowiekiem, który może przynieść spokój temu miastu. - Wcisnął róg w dłoń Caina. - Zadmijcie, jak wam będę potrzebny. To odstraszy tych opętanych przez pijawce, a ja przybędę wam na ratunek z moim sztyletem i takimi siłami, jakie uda mi się zamustrować. - Ujął rękę Deckarda w swoje wielkie dłonie i uścisnął. - Uważajcie na siebie. I powodzenia.

A potem zniknął we mgle.

Cain wepchnął róg do torby i rozejrzał się po opuszczonych szałasach. Znowu dopadło go to znajome wrażenie, że jest ostatnim człowiekiem w Sanktuarium. Był już bliski celu, a jednak czuł się wyjątkowo zagubiony. Złożono mu na ramiona ciężar całego świata i nie miał pojęcia, jak temu sprostać.

Nie jest żadnym bohaterem.

To była prawda, zamierzał jednak zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby zmazać swoje dawne przewiny, poświęcić życie, jeśli będzie trzeba. To

powinno wystarczyć.

Rozglądał się uważnie w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki, która mogłaby go naprowadzić na miejsce spotkań zakonu. Okolica niczym się nie wyróżniała, horadrimowie słynęli z tego, że swoje miejsca spotkań ukrywali bez mała na widoku, tam, gdzie najmniej się spodziewano. Będzie przesłonięte czarem ukrywającym. Na pewno silnym. Cain zastanawiał się, co mogłoby mu pomóc w poszukiwaniach, ale nic nie przyszło mu do głowy. Wreszcie wziął do ręki starożytną księgę Vizjerei, którą znalazł w ruinach.

*Magia demonów, opracowana przez wyznawców Bartuka, wódza krwi.* Ostrożnie przerzucił kruche stronice. Znalazł zaklęcie, które powinno ujawnić wszystko, co skrywane zaklęciem. Ale takie czary nie należały do bezpiecznych. Sanktuarium przestało być chronione przed Płonącym Piekłem i wszystkim, co je zamieszkiwało. Ta inkantacja okaże się pewnie światłem latarni morskiej w ciemności. Ale czy miał inny wybór? Mógłby przecież przeszukiwać okolicę całymi dniami, a wejścia nie znaleźć.

Wyrecytował słowa mocy, czując, jak grunt pod jego stopami drży, a kiedy skończył, poczuł też spojrzenie tysięcy skupiające się na Gea Kul, wzrok czegoś, o czym nawet nie chciał wiedzieć, plugastw, które kryły się w mrocznych jaskiniach cuchnących krwią i rozkładem. A nad nimi wznosiła się Czarna Wieża, w której mieszkał ktoś, kto kiedyś był człowiekiem, teraz zaś czymś zupełnie odmiennym - istotą żywiącą się bólem.

Symbol horadrimów, o wierzchołkach zaostrzonych niczym kły, lśnił czerwienią na drzwiach jednego z większych budynków. Cain schował księgę do torby i ruszył biegiem. Mgła zwijała się wokół niego, tunika powiewała niczym krucze skrzydła. Kiedy dobiegł do drzwi, zorientował się, że klamka stanowi dolną część symbolu. Gdy zaklęcie traciło moc,

również i znak płonął słabiej. Cain chwycił za klamkę, drzwi uchyliły się bardzo gładko, ujawniając nieprzeniknioną ciemność.

Głos z Czarnej Wieży zadudnił gromem w głowie Caina, niczym kamienna lawina. Dźwięczała w nim wściekłość. Obecność Caina była niczym wyzwanie do walki i głos bez słów obiecywał mu zgnieść czaszkę w tym starciu.

Deckard Cain dał nura w głąb budynku i zamknął za sobą drzwi, ucinając tym samym potworny krzyk. Po czym odwrócił się w stronę tego, co mogło nań czekać w ciemności.

+

Cain zobaczył zarys schodów prowadzących gdzieś w dół. Podest oświetlał słaby płomień, najpewniej świecy.

Ktoś tu był.

Usłyszał zgrzyt, a potem zapadła cisza. Ostrożnie, by nie wydać żadnego dźwięku, Cain zszedł po schodach. Na dole znalazł prostą izbę z drewnianym biurkiem. Po obu stronach ujrzał otwarte drzwi. Z tych po prawej sączyło się tyle światła, by Cain mógł widzieć wszystko wyraźnie. Biurko było puste, ale gobelin na ścianie przedstawiał symbol horadrimów, niemal przecięty na pół uderzeniem miecza. Cain oczyma duszy ujrzał czarno opancerzonych żołnierzy, niosących zniszczenie, tnących mieczami wszystko, co na drodze, wywracających stoły, rzucających pochodnie na stosy suchych kart... I nagle ci żołnierze stali się w jego wizji wielkimi krukami o czarnych dziobach ostrych niczym sztylety. Cain dotknął gobelinu, poczuł szczyrby w kamiennej ścianie. To nie miecz niemal

przepołowił arras. Rozcięcia były trzy, równej długości, jakby gigantyczna istota chlasnęła materię szponami ostrymi niczym brzytwy.

Co jeszcze znajdzie tu, na dole? Zbawienie? Czy jednak zagładę?

Prześlizgnął się przez drzwi po prawej i znalazł się w wielkiej bibliotece. Na jednym ze stołów ogarek świecy dopalał się w kałuży wosku. Proste drewniane półki wznosiły się na każdej ze ścian, w większości wypełnione księgami. Niektóre tomy wydały się Cainowi znajome, niektórych nigdy dotąd nie widział. Zbiór był wspaniały.

Na jednym ze stołów leżał otwarty wolumin, podobny do tego, który Cain odnalazł w ruinach.

Nagle nozdrza starca wypełnił smród zepsucia, jakby zgniłego mięsa. Po drugiej stronie pomieszczenia widział wejście do kolejnej izby, pogrążonej w nieprzeniknionej ciemności. Usłyszał szmer i niski, gardłowy pomruk, któremu towarzyszyły odgłosy drapania jak po skale. Czując się beznadziejnie odsłonięty w blasku świecy, Cain przywarł plecami do ściany i cicho niczym duch przesunął się w róg między dwoma szafami bibliotecznymi.

Stwór, który pojawił się pod łukiem przejścia, był tak wielki i niepojęty, że Cain w pierwszej chwili nie mógł w ogóle zrozumieć, co widzi. Tworzyły go ludzkie ciała, tułowia i kończyny zwinięte razem, z tej masy wystawały potężne szpikulce, na pierwszy rzut oka z drewna i kamienia. Długie ramiona zakończone były czymś na kształt maczug najeżonych ostrymi odłamkami. Z obrzmiałego, gnijącego ciała wystawały co najmniej trzy głowy o zasnutych bielmem oczach. Potwór poruszał się wolno i mozolnie, pochylił się, by zmieścić się w przejściu, wysokim na co najmniej trzy metry. Szerokie barki dotykały futryny, stwór, stękając z trudem, przecisnął się do biblioteki. Najważniejsza zdawała się głowa



wystająca z szerokiej klatki piersiowej i to ona zwróciła się w stronę Caina, łypiąc nań białymi ślepiami.

Potwór zatrzymał się, zupełnie jakby rozważając, z kim ma do czynienia. Potem otworzył usta i zaryczał, a pozostałe głowy zawtórowały i Caina owionął cuchnący oddech. Płomyk świecy zamigotał i przygasł. Stwór zrobił krok naprzód, niemal wywracając stół z ogarkiem. Na myśl o ciemnościach Caina zaczęła ogarniać panika. Wyszedł z kryjówki i ruszył w stronę drzwi, ale to samo zrobił potwór, wyciągając straszliwe ramię, by zmiażdżyć człowieka.

Cain ledwie zdążył się uchylić. Potwór zaryczał. Tym razem płomyk świecy nie zdołał się oprzeć. Nagle Deckard przestał widzieć cokolwiek i miał wrażenie, że śmierć czyha nań z każdej strony. Zatoczył się i trafił na kant stołu. Słyszał, jak istota się porusza, tak samo ślepa jak i on. Stół nagle poszorował po podłodze, rzucając Caina na szafę z książkami.

Izbę znów wypełnił blask, gdy rozgrzane do białości światło rozbłysło pośrodku. Deckard zamrugał i zobaczył zakapturzoną postać na progu drugich drzwi w pomieszczeniu ze schodami. Przybyły cisnął w stwora kolejnym płomieniem, odrzucając go w tył. Potwór wrzasnął wściekle i zamachał ramionami.

Cain odepchnął stół i skoczył w stronę nieznanego wybawcy. Przebiegł pokój z gobelinem i podążył za obcym do następnego pomieszczenia. Stwór w bibliotece wył wściekle, wstrząsając podłogą, w miarę jak wyrąbywał sobie przejście.

Cain i człowiek w kapturze znaleźli się w kamiennym korytarzu. Zakończonym ślepo. Mężczyzna nacisnął ukrytą dźwignię i kamienna ściana odsunęła się, ujawniając jeszcze jedne schody, prowadzące w głąb ziemi. Kolejna kula światła pozwoliła Cainowi zobaczyć wąski korytarz u ich podnóża. Ta część wydawała się o wiele starsza od biblioteki. Ściany

były tu potrzaskane, porośnięte mchem. Obcy ruszył w dół, ale Cain się zawahał. Tyle wiedział o niespodziewanym wybawcy, co o stworze, który ich ścigał. Z tego, co Deckard słyszał, mógł mieć do czynienia z samym Mrocznym, a w dole mogło czekać nań jeszcze większe niebezpieczeństwo. Jednak kolejny ryk potwora z biblioteki pomógł mu podjąć decyzję - zszedł po schodach najszybciej jak mógł, bacząc na śliski mech.

Nieznajomy nacisnął jakiś kamień i ściana na górze wróciła na swoje miejsce. Wziął w dłoń pochodnię, zanurzył w kuli światła na podłodze. Długie, smukłe palce sięgnęły do kaptura, aby odsłonić twarz młodego mężczyzny, czystą i białą niczym świeży śnieg.

– Nazywam się Egil - powiedział nieznajomy. - Nie mam złych zamiarów. Jestem jednym z Pierwszych, horadrimów. Proszę, chodź za mną.



## DWADZIEŚCIA PIĘĆ



### *Obozowisko*

Cain szedł za mężczyzną przez wilgotny, porośnięty mchem tunel i zastanawiał się nieustannie, jak Egilowi udało się go znaleźć. Jak wielu horadrimów pozostało? Czy wiedzieli o zbliżającej się inwazji demonów na Sanktuarium?

Inne, bardziej mroczne myśli przemykały mu przez głowę. Co się stało z przywódcą bractwa, Garrethem Rauem? I czy temu obcemu młodemu człowiekowi można ufać? A jeżeli Cainowi coś się stanie, kto zaopiekuje się Leą?

Wydawało się jednak, że Egil za bardzo się spieszył, by rozmawiać. Cain nadążał z trudem za migoczącą pochodnią. Próbował podejść bliżej. Gdy mu się udało, złapał Egila za rękaw tuniki. Młodszy mężczyzna zatrzymał się i odwrócił. Na jego twarzy malowały się niezwykle wręcz spokój i cierpliwość.

– Czym było to w księgozbiornie? - zapytał Cain.

– Nazywamy ich niepogrzebanymi, ale nie wiadomo na pewno, jak albo dlaczego przychodzą - odparł Egil. - Powstają chyba z ciał umarłych oraz

innych elementów pobliskiego otoczenia, jakby ktoś ich poskładał, a potem tchnął w te stwory życie. W Sanktuarium budzi się potężna czarna magia. Może to ona jest przyczyną.

– A co wy tutaj robicie?

– To nasze dawne miejsce spotkań, zanim... zanim opuściliśmy Gea Kul. Próbowałem odzyskać niektóre teksty. Obawiam się jednak, że teraz są już zniszczone. - Egil westchnął, była to pierwsza oznaka uczuć, jaką Cain u niego zobaczył. - To ogromna strata. Ale nie tylko dlatego tu jestem.

Egil wyjaśnił, że przepowiednie uprzedziły o przybyciu Caina w ten dokładnie dzień i bracia niecierpliwie wyczekiwali go miesiącami. W zakonie zachodziły zmiany, potrzebny był nowy przywódca. Wielu miało nadzieję, że Cain dostarczy kluczowych informacji o wszystkim, co zaszło w Sanktuarium po zniszczeniu Kamienia Świata.

– Te zmiany - wtrącił Cain. - To z powodu Garretha Raua?

Jeśli Egil był zaskoczony, nie dał tego po sobie poznać.

– To skomplikowane - mruknął. - Powiemy ci wszystko, gdy tylko dotrzemy do obozu. Ale teraz musimy iść. Ten tunel to część większej sieci zbudowanej pod Gea Kul wiele lat temu i nikt nie wie, jak daleko się ciągnie i dokąd zmierza. Lecz bez wątplenia nieumarli przyszli właśnie stąd. A w korytarzach lub pod nimi mogą też być inne stworzenia. Bardzo niebezpieczne.

Cain potrząsnął głową.

– Jeżeli chcesz, abym ci towarzyszył, muszę najpierw dostać się do miejsca nazywanego Kapitańskim Stolikiem. Zostali tam moi przyjaciele.

Egil zawahał się, potem skinął głową.

– Wiem o tym. Mogę cię do nich zabrać, a potem spotkamy się z resztą braci. Ruszajmy, proszę.

+

Mężczyzna poruszał się z niewymuszoną gracją, niemal bezszelestnie. Pochodnia migotała na łukowatym sklepieniu, które wydawało się zawieszona tuż nad głową Caina. Minęli kilka rozgałęzień tunelu, aż wreszcie skręcili w to, które wznosiło się ku schodom prowadzącym do żelaznej kraty. Pozostawiwszy dopalającą się pochodnię w uchwycie na ścianie, Egil odsunął kratę i Cain znalazł się na poziomie ulicy nieopodal gospody Jeronnana.

Kiedy dotarli do Kapitańskiego Stolika, wywołali radość i ulgę u Mikułowa i Lei. Dziewczynka rzuciła się Cainowi na szyję, a Jeronnan uścisnął oburącz prawicę starca.

– Przypuszczam, że teraz się wyprowadzicie - stwierdził. - Możesz zaufać temu człowiekowi, Egilowi. Znam go dość dobrze, urodził się i wychował tutaj, w Gea Kul. To dobry chłopak.

Pochylił się potem do Lei i podał jej kolejną miodową pałeczkę.

– Coś na twoje smutki, maleńka - powiedział. - Bądź zdrowa.

Mikułow chciał się dowiedzieć więcej o bractwie, ale Egil zaczynał się niepokoić i ostrzegał przed niebezpieczeństwem podróży po mieście po zmroku.

– Mamy mniej niż dwie godziny, by opuścić Gea Kul - powtarzał. - Na rozmowy przyjdzie czas później.

Cała czwórka pożegnała się zatem z Jeronnanem i podziękowała mu za pomoc. Kapitan nalegał, by zabrali trochę ryby na drogę, chociaż Egil twierdził, że to niedaleko. Cain próbował zwrócić róg, ale Jeronnan nie chciał go przyjąć.

– Pamiętaj. - Położył wielką dłoń na ramieniu Caina. - Jeżeli usłyszę ten róg, przybędę ci na pomoc, nieważne, gdzie się znajdziesz. Może wyglądam staro, ale ciągle dam radę stawić czoła temu, co mogłoby chcieć waszej krzywdy.

Wyruszyli przed zmierzchem. Ulice opustoszały, tylko kruki krążyły im nad głowami, a krakanie rozpływało się w gęstniejącej mgle. Egil poprowadził towarzyszy z powrotem do tuneli pod miastem. Wyjął pochodnię z uchwytu w ścianie i wkroczył w plątaninę skrzyżowań. Dopiero za miastem wydostali się na powierzchnię przez wejście do kanałów.

Egil zostawił pochodnię i poprowadził trójkę wędrowców w nadmorski gąszcz. Mikułow szedł z tyłu. Lea nie oddalała się od boku Caina, nieufna wobec nowego znajomego o dziwnym wyglądzie. Deckard musiał przyznać, że bezbarwne oczy młodego mężczyzny są zdumiewające, niemal hipnotyczne, a białe brwi i włosy sprawiają, że Egil przypomina woskową figurę. Nie miał jednej nawet zmarszczki.

Za miastem weszli w gąszcz splątanych bezlistnych drzew, skalistych płyt i wychylającej się z pasm wyschniętego nawozu martwej trawy o źdźbłach ostrych jak brzytwa. Posuwali się wąską ścieżką meandrującą między kępami roślin. Egil nerwowo zerkał w niebo, ale kruki chyba zgubiły trop po wejściu ludzi do tuneli, bo nie było widać pogoni.

Po wznoszącym się lekko zboczach dotarli do większej gęstwy drzew. Było ciemno i ponuro, martwe konary zwieszały się i wyginały jak kościste palce. Mikułow zbliżył się nieco do reszty, a Lea mocniej ścisnęła Caina za rękę, gdy Egil zwolnił, a potem zatrzymał się na niewielkiej polanie. Zagwizdał nisko, cicho. Niemal natychmiast gdzieś po prawej odpowiedział mu podobny gwizd. Lea przyłgnęła do Caina, gdy z mroku wychynęły w przyćmione światło trzy postacie i zaczęły się zbliżać z trzech stron

bezszelestnie jak duchy. Jedna była wielka, potężniejsza w barach nawet od kapitana Jeronnana i o kilkanaście centymetrów wyższa od Caina. Olbrzymi przybysz niósł łuk, na naciągniętej cięciwie trzymał w gotowości strzałę.

Nieznajomi przystanęli. Mgła opadła i zawirowała wokół ich stóp.

– Bracia moi - odezwał się Egil, a głos mu drżał z emocji - jesteśmy ocaleni. Znalazłem go.





## DWADZIEŚCIA SZEŚĆ



### *Pierwsi*

Obóz nie wyglądał tak, jak Mikułow się spodziewał. Mnich wyobrażał sobie wielki kompleks drewnianych świątyń, pracowni i kwater mieszkalnych, budowle wznoszące się nad gąszcz lasu, roje budowniczych uwijających się przy pracy i uczonych medytujących lub dyskutujących o strategii oraz wiodących filozoficzne rozważania o przyszłości całego Sanktuarium. Coś takiego pasowałoby do wielkiej historii bractwa opisanej w księgach.

Lecz obóz okazał się tylko siecią jaskiń w stromym zboczu klifu wznoszącego się nad morzem i górującego nad miastem. Niemal nic nie wskazywało, że ktokolwiek tutaj w ogóle mieszka.

Największym problemem było samo miejsce. Mistrzowie z Iwogrodu uczyli Mikułowa o wojnie. Przy wyborze miejsca na twierdzę należało w pierwszej kolejności ocenić jego walory obronne, ale i możliwości ucieczki, gdyby bitwa przybrała niekorzystny obrót. A te jaskinie wydawały się ślepe i mogły się zamienić w śmiertelną pułapkę.

Trzech mężczyzn, których mnich i jego towarzysze spotkali w martwej dżungli, na początku było podejrzliwych, ale ożywiło się, kiedy Cain pokazał im swoje reprodukcje tekstów horadrimów i zwoje, które nosił w torbie. Największy z braci, nazywany Lundem, okazał się, jak to określali mistrzowie Mikułowa, powolny w myśleniu, ale miał życzliwe, dobre serce i Lea od razu do niego przyłgnęła. Lund był umięśniony jak wół, a jego łuk miał długość równą niemal wzrostowi dorosłego mężczyzny. Mikułow zastanawiał się, czy taką broń można w ogóle unieść, ale kiedy Lund pokazywał ją Lei, bez wysiłku naciągnął cięciwę, wycelował w prześwit między drzewami o pięćdziesiąt metrów dalej, po czym posłał tam strzałę.

Kiedy dotarli do wejścia jaskini, otoczyło ich więcej ludzi, prawie trzydziestu. Niektórzy traktowali Caina jak powracającego króla, inni jednak ledwie raczyli go zauważyć.

– Nie przejmuj się nimi - powiedział cicho Egil, gdy mogli porozmawiać. Skinieniem głowy wskazał na grupę, która odsunęła się od Caina i stała teraz z boku, szepcząc między sobą. - Jesteśmy podzieleni. Część z nas wierzy w przepowiednie i przyszłość horadrimów, a część nie. Dla nas, którzy wierzymy, jesteś zbawieniem.

– A co z tymi, którzy nie wierzą? - zapytał Mikułow.

– Będzie trzeba ich przekonać. - Egil uśmiechnął się oschle. - Ale to dobrzy ludzie. Uwierzą po naszym zebraniu wieczorem. Wszyscy słyszeliśmy o waszej podróży i zastanawialiśmy się, co nas czeka.

– Nie jestem zbawcą - zaproponował Cain. - Tylko uczonym, który przeczytał dość starożytnych ksiąg, by wiedzieć, że trzeba działać szybko. Nie zostało wiele czasu. Ratham zaczyna się za trzy dni.

Egil popatrzył nań bez zrozumienia.

– Ratham? Miesiąc zmarłych? Dlaczego to ważne?

Mikułow próbował wyjaśnić, co znalazł w zwojach, ale na tym dyskusja się skończyła. Mnich szybko się zorientował, że ci ludzie niewiele wiedzą o niebezpieczeństwie grożącym Sanktuarium i jeszcze mniej o tym, co ma się wydarzyć.

To było największe rozczarowanie. Cain i Lea również to wyczuwali. Mnich widział, jak znika energia, jakiej nabrali po spotkaniu z Egilem. Ci, którzy zasypali Caina pytaniami, sądzili chyba, że starzec pojawił się tylko po to, by poprowadzić bractwo do zwycięstwa nad ciemnością, i bez zwłoki próbowali przekonać go o swojej wartości.

Może zbyt pochopnie ich osądzam, pomyślał. Wypada dać im szansę, by dowiedli, ile są warci.

Jeżeli to jedyna nadzieja Sanktuarium, niech tak będzie. Bogowie, gdy pora nadejdzie, rozwieją wszelkie wątpliwości.

Bardziej naglące pytania o grupę ludzi i ich dawnego przywódcę zostały uprzejmie odłożone na później, do zebrania, które miało się odbyć, po tym jak bracia i ich goście przełamią się chlebem. Mikułow wyczuł, że Cain też zaczyna się denerwować, widząc ten brak pośpiechu.

Wydawało się jednak, że nic im tutaj nie grozi. W największej jaskini pochodnie migotały jasno na ścianach, a zapach dymu niósł się w powietrzu. Członkowie bractwa posadzili podróżnych na stosach futer wokół ogniska i wręczyli im kubki z cydrem. Lund tymczasem przytargał na olbrzymim ramieniu antylopę, nadal ze strzałą w piersi.

– Najemy się dzisiaj porządnie! - zawołał z szerokim uśmiechem, a kilku innych odpowiedziało mu wiwatami i oklaskami. Lund skłonił się wesoło, nim zaczął sprzątać zdobycz nożem. Mężczyzna imieniem Farris, przywódca grupy, która wolała trzymać się na dystans, początkowo sarkał, ale wkrótce nawet on przyłączył się do reszty.

Kiedy wiwaty robiły się coraz głośniejsze i bardziej ochryple, Mikułow skorzystał z okazji i wyslizgnął się w chłód nocy. Przystanął w cieniu wejścia, rozglądając się czujnie. Na drzewie znajdował się wartownik, inny krył się gdzieś nad klifem. Mikułow miał zmysły wyostrzone i wyćwiczone przez lata medytacji i szkolenia, mógł słyszeć, jak strażnicy zmieniają pozycję, i wyczuwać wyraźnie ich zapach niesiony morską bryzą, ale pozostać niezauważonym.

Przywołanie mocy bogów nie należało do spraw łatwych, ale był wszak iwogrodzkim mnichem, czuł tę moc opływającą go niczym woda gład. Unosiła go, gdy poruszał się oślepiająco szybko, szybciej niż w okamgnieniu.

Wartownicy nawet nie spojrzeli w jego kierunku. Mikułow zniknął między drzewami nad jaskinią, wspiąwszy się bez wysiłku po stromym zboczu na szczyt klifu. Popatrzył na dolinę skąpaną w blasku księżyca. Gea Kul leżało w oddali na skraju morza jak rozkładająca się padlina, obmywane czarnymi falami, a po prawej nad skalistym brzegiem wznosiła się wieża, mroczna i cicha.

Mikułow pamiętał, jak stał na podobnym klifie zaledwie parę dni temu, patrzył nad drzewami na Kurast i wyobrażał sobie, co ma nadejść. Cain i Lea byli jeszcze wtedy dla niego obcy, jednak miał wówczas pewność siebie, której teraz zdawało się mu brakować.

Czuł pod sobą brzemień stuleci, przykuwające go do tego miejsca z nadchodzącym miesiącem ratham. Wiedział, że będzie musiał stawić czoła straszemu wyzwaniu. Los Mikułowa był ustalony od dnia jego narodzin. Rola, jaką miał odegrać w nadchodzącym starciu, pozostawała dlań niejasna, lecz przeznaczenie się spełni, nieważne, czy mnich jest gotów, czy nie.

Jego ludzie nigdy nie kwestionowali swoich powinności, jednak Mikułow nie mógł się powstrzymać od rozmyślań, co by było, gdyby się po prostu wymknął i zostawił wszystko za sobą. Czy jego ścieżka by się zmieniła? Czy też po prostu okoliczności, którym nie mógłby zaradzić, zmusiłyby go do powrotu i na koniec znalazłby się w tym samym miejscu?

Czy mistrzowie mieli rację? Czy Mikułow był tak uparty, tak samolubny i niecierpliwy, że pragnął wyrwać się z iwogrodzkiego klasztoru bez ich błogosławieństwa? Nie był gotów na to wyzwanie?

Czy zgubi go własna duma?

Nie. Mikułow potrząsnął głową. Nie pora na obawy. Przygotowywał się na to latami. Studiował starożytne iwogrodzkie teksty, a kiedy to nie wystarczyło, wędrował po Sanktuarium, aby odszukać ich więcej, niektóre stare jak świat. Wszystkie łączył wspólny wątek, jeżeli wiedziało się, gdzie szukać. Mikułow odnalazł ten wątek, prześledził przez stulecia wstecz powtarzającą się przepowiednię o narodzinach wielkiego zła i bitwie, przy której inne zbledną. Ta przepowiednia przywiodła go do Deckarda Caina, a on doprowadził Mikułowa do tego miejsca.

Bogowie wskażą drogę.

W oddali, nad mgłą zbierającą się nad wybrzeżem, kamienna wieża zdawała się kołysać jak kobra przed atakiem. Mikułow wyobraził sobie pełzące pasma dymu, wijące się w powietrzu, i usłyszał szept niesiony wiatrem, słowa, których nie potrafił zrozumieć. Przypomniał mu się tekst ze starożytnego zwoju, znaki zinterpretowane przez Patriarchów jako choroba w niebie i ziemi, krzyk torturowanych dusz wznoszący się do uszu samych bogów...

Noc rozdarł skrzek, aż drzewa zadrżały, i potoczył się ze wzbierającą szybkością, niczym gniewny huragan, który równa z ziemią miasta, pustoszy morza i strąca gwiazdy z nieboskłonu. Bębenki w uszach

Mikułowa popękały pod ciśnieniem, mnich wytrzeszczył oczy, gdy zaparło mu dech, a krew zawrzała w żyłach. Poczul, jak łuszczy mu się skóra, mięśnie odrywają się od ścięgien i kości, wnętrzności zostają wyciśnięte niczym dojrzały owoc, a wiatr unosi resztki, póki nie pozostanie nic poza pustą skałą w oceanie czerni.

Mikułow wciągnął powietrze jak tonący i wbił palce w ziemię. Noc była ciemna i cicha. Podniósł się, rozejrzał, wczuwając się w swoje ciało, jakby chciał się upewnić, że pozostał cały. Nie doznał żadnej krzywdy, przynajmniej fizycznie. Ale był głęboko wstrząśnięty.

Zadrzał. Nigdy wcześniej nie wyczuwał takiej mocy, nigdy jego ciało i umysł nie zostały opętane z taką siłą. Miał wrażenie, jakby czarny dym wślizgnął mu się w płuca i skaził swoim dotykiem. Coś w bezgranicznym mroku szło za Mikułowem, wielkie, wyszczerzone i pragnące go połknąć w całości.

Mnich wiedział, kto jest za to odpowiedzialny. Mężczyzna z wieży: Mroczny.

+

W jaskini usiedli na futrach wokół ognia, rozleniwieni i senni po sytym posiłku z dziczyzny. Kilku braci sprzątnęło naczynia, inni poszli spać, ale mała grupa czuwała. Lund siedział ze skrzyżowanymi nogami i jak wielkie dziecko oblizywał palce. Lea gapiła się nań z rozdziawioną buzią i olbrzym uśmiechnął się szeroko ustami lśniącymi od tłuszczu. Rozmowy tego wieczoru toczyły się na różne tematy, ale nieuchronnie wracały do wyjaśnień, dlaczego Cain i jego towarzysze są tutaj.

Tak właśnie wyglądało owo ważne zebranie, o którym mówił Egil.

Cain westchnął i podrapał się po swędzącej brodzie. Bractwo nie było tym, czego oczekiwał. Poza tym potrzebował kąpieli i czystego odzienia oraz porządnego snu. To, czego dowiedział się przez parę minionych godzin, wystarczyło, by serce wypełnił mu lęk. Potrzebował czasu, by sobie to przemyśleć i zdecydować, co robić dalej.

Wszystko, co powiedział mu Egil, wydawało się potwierdzać mniej więcej słowa Hylanda. Bractwo zawiązało się z konieczności. Odkrycie zbioru nieznanych tekstów w tajnym miejscu spotkań horadrimów w Gea Kul zaintrygowało grupę uczonych. Ci przejęli zniszczone księgi i próbowali je skopiować. Przynieśli je do Garretha Raua, bibliofila z Kurast, i tak rozpoczął się łańcuch zdarzeń, które doprowadziły ich wszystkich do upadku.

Wiele lat wcześniej Rau pracował jako posługacz u członka klanu magów Taan w Kurast, a po odkryciu księgozbioru swojego pana miał obsesję na punkcie starożytnych tekstów. Magia ukryta wśród tamtych tomów była potężna, proroctwa zwiastujące nieoczekiwane. Rau czytał je w tajemnicy. Nauczył się z nich, jak stworzyć nowe woluminy ze starych, po czym porzucił zajęcie u czarnoksiężnika i otworzył własny interes. Księgi z Gea Kul, które przynieśli uczeni, były dla Raua jak najprzedniejsze wino, a choć przybysze ledwie rozumieli, co kryło się między kartami, Garretha zainspirowała lektura. Element układanki wskoczył na miejsce i Rau zawarł umowę: wrócą razem do Gea Kul i uczeni przysięgną, że będą stosować się do zasad horadrimów i szukać ich wiedzy, aby powołać do istnienia prawdziwy zakon.

Rau okazał się urodzonym przywódcą i szybko przejął kierownictwo. Zajęli starożytną siedzibę horadrimów, dzięki czemu zyskali miejsce, gdzie mogli się spotykać, organizować wieczorne dysputy naukowe, planować wyprawy w okolice miasta, aby odnaleźć więcej tekstów i artefaktów, a



także wypróbować niektóre z zaklęć zawartych w księgach, jakie znaleźli. Rau zachęcał, by uczeni poznawali metody horadrimów, ale sam miał wrodzony talent i moc, o jakich inni mogliby tylko marzyć. Bibliofil pojmował głębię wiedzy zawartej w starożytnych zapiskach. Im lepiej je poznawał, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że może ich użyć dla osobistej korzyści.

– Nazywał nas *Pierwszymi* - powiedział Egil, podając Cainowi butelkę jabłeczniaka. - Wtedy jeszcze wszystko się między nami dobrze układało i myśleliśmy, że oto stajemy się bohaterami, przywódcami nowego Sanktuarium opartego na pryncypiach horadrimów, jakie przyjęliśmy. A przynajmniej niektórzy z nas. Rau jednak oparł wszystko na własnych zepsutych wizjach. Wydumał sobie, że ma królewskie pochodzenie, że jest potomkiem potężnego maga. Pokazywał nam nawet herb, który podobno należał do jego rodziny, chociaż z tego, co wiedzieliśmy, Rau wychował się w sierocińcu. Nie mieliśmy pojęcia, jak nisko upadł.

– Co masz na myśli?

Egil westchnął, zerknąwszy na Lunda. Olbrzym unikał jego wzroku. Wyglądało to, jakby wielki mężczyzna się wstydził - co, jak pomyślał Cain, może wcale nie odbiegało daleko od prawdy.

– Czarna magia - wyjaśnił Egil. - Początkowo tego nie zauważyliśmy. Szliśmy za nim na oślep. A on prowadził nas na wyprawy w poszukiwaniu artefaktów, miał wizje starożytnych miejsc, które należy sprawdzić. Zaszczepił w nas wiarę, chociaż niektóre podróże kończyły się starciami z demonem. Rau zawsze potrafił bez trudu pokonać stwora. Znał odpowiednie zaklęcia i demony im ulegały. Lecz z każdym odnalezionym artefaktem rósł w siłę, jego intencje stawały się coraz bardziej mroczne, rosła obsesja na punkcie czarnej magii. Członkowie bractwa zaczęli znikać, a kiedy wracali, byli odmienieni, ślepo posłuszni i lojalni wobec niego.

Zaczął mówić o nowej wizji doktryny horadrimów i codziennie robił nam wykład o przyszłości zakonu. Uważał, że dawni horadrimowie się mylili, a Tyrael wcale nie był szlachetny i nie miał dobrych intencji. Wyrażał się z pogardą o archaniele, który choć powołał zakon horadrimów, to nigdy sam nie stanął do walki z Najwyższym Złem. Tyrael w brudnej robocie wysługiwał się magami, powtarzał nam Rau. Dlaczego tak potężny anioł sam nie ruszył do bitwy? - pytał. Dlaczego uważa się anioły za lepsze niż Władcy Piekieł, skoro to anioły tak surowo osądziły ludzkość? O ludzkości wyrażał się w podobny sposób. Ludzie rodzą się źli, mówił, gorsi nawet niż stwory z Płonących Piekieł. Wystarczy spojrzeć, jak się traktują, jak traktują najsłabszych, tych, którzy nie mogą się bronić, dręczą ich i niszczą. Nadejdzie pora, gdy zakon będzie rządził Sanktuarium, a ci, którzy się na to nie zgodzą, odejdą. Zaczął też nalegać, byśmy nazywali go panem. W tajemnicy kazał wybudować sobie wieżę nad brzegiem morza. Zrobili to ludzie lub inne stworzenia, nie widzieliśmy. Została wzniesiona najwyżej w dwa tygodnie, zapewne nie bez pomocy czarnej magii.

A zatem to Garreth Rau zmienił się w Mrocznego. Nie zaskoczyło to Caina niemal wcale. Deckard podejrzewał to po usłyszeniu opowieści Jeronnana o przybyciu uczonych do Gea Kul i o dziwnym zniknięciu ich przywódcy. Jednak wiedza, że ktoś, kto tak dogłębnie przestudiował nauki horadrimów, dał się tak łatwo opętać nienawiści, budziła niepokój.

- Proroctwa to przepowiedziały - rzekł Cain. - Skaził go jeden z Władców Piekieł.

Egil skinął głową, w jego jasnych oczach malowała się powaga.

- To Lund odkrył w końcu prawdę.

Cain zerknął na wielkoluda, który już się nie uśmiechał, lecz spoglądał czujnie.

- Nie lubię o tym mówić - wymamrotał Lund, odwróciwszy wzrok.

– Ale trzeba o tym powiedzieć - łagodnie zaproponował Egil, po czym zwrócił się do Caina: - Rau tamtymi czasy zwykle opuszczał nasze miejsce spotkań i znikał na coraz dłużej i dłużej. Miał Lunda na posyłki. Raz Lund poszedł do Czarnej Wieży, by przynieść Rauowi teksty, i ujrzał rytuał krwi. Składanie w ofierze... innego członka naszego bractwa. Garreth w sekrecie zawarł pakt z Piekieł. W jakiś sposób podczas swoich studiów udało mu się znaleźć połączenie.

– Krew - mruknął Lund, nerwowo mnąc szew swojej tuniki. - Zbyt wiele krwi. Nie spodobało mi się wcale.

Egil poklepał go pocieszająco po ramieniu i to chyba uspokoiło olbrzyma, bo zdawało się, że się trochę rozluźnił.

– Była... ofiara. Próbowaliśmy przywołać Garretha do rozsądku, ale było już za późno. Zatracił się w swojej ciemności, w pokrętnych wizjach i zakłamanej wiedzy z tekstów horadrimów. Dał się poprowadzić tym samym demonom, z którymi poprzysiągł walczyć w obronie Sanktuarium. Po tym mieliśmy już oczy szeroko otwarte. Uświadomiliśmy sobie, że musimy uciekać albo zostaniemy zniszczeni. Udało nam się uciec pod osłoną nocy i dotarliśmy tutaj, do tych jaskiń. Kilka ksiąg, które udało się nam zabrać, mówiło o przybyciu człowieka, który ocali nas przed ciemnością, z jaką się stykamy. Od tamtej pory czekaliśmy na ciebie.

– Nie wszyscy - mruknął mężczyzna z drugiej strony ogniska. Był wysoki, jasnowłosy i milczący przez większość posiłku i rozmów, które nastąpiły potem. Cain go rozpoznał: Farris, przywódca grupy sceptyków w bractwie.

– Proroctwa zwiastowały jego przyjście - uciął Egil. - Czy to ci nie wystarczy?

– Mamy w nie uwierzyć tylko dlatego, że ten człowiek tu przybył? - Farris wzruszył ramionami i napił się cydru. - Legendy zostały zapomniane,

a horadrimowie, o ile w ogóle istnieli, dawno przepadli. Pozostała tylko ciemność i śmierć. Powinniśmy wracać do swoich domów i mieć nadzieję, że wszystko się dobrze skończy.

Odpowiedziało mu kilka pomruków zgody. Przyjaciele Farrisa.

– Jakich domów? - prychnął głośniejsz Egil. - Nie widzisz, w co zamieniło się Gea Kul? Co Mroczny uczynił nam i tej ziemi? Jesteś ślepy, jeżeli sądzisz, że możesz po prostu wrócić do dawnego życia...

Farris zerwał się na równe nogi. Twarz mu poczerwieniała.

– Nie mów mi, że jestem ślepy, Egilu. To twoja ŚLEPA wiara trzyma nas tutaj, to przez nią żyjemy w jaskiniach, podczas gdy nasi bliscy cierpią i umierają w samotności. Wolę umrzeć z nimi niż z tobą.

Cain zaczynał czuć się coraz mniej przyjemnie. Miał nadzieję, że znajdzie prawdziwych magów, którzy wesprą go w walce z ciemnością, ale Egil przynajmniej wydawał się widzieć w Deckardzie bohatera, podczas gdy reszta pozostawała podejrzliwa, niedouczona albo jeszcze gorzej.

Jak domyślał się od dawna, Władcy Piekieł działali już w Sanktuarium. Belial zatopił szpony w Garrecie Rau. Trudno powiedzieć, co stanie się potem, ale Caina ogarnęła silniejsza niż kiedykolwiek niepewność.

Deckard miał wrażenie, że ściany jaskini zaciskają się nad nim. Wstał i zerknął na Leę. Dziewczynka zasnęła z głową opartą o masywne udo Lunda.

– Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza, oczyścić umysł - oznajmił. - Może wszyscy powinniśmy mieć trochę czasu na przemyślenia. Wybaczcie.

+

Noc była chłodna i cicha. Cainowi uda drżały z wyczerpania. Próbował zrozumieć sens świata, który, jak się nagle okazało, wywrócił się do góry nogami.

Jak mógł się tak strasznie pomylić? Wszystko, czego się dowiedział przez miesiące badań i poszukiwań, wiodło do tego miejsca, do tych ludzi - tyle że w rezultacie zabrnął w ślepią uliczkę. Grupa była koszmarem. Cain nie był żadnym zbawicielem i jeżeli los Sanktuarium spoczywał na jego i tylko jego barkach, to wszystko stracone. Co gorsza, myśl, że ci ludzie mieliby pomóc w zrozumieniu stanu Lei i jej niezwykłej mocy, okazała się śmiechu warta - nie umieli nawet zbudować przyzwoitego obozowiska, nie wspominając o poszukiwaniu metod obrony przed umiejętnościami, których źródłem jest magia lub coś zupełnie innego.

Cain poczuł dotyk na ramieniu. Zaskoczony obejrzał się. Obok stanął Mikułow. Cain nie słyszał, jak mnich się zbliża, w rzeczy samej był tak pochłonięty opowieścią Egila, kłótnią Farrisa i własną desperacją, że nie zauważył nawet, że mnicha nie było od dłuższego czasu.

- Nie tego oczekiwałeś, gdy tu szedłeś - powiedział Mikułow. Było to stwierdzenie, nie pytanie, ale Cain skinął głową. Chciał pozostać silny, wyglądać, jakby nadal miał pewność, że to, co robią, jest właściwe. Ale przyłapał się, że nie wie, co powiedzieć, niezdolny opisać swojej bezradności, która narastała w nim po spotkaniu z ludźmi, którzy, jak myślał, będą ocaleniem dla świata.

- Przykro mi... - westchnął. - Może powinniśmy wybrać inną drogę. Może są inni...

Mikułow potrząsnął głową. Zdawało się, że jego ciało wibruje piskiem, odrobinę tylko wyższym niż granica ludzkiej percepcji. Cain wyczuwał jednak ten dźwięk jak brzęk metalu, a to przypomniało mu o Akaracie i o

tym, co znalazł w ruinach na Pograniczu. Wydawało się to tak dawno temu...

– Wieczorny wiatr niesie dziś złą energię - powiedział Mikułow, patrząc w mrok pod wejściem do jaskini. - Bogowie się skryli. W tej wieży na brzegu znajduje się wielkie zło i obawiam się, że nas znalazło.

– Mroczny. Garreth Rau.

Mnich zwrócił na Caina lśniąco w słabej poświacie z jaskini oczy.

– Miałem wizję, dosłownie przed chwilą. Obserwuje nas. Jego gniew był jak najjaśniejsze słońce, wszystko, czego tknął, spalał na popiół. Nigdy czegoś takiego nie czułem. Lękam się, że Mroczny rozpoczął już rytuały, które stworzą armię nieumarłych i pchną ją na Kaldeum.

– A zatem nie zostało nam wiele czasu.

Mikułow skinął głową.

– Ja także zastanawiałem się, czy wybraliśmy dobrą drogę. I również oczekiwałem czegoś innego. Ale nie wolno nam się teraz zatrzymać. Nie możemy sobie na to pozwolić. Bogowie nie bez przyczyny nas tutaj przywiedli. Zbliża się wielka bitwa i każda nasza słabość zostanie użyta przeciwko nam.

Cain westchnął. Brzemie całego świata spoczywało na nim i przygniatało do ziemi. Chciał krzyknąć, byle poczuć ulgę. Zbyt wielki był to ciężar na barki jednego człowieka.

– Co powinniśmy zatem uczynić?

– Przespać się. - Mikułow uśmiechnął się, ale twarz wyostrzało mu znużenie. Cain uświadomił sobie, że przywykł do spokoju i wewnętrznej siły mnicha, lecz teraz wydawało się, że brakuje i jednego, i drugiego, i widok ten był wstrząsający. - Powinniśmy uzdrowić swoje myśli i ciała. O poranku wszystko wygląda lepiej. Zawsze tak jest. A potem weźmiemy się

do pracy. Jaki mamy wybór? Odejść stąd teraz, w środku nocy? Porzucić to, w co dotąd wierzyliśmy? To, o czym wiemy, że jest prawdą?

Cain pokiwał głową. Mikułow, rzecz jasna, miał rację. Ale Cainowi zdawało się, że mnich skrywa coś jeszcze, coś, co gdyby to usłyszał, wstrząsnęłoby Deckardem do cna.

Umykało mu coś ważnego. Egil opisał upadek Garretha Raua w ciemność. Jego moc rosła z każdym mrocznym rytuałem, z każdym demonim zaklęciem. W końcu nawet ciało zaczęło się przekształcać, Rau stał się potworną, monstrualną skorupą dawnego siebie. Ale czarną magię opanował po mistrzowsku i mógł dokonać chyba wszystkiego.

A jednak pozwolił uciec swoim braciom. Człowiek, który władał taką mocą, nie powinien mieć chyba kłopotu z odnalezieniem i wyeliminowaniem grupki niedobitków. Dlaczego zostawił ich samopas? Czy pozostała w nim odrobina człowieczeństwa, która pamiętała, że ci ludzie coś dla Raua znaczyli, i to go powstrzymywało?

Czy też może istniały inne, bardziej przerażające powody?

– Przepraszam?

Cain odwrócił się i ujrzał Egila, który stanął za nimi z dłońmi splecionymi na pasie. Na ramieniu miał torbę ze zgrzebnego płótna. Błada twarz młodzieńca jaśniała w mroku jak księżyc.

– Obawiam się, że cię rozczarowaliśmy - oznajmił. - Niektórzy z nas, jak Farris, utracili wiarę. Wydaje się im, że próby odrodzenia horadrimów to głupota, bo zakon przestał istnieć lata temu. Wielu nie wierzy już nawet w Królestwo Niebios. Mówią, że gdyby ono i anioły istniały, dlaczego nie przeciwstawiłyby się złu, które tutaj wzbiera? Lecz są i tacy, którzy wierzą prawdziwie. Oni czekali na kogoś takiego jak ty, kto wskaże nam drogę ocalenia.

Egil zamilkł, jakby wahał się, czy mówić dalej.

– Słyszałem opowieści - odezwał się wreszcie. - Mój wuj swego czasu mieszkał blisko Tristram, zanim przeniósł się do Gea Kul. Opowiedział naszej rodzinie wszystko, co słyszał o inwazji demonów. Twierdził nawet, że widział demona na własne oczy. I powiedział nam o tobie. Teraz... - Egil potrząsnął głową - nie ma go. Zabrały go pijawce Garretha. Moi rodzice przeżyli, ale już mnie nie rozpoznają. Oni też są ofiarami.

Młody mężczyzna spojrzał Cainowi w oczy.

– Te opowieści o twoich mądrych radach w tamtych mrocznych czasach Tristram... To właśnie one zainspirowały mnie do zapoznania się z wiedzą horadrimów. Wiem, że możesz nam pomóc. Jesteśmy... rozbici i potrzebujemy przywódcy. Ale pragniemy się uczyć. Jeżeli się do nas przyłączysz, inni również uwierzą. Przrzekam, że cię nie zawiedziemy.

Deckard Cain patrzył w noc, słuchał trzasków drewna i cichego brzęczenia owadów. Zdawało mu się, że jego słuch stał się nadnaturalnie czuły - jak słuch jelenia, gdy podnosi głowę i wychwytuje zbliżającego się wilka, przyszło mu na myśl i musiał się uśmiechnąć. Jestem starym człowiekiem, ale jeszcze nie umarłem. Wiatr zdawał się w odpowiedzi szeptać obietnice przemocy: zimnych, martwych palców wyciągających się z wilgotnej ziemi. I Cain wiedział, że Garreth Rau jest gdzieś blisko i tak samo stoi, patrząc w nocne niebo. Deckarda przeszył dreszcz.

Egil spoglądał nań wyczekująco. A potem młodzieniec zdjął sakwę z ramienia, sięgnął do niej i wyjął spory przedmiot. Cainowi ze zdumienia i zachwyty zaparło dech w piersi.

– Znaleźliśmy to w ruinach klasztoru w Khanduras - wyjaśnił Egil. - Nie byliśmy pewni, jak tego użyć. Ale przypuszczam, że ty będziesz mógł nam pokazać.

Cain wziął przedmiot w obie dłonie i obrócił, podziwiając mistrzowskie wykonanie. Minęło sporo czasu, odkąd widział coś podobnego. Przedmiot



był nieco większy od ludzkiej głowy i cięższy, niż Cain pamiętał, a drewniane intarsje zdawały się iskrzyć pod dotykiem.

Kostka horadrimów.

– Masz tu potężne narzędzie - powiedział do Egila. - O wyjątkowej magicznej mocy. Musisz używać go mądrze.

Lecz kiedy próbował oddać kostkę, Egil potrząsnął głową.

– Weź ją, proszę - powiedział. - Naucz nas wszystkiego, co wiesz. Przeczytaj teksty, które udało nam się ocalić z naszego księgozbioru. To one powiedziały nam o twoim przybyciu. Może zawierają więcej informacji, które mogą pomóc.

Do Caina powróciło wspomnienie głosu i słów matki sprzed lat. *Przepowiedziane zostało, że horadrimowie powstaną znowu, gdy wszystko będzie wydawać się stracone, a nowy bohater poprowadzi ich do bitwy o Sanktuarium.* A potem przypomniał sobie jeszcze jej ostrzeżenie: *Zważ, czego sobie życzysz, Deckardzie.*

Cain włożył ostrożnie kostkę horadrimów do swojej torby.

– Mamy sporo do omówienia, nim położymy się do snu - rzekł. - Chcę wiedzieć wszystko, co pamiętasz ty i inni z czasu pobytu w Gea Kul, nieważne, jak mało istotne będzie się to wydawało. Może się okazać, że to przydatna informacja.

A potem ujął Egila za ramię, a Mikułow ruszył u jego boku po drugiej stronie. We trzech wrócili do jaskini, gdzie czekali na nich pozostali.



## DWADZIEŚCIA SIEDEM



*Łuk Lunda*

Stała na platformie, która pędziła wysoko nad chmurami. Platforma była tak mała, że nie dało się na niej usiąść, bo krawędzie zaczynały się kruszyć. Wokół trzaskały błyskawice, przecinając niebo zygzakami błękitu i bieli. Drżała ze strachu, bała się nawet odetchnąć. Mogłaby się zsunąć i stoczyć w otchłań.

Przez łomot burzy przebijały się głosy - szalonego starego żebraka i świńskookiego osiłka. *Niebo zasnuje się czernią, ulice spłyną krwią... Gdzie twoja pomylona matka? Znow obsługuje gości w tawernie? ...powinniśmy wrzucić cię do fontanny, żeby zmyć z ciebie smród...*

Do głosów dołączył łopot skrzydeł, ale choć się rozglądała, nie dostrzegła żadnego ptaka. Dopiero gdy znów popatrzyła w przód, ujrzała kruka, przynajmniej dwa razy od niej większego. Zawisł tuż przed nią na rozpostartych skrzydłach, wielki, ostry dziób kłapnął i omal nie sięgnął jej twarzy, paciorkowate oczy wbiły się w dziewczynkę.

Wrzasnęła, gdy kruk zaczął się zmieniać. Pióra rozpląły się, ukazując Gillian z ptasimi, ostrymi szponami zamiast dłoni i z nożem wbitym

głęboko w pierś. A potem nastąpiła znowu zmiana: kaptur skrywający głębokim cieniem twarz, szpony wydłużone w kościste palce, wysoka sylwetka w długiej szacie unosząca się tuż przed nią. Mroczny mężczyzna.

JESTEŚ MOJA - jego głos zadudnił w głowie dziewczynki, gdy mężczyzna wyciągnął dłoń, a za jego plecami uderzyła znowu błyskawica i zaczęło się tam gromadzić tysiące straszliwych bezskórych bestii. Dziewczynka czuła, że jej ciało zostało otwarte, a z wnętrza coś jest wyciągane, jakby w jej brzuchu gwałtownie rozwijała się szpula wstążki, i kiedy spojrzała, zrozumiała, że to jej krew, czerwony strumień na wietrze wijący się jak wąż i rozświetlony błękitnym ogniem.

Lea obudziła się w ciszy. W wejściu do jaskini jaśniała szarość, a zapach dymu nadal unosił się w powietrzu. Lund spał obok, jego wielki tors unosił się i opadał powoli. Sen był niesamowicie rzeczywisty. Dziewczynka wiedziała, że mroczny mężczyzna i jego demony chcieli zniszczyć świat. Zadrzała w chłodnym powiewie poranka.

Obóz budził się powoli. Mężczyźni przeciągali się, mamrotali pod nosem, podnosili, by pójść po wodę i ponownie rozpalić ogień. Wkrótce potem obudził się też Lund i uśmiechnął do niej sennie, a Lea poczuła, jak w jej piersi zaczyna bić źródło ciepła, które łagodną falą ogarnia całe jej ciało, wypierając chłód. Nie wiedziała dlaczego, ale ten mężczyzna wzbudzał w niej zaufanie, jakby jego ogromna siła mogła ochronić dziewczynkę od wszelkich krzywd. A przy tym Lund był niczym wielkie dziecko i niczego nie ukrywał. Lei się to podobało.

Rozejrzała się po jaskini w poszukiwaniu wuja Deckarda. Dostrzegła go pogrążonego w rozmowie z mężczyzną imieniem Egil i dwoma innymi z obozu, których nie знаła - wysokim chudzielcem w okularach i niższym, pulchnym i zupełnie łysym - oraz mnichem Mikułowem. Na poszarzałej twarzy wuja pogłębiły się zmarszczki, a pod oczyma pojawiły ciemne

podkowy. Mężczyźni mówili cicho, ale Lea wychwyciła słowa *ennead i ammu*it albo podobne; gestykulowali nad książką, którą podawali sobie wzajemnie, zapewne spierając się o treść. A potem Cain wyjął z torby dziwny sześcian i zaczął pokazywać znaki na rzeźbionych, intarsjowanych ściankach, jakby kryły niezwykle ważną tajemnicę. Dla Lei przedmiot wyglądał jak zwykła szkatułka, więc odwróciła się do Lunda, który zdążył już usiąść i uśmiechnął się tak szeroko, że dziewczynka nie mogła odpowiedzieć inaczej jak równie promiennym uśmiechem.

– To twoje - powiedział nieśmiało olbrzym, sięgnąwszy za plecy. Podał jej mały łuk zrobiony z młodego drzewka i ścięgien antylopy oraz kilka strzał zaostrzonych w ogniu i zakończonych błękitnymi lotkami.

Lea ujęła łuk i trzymała w ramionach jak małe dziecko. Kiedy ujrzała, jak Lund posyła strzałę między pnie, była zafascynowana jego łukiem, świstem strzały przecinającej powietrze, niskim brzękiem zwalnianej cięciwy. Ale nie mogła nawet udźwignąć wielkiej broni, nie wspominając o naciągnięciu cięciwy - w końcu sfrustrowana musiała się poddać, gdy omal się nie przewróciła pod ciężarem łuku Lunda.

Ale ten łuk był w jej rozmiarze.

– Możemy go wypróbować? - zapytała. - Proszę?

Lund skinieniem głowy wskazał wuja Deckarda.

– Najpierw musisz spytać jego.

+

Lund zabrał ją na polanę i pokazał, jak stać pewnie na ziemi, jak nakładać strzałę na cięciwę, jak ją trzymać, celując, a potem naciągnąć mocno cięciwę do policzka, zginając jeden łokieć, a usztywniając drugi.

Pierwsze strzały wypuszczone przez Leę leciały strasznie chybotliwie i spadały między drzewa lub na ziemię, ale przy ósmej próbie pocisk poleciał prosto i o włos ledwie chybił celu, który Lund wyrysował na pniu. Wielkolud klasnął i podskoczył jak mały chłopiec, a potem pobiegł i pozbierał upuszczone strzały, żeby dziewczynka mogła znowu spróbować.

Przed południowym posiłkiem Lei udało się już trzy razy trafić do celu. Mięśnie ramion bolały, palce opuchły, a dłonie drżały, ale to jej nie powstrzymało. W łuku skryta była siła, sposób nie tylko na kontrolowanie strachu, lecz jego opanowanie. Z taką bronią Lea nigdy już nie będzie bezbronna wobec ciemności.

Wyobraziła sobie wielkiego czarnego kruka przed sobą i jego paciorkowate oko jako cel. Lund nauczył ją, jak wypuszczać powoli powietrze i wstrzymać oddech przy zwalnianiu cięciwy, jak zachować bezruch. Tym razem strzała trafiła niemal w środek wyrysowanej tarczy i wielkoludowi udało się przekonać Leę, że na dziś wystarczy ćwiczeń.

Obóz tętnił życiem, aromat jedzenia wypełniał okolicę. Wokół wuja Deckarda zgromadziło się więcej ludzi, starzec mówił głośno i gestykulował, podczas gdy inni spoglądali w skupieniu, kiwając lub kręcąc głowami. Wskazywali na fragmenty tekstów w książkach, sprawdzali mapy i przedmioty z torby wuja, kreślili na ziemi wzory. Zdawało się, że byli podzieleni na dwie spierające się grupy. Gruby, mały łysielec - zdaje się, że miał na imię Cullen - opowiadał o armii ghuli, pożeraczy, jak je nazywał. Sposób, w jaki gestykulował, z czerwoną twarzą i podniesionym głosem, wzbudził u Lei dreszcze. Lund ujął ją za rękę i odprowadził dalej.

Przed kolacją wszyscy wykąпали się w strumieniu, który przepływał przy obozowisku. Zimna woda wywołała u Lei zaskoczony westchnienia i gęsią skórę. Użyła kostki mydła z koziego tłuszczu i olejku kwiatowego, którą dał jej Lund. Dobrze było zmyć kurz i brud z podróży. Dziewczynka

zanurzyła nawet na krótko głowę, wstrzymując oddech, a kiedy wynurzyła się spod wody, poczuła się jak nowo narodzona.

Wieczorem zjedli posiłek przy ognisku. Zdawało się, że tym razem zasiadło wokół płomieni jeszcze więcej ludzi niż poprzedniego dnia, wszyscy skupieni na wuju Deckardzie, który opowiadał o horadrimach i ich wielkich bitwach sprzed lat. Lea słuchała opisu czynów Jereda Caina i Tal Rashy, dwóch magów wojowników, którzy walczyli z takimi stworami jak wielkie kruki i bezskóre bestie ze snów dziewczynki, oraz jeszcze gorszymi. Kiedy Cain mówił o mieście zwanym Tristram i o tym, co się tam stało, poczuła senność. Wuj opowiadał potem o swoich poszukiwaniach kogoś, kogo nazywał Mrocznym Wędrowcem, oraz o bitwie na Górze Arreat z potworem o imieniu Baal.

Mężczyźni słuchali uważnie. Niektóre z opowieści powinny przerazić nawet ich, ale wydawali się pochłonięci tylko słowami wuja i jego umiejętnością gawędy. Z niezrozumiałych powodów Lea także się nie bała. Głos wuja koił ją, a obecność Lunda wzmagiała pewność, że nic złego nie może się tutaj wydarzyć. Pożar w Kaldeum, dziwne miasteczko i wszystko, co stało się w Kurast, wydawało się tak bardzo odległe...

Lea zasnęła, opierając się o ramię Lunda z zadowoleniem i poczuciem bezpieczeństwa, jakiego nie zaznała od tygodni.

+

– Musi być więcej - rzekł Cain. - Kluczem jest Al Cut. *Z grobu podniesie się Al Cut.* Co to może znaczyć? To imię pojawia się przy opisie armii umarłych w księdze przepowiedni, którą znalazłem na Pograniczu. I

niedaleko stąd, w Kurast, napisał je pod szkicem chłopiec nawiedzany przez pijawce. Jak to się łączy?

Dzień zrobił się szary i chłodny, słońce skryła gruba warstwa ciemnych chmur, a z upływem godzin odrodzony entuzjazm i energia Caina zaczęły słabnąć. Czas uciekał, już za dwa dni zacznie się ratham. Zeszłej nocy przy ognisku bractwo słuchało pilnie opowieści i Deckard czuł rodzącą się z nimi więź, ale tak wiele pozostało do nauczenia się, tak wiele do nauczenia, że ogarniało go oszołomienie i zagubienie.

Przynajmniej jednak podjęto próbę reaktywowania horadrimów w podobnej formule jak na początku, wieki temu: początkujący uczoney poświęcał się studiom w każdej z głównych grup magów, tak samo jak w pierwszym zakonie, który składał się z magów po każdej ze szkół, a ci tak zwani przewodnicy uczyli innych w swoich szeregach - uczyli metod z klanu Ennead, Ammuit, Taan i Vizjerei. Ale te nauki były chaotyczne i niekiedy całkowicie błędne, Cain spędził mnóstwo czasu na poprawianiu opisów wykonania transmutacji, iluzji czy przepowiedni, gdy tylko znalazł coś przydatnego.

Przejrzeni już wszystkie zapiski, jakie znajdowały się w ich posiadaniu, lecz nie było tego wiele. Egil wyjaśnił, że zanim grupa uciekła z miasta, Rau już zaczął gromadzić setki stworzeń, niektóre wywodziły się spośród wyspanych skorup mieszkańców Gea Kul i okolic, inne były bardziej mroczne i straszne. Stał się już wtedy niezłe wykształconym magiem, umiejącym przywoływać stwory z zaświatów, o jakich żaden inny czarodziej nie słyszał i jakich nie widział. Niektóre z tych stworów, te nazywane pijawcami, rozprzestrzeniły się po okolicy, nabierając sił przez wysysanie ich z ludzi w sposób, jakiego nie dało się w pełni pojąć.

– Czy ktoś słyszał imię Al Cut? To albo żywy człowiek, albo, co bardziej prawdopodobne, dawno zmarły. Jakaś ważna postać historyczna, może



mag?

Mężczyźni, którzy zebrali się wokół Caina, Egil, Cullen, Mikułow i jeszcze jeden imieniem Thomas, milczeli. Szukali wskazówki, która mogłaby pomóc im zaplanować atak na twierdzę Mrocznego.

Cain poszukał w torbie i wyjął księgę przepowiedni horadrimów, którą znalazł w ruinach Vizjerei - tę, którą, jak się zdawało, napisał sam Tal Rasha.

- Wspomniano je tutaj - oznajmił i przeczytał na głos: - *A Niebiosa spadną na Sanktuarium, kiedy fałszywy przywódca z prochu powstanie... I z grobu podniesie się Al Cut, a śmierć zbierze wśród ludzkości krwawe żniwo...*

- Mogę zobaczyć? - zapytał Egil. Kiedy przyjrzał się trzymanej książce, na jego twarzy odmalowało się rozpoznanie. - Czy to możliwe? - szepnął. - Nie może być... te ruiny na Pograniczu. Czy był tam księgozbiór pod zwaloną świątynią i paskudny demon strzegący wnętrza?

- Skąd wiesz?

- Byliśmy tam kilka miesięcy temu - wyjaśnił Egil, z podnieceniem podnosząc głos. - W tych ruinach. Ścigał nas demon, który opętał jednego z nas. Garreth powstrzymał stwora na tyle długo, żebyśmy mogli uciec, ale musieliśmy zostawić część naszych rzeczy. Torby z zapasami jedzenia i ten tekst, jak i księgę zaklęć starożytnych Vizjerei, którą tam znaleźliśmy. O demoniej magii.

Cain uniósł księgę przepowiedni horadrimów.

- Przynieśliście tę księgę do ruin, gdzie ją znalazłem?

Egil skinął głową.

- Garreth powiedział, że będzie nam potrzebna w wyprawie, a nigdy nie kwestionowaliśmy jego opinii w takich sprawach. Zawsze miał rację. Ale tym razem... - Wzruszył ramionami. - Demon nie był jedynym

zagrożeniem. Były też piaskowe osy i rekiny wydmowe. Ledwie udało się nam ująć z życiem.

Po plecach Caina przebiegł zimny dreszcz. On i Akarat szli po śladach Pierwszych Garretha Raua do ruin Vizjerei, to odciski ich stóp Deckard widział w pyle i ich własność znalazł w świątyni. Wyglądało to na zbyt dużą zbieżność, by mogła być przypadkowa.

Cain przekartkował księgę raz jeszcze, choć znał ją niemal na pamięć. Wypełniały ją bardzo stare zapiski, które wydawały się przepowiadać przyjście do tych właśnie jaskiń oraz upadek Kurast i Gea Kul w ciemność. Niemal jakby zapiski zrobiono niedawno, a nie setki lat temu.

Fragment tuż przy końcu, tuż przed wzmianką: *z grobu podniesie się Al Cut*, mówił o tysiącach zagubionych dusz pogrzebanych głęboko pod Gea Kul, zabójczym polu z mroków historii Sanktuarium, które skrywało coś straszliwie groźnego i ważnego. Ale księga urywała się nagle, jakby skrybie skończyły się kartki.

– Muszę zobaczyć inne teksty powiązane z tym - oznajmił Cain.

Egil rozłożył bezradnie ręce.

– Nie mam ich - wyznał. - Jeżeli jest więcej, muszą być nadal w naszym księgozborze w Gea Kul. Wraciałem tam właśnie, by spróbować znaleźć więcej odpowiedzi, gdy natknąłem się na ciebie.

Myśl o powrocie do tego miejsca i konieczności ponownego stawienia czoła stworzeniom podobnym do niepogrzebanych przejmowała Caina dreszczem. Nie potrafiłby walczyć z takimi demonami, był człowiekiem słów, nie czynów. Ale jaki miał wybór? W obozowisku nie ma już nic, czego mógłby się dowiedzieć, a pozostanie tu oznaczało jedynie kuszenie losu. To tylko kwestia czasu, gdy armia Mrocznego przyjdzie po uciekinierów.

– Musimy wrócić do Gea Kul, do waszego miejsca spotkań - oznajmił. -  
Potrzebne nam te księgi.

– Są tam również inne artefakty - dodał Egil. - A przynajmniej były.  
Wszystko, co znaleźliśmy podczas naszych wypraw...

Cullen potrząsnął głową, aż zatrzęsł mu się podwójny podbródek.

– To zbyt niebezpieczne - zaproponował. - Garreth wszędzie ma szpiegów.  
Znajdzie nas!

Cain uniósł dłoń.

– Nie możemy dłużej pozwalać, by rządził nami strach. Popatrzcie na  
siebie. Życie w jaskiniach jak zwierzęta, podczas gdy człowiek, który  
wam przewodził ongiś, teraz niszczy powoli świat, a wy nie robicie nic, aby  
go powstrzymać. - Rzucił Egilowi, Cullenowi i Thomasowi wyzywające  
spojrzenie. - Wróg i tak wkrótce nas odnajdzie, jeżeli nie zaczniemy  
działać. Nazywacie się horadrimami. Nadeszła pora, by sprostać swemu  
przeznaczeniu i udowodnić, że jesteście godni tego miana.

W grupie zapadła cisza. Trzech mężczyzn unikało swoich spojrzeń i  
wbiło oczy w ziemię.

– Pójdę z tobą - odezwał się Mikułow. - I jeśli trzeba, będę walczył do  
ostatniej kropli krwi.

– I ja pójdę. - Egil podniósł wzrok, oczy znów mu błyszczały. - Nie  
zawieziemy cię.

Thomas skinął głową. Wreszcie Cullen uczynił to samo.

– Dobrze - rzekł Cain. - Wyruszymy jutro o świcie. Mamy dwa dni.  
Niech archaniołowie nas wesprą.



## DWADZIEŚCIA OSIEM



### *Opętanie*

Kiedy szary świt rozjaśnił niebo, niewielka grupa wędrowców dotarła do Gea Kul, a dokładniej, do tuneli biegnących pod miastem. Lea została w obozie z Lundem w charakterze obrońcy. Ta podróż była dla dziewczynki zbyt niebezpieczna, a ona doskonale się czuła w towarzystwie łagodnego wielkoluda.

Cain z przyjemnością na nich patrzył, dwoje towarzyszy zabaw, wyjątkowo niedobrych, za to z pewnością szczęśliwych. Wiedział, że Lund robi wszystko, by zapewnić małej bezpieczeństwo.

Po drodze do Gea Kul Cain opowiadał o tym, jak wraz z towarzyszami ścigali Mrocznego Wędrowca, po tym jak padło Tristram. Opowiadał o ataku, jaki przypuścił Baal na Górę Arreat. I o tym, jak Tyrael udał się w bohaterską podróż, której celem było zniszczenie Kamienia Świata, i jak poświęcił własne życie, aby ocalić Sanktuarium. Cain chciał tymi opowieściami zainspirować członków zakonu, ale w końcu sam siebie natchnął inspiracją. Opowiadał z większą swadą, bardziej żywo, a zarazem myślał o matce, o błysku w jej oczach, gdy opowiadała dzieciom historię

dawnych magów i ich starcia z Władcami Płonących Piekieł. Kiedyś myślał, że to błysk szaleństwa, teraz zrozumiał, że widział wtedy blask słusznej pasji. Jego towarzysze traktowali to, co słyszeli, jedynie jak opowieści, nawet jeśli wyjątkowo inspirujące. Ale Cain tam był, na Górze Arreat, i walczył o życie - to, o czym opowiadał, widział na własne oczy. Wiedział doskonale, jaką ciemność mogły sprowadzić tamte wydarzenia.

Cain zatrzymał się, spoglądając na rząd szalasów przycupniętych w ciszy na poboczu drogi. Wiedział, że w środku ukrywają się ludzie, a raczej ich wciąż żywe pozostałości. Potrząsnął głową, zaciskając pięści. Gniew wzbierał w nim przemożną falą. Garreth Rau powoli wysysał życie z ludu Sanktuarium i ktoś powinien położyć temu kres.

Błysk światła zwrócił jego uwagę. To Egil otworzył kratę kanału i zapalił pochodnię, tę samą, którą zostawili zaledwie dzień wcześniej. Weszli do tunelu i Egil poprowadził ich przez ociekające wilgocią kamienne korytarze. Płomień pochodni chwiał się i tańczył, rozpalając iskry w łątach mchu, który potem świecił łagodnie. Tego właśnie mchu zmieszanego z minerałami ze wzgórz otaczających obóz Pierwszych Egil używał do wyprodukowania swoich wybuchowych woreczków. Powietrze było chłodne. Cain widział swój oddech w coraz intensywniejszych obłoczkach pary, gdy starał się dotrzymać kroku pozostałym, wyężdżając obolałe kolana do granic wytrzymałości.

Minęli kilka odgałęzień i skrzyżowań, ale Egil zdawał się wiedzieć dokładnie, gdzie zmierzają. W końcu dotarli do schodów wiodących do ukrytych drzwi. Nasłuchiwali przez chwilę, ale tylko cisza dzwoniła im w uszach. Egil nacisnął ukrytą dźwignię i drzwi odsunęły się z głośnym chrzęszczeniem.

Korytarzyk był pusty, izba na jego końcu pogrążona w ciemności. Drzwi do biblioteki zniszczył niepogrzebany, ich resztki walały się po podłodze.

Robak wielkości niewielkiej myszy przebiegł im drogę, postukując odnóżami o kamień. Poza nim nic się nie poruszyło.

– Dajcie mi tę pochodnię - odezwał się Mikułow. Podniósł wyżej żagiew i przeszedł nad kawałkami drzwi. Cain ruszył tuż za nim. Ścisnęło go w gardle. Mimo niebezpieczeństwa nie mógł się doczekać, by dotknąć ksiąg, na które zdołał zaledwie zerknąć przy okazji poprzedniej wizyty w bibliotece. Był pewien, że wśród kruchych kart kryje się Al Cut i rozwiązanie tajemnicy.

Biblioteka go nie rozczarowała. Była nawet bardziej imponująca, niż pamiętał. Niepogrzebany rozbił w drzazgi kilka półek, a ich zawartość rozwłóczył po podłodze, ale większość księgozbioru pozostała nienaruszona. Pochodnia oświetlała kolejne półki pełne rzadkich tekstów, zachowanych niemalże w doskonałym stanie. W powietrzu unosił się lekki zapach zgnilizny, ale potwora nie było widać, a pomieszczenie za biblioteką okazało się ciemne i ciche. Cullen i Thomas podnieśli stół i zaczęli gromadzić książki, układając je w stosy na podłodze. Egil stał w progu nieruchomy i oceniał zniszczenia z dość dziwną miną.

Cain przebiegł palcami po grzbietach woluminów. Niektóre zdejmował z regałów, by lepiej przyjrzeć się zawartości. Niemal zupełnie się zatracił oczarowany znajomą wonią starego papieru. Oryginalne dokumenty kapłanów Zakarum stały tu obok woluminów o historii zakonu horadrimów, Vizjerei i kapłanów Rathmy. Puls Caina przyspieszył. Widział kiedyś niektóre z tych ksiąg, ale wiele było dlań nowością. Jak traktat klanu Ammuit o iluzji i naginaniu wymiarów rzeczywistości albo kopia ksiąg przepowiedni klanu Taan. Były tu starożytne zapiski wiedźminów i wiedźm, formuły mikstur leczniczych, proszków i klątw, całe tomy dotyczące magii zmiennokształtnych i magii żywiołów, jakimi władali

druidzi z lasów Zachodu, inne z kolei dotyczyły magii szamanów Umbaru z torajańskiej dżungli.

Na jednej z niższych półek natrafił na złożony pergamin - mapę tuneli pod Gea Kul. Bez trudu odnalazł miejsce, w którym się znajdowali, korytarze ciągnęły się pod całym miastem. Znalazł też kilka innych oznaczeń, których nie potrafił zrozumieć - jakby na mapie naniesiono budynki skryte pod ziemią. Złożył pergamin i schował do torby.

Wrócił do przeszukiwania półek i zamarł zdumiony, wpatrując się w tytuł, który przeniósł go dziesiątki lat w przeszłość. Czy to możliwe? Drżącymi dłońmi Cain ostrożnie zdjął księgę z półki i zdmuchnął kurz osiadły na okładkach. *Historia Zachodnich Marchii i synów Rakkisa*, kopia tekstu, który jego matka spaliła, gdy Deckard był zaledwie chłopcem.

*To nie jest częścią twojego przeznaczenia... Powinieneś czytać teksty pozostawione przez Jereda. Przechowuję je dla ciebie, aż będziesz gotowy.*

Cain z niepokojem odkrył, że jest bliski łez. Starzec jak on nie powinien płakać nad przeszłością. Zbyt mało zostało mu czasu, żeby tak go marnować.

- Rau w głębi serca był uczonym - odezwał się Thomas, wyrывая Caina z zamyślenia. - Jego celem zawsze było gromadzenie wiedzy i nas też nakłaniał, abyśmy zbierali, co tylko znajdziemy. Studiował te księgi i uczył się z nich.

Zakres zgromadzonej wiedzy był wyjątkowy. Pierwsi musieli spędzić lata na wyszukiwaniu tych woluminów, a nawet przy takim założeniu zbiór był niewiarygodnie wielki. A jednak Rau zostawił całe to bogactwo. Jakie więc teksty zbierał teraz?

Cain nie mógł nie dostrzegać podobieństw między sobą a Garrethem Rauem. Ale co skłoniło Raua, by tak dalece zejść ze ścieżki prawości? Cain żałował lat, które stracił bezpowrotnie, zanim odnalazł swe prawdziwe



powołanie, uważał, że nigdy nie zdoła ich nadrobić. Być może jednak wcale ich nie stracił, może dały mu one coś ważnego, mądrość płynącą z lat i perspektywę, która pozwoliła mu na uniknięcie tych samych błędów. Nie dał się skusić potędze zła.

Musi uwierzyć - na swój sposób, w swoim czasie.

Mikułow znalazł lampę na ścianie i zapalił ją od płomienia pochodni. W pomieszczeniu natychmiast zrobiło się jaśniej, żółty blask wydobył z cienia kolejne półki pełne książek.

Cain zaczął wskazywać Thomasowi i Cullenowi, które księgi powinni zabrać ze sobą do obozu, i mężczyźni wkładali je do przygotowanych zawczasu worków. To Thomas znalazł wolumin. Na podłodze, zaraz obok wywróconego stołu. Bliźniaczy tom tego, który Cain niósł w swojej torbie. Okładki były identyczne, ręcznie zszyte ze skóry, z wyprawionym symbolem horadrimów i znakiem Tal Rashy w środku. Cain otworzył księgę jak mógł najostrożniej i zaczął przewracać delikatne karty. Pismo było gęste, jakby autor księgi chciał wykorzystać każdy skrawek pergaminu. Nie było w niej jednak dalszej części przepowiedni, a relacja z Wojen Klanów Magicznych i założenia zakonu horadrimów przez Tyraela urywała się w pół słowa. Podniecenie Caina z każdą stroną zmieniało się w gorzkie rozczarowanie.

W drugiej części księgi strony były czyste.

Deckard westchnął i potarł oczy. W bibliotece znalazł tyle ksiąg, że przeczytanie ich zajmie mu miesiące, a i tak nie wiadomo, czy znajdzie w nich odpowiedź na swoje pytania.

Nie. Uważnie przyjrzał się czystym kartom. Nie mogły być puste, to nie miało sensu. Ich treść została ukryta, Cain był tego pewien.

Wydobył z torby księgę zaklęć czarnomagicznych i odszukał czar, którego użył, by odnaleźć wejście do tej komnaty. Znów poczuł, jak ze

słowami inkantacji przepływa przezeń mroczna moc. Płomień lampy przygasł, po czym wystrzelił w górę, coś niewidzialnego zdało się wejść do pomieszczenia. Cain słyszał, jak pozostali, przerażeni, spazmatycznie wciągają powietrze, ale nie podniósł wzroku znad kart, na których zaczęły pojawiać się słowa, jakby ktoś je tam właśnie zapisywał.

Tekst opowiadał o starożytnej walce magów i o zapomnianym mieście. Bracia Bartuk i Horazon, stojący na czele magów Vizjerei, zebrali tysiące zwolenników, a potem ruszyli przeciwko sobie. Światło i mrok starły się w bitwie, ulicami miasta popłynęła krew, a ich moce niemalże rozszarpały ziemię na pół. Wreszcie Bartuk zyskał przewagę i wyciął w pień zwolenników swego brata, choć ten mu umknął. Bartuk ruszył za nim, zostawiając martwych magów tam, gdzie padli. Niedługo po tym Bartuk powrócił do miasta pod osłoną ciemności i wykorzystał demonią magię, by zatrzeć ślad swych czynów - pogrzebał całe miasto głęboko pod ziemią, potężnym czarem wymazując jego istnienie z kart historii. Polegli magowie zostali pogrzebani w starożytnych ruinach i łączących je tunelach.

W tekście znajdował się szkic, który napełnił serce Caina lękiem.

Zaginione miasto zwało się Al Cut. A jego położenie było niepokojąco znajome.

Dokładnie nad nim powstało Gea Kul.

Teraz zrozumiał oznaczenia na mapie, wskazywały miejsca, w których ziemia pochłonęła gmachy Al Cut.

– Al Cut - wyszeptał Cain. Objawienie było niczym uderzenie pioruna. - To nie człowiek. To miasto.

– Gdzie jest Egil? - napięcie w tym głosie wyrwało Caina z zapatrzenia. Podniósł wzrok. Thomas rozglądał się nieprzytomnie, a Cullen pakował książki tak gorączkowo, że można by przypuszczać, iż biedak zwariował ze strachu. Coś przeraziło obu tych mężczyzn. Przygasł ciepły żółty blask

lampy, ciemność wypełzła z kątów i zdawała się pożerać światło, chłód był niczym dotknięcie lodowatych palców nieboszczyka.

Cain przypomniał sobie dziwną minę Egila, gdy ten stanął w progu biblioteki. Spojrzał na Mikułowa, ale mnich potrząsnął głową i wskazał jedyną pozostałą drogę wyjścia z biblioteki, tę, którą poprzednim razem przyszedł niepogrzebany. Pochodnia, którą trzymał Egil, została wsunięta w uchwyt na ścianie. Gdziekolwiek się udał, młodzieniec poszedł w całkowitej ciemności.

– Co tam jest? - spytał Cain.

– Sala zebrań - odparł Thomas. - Miejsce... rytuałów. Jest przejście do niższej komnaty, ale nigdy go nie używaliśmy.

Cain spojrział na worki wypełnione księgami.

– Zabierzcie je do obozu - zdecydował. - Mikułow i ja pójdziemy poszukać Egila.

Thomas zaczął protestować, ale Cain uniósł dłoń.

– Idźcie - nakazał. - Być może poszedł właśnie w tamtą stronę i go dogonicie. Weźcie lampę i chrońcie księgi. My za chwilę pójdziemy za wami.

Thomas zawołał Egila, ale bez skutku. Obaj z Cullenem podnieśli swoje worki.

– Pospieszcie się - poprosił Thomas na pożegnanie. - Tam jest coś złego. Czuję to.

Mężczyźni zniknęli w tunelu. Mikułow zdjął żagiew ze ściany i wszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Cain ruszył za nim.

Znaleźli się w mniejszej komnacie, na której środku stał wielki drewniany stół otoczony krzesłami. Ściany były nagie, a powietrze przesycone zapachem pleśni i zgnilizny. Mikułow zniżył pochodnię i na zakurzonej podłodze zobaczyli ślady stóp prowadzące do następnego

przejścia. Owiął ich lodowaty przeciąg, któremu towarzyszyło odległe echo jęku. Mnich popatrzył na starca i przygotował ostrze. Ostrożnie przekroczyli następny próg. Kolejne pomieszczenie miało okrągły sufit i krąg wyrysowany pośrodku podłogi. Portal. Cain mógł tylko zgadywać, dokąd prowadzi. Ukląkł i wydłubał z centrum kręgu czerwony klejnot, po czym wsunął go do torby.

Dźwięk jakby szurających kroków kazał im odwrócić się w stronę otwartych drzwi. Mikułow sprężył się i ostrożnie podniósł pochodnię, by mogli lepiej widzieć.

W przejściu stał Egil. Głowę miał opuszczoną, jego bezbarwne włosy połyskiwały w blasku ognia, ręce luźno zwisały wzdłuż boków. Oddychał powoli, równomiernie, wypuszczając z ust obłoczki pary. Cain zawołał go po imieniu, ale mężczyzna ani drgnął. Mikułow podszedł, trzymając żagiew niczym broń, ostrze wysunięte z karwasza skierował w dół, tak, że pozostało niewidoczne. Razem z Cainem zatrzymali się w połowie pomieszczenia.

– Coś tu jest nie tak - powiedział Mikułow cicho. - Nie sądzę...

Egil uniósł głowę, a widok jego twarzy zdusił słowa na ustach mnicha. Błada skóra Egila była szara i jakby martwa, poznaczona siatką sinych żył. Płomień pochodni odbijał się w jego oczach, jak to zwykle dzieje się w przypadku zwierząt. Młodzieniec uśmiechał się do nich szeroko.

Cain mimowolnie cofnął się o krok. Ten wyraz na twarzy Egila... nie, to już nie był Egil. To był ktoś inny.

– *Nareszcie przybyłeś* - wychrypiał stwór. - *Trochę późno, obawiam się, i wciąż pogrążony w błogosławionej niewiedzy. No ale ty zawsze ostatni dostrzegałeś prawdę, czyż nie, Deckardzie?*

– Kim jesteś?

– *Wiesz, kim jestem.* – Istota ruszyła w jego stronę, jakby płynęła nad podłogą, i zatrzymała się parę metrów przed Cainem. - *W końcu to ty przybyłeś tu, aby mnie odnaleźć.*

Cain starał się uspokoić galopujące serce. Garreth Rau. Jeśli mógł opętać Egila, jego umiejętności były niemałe.

– *Inni też tu są.* - Opętany zwrócił spojrzenie na Mikułowa. - *Czy naprawdę sądzisz, że to, co zamierzasz zrobić, zmieni cokolwiek?*

Cain próbował go zatrzymać, ale było za późno. Mikułowa ruszył błyskawicznie, ale Rau ledwie na niego spojrzał. Zielony blask wystrzelił z dłoni opętanego. Cain krzyknął i osłonił oczy. Rzuciło nim o podłogę, wylądował ciężko, słysząc, jak coś pęka z trzaskiem. Przez chwilę leżał ogłuszony. Kiedy otworzył oczy, pochodnia zgasła, ale dziwny blask nadal otaczał ciało Egila, jakby to ono właśnie płonęło.

Mikułowa leżał pod ścianą bez ruchu, chyba nie oddychał.

Cain podczołgał się i ujął jego głowę. Powieki mnicha zatrzepotały. Mikułowa jęknął cicho.

– *Deckardzie?*

Głos był wyższy, pobrzmiwał w nim strach. Cain znał ten głos. Spojrzał na Egila, na łagodną teraz linię szczęki, wyższe kości policzkowe, oczy ogromne i pociemniałe ze strachu.

– *Zimno tu, Deckardzie. Nie mogę się stąd wydostać. Proszę.*

Krew Caina ścięła się lodem. To niemożliwe. Ból zalał go falą niczym rwąca rzeka, która przerwała tamę.

– *Amelia* - powiedział. Jakby kto wyrwał mu te słowo wraz z wnętrznościami. - *Nie.*

Jego żona, martwa od trzydziestu pięciu lat, żona, która zniknęła z jego życia niczym zjawą. Przez dziesiątki lat dławił to wspomnienie tak bardzo, że niemal na zawsze pogrzebał je w mrokach niepamięci. Ból był nie do

zniesienia. Ale wspomnienie żony nie było jedynym, było więcej, o wiele więcej, a myśleć o tym oznaczało szaleństwo.

– *Myśleliśmy, że to bezpieczne. Musieliśmy wyjechać. Moja matka błagała nas, żebyśmy przyjechali. Ja... nie było cię, Deckardzie. Chciałam dotrzeć do ciebie, ale całkiem się zatraciłeś w swoich księgach. Nie było cię... Nigdy cię nie było.*

– Nie jesteś prawdziwa...

– *Zabrali nas, Deckardzie. Skrzywdzili. Proszę, nie pozwól im dalej nas krzywdzić. Nie pozwól, by krzywdzili twego syna.*

Twarz Egila zafalowała, zmieniając się po raz kolejny, ciało topiło się niczym wosk w pobliżu płomieni. Potworna skrwawiona maska bólu przekształciła się, stała się mniejsza, delikatniejsza, bardziej okrągła. Buzia o gładkich brwiach i pyzatyh policzkach, której wspomnienie przez dekady prześladowało Caina. Buzia chłopczyka, który nauczył się biegać, zanim nauczył się chodzić, i nie zatrzymywał się, by posłuchać rodziców - dzikiej kuli czystej energii, prawdziwego wcielenia natury.

– *Tato!* - krzyknął chłopiec histerycznie. - *Nie lubię potworów, tato! Zabierz mnie stąd!*

Ze zdławionym szlochem Cain rzucił się do opętanego Egila. Mur, jaki przez lata wznosił wokół tych wspomnień, walił się właśnie w gruzy. Ból zalewający te ruiny był obezwładniający.

+

– *List dla was, panie.*

*Deckard Cain spojrział nieprzytomnie, podnosząc głowę znad stołu, na którym zasnął. Obok leżała pusta butelka i kubek z osadem wina, niemi*

świadkowie jego rozpacz. W progu stał Pepin, jego sylwetkę obrysowywało słońce.

– Było otwarte - powiedział. - Pomyślałem, że to doręczone. Pomyślałem, że to ważne.

Uzdrowiciel wszedł nieco zbyt szybko, położył kopertę na stole i pospieszył do wyjścia. Jakby Cain był chory na coś zaraźliwego. Nie było to typowe dlań zachowanie, ale Cain nie mógł go winić. Tak go pochłonęły badania, że odsunął od siebie wszystkich, nawet rodzinę, na nic innego nie pozostawił sobie czasu.

I dlatego jego żona go opuściła, zabierając ze sobą syna. Skończył trzydzieści pięć lat i został sam. W Tristram nie miał już przyjaciół.

– Wynoś się - burknął.

– Ja...

– Wynoś!

Pepin zamknął za sobą drzwi, pozostawiając Caina pogrążonego w ciszy.

Głowa pękała mu od wypitego wina.

– Amelia - szepnęła, sam nie wiedząc dlaczego. Klócili się tak strasznie kilka wieczorów wcześniej, powtarzali tę samą kłótnię, którą toczyli od lat: że on zawsze siedział w książkach, więcej im był oddany niż własnym uczniom, żonie czy dziecku, czy komukolwiek innemu. Dlaczego nazwali chłopca po jego wielkim przodku, skoro rodzina najwyraźniej niewiele dla Caina znaczyła, pytała Amelia? Gdzie był ojciec małego Jereda, gdy synek wymówił pierwsze słowo, zrobił pierwszy krok? Gdzie był, gdy malec niemal umarł z gorączki? Gdzie był, gdy go potrzebowali?

Uciekł od jej łez, od jej błagań do biblioteki, zostawiając synka stojącego w korytarzu z zaciśniętymi pięstkami. Kiedy Cain wrócił do domu, Amelii i Jereda już nie było.

Co on narobił?!

*Ręce mu drżały, gdy sięgał po kopertę. Nosiła królewską pieczęć Khanduras, czyli zawierała oficjalne pismo od pana tych ziem. Rozerwał ją i czytał z rosnącym przerażeniem.*

Drogi Rektorze Cain,  
z prawdziwym żalem zawiadamiamy...

+

Kiedy sięgnął w stronę istoty, która wzięła w swe posiadanie Egila, stwór złapał Caina za gardło i trzymał niczym zabaweczkę zaledwie kilka centymetrów od swojej twarzy.

A twarz ta znów się zmieniała. Tym razem jej rysy nie były ani męskie, ani kobiece, ale całkowicie nieludzkie. Żywe mięso naciągnęło się, połyskując czerwoną wilgocią na wypukłościach kości otaczających paszczę pełną krwawych zębów.

*– Wołają cię. - Oddech Beliala cuchnął padliną. - Nie byłeś w stanie spojrzeć na ich ciała, co, Deckardzie? Zobaczyc, co z nimi zrobiliśmy na tej pustej drodze? A jednak ból cielesny był zaledwie początkiem. Zabraliśmy ich dusze, wzięliśmy je w niewolę i od tamtej pory moi lojalni słudzy dbają, aby agonía twoich bliskich nigdy się nie kończyła. Tak długo ich ignorowałeś, przedkładałeś nad nich swoje cenne księgi, że nawet nie wiedziałeś, ile dla ciebie znaczą, póki ich nie zabrakło. A teraz przyprowadziłeś nam kolejnego do zabawy. Dziękujemy ci, że spełniasz nasze rozkazy nawet wtedy, gdy nie jesteś tego świadom.*

Deckard zobaczył przebłysk pustego, wywróconego wozu, krew na obracającym się kole. Nieruchome kształty pod splamionymi czerwienią kocami.



– Ty... łżesz...

Demon zaryczał, odrzucając głowę, jego śmiech wstrząsnął fundamentami budynku.

– *Wszystko jest kłamstwem, starcze. Wszystko, co widzisz, i wszystko, w co wierzysz. Twoja rodzina to kłamstwo, tak jak to twoje śmieszne życie strawione na studiach, twoja samotność i gniew. Nawet ta twoja żałosna wyprawa, by mnie odnaleźć. To, co zrobiłeś po drodze, i to, co znalazłeś, znaki, które przywiodły cię tutaj... Czy na pewno sam to wszystko zrobiłeś?*

Nogi Caina poddały się i zwiśł bezwładnie, podczas gdy stwór mocniej zacisnął palce na jego gardle. Wszystkie elementy układanki zdawały się pasować: odkrycie ksiąg przez Akarata zawiodło ich w ruiny, tam odnalazł przepowiednie horadrimów, które Pierwsi zostawili na pozór zupełnie przypadkowo, teksty, które z kolei przywiodły go do Kaldeum, a potem do Kurast, aż wreszcie do Gea Kul. Tyle przypadków, tyle zbiegów okoliczności.

– *Nawet teraz nam służysz, starcze. Skorupa, którą teraz zajmujemy, zemrze za chwilę, a jednak nie zdążysz powstrzymać tego, co się dzieje. - Istota uśmiechnęła się do niego makabrycznie. - Dziewczynka. Zostawiłeś ją samą, prawda? Znowu zostawiłeś dziecko samo. Myślałeś, że jest bezpieczna. Biedny głupcze. Sprawdź księgę. Ty... a-ach!*

Istota westchnęła, oczy jej pociemniały, twarz zafalowała, wróciła do naturalnego kształtu, dłonie zwiotczały i Cain upadł na podłogę, spazmatycznie łapiąc powietrze. Egil przewrócił się na Caina, już martwy, zalewając twarz Deckarda krwią.

Cain podniósł wzrok i zobaczył, jak Mikułow wyciąga swój sztylet z rany u podstawy czaszki Egila. Dyszał ciężko, a oczy miał dzikie. Zielone światło emanujące z ciała młodzieńca zaczynało gasnąć i pomieszczenie powoli pogrążało się w ciemności. Cain zepchnął z siebie zwłoki i odpełzł,

podpierając się rękoma. Zakrwawiona tunika lepiała mu się do ciała. Sięgnął do torby, wyjął paczuszkę z wybuchowym proszkiem i rzucił o ścianę. Płomień rozświetlił komnatę, a Mikułow skorzystał z okazji, by podpalić podniesioną z ziemi pochodnię.

W kącie Cain odnalazł łaskę przełamaną na pół. To był ten trzaskający odgłos, który Deckard usłyszał przy upadku. A kiedy zbierał kawałki kostura, zimny, lodowaty lęk ścisnął mu serce. Palce Caina powędrowały do pergaminu schowanego w ukrytej kieszeni tuniki, którego treść wyryta została w pamięci starca.

*Z prawdziwym żalem zawiadamiamy...*

– Stój! - krzyknął Mikułow, ale Cain już biegł tak szybko, jak pozwalały mu na to drżące nogi, mając za plecami światło pochodni i nawołującego mnicha.

Egil był martwy, biedny Egil, kolejny młodzieniec, który zaufał Deckardowi i zapłacił za to straszliwą cenę, jak Akarat, młody paladyn, którego przepełniała niezachwiana pewność. Wykorzystany, jak wszyscy inni.

*Nie zawiodę cię* - powiedział Akarat w ruinach Vizjerei. Egil powiedział podobne słowa, zanim wyruszyli

do tuneli pod Gea Kul. I nie zawiedli go. Za to on, Cain, nie był w stanie ich ochronić, tak jak obiecywał. A teraz umierał ze strachu o kogoś, kogo miał jeszcze pod swą opieką. Kogoś, kogo obiecał ochronić.

Demony kłamią.

Tak, oczywiście. Ale te kłamstwa często doprawione są prawdą.

Deckard dobiegł do biblioteki, Mikułow gnał tuż za nim. Pomieszczenie pogrążone było w ciszy, pozostałości po ich poszukiwaniach piętrzyły się w stosach na podłodze. Księga z przepowiedniami horadrimów wciąż leżała na stole. *Sprawdź w księdze* - powiedział demon. Cain przerzucił kilka stron

drżącymi palcami. Mikułow podszedł doń, unosząc pochodnię, by oświetlić karty.

– Co to...?

Cain jęknął boleśnie, cofając się od stołu i księgi. Na dwóch ostatnich stronach widniał krwawy napis, wciąż świeży i wilgotny.

*Dziewczynka należy do mnie.*



## DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ



### *Ostrzeżenie*

Na długo zanim dotarli do jaskiń, wyczuli dym.

Cain i Mikułow dogonili towarzyszy. Thomasa i Cullena spowalniał ciężar dźwiganych ksiąg, podczas gdy Caina i Mikułowa poganiał strach przed tym, co mogą znaleźć po powrocie do obozowiska. Kiedy Mikułow wyjaśnił krótko, co stało się z Egilem, obu mężczyzn wyraźnie opuściły siły, a Thomas musiał się oprzeć na Cullenie, by nie upaść. Thomas i Egil byli bliskimi przyjaciółmi, jak wyjaśnił Cullen, a mnich wziął bagaż młodszego mężczyzny. Taki cios niełatwo przecież znieść.

Lecz okazało się, że to nic w porównaniu z widokiem, który zastali po powrocie na polanę.

+

Czarny dym kłębił się w wejściu do jaskini. Ciała ludzi i innych stworzeń leżały rozrzucone na ziemi, wiele ze strzałami wbitymi po lotki w piersi i

szyje.

Jednak tym, co przykuło uwagę przybyłych, był wielki drewniany krzyż postawiony przed jaskinią oraz to, co na nim zawisło.

Lund miał głowę opuszczoną na pierś. Olbrzymi mężczyzna był nagi, ręce i ramiona przywiązano mu do krzyża, liny okrutnie wrzynały się w ciało białe jak marmur. Jednak Lund dawno już nie czuł bólu.

Rozcięto go od gardła po podbrzusze, wyciągnięte wnętrzności opadały na pylistą, przesiąkniętą krwią ziemię.

Kruki już się do niego wzięły. Jeden pozostał jeszcze na prawym ramieniu krzyża, tuż nad palcami Lunda - gigantyczny czarny ptak o lśniących piórach i zakrzywionych szponach. Dziobał kciuk zmarłego, szarpiąc luźne kawałki ciała, i przekrzywiając łeb, łytał na przybyłych, jakby się zastanawiał, czy stanowią groźbę. Wreszcie otworzył dziób i zakrakał. Dźwięk poniósł się echem po dolinie jak krzyk potępionych, a kruk załopotał skrzydłami i wzbił się, nadal skrzecząc, po czym wzleciał nad wierzchołki martwych drzew i zniknął z oczu.

Thomas opadł na kolana, z gardła wyrwał mu się głośny szloch. Cullen zamknął oczy i odwrócił się, zgięty go mdłości. Niepokój Caina zamienił się w dławiącą panikę, gdy raz po raz wołał imię Lei, a odpowiadała mu tylko cisza.

Cain zasłonił nos i usta rękawem tuniki, by chronić się przed kłębami dymu i zapachem, który budził mdłości - spalonych ciał. Gorąco z jaskini niemal go odrzuciło, ale starzec brnął naprzód, powtarzając imię Lei, choć w odpowiedzi słyszał jedynie trzask płomieni.

Dotarł na tyle blisko ognia, że ujrzał zwęglone zwłoki i palce wyciągnięte jak w poszukiwaniu ratunku - oczy mu się niemal zagotowały, a włoski na grzbiecie rąk skreśliły się i spaliły. Nie było nadziei, że znajdzie tu Leę, musiał zawrócić. Jednak dym zgęstniał i skłębił się wokół, wdzierał

do płuc, aż starzec stracił siły i zatoczył się od gorąca. Ktoś chwycił go mocno, podtrzymał i wyprowadził na chłodniejsze powietrze. Cain złapał oddech, zakasłał i splunął sadzą, a po policzkach popłynęły mu łzy.

*Dziewczynka należy do mnie.*

Słowa wciąż dudniły mu w głowie, gdy kuśtykał ponownie do jaskini. Garreth Rau miał Leę. Czuł to niczym dziurę w sercu, przez którą wypływa życie. Pamiętał noc nie tak dawno temu, gdy James wyciągnął jego i Leę z płonącego domu w Kaldeum. Tym razem to Mikułow nie pozwolił mu upaść.

– Jej tam nie ma - powiedział mnich. - Posłuchaj mnie. Widziano, jak dziewczynka została zabrana. Ona żyje, Deckardzie. Ona ŻYJE.

Powoli Cainowi wracał rozsądek. Podniósł wzrok na mężczyzn gromadzących się wokół. Wraz z Mikułowem, Thomasem i Cullenem było ich najwyżej kilkunastu, większość znał z obozu, wielu odniosło różnego rodzaju rany. Dostrzegł mężczyznę z rozdartym jak szponami policzkiem i innego z okaleczonym ramieniem. Wszyscy mieli zaszczute spojrzenia skatowanych psów, zerkali na prawo i lewo w oczekiwaniu kolejnego ataku.

Cain podciągnął drżące nogi i wytarł twarz, z wysiłkiem odzyskując opanowanie. Oczy nadal go piekły od dymu, a płuca paliły żywym ogniem. Lecz to nie była pora na panikę. Szanse Lei na przeżycie zależały od opanowania Caina i jego zdrowego rozsądku. Liczyła się każda chwila, a każdy podjęty krok miał ogromną wagę.

+

– Próbowaliśmy walczyć, ale było ich zbyt wielu - powiedział Farris. Nadal znajdowali się na polanie i Cain przepytывał wszystkich, którzy pozostali, o to, co się dokładnie stało. Najmłodszy i najsilniejszy Farris był też chyba jedynym, który potrafił opowiadać o niedawnej masakrze, nie załamując się przy tym. - Nadeszli bez ostrzeżenia. Ludzie z Gea Kul, z nożami i widłami, oraz inne... trudne do opisanie stwory. Widzieliśmy kozłopodobne... i upadłych, a także przerażające chodzące trupy. Niektórym z nas udało się w zamieszaniu uciec w las. Widziałem ze wzgórza, jak potwory otoczyły Lunda i dziewczynkę. Oboje walczyli i wielu położyli z łuków.

Farris skinieniem głowy wskazał na dym dobywający się z jaskini.

– Stwory podpałały zwłoki tych, którzy padli w środku. Sporo tych ciał to nie byli nasi, lecz zabici strzałami Lunda.

Kilku ocalałych mężczyzn potwierdziło pomrukami, unikając jednak widoku ciała Lunda nadal wiszącego na krzyżu. Symbol ich porażki.

Wrogowie uczynili z niego przykład, pomyślał Cain. Ostrzeżenie, abyśmy nawet nie próbowali myśleć o odwecie.

– Powiedz mi, co spotkało Leę - nakazał.

– Zabili Lunda na jej oczach. Kruki... zaatakowały go. Było ich tak wiele i były tak szybkie... Nie zdołał do nich strzelać z łuku. Kiedy go w końcu dopadły, ludzie z miasta próbowali dorwać także i ją. - Farris potrząsnął głową, w oczach odbiły się wspomnienia niedawnych zdarzeń. - Ale mała walczyła. Nie wiem, jak to zrobiła, ale użyła potężnej magii i zabiła kilku. Wyglądało to, jakby uderzała ich niewidzialna ręka. Widziałem, jak jeden mężczyzna został uniesiony i rzucony na skały jak szmaciana lalka. Wtedy użyli strzałek jakiegoś rodzaju i oszołomili dziewczynkę. A potem pociągnęli ją ze sobą.

– Była ranna? Mów!



– Nie... nie wiem - westchnął Farris. Popatrzył po małej grupie z rosnącym gniewem na zakrwawionej twarzy. - Ale to dla nas wszystkich nauzka! Wielu chciało zakończyć to już dawno, ale przekonano nas, aby poczekać, że pomoc jest w drodze. I proszę, oto na co ta pomoc nam się zdała!

Farris wskazał na ciało Lunda, potem na Caina.

– Nie jesteś zbawcą - rzucił. - Żaden prawdziwy horadrim by do tego nie dopuścił. Ich doktryna dawno odeszła w przeszłość, a wielu straciło życie, próbując podążać ich ścieżką. Sanktuarium się zmieniło, i to wcale nie na lepsze! Czas, abyśmy przestali się łudzić, przestali udawać kogoś, kim nie jesteśmy! Lepiej będzie dla nas pogodzić się z prawdą, uciec stąd jak najdalej i przeżyć czas, jaki nam jeszcze pozostał, zanim stwory przyjdą po nas znowu.

Pozostali mężczyźni pokiwali głowami. Mikułow zaczął mówić, ale Cain uciszył go uniesieniem dłoni.

– Jesteście dobrymi ludźmi - oznajmił. - Dziękuję wam za odwagę, jaką dziś okazaliście. Nie jestem horadrimem i nigdy nie byłem. Jestem tylko starym uczonym. Może Farris ma rację, może rzeczywiście powinniście stąd uciec najdalej jak się da. Przykro mi.

Oślepiiony kolejnymi łzami, Cain potknął się, niemal upadł na kolana, ponieważ nie miał laski, na której mógłby się wesprzeć, ale szedł nadal, jak najdalej od grupy. Nie było sensu tego ciągnąć. Zostali przechytrzeni na każdym kroku, a co gorsza, poszukiwania braci horadrimów, jakie prowadził Cain, zostały zapewne przygotowane i sterowane przez Raua i Beliala. Był jak marionetka, a ci dwaj pociągali za sznurki.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni pergamin i drżącymi palcami ostrożnie go rozwinął. Ponad trzydzieści lat wypierał to, co się kiedyś stało, wznosił wysokie mury wokół wspomnień o swojej żonie i synu po ich zniknięciu -

jakby nigdy nie istnieli. Lecz teraz wszystko się na niego zważyło, każda chwila, każde uczucie, przygniatające poczucie winy, gniew, żal... A Cain nie miał dość sił, by to dłużej powstrzymać.

*Drogi Rektorze Cain,*

*z prawdziwym żalem zawiadamiamy, że wczoraj na drodze prowadzącej na wschód został znaleziony opuszczony i mocno zniszczony wóz, którym, jak nas zapewniono, podróżowała żona wasza Amelia oraz czteroletni syn Jered. Ich ciała znaleziono w pobliżu wraz z ciałem woźnicy. Na podstawie ich stanu podejrzewamy napad.*

*Wkrótce zostaną wysłani przedstawiciele prawa, aby uzyskać od Was więcej informacji. Bądźcie pewni, że nie spoczniemy, dopóki nie odkryjemy prawdy o tym niefortunnym wypadku.*

*Z wyrazami szczerego współczucia –  
Thomas Abbey, kapitan gwardii królewskiej*

Cain złożył pergamin z najwyższą troską i ukrył bezpiecznie w kieszeni. Ludzie króla podejrzewali bandytów, ale nigdy nie odkryli, kto dokonał napadu. Sprawiedliwości nie stało się zadość przez wszystkie te lata.

Później, choć Deckard nie wiedział, jak dużo później, Mikułow stanął u jego boku.

– Nie wierzysz w to, co powiedziałeś - stwierdził cicho. - Wszystko, o co walczyłeś, przez co przeszliśmy...

– Wszystko na próżno - dokończył Cain z goryczą. - W Sanktuarium nie ma już ani jednego horadrima. I ja też nie jestem horadrimem, jedynie żalonym cieniem tego, czym mógłbym się stać. Gdybym słuchał tych, którzy mnie kochali, gdybym wypełnił przeznaczenie, mógłbym teraz to

powstrzymać. Byłbym wystarczająco silny, by tego dokonać. Ale nie jestem. - Przystanął. - Musimy spojrzeć prawdzie w oczy. - Chwycił ramię Mikułowa jak tonący. - Jesteśmy sami i nadchodzi ratham.



## TRZYDZIEŚCI



### *Rytuał krwi*

Wieża drżała.

Mężczyzna znany dawniej jako Garreth Rau położył poprzecinaną błękitnymi żyłami dłoni na wilgotnym kamieniu ściany wewnętrznej komnaty i zamknął oczy. Wzniesiono ją dla niego w mniej niż siedem dni niehumanicznymi rękoma - ściśle według instrukcji Raua i w jemu tylko znanym celu. Wieża była doskonale prosta, każdy rząd kamieni gładki i dokładnie dopasowany do pozostałych, z doskonale okrągłym wnętrzem wymierzonym z dokładnością do grubości ludzkiego włosa.

Budowla wzniesiona została tak, aby przekazywała iskrę życia od żywych wprost w ramiona umarłych. Kształt wieży pozwalał wykorzystać demonią magię powołaną do istnienia przez architekta, magię z głębin eteru, od pokoleń zakazaną w Sanktuarium.

Mroczny się uśmiechnął. Kamienie pod opuszkami jego palców wibrowały, choć ledwie wyczuwalnie. Ale on to wyczuwał. Był dostrojony do tych wibracji, absolutnie świadom ich mocy. Budynek stanowił przewód, w pewnym sensie soczewkę wzniesioną nad studnią mocy, którą

Mroczny przygotowywał przez tyle miesięcy, oraz nad mogiłami tysięcy magów, pochowanych tam, gdzie padli na przeklętych ulicach Al Cut.

– Prowadzisz niebezpieczną grę.

Mroczny odwrócił się od zimnych kamieni do tego, kto przemówił. Mężczyzna miał dłonie splecione z przodu i nadal nosił ubranie, które wcześniej należało do mieszkańca miasta. Fizycznie był to ten sam człowiek, który dwie noce temu poddał się rytuałowi krwi, lecz jego dusza została całkowicie zmieniona. Ciało stanowiło jedynie naczynie.

Anuk Maahnor, kapitan Bartuka i jeden z tysięcy poległych w wielkiej bitwie o Al Cut, powrócił do służby.

– Twoje zdolności są wielkie - przyznał Maahnor. - Wezwanie mnie do tej cielesnej skorupy wymagało talentu, jaki widziałem tylko u jednego człowieka, u samego Bartuka. Ale demonia magia jest potężna i dzika. Wydaje ci się, że nią władasz, tylko po to, by przekonać się, że to ona włada tobą. A będzie ci potrzebne o wiele więcej, żeby powołać do życia resztę naszej armii.

– Poczuj to - odparł Mroczny. - Dotknij brzemiennego łona, z którego narodzi się życie dla twoich braci.

Maahnor podszedł do kamienia i zamknąwszy oczy, położył na nim swoje opętane dłonie. Zaraz potem lekki uśmiech przemknął mu po wargach i mężczyzna odetchnął głęboko.

– To dobre - przyznał. - Ale nadal nie wystarczy.

Mroczny skinął głową.

– Mam więcej - powiedział. - Niemal niewyczerpane zapasy.

Dopiero podczas walki w obozie na wzgórzach rozkazy Beliala stały się dla Mrocznego jasne: moc dziewczynki zapierała dech w piersi - nawet Mroczny niechętnie musiał przyznać, że była silniejsza niż jego. Ta mała rozbijała hordy demonów w pył i dopiero strzałki wypełnione wyciągiem z

torajańskiego korzenia wreszcie ją powstrzymały. Gdyby strzelec Mrocznego nie zadziałał szybko, nie wiadomo, co by się stało. Może dziewczynka roztrzaskałaby świat na pół. Nie miało to już znaczenia, liczyło się tylko, że jej zdolności zapewnią zapłon dla ogromnej studni, w której Mroczny gromadził energię przy pomocy swoich pijawców. A po rozpaleniu ta iskra życia wskrzesi armię nieumarłych.

– Połącz się z duszami swoich ludzi, Maahnorze. Niech się przygotowują. Przybądźcie jutro, odzyskacie siłę, aby wstać i iść, a ty poprowadzisz ich znowu do bitwy.

– Przemówię do nich - odrzekł Maahnor. - Ale oni służą mnie, nie tobie. Jeżeli zdecydują się iść na bitwę, będą walczyć po MOJEJ stronie i dla mnie.

W Mrocznym wezbrał gniew, który sprawił, że błękitne żyłki zapulsowały mu na czole.

– Powrót do świata żywych dał ci fałszywe wrażenie o swoich umiejętnościach, Maahnor. Jesteś związany ze mną przez rytuał krwi, nicią łączącą nas ponad stuleciami. Masz obowiązek okazać mi posłuszeństwo.

– Może - odrzekł mężczyzna, spacerując wzdłuż zaokrąglonej ściany zamkniętej komnaty. - A może powinienem przejąć władzę już teraz i przebudzić moich ludzi samodzielnie.

– Nawet Władca Kłamstw nie mógłby złamać takiej więzi.

Maahnor uśmiechnął się.

– Musisz się jeszcze wiele nauczyć, mój przyjacielu.

Mroczny poczuł znajome wyrzuty i zwalczył je natychmiast. To przemawiał dawny Garreth Rau, bezbronny i nieudolny dziecko, które pozwalało się wykorzystywać. Te dni już przeminęły.

Musiał dać temu nieznośnemu mężczyźnie nauzkę.

Mroczny uniósł ramiona, wezwał żywioł ognia. Błękitne łuki jak błyskawice pomknęły z jego palców i trafiły w tors Maahnora. Lecz mężczyzna nie krzyknął ani nie upadł, jak oczekiwał Mroczny, uśmiechnął się tylko ponownie i również uniósł dłonie, tuląc w nich błękitny ogień i trzymając z daleka od siebie.

Wstyd i strach ogarnęły Mrocznego. Był przecież najsilniejszym magiem w Sanktuarium. Tak twierdził Belial, a Mroczny niejednokrotnie demonstrował swoje umiejętności. Nie mógł pozwolić, aby to się zmieniło.

Maahnor postąpił krok w jego stronę. Mroczny cofnął się nieco, opadł na kolano. Ale kiedy już myślał, że wszystko stracone, przepłynęła przez niego nowa fala mocy. Odzyskał siły i wstał, po czym uderzył w odpowiedzi potężnym wybuchem ognia, który posłał Maahnora przez komnatę i rzucił o ścianę.

Mroczny stanął nad pokonanym. Ten spojrzał na niego z lękiem.

– Nie waż się nigdy więcej mi sprzeciwiać - rzekł do Maahnora. - Albo twoje nowe życie potrwa o wiele krócej, niż ci się wydaje.

+

Mroczny wspiął się po długich schodach do komnaty rytuałów na szczycie wieży, zarumieniony od zwycięstwa w starciu. Ale niewielka część tego, co pozostało z Garretha Raua, czuła dyskomfort. Rau nie do końca rozumiał, co zaszło w zamkniętej komnacie. Dlaczego od razu nie mógł władać taką mocą? Jak wiele ze swoich zdolności kontrolował?

To bez znaczenia, pomyślał. Nie ma już Garretha Raua. Jest tylko Mroczny, pan Sanktuarium. I nie ma tu miejsca na niezdecydowanie i porażkę.



Zza kamiennych ścian dobiegło krakanie.

Niezliczone teraz mrowie ptaków zajmowało każdą wolną przestrzeń. Niektóre służyły Mrocznemu, inne przybyły tu z własnej woli, zapewne z ogromnego dystansu wyczuwając wibracje z wieży. Wezwane tutaj, by przyłączyły się do bitwy, przecinały teraz ciemnoszare niebiosy nad głowami innych stworzeń igrających przy brzegu - jego dzieci, zrodzonych z ciemności, krwi i ognia.

Starzec uczynił dokładnie to, co należało. Głupiec. Wszystko, co Mroczny przygotował i zapoczątkował, zadziało bezbłędnie. Jego szpiedzy śledzili Caina i dziewczynkę przez resztę ich podróży, trzymając się poza zasięgiem wzroku, dopóki nie padł rozkaz, by nieco przycisnąć tę parę. Pozostali z Pierwszych odegrali przeznaczone im role, dobrowolnie lub nie. Opętanie ciała i duszy Egila było szczególnie słodkie, nawet jeżeli trzeba było pozostawić to zadanie Władcy Kłamstw.

Jednak plan nie powstał w jego głowie, trzeba przyznać. W pewnym sensie Mroczny słuchał cudzych rozkazów. To Belial szeptał mu do ucha, jak ważna jest dziewczynka. To Władca Kłamstw zasugerował podstęp: wszystkie wskazówki, które prowadziły Caina, były dziełem Beliala - obecność demona w ruinach, księgi Pierwszych porzucone tam, by Cain je znalazł, mężczyzna w Kaldeum, opętany od tak dawna, że bez trudu mógł skierować starca do Kurast.

Odsunął dłonie od kamienia i przeszedł przez puste piętro tam, gdzie jego więzień leżał samotnie i bezwładnie. Nie. Mroczny może i służy teraz Władcy Kłamstw, ale już wkrótce sam będzie władał tym światem i skazywał na śmierć tysiące winnych mężczyzn, kobiet i dzieci. Miał władzę. Sanktuarium zaś będzie nagrodą za otwarcie bram Piekieł. Belial to właśnie mu obiecał.

Z dołu, z jednej z dokładnie ukrytych komnat, wypełnionej urządzeniami tak skomplikowanymi, że ludzki umysł nie zdołałby ich ani pojąć, ani opisać, usłyszał odległe krzyki tych, których uwięził i torturował. Ich ból pomagał zaspokoić nienasycone pragnienie wieży, aby wypełnić się energią. Dlatego właśnie pijawce Mrocznego wysysały iskry życia z ludzi i przynosiły je tutaj, gdzie gromadziły się niczym narastająca burza energetyczna.

Jednak Maahnor miał rację: to nie wystarczy.

Mroczny spojrzał na dziewczynkę, nadal mocno odurzoną. To wszystko zdarzyło się tylko z jej powodu. Stanowiła klucz do przebudzenia potężnej uśpionej armii. Lecz moc tej dziewczynki była tak niebezpieczna, że Mroczny nie zdołałby pochwycić małej, gdyby działał w pojedynkę. Chroniło ją coś, co ledwie mgliście mógł pojąć.

Mroczny wysunął znajome ostrze z rękawa szaty. Posmakowało jego krwi i uznało ją za satysfakcjonującą, i posmakuje krwi wielu innych, zanim dokona się czyn ostateczny. Dziewczynka zapewni iskrę, jakiej potrzebował Mroczny. Mógł to wyczuć zmysłami, puls energii bijący od małej nawet we śnie.

Pora ją wypróbować.

Mroczny zadrzał z niecierpliwością. Wyjął z kieszeni szaty małą fiolkę i ukląkł przy dziewczynce w cieniu. Odkorkował i przysunął naczynie do nosa śpiącej, po czym usiadł i czekał. Wkrótce mała zaczęła się budzić. Uśmiechnął się. Szarpnęła okowy, ale łańcuchy trzymały mocno. Sądząc po tym, co stało się w obozie, nie należało wierzyć, że okowy wytrzymają, gdy mała będzie przytomna. Ale w obecnym stanie, z narkotykami nadal krążącymi w jej żyłach, nie będzie miała energii do walki.

Gdy dziewczynka jęknęła cicho i zamrugała, Mroczny szybko przyklęknął bliżej, przesunął ostrzem po opuszcze jej kciuka, po czym wbił

głębiej i podsunął fiolkę, by złapać krople krwi.

Nigdy by się nie spodziewał tego, co nastąpiło potem. Lea otworzyła oczy i wbiła nieprzytomne spojrzenie w jego twarz. Mrocznemu zdawało się, że pomieszczenie skuł lód, jednak na policzkach poczuł gorąco, jakby parzyły go promienie słońca.

Coś niewidzialnego, lecz nieopisanie potężnego wyrwało się z dziewczynki. Niewidzialna pięść uderzyła go w pierś, uniosła i cisnęła o ścianę. Mroczny potoczył się bezwładnie po posadzce. W jego ciele eksplodował ból. Czarnoksiężnika przeszywał lęk, gdy się podnosił, macając w fałdach szaty za resztą narkotyku, którym wcześniej została oszołomiona dziewczynka.

Kiedy zbliżył się do niej znowu, poczuł poruszenie swojego pana.

*Dziewczynka jest silna* - głos Beliala zabrzmiał w jego głowie. Władca Kłamstw pragnął tej małej jak wygłodniała bestia. Pragnienie demona przetoczyło się przez Mrocznego, pchnęło go bliżej jak zniewolonego szaleńca, nim nadludzkim wysiłkiem woli zdołał się powstrzymać. Dziewczynce oczy uciekły pod powieki, a usta poruszyły się bezgłośnie.

Wyczuwał jej moc, wyczekującą, ale czuł również, że gdyby spróbował się nią pożywić tak, jak karmił się innymi, zniszczy go.

Ta myśl przeszła go ponownie lękiem. Szybko ukląkł i wbił dziewczynce w ramię igłę, a potem cofnął się, gdy mała dźwignęła się z podłogi, z ustami otwartymi jak do krzyku, a potem znowu opadła w ciszę i sen.

Mroczny próbował uspokoić łomotanie serca. Jak mogła uderzyć w niego z tak brutalną siłą? Narkotyk ledwie ją powstrzymywał. Już dwa razy jego moc została wystawiona na próbę i za każdym wynikiem budził niepokój.

Należało przygotować bardziej wyszukany rytuał, by zapanować nad tą mocą i odpowiednio nią pokierować. Nowy rytuał krwi. Mroczny uniósł

fiolkę z kilkoma kroplami bezcennej esencji życia dziewczynki. Musiał się dobrze przygotować. Starożytna magia Vizjerei, dziedzictwo Bartuka wypisane krwią - tam krył się sposób.

Mroczny poczuł, jak Belial powoli opanowuje swój nienasycony głód. Nawet prawdziwy Władca Płonących Piekieł pojmował, co może się stać. Mroczny się uśmiechnął. Ponownie miał kontrolę. Kiedyś był w Kurast chłopcem na posyłki, słuchającym rozkazów, ośmieszonym i bezlitośnie bitym. Cóż znaczy bowiem zwykły sługa wobec największych czarnoksiężników z Sanktuarium?

Nie wiedzieli tylko, że w żyłach tego chłopca płynie krew z legend, ani tego, że jego przeznaczenie zostało przepowiedziane setki lat wcześniej.

Mroczny podszedł do okna i popatrzył na stworzenia. Było ich już więcej niż trzysta, a przybywały następne. Poczuł, że odwzajemniają jego spojrzenie, usłyszał okrzyki rosnącego podniecenia. Uniósł ramiona i wrzasnął w zimne powietrze, a stwory odpowiedziały radośnie, okrzykami narastającymi w szaleńczą, bezmyślną żądzę. Ujrzał, jak kilka stworzeń rozerwało jednego ze swoich, kończyła po kończyńie, i skąpało się w demoniej krwi. Okrzyki wznosiły się w oparach mgły, odbijały echem od powierzchni morza i spłoszyły kruki, które wzbiły się w niebo z ogłuszającą symfonią łopoczących skrzydeł. Wiatr uderzył go w twarz i Mroczny zamknął oczy.

Starzec już tu siedł wraz z mnichem, Mroczny ich wyczuwał. I chętnie przyjął wyzwanie. Na to właśnie czekał, na heroiczne starcie epickiej miary, na zemstę za przodka, który poświęcił się W imię większego dobra i został skazany na wieczną niewolę z demonami. A Jered Cain był za to odpowiedzialny, dlatego jego potomek za to zapłaci. Belial już zarzucił przynętę, zaszczepił Cainowi przekonanie, że jego żona i syn zostali torturowani i zabici przez demony, a esencja życia z tych dwojga została

wessana do Piekieł, by cierpieli przez wieczność. Czy miało znaczenie, że to tylko kłamstwo, że coś podobnego nie było nawet możliwe? Nie. Bez znaczenia, jak tych dwoje zginęło, prawda się nie liczyła. Liczyło się, jak nauczył Mrocznego Belial, jak użyje się informacji i - w tym przypadku - ból i cierpienie Deckarda Caina.

Niech przybędą. Wszystko było prawie gotowe. Nadchodził miesiąc ratham, a Mroczny trzymał iskrę życia tysięcy zabitych w wieży. I dziewczynkę. Starzec zaś nie miał żadnej armii i nawet gdyby dotarł tutaj, jego życie skończy się szybko. Mroczny czuł niemal rozczarowanie na tę myśl. Deckard Cain nadal miał do odegrania rolę w tej grze, nawet jeżeli tylko chwilową.

Kiedy otworzył oczy, stworzenia przepychały się u stóp wieży, próbując dostać się do środka. Ich szeregi zdawały się rosnać w oczach. Lecz to nic w porównaniu z legionami wiernych sług, których Mroczny niedługo miał przywrócić do życia. Razem rozprzestrzenią się po tej ziemi, przejmą władzę nad Sanktuarium w imieniu swojego pana i niech Piekło pochłonie każdego, kto stanie im na drodze.

Mroczny odwrócił się od okna, by zacząć ostatnie przygotowania przed końcem tego świata i narodzinami nowego królestwa.



## TRZYDZIEŚCI JEDEN



### *Plan*

Cain stał pod drzewem na skraju polany, wspierając się ciężko na nieokorowanym kawałku gałęzi, który służył mu za laskę. Każda kość, każdy skrawek mięśnia w jego ciele bolały potwornie. Starzec pomyślał, że rozpada się na części niczym stary wóz, wyschnięty i zbyt długo używany.

Żaden z niego wojownik. Westchnął. Nigdy się za takiego nie uważał. Czy cała ta podróż przez Sanktuarium nie była wyzwaniem dla kogoś młodszego? Jak mógł pomyśleć, że w ogóle miał szansę powstrzymać tak potworne zło sam, bez wsparcia? Prawda była taka, że nigdy tak nie myślał. Wszystkie jego nadzieje wiązały się z odnalezieniem pozostałych członków zakonu horadrimów, ludzi o wiele silniejszych i bardziej zaradnych niż on sam.

A zamiast tego znalazł to.

Mikułow poszedł błagać swych bogów o odpowiedzi, a Cain został sam. Po drugiej stronie polany Pierwsi zbierali nieliczne przedmioty, które ocalały z ataku. Ogień w jaskini zgasł wreszcie i mogli wejść do środka, jednak większość przedmiotów została zniszczona przez płomień i dym.

Mężczyźni zebrali na kupkę nieco ocalałej broni, ale Cain miał przecucie, że nic z tego nie będzie im potrzebne. Garreth Rau zmiażdżył grupę zbyt dotkliwie, by można było myśleć o jej naprawie. Wobec jego siły członkowie zakonu byli niczym muchy tłukące bezradnie o szkło lampy. Ci, którzy przeżyli, wkrótce znikną, wrócą do tego, co zostało z ich domów, albo przepadną gdzieś między wzgórzami, niczym zwierzęta, które uszły z życiem z rzezi.

Kiedy pomyślał o Lei, panika wróciła ze zdwojoną siłą - potworny, nieokiełznany strach, który niemal całkiem obezwładnił Caina. Pamiętał jej gniew i strach, kiedy opuścili Kaldeum, noc przy moście, kiedy wyjawiał prawdę o jej pochodzeniu. Pamiętał, jak uciekła, a potem jak oboje umknęli z domu lorda Branda, jak blisko trzymała się Deckarda, gdy wchodzili do Kurast. Jej nieufność mijała z każdym dniem ich wędrówki. I on się czegoś od niej nauczył: że był w stanie troszczyć się o drugiego człowieka bardziej niż o siebie samego. Nie czuł się tak od chwili, gdy stracił żonę i synka. A jednak wszystko to przyszło zbyt późno, by mógł dostąpić zbawienia.

Nazywała go wujem.

Starł łzy z policzków. Zrozumiał, że jego cel się zmienił. Już nie pragnął jedynie ocalić Sanktuarium przed nadchodzącą zagładą, teraz wszystko przybrało dla niego wymiar bardziej osobisty. Tysiąc przeklętych istot dzieliło go od dziewczynki. Nie miał szans do niej dotrzeć. Ale i tak zamierzał próbować. Patrzył, jak Farris i Thomas kłócili się nad poczeriałym kociołkiem, obaj coraz bardziej zacietrizewieni. To nie mogło się skończyć w ten sposób. Pamiętał historie o horadrimach, jakie opowiadała mu matka, i to, jak kwestionował ich prawdziwość, a jednak w głębi duszy wierzył w szlachetność, moralność i odwagę członków zakonu. Nawet wtedy chciał wierzyć w legendy. Ostatnie lata swego życia w całości



poświęcił zakonowi, całkowicie pogрузzył się w jego tradycjach, zdobywał wiedzę, starając się nadrobić stracony czas. Był stary, ale nie bezradny.

Zrodził się w nim upór. To nie może tak się skończyć, pomyślał znowu. Sam nie był dość silny, ale ci, którzy przeżyli, ciągle jeszcze mogli walczyć. Kto powiedział, że nie sprostają okolicznościom? Już raz uznali się za horadrimów, dlaczego nie mieliby tego zrobić ponownie?

Przecież jego prawdziwym talentem było odnajdowanie w innych ukrytej siły.

Cain pokuśtykał przez polanę. Ktoś zdjął ciało Lunda, ale krzyż pozostał, wciąż owinięty skrwawionymi linami. Zatrzymał się pod nim. Czekał. I w końcu wszystkie rozmowy ucichły, a mężczyźni zaczęli odwracać się w jego stronę. Deckard stał i czekał cierpliwie.

To Thomas przemówił pierwszy.

– Opuuszczasz nas?

Te słowa mogły zostać wypowiedziane z pretensją i gniewem, ale tak nie było. Cain wskazał na krzyż.

– Taktyka zastraszania - powiedział. - Stara jak świat. Pokaz siły, obliczony na złamanie woli przeciwnika. Ale nam nie wolno się złamać. Jesteśmy częścią starożytnego zakonu sformowanego po to, by walczyć z ciemnością, która nas niszczy.

– Nie jesteśmy żadnymi horadrimami - powiedział Farris gorzko. - Lepiej, żebyś po prostu odszedł. Sam to powiedziałaś.

– Może i nie jesteście horadrimami, jakich opisywali dawni magowie. Ale studiowaliście księgi poszczególnych szkół magii? Znacie legendy? Rozumiecie nauki zakonu? - Cain popatrzył po niewielkiej grupce. - Czy próbowaliście swych sił w zaklęciach z ksiąg, które znaleźliście? Nawet niewielkich?

Kilku potakująco skinęło głowami, inni uciekli spojrzeniami na boki.

– Ja też próbowałem. Ale to nie czyni z was horadrimów.

Pokuśtykał do Cullena i położył mu rękę na ramieniu. Tamten zdjął okulary i jego twarz nabrała miękkości, stała się bardziej wyrazista. Wyglądał jak chłopczyk.

– Ty jesteś łagodny - powiedział Cain. - A jednak ukrywasz to głęboko. Nie skrywaj swej dobroci i miłosierdzia. - Odwrócił się w stronę Thomasa, który wbijał wzrok w ziemię. - Straciłeś kogoś bliskiego, kto znaczył dla ciebie dużo, bo był przyjacielem. Jesteś lojalny do granic możliwości i ta strata napełnia cię gniewem. To siła, nie słabość. Obróć to na swoją korzyść. Ty zaś jesteś sceptykiem - powiedział do Farrisa. - Zawsze wątpisz. Ale w głębi duszy ze wszystkich sił pragniesz uwierzyć. Kiedyś byłem taki jak ty. Zamiast pogodzić się z tym, kim jestem, uciekałem przed samym sobą, aż w końcu było niemal za późno. Musisz pozwolić sobie uwierzyć, zaufać innym i temu, czego prawdziwości jesteś pewien. Ta zdolność, by okazać się kimś więcej, niż jesteście, istnieje w każdym z nas, ale musimy nie ustawać w poszukiwaniach, w wysiłkach, by stać się lepszymi, niż nam się wydaje.

Mężczyźni popatrywali po sobie i potakiwali milcząco. W dwóch Cain rozpoznał popleczników Egila, ale jeden należał do zwolenników Farrisa.

– Ale jakie mamy szanse? - zapytał mężczyzna o imieniu Jordan, ten, który miał rozciętą twarz. - Jest nas tuzin, niektórzy ranni, i mamy stanąć przeciw setkom albo tysiącom demonów. A nasz były mistrz jest potężnym magiem. Co możemy przeciwstawić takiej potędze?

– Mnie.

Głos rozbrzmiał znikąd. Cain odwrócił się i zobaczył Mikułowa, stojącego za plecami członków zakonu, u podnóża urwiska. Mnich skrzyżował potężne ramiona na piersi i przyglądał się grupie z takim ogniem i energią, że wydawał się jeszcze wyższy i potężniejszy niż zwykle.

Oczy mu błysnęły. Był jedynie człowiekiem, ale wyglądał na kogoś, kto jest w stanie pokonać całą armię. Wyciągnął dłoń i Cain ją pochwycił.

– Odnalazłeś swych bogów - stwierdził Deckard. - A oni dali ci siłę.

Mikułow skinął głową.

– Z nimi po naszej stronie nie możemy przegrać.

Cain zawahał się. To, że usłyszał głos dawno zmarłej żony i syna, niemal złamało mu serce. Wiedział, że dla nich już za późno, ale Lea stała się dlań uosobieniem tego, co stracił. I wciąż żyła. Czuł to. Nie mógł stracić i jej. Miał wrażenie, że całe jego życie sprowadza się do tego jednego momentu: wszystko, czym był, czym być chciał, wszystko zbiegało się w tym jednym punkcie, wskazując Cainowi jego przeznaczenie.

– Mroczny dysponuje mocą, jakiej dotąd nie widzieliście - powiedział do otaczających go mężczyzn. - Z ksiąg wyczytałem tyle, by podejrzewać, że armia wskrzeszeńców czeka na jego wezwanie, zamknięta w zapomnianym mieście pod Gea Kul. A będziemy musieli zmierzyć się i z innymi przeciwnikami, ludzkimi i demonicznymi. Ale nie jesteśmy bezradni. I nie ma tak naprawdę znaczenia, czy jesteśmy prawdziwymi horadrimami, o ile zdołamy stawić czoła naszym lękom i nie pozwolimy, by nas pokonały. To teraz jest najważniejsze. Musimy użyć sprytu i tego, co w nas silne, by przebić się przez Piekło i uderzyć w serce wroga.

I Cain opisał plan, jaki zrodził się w jego głowie, sposób na wykorzystanie tuneli pod Gea Kul i obrócenie niewielkiej liczebności grupy w przewagę i atut. Miał tylko nadzieję, że inni nie zorientują się, jak kruchy był to plan. Ale im dłużej mówił, tym więcej mężczyzn mu potakiwało. Wciąż jeszcze mieli szansę i Cain zamierzał ją wykorzystać do cna.

Wreszcie ukląkł w pyle, czując na sobie spojrzenia wszystkich. Pierwsi potrzebowali symbolu, czegoś, co pozwoli im zapanować nad strachem. Wyjął z torby kawałki laski, którą zebrał z podłogi po starciu z opętanym

Egilem. Puls mu przyspieszył i na chwilę zagłuszył ból stawów i mięśni. Cain wyciągnął klejnot wydłubany z portalu i kostkę horadrimów, do której włożył wszystkie przedmioty. Kawałki kostura znikwały przy wtórze niskiego brzęczenia energii, kiedy większy przedmiot był umieszczany w o wiele mniejszej przestrzeni. Ale we wnętrzu artefaktu kryło się o wiele więcej miejsca, niż mogłoby się wydawać, za to na jakiej zasadzie działał, pozostawało tajemnicą od dawna zagubioną w pomroce dziejów. Kostka mogła transmutować przedmioty w inne, bardziej wartościowe, połączyć magiczne części w taki sposób, by uzyskać o wiele potężniejszą całość. Laska i kamień zostaną przetransformowane.

Deckard już dawno nie miał okazji korzystać z kostki, ale teraz poczuł znajomy dreszcz oczekiwania.

Rozległo się charakterystyczne trzeszczenie, jakby artefakt gwałtownie wciągał powietrze, i włoski na przedramionach Caina stanęły dęba. Sięgnął do wnętrza kostki i wyjął nowy kostur. Wyższy niż ten poprzedni, z mocnego, litego drewna, z wytrawionymi wzorami płomieni. Błękitny ogień zamigotał wzdłuż laski i zgasł.

Cain czuł drzemiącą w przedmiocie energię.

Wstał, rezygnując z pomocy Mikułowa. Wparł koniec laski w ziemię i oparłszy się na niej, popatrzył na otaczających go mężczyzn. To był jego talizman, laska stanowiąca źródło mocy, która ich poprowadzi. Jak światło w ciemności. Ale będą potrzebowali czegoś więcej, by zwyciężyć.

– Oto prawdziwy horadrim - szepnęła Thomas i ukląkł przed Cainem z oczyma pełnymi łez. - Jesteś horadrimem z przepowiedni, dokładnie tak jak mówił Egil.

Cain podszedł i położył mu dłoń na ramieniu.

– Wstań - poprosił. - Nie jestem bohaterem. To ty nim jesteś. I nie jestem kimś, przed kim należy klękać, to pewne. I jestem stary, a ty nie. Bądź więc

silny. Nie jesteśmy sami w tej walce i jeszcze mamy kilka sztuczek w zanadrzu.

+

Pierwsi ruszyli za nim w górę zbocza. Cain szedł wolno, ale za nic nie skorzystałby teraz z pomocy Mikułowa ani nikogo innego. Zignorował więc bolesny protest starych kości i udręczonych mięśni. Zaczął wypytywać Pierwszych, by opowiedzieli mu dokładnie, co się wydarzyło, gdy Leę trafiła strzałka. W jego głowie plan nabierał coraz solidniejszych kształtów. Kiedy wreszcie dotarli na szczyt, Cain pokuśtykał do krawędzi klifu i popatrzył w dół. Widział zarysy Gea Kul i Czarną Wieżę wznoszącą się jak ohydny łeb morskiego węża. Potrzebowali więcej sojuszników. Chociaż nie miał tak naprawdę powodu, by ufać Jeronnanowi, wierzył, że stary wilk morski przybędzie na ratunek.

Podniósł róg do ust i zadął.

Dźwięk poniósł się niczym śmiertelny jęk rannej bestii i zakończył zawodzeniem potępionych. Odbił się echem wśród drzew i we mgle pozęgłował nad dolinę. Chwilę później odpowiedziały mu odległe okrzyki gdzieś spomiędzy drzew. Cain nie potrafił stwierdzić, czy to przyjaciel, czy wróg odpowiedział na jego wezwanie.

Odwrócił się do swoich towarzyszy.

– Potrzebuję, żebyście znaleźli korzeń, który tu rośnie - oznajmił. - I przynieście mi jakiś szpadel i kilof, czeka nas trochę kopania. - Wyjął z torby mapę tuneli pod Gea Kul. - Tutaj wejdziemy. A potem ruszymy na wojnę. Ale nie taką, jak myślicie.



## TRZYDZIEŚCI DWA



### *Tunele*

Zgodnie ze swoją obietnicą stary marynarz przybył na wezwanie rogu. Cain spotkał go na skraju drzew i wyjaśnił, czego od niego oczekuje. Jediną szansą na zwycięstwo było działać podstępnie i oszukańczo. Jeronnan miał postarać się o odwrócenie uwagi przeciwnika. Kapitan zgodził się chętnie, gotów walczyć o swoje ukochane miasto.

Studiowali na mapie tunele, które prowadziły pod Czarną Wieżę. Cain odnotował wszystkie strategiczne punkty dla rozmieszczenia swoich ładunków. Pierwsi właśnie kopali w poszukiwaniu minerałów i korzeni, które były mu potrzebne. Plan nabrał ostatecznych kształtów. Zakłęcie ukryje ich na tyle długo, by zdążyli zejść w podziemia i umknąć wścibskim oczom. Jeronnan zbierze tych nielicznych mieszkańców, którzy jeszcze nie znaleźli się pod wpływem pijawców, i poprowadzi na powierzchni atak na wieżę. W tym czasie Pierwsi postarają się zinfiltrować ją od podziemi. Jeśli Cain się nie mylił, mieli czas do wschodu słońca, kiedy to zacznie się ratham.

Thomas znał wyższą część tuneli lepiej nawet niż Egil i bezzwłocznie doprowadził ich do właściwego wejścia. Powiodł niewielką grupę pod osłoną ciemności przez sięgającą kolan zeschniętą trawę do oddzielnego ujścia kanału ściekowego, daleko od głównej bramy miasta, doskonale ukrytego w hałdzie odpadków i błota. Odsunęli kratę, przedostali się przez wąski otwór i po żelaznej drabince zeszli do kamiennego korytarza. Thomas zapalił pochodnię i przejście zalało żółte światło.

Tunele były ciemne, puste i wilgotne, przesycone zapachem cmentarnej ziemi. Cain modlił się, by nie stały się ich grobem.

Pierwsi uzbrojeni byli w widły, miecze i łuki, kuchenne noże i młotki. Żałosna to była armia, dwa tuziny ludzi, z czego kilku jeszcze rannych. Mikułow prowadził ich wraz z Thomasem niosącym lampę. Cain z Cullenem zamykali pochód. Farris nadal pozostał sceptyczny, ale zgodził się iść, jego poplecznicy oczywiście uczynili to samo. Cain nie był pewien, czy może mu ufać, ale teraz i tak nie miał już wyboru.

Szli ostrożnie, aż zniknął nawet ostatni promyk światła płynący z wejścia. Zatrzymali się i zacieśnili szyk, jakby chcieli wszyscy znaleźć się w żółtym blasku światła.

Gdzieś przed nimi rozległo się skrobanie. Thomas podniósł lampę wyżej. Początkowo niczego nie zauważyli, ale po chwili na granicy światła coś się poruszyło. Rozległ się upiorny jęk, a po nim łupnięcie i uderzenie, które zdawało się wstrząsnąć tunelem.

– Zasłoń światło - syknął ktoś i Thomas posłusznie narzucił na lampę połę opończy, pogrążając tunel w ciemnościach. Kolejne łupnięcie wstrząsnęło ścianami, aż drobiny gruzu posypały się na podłogę. I jeszcze jedno, znów trochę bliżej.

– To kroki - szepnął Cullen z przerażeniem. Owionął ich smród zgnilizny. Thomas odsłonił lampę i podniósł ją wysoko. Niepogrzebany stał jakies



dwadzieścia metrów dalej, jego potężny korpus wypełniał niemal całą szerokość tunelu. Stwór obrócił ku nim swoje liczne mętne ślepia i zaryczał. Po czym ruszył, jakby miał zamiar zgnieść ich wszystkich swoim ciężarem.

W grupie natychmiast wybuchła panika. Thomas rzucił się do ucieczki, niemal gasząc lampę w narastającym szaleństwie. Mikułow skoczył do przodu, błysnęło oślepiające światło, potwór zaryczał i rozległ się odgłos uderzeń i kolejny głośny trzask. Cain starał się zatrzymać uciekających, krzyczał, by szykowali broń. Thomas zatrzymał się, twarz miał bladą niczym płótno, ale zebrał się w sobie, zawrócił.

Potwór chwiał się pod atakiem mnicha. Stracił ohydną kończynę, a głęboka rana w odrażającym cielsku wyglądała jak makabryczne usta. Ruchy Mikułowa były tak szybkie, że się zlewały. Mnich atakował grubaśny kark potwora, a monstrum ryczało gniewnie z bólu i wściekłości, próbując obrócić się do napastnika albo sięgnąć go ocalałym ramieniem. Jednak wąski tunel nie pozwalał mu swobodnie się poruszać, ciężkie ramię trafiało więc raz po raz w ściany. Mikułow zgrabnie unikał niezręcznych ataków, tańcząc poza zasięgiem skalnych kolców i masakrując gnijący korpus pięściami i ostrzem umocowanym w karwaszu.

Mnich krzyknął, uderzając, i fala proszku eksplodowała mu z dłoni. Potwór cofnął się, liczne usta na jego ciele otwierały się i zamykały, sycząc i tocząc ciemną pianę. Z nieco cichszym okrzykiem Cullen rzucił się do ataku i wbił widły w bok monstrum. Ktoś wypuścił strzałę, która utkwiała głęboko w plecach potwora.

I kiedy stwór obracał się niezgrabnie, by stawić czoła reszcie napastników, Mikułow wznosił ostrze i ciął potężnie w kark bestii. Z rany połała cię ciemna ciecz, głowa przechyliła się na jedną stronę, odsłaniając ohydny przegniły kikut szyi, zepsute cielsko zadygotało.

Mikułow zrobił krok do przodu i zadał cios otwartą dłonią, oślepiająco szybki, uwalniając przy tym falę czystej energii. Prosto w klatkę piersiową niepogrzebanego.

Monstrum rozerwało na kawałki.

Resztki przegniłego mięsa pokryły tych, co stali najbliżej. Odłamki skał odbiły się od ścian tunelu i potoczyły do stóp Caina.

Płomień lampy zachwiał się od podmuchu, ale nie zgasł, Thomas podniósł lampę wyżej. Z mroku wyłoniła się scena jak z makabrycznej rzeźni, tak koszmarna, że aż niewiarygodna. Kawałki ciała ciągle jeszcze poruszały się i wiły niczym robactwo. Jedna z głów wywracała zasnutymi bielmem ślepiami i kłapała szczęką, zanim Farris zgniótł ją butem. Pękła z ohydny wilgotnym trzaskiem.

W tunelu zapadła cisza.

– My... zabiliśmy to - powiedział Thomas zdumiony.

– A możesz zabić coś, co już jest martwe? - zapytał Cullen, szczerząc zęby jak obłąkaniec, próbując zetrzeć resztki stwora z okularów.

Popatrzyli po sobie. Kilku poczęło wydawać okrzyki radości, kilku klaskało i poklepywało się po plecach. Cain jednak do nich nie dołączył. Nie mieli czasu do stracenia. Wyobraźnia podsuwała mu obraz Lei przykutej w ciemnej celi i Garretha Raua przygotowującego jakiś czarnomagiczny rytuał, który będzie ją kosztował życie.

Kiedy Cain otrzymał list informujący o tragicznym losie żony i syna, pojechał na miejsce ich śmierci. Nie było to miejsce w żadnym razie szczególne. Po obu stronach gościńca rosły gęste drzewa, które mogły zapewnić kryjówkę napastnikom, i tyle. Droga jak droga. Tak naprawdę nigdy nie widział wywróconego wozu, usunięto go o wiele wcześniej. Ale wyobraził go sobie dokładnie, leżący na boku, wśród chwastów, z jednym kołem obracającym się powoli w promieniach palącego słońca, podczas

gdy Amelię i Jereda wciągnięto w otchłań zapomnienia. Nie mógł się oprzeć uczuciu, że w tej jednej chwili zmienił się cały świat. I odtąd zawsze terkot drewnianych kół na kamiennym bruku sprawiał, że czuł w sercu zimno i bolesną pustkę.

+

Thomas poprowadził ich tunelami aż do miejsca, w którym jak twierdził, nie był jeszcze żaden z Pierwszych. Sprawdzając drogę na mapie, powiódł ich głębiej, do samego centrum rozległego systemu podziemnych korytarzy.

Im dalej szli, tym chłodniejsze stawało się powietrze. Wszystko porastał gęsty zielonkawy mech, w jednym miejscu korytarz był zalany, sięgająca kolan woda, prawdopodobnie morska, była zimna jak lód. Kawałek dalej usłyszeli miękkie kroki małych łapek. Tuziny szczurów uciekały spanikowane, przemykając im między nogami.

Coś było w tunelu przed nimi. Coś, co poruszało się w ciemności. Światło lampy wydobyło z mroku znajomy kształt, upiorną istotę poruszającą się na czworakach tuż przy ziemi. Paskudny grymas odsłaniał zęby, łysa czaszka połyskiwała w żółtym świetle, puste oczodoły patrzyły gdzieś w przestrzeń. Stwór zasyczał wściekle.

– Pijawiec - szepnął Cain. - Musimy go zabić, szybko, zanim ściągnie następne, bo wtedy nie damy im rady.

Mężczyźni cofnęli się przerażeni. Pijawiec odwrócił się i wspiał po ścianie, chwytając się kamieni szponiastymi rękami. Odwrócił się w ich stronę raz jeszcze, wisząc do góry nogami, niczym nietoperz, by chwilę później zniknąć w ciemnościach.

Mikułow zabrał Thomasowi lampę.

– Zaczekajcie tu - polecił i pobiegł tunelem.

Zostali w ciemności tak czarnej, że nie mogli zobaczyć nawet własnych dłoni. Cain nakazał im, aby byli cicho i starali się nie ruszać. A potem słowami mocy obudził kamień wtopiony w zwieńczenie jego transmutowanej laski i twarze mężczyzn zalała czerwona poświata, jakby dotknął ich płomień.

W oddali coś błysnęło z trzaskiem i rozległ się nieludzki pisk cierpienia. Cain poprowadził grupę tunelem. Kawałek dalej znaleźli latarnię na podłodze, a obok Mikułowa nad ciałami trzech pijawców.

– Było ich więcej - powiedział. - Zdołały uciec.

Cainowi lęk skuł serce lodem. To z pewnością zwiadowcy Raua. Skoro uszli z życiem, niewątpliwie doniosą swemu panu o intruzach w podziemiach. O ile nie zaczają się na nich za najbliższym zakrętem.

– Musimy być ostrożni - powiedział.

Thomas na powrót ujął latarnię, a Cain zajął miejsce na tyłach grupy. Spodziewał się hordy potworów, ale tunele były puste. Nie mógł zdecydować, czy to powód do zmartwienia, czy może jednak ulgi.

Wciąż schodzili głębiej. Gdy byli już blisko centrum podziemnych kręgów, Cain coś poczuł. Niemal niezauważalne drganie gruntu pod ich stopami.

Wreszcie głęboko pod powierzchnią ziemi tunel kończył się monstrualną jaskinią. Stali na krawędzi cichej, czarnej otchłani. Światło lampy połykały głębokie cienie. Każdą powierzchnię pokrywał pył stuleci. A powietrze pachniało grobem.

Znaleźli je. Zaginione miasto Al Cut.



## TRZYDZIEŚCI TRZY



### *Al Cut*

Szli za Thomasem pustą ulicą. Dawniej Al Cut musiało przyćmiewać wszystkie inne miasta w Sanktuarium. Ulice były szerokie i brukowane, domy w większości z cegły i kamienia. Przyglądali się w milczącym podziwiew stojącym w rzędzie budynkom, cichym niczym groby, domom ludzi, którzy mieszkali tu przed wiekami. Wciąż widać było ślady zniszczeń, jakich dokonała bitwa magów. Zwęglony gruz pokrywał popękane chodniki, niejeden dom przechylał się na bok jak pijany.

Ale ogrom zapomnianego miasta wprawiał w osłupienie. A to, że odnaleźli je tutaj, tak głęboko pod ziemią, przechodziło zdolność ludzkiego pojmowania. Mieszkańcy zdawali się przemykać na granicy pola widzenia, znikając za każdym razem, gdy Cain odwracał się, by spojrzeć.

– Widziałem to miejsce - powiedział Mikułow. - Byłem tu we śnie. To miasto umarłych, pogrzebane wraz z tysiącami straconych dusz.

Nikt inny nie ośmielił się odezwać. Wrażenie, że pod ich stopami drzemie jakaś niesamowita moc, jeszcze się nasiliło. Pył pokrywał

wszystko, ale najbardziej przerażające były ślady stóp, jakie w nim widzieli. Niektóre wyglądały na ludzkie, inne wręcz przeciwnie.

– Świt się zbliża - powiedział Cain. - Nie możemy tracić już ani chwili.

Wyczuł ruch w niszy po prawej i odwrócił się w tamtą stronę, ale nie zobaczył nic prócz pająka, wielkiego jak pięść, który gapił się nań prowokująco licznymi oczami, poruszając przy tym włochatymi nogami.

Szli dalej, między opuszczonymi budynkami. Milczeli. Zupełnie jakby słowa mogły zakłócić spokój umarłych. W miejscu tak ogromnym latarnia była zaledwie kropelką światła. Sklepienie jaskini było tak odległe, że wydawało się bezgwiezdny nieboskłonem. Minęli kilka bibliotek Vizjerei i pomnik dawno zapomnianego bohatera. A miasto zdawało się nie mieć końca.

Nigdzie nie widzieli żadnych szczątków ludzkich. A przecież legenda mówiła, że wojownicy Vizjerei zostali tam, gdzie padli w boju. Czy to ścierwojady zatroszczyły się o nieboszczyków? Czy też może miało tu miejsce coś bardziej potwornego?

Wreszcie ulica, którą szli, zaczęła wznosić się lekko i w końcu dotarli do przeciwległych granic miasta. Cain zobaczył znowu sklepienie jaskini, opadające łagodnie, by połączyć się z odległą ścianą, w której nieprzeniknioną czernią ziało wejście do tunelu. Wylewała się z niego woda. Cain czuł zapach morza.

To było miejsce, którego szukał.

Weszli do tunelu.

– Jesteśmy blisko - szepnął Thomas, kiedy już przeszli kawałek. - Według moich obliczeń powinniśmy być poza Gea Kul.

Kroczyli milcząco i napięci. Jak dotąd plan Caina sprawdzał się bez zarzutu, ale gdy tylko zdradzą się ze swoją obecnością, nie będą mieli po swojej stronie zaskoczenia. Cain po raz kolejny sprawdził mapę, zanim

polecił Pierwszym rozlokować pakunki, które nieśli, we właściwych punktach tunelu. Powoli posuwali się naprzód. Morze było tuż obok, oddzielone zaledwie ścianą cegieł. Gdyby tylko mógł...

*Deckardzie Cain.*

Cain odwrócił się gwałtownie i począł wpatrywać w ciemność za plecami. Głos rozległ się tuż przy jego uchu, jednak Deckard nie zobaczył niczego, ani pyska demona, ani zjawy. Pozostali zachowywali się, jakby nic nie słyszeli.

Przypomniawszy sobie nagle scenę z przeszłości, kiedy stał w swoim pokoju po kłótni z matką, nozdrza wypełniał mu zapach spalonych kart, wpatrywał się w ciemność za oknem, a coś zawołało go po imieniu.

*Chodź, dowiedz się prawdy o tym świecie. Twoje przeznaczenie czeka na ciebie, jak moje na mnie. Jesteśmy złączeni, ty i ja, poprzez historię i legendy. Jesteśmy bardziej do siebie podobni, niż mógłbyś sądzić. Jestem uczonym, jak i ty. Jestem potomkiem tych, których zwiesz bohaterami. Ale oni się mylili, tak jak ty. Mógłbyś to zmienić.*

Cain zacisnął zęby. Nie ośmielił się odpowiedzieć. Pozostali wpadliby w panikę na wieść, że zostali odkryci. Mroczny istotnie był potężny, skoro znalazł Caina w tych podziemiach, ale istniała szansa, że nie wiedział, gdzie dokładnie znajduje się ich grupa. Może tylko wysyłał myśli w pustkę w nadziei, że dotrą do wroga.

Jednak Cain nie mógł się nie zastanowić. Naprawdę byli do siebie podobni? Czy ich ścieżki zostały splecione, połączone ze sobą na zawsze? I czy w ogóle miał jakiś wybór? Musiał wierzyć, że jednak tak. Ludzie byli zrodzeni z aniołów i demonów. Pole bitwy, na którym Niebo walczyło z Piekieł, znajdowało się w każdej duszy. Potrzeba działania z poświęceniem, miłosierdziem i miłością nieustannie ścierała się z chciwością, gniewem oraz zazdrością. Sanktuarium istniało w samych



ludziach i dlatego mieli oni wyjątkową moc, której mogli użyć w imię dobra lub zła.

*Twój kapitan jest martwy. Dziewczynka jest martwa. Bramy zostały otwarte. Nie ma sensu dłużej się opierać. Dołącz do mnie i razem powitajmy prawdziwego pana Sanktuarium.*

Serce Caina tłukło się boleśnie w klatce żeber. To nie mogła być prawda. Nie uwierzy w to. Musi przestać słuchać tych kłamstw...

– Jesteśmy na miejscu - szepnął Thomas. - Jeśli się nie mylę, dokładnie pod wieżą. Albo bardzo blisko niej.

Cain wzdrygnął się wyrwany ze swoich myśli. Stali u podnóża kolejnej drabinki, o porzewiałych i oślizgłych szczeblach.

Deckard uświadomił sobie, że jest zlany zimnym potem, a oddech ma płytki i szybki. Demon kłamie. Nie może go słuchać. Gdyby Lea była martwa, wiedziałby. Poczułby. Musiał w to wierzyć. Rau po prostu się z nim zabawiał, starając się sprowadzić go tam, gdzie mógłby go bez trudu zabić.

Jednak jeszcze jeden głos dręczył Caina. Mroczny. Choć doskonale zdawał sobie sprawę z konsekwencji, użył księgi demonich zaklęć. Otworzył drzwi do własnej duszy. Dokładnie tak, jak to zrobił Garreth Rau.

Czyżby wpuścił coś potwornego do środka?

+

Byli blisko. Mroczny mógł to wyczuć. Nadchodził Deckard Cain na czele żalosnej armii nieudaczników i wyrzutków, tych z Pierwszych, których Mroczny odrzucił. Wszystkich poza jednym. Najłatwiejszym do opętania.

Mroczny spoglądał cudzymi oczyma, jak mężczyźni wspinają się na drabinkę. Jeden po drugim. Prosto w jego sieć. Żelazne szczeble były śliskie i przerdzewiałe od morskiego powietrza. Ostrożnie, pomyślał. Nie poślizgnij się. Nie chcielibyśmy, by przytrafił ci się jakiś wypadek. Nie teraz, gdy jesteś tak blisko.

To przykre, że Deckard Cain przebył tak długą drogę przez góry i pustynie tylko po to, by zostać zwabionym w pułapkę jak każdy inny bezużyteczny człowiek. Bo śmiertelnicy Sanktuarium byli prawdziwie bezużyteczni. Okrutni, podstępni, prawdziwa plaga dla tego świata. Ale nadejście Płonących Piekieł pochłonie ich wszystkich, oczyści świat w ogniu, zostawiając tylko puste skorupy.

Mroczny będzie rządził tym, co ocaleje, tak jak było mu to przeznaczone.

Rau otworzył magiczną księgę drżącymi palcami. Nadszedł czas.

Kiedy rozpoczął rytuał, wyczuwał niespokojne oczekiwanie Beliala, dygoczącego z niecierpliwości, niczym bóstwo gotowe w każdej chwili objawić się w całej swej chwale.

Mroczny wyczuwał moc tak potężną, że zdawało mu się, jakby patrzył prosto w słońce. Nici myśli demona oplatały jego umysł, pieszcząc go obietnicami.

Mroczny czuł hordę swych demonów poza murami wieży. Błyskawicznie rozprawiły się z wilkiem morskim i jego żalosną bandą. Było ich wszystkich może ze trzydziestu, uzbrojonych w prowizoryczną broń, ostatni mieszkańcy Gea Kul, którzy oparli się hipnotycznemu wpływowi pijawców. Byli wyjątkowo łatwymi ofiarami dla stada, które przybyło służyć swemu mrocznemu panu.

Kapitan padł ostatni. Mężczyzna kiedyś byłby może godnym przeciwnikiem, ale teraz osłabiła go starość. Mroczny obserwował cudzymi oczami, jak wilk morski znika pod ciałami pijawców. Przez chwilę widać

było tylko rękę wyciągniętą ponad kłębiącymi się krwawymi kształtami, chwytającą powietrze jakby w oczekiwaniu na ratunek, który nigdy nie nadszedł.

W Sanktuarium rozpoczęła się wojna, ale los bitew był z góry przesądzony. To dopiero przedsmak tego, co miało nadejść. Wkrótce zapłonie ostateczna iskra i prawdziwa armia powstanie z martwych. Legion nieumarłych czarowników pod jego rozkazami. Tyle było miast do podbicia, tyle terytoriów godnych zajęcia. Ogrom możliwości sprawiał, że Mroczny aż drżał w oczekiwaniu.

Macki myśli Baala zacisnęły się, przywracając Mrocznego teraźniejszości. Czarnoksiężnik wrócił do księgi i rozpoczął inkantację. Wyciągnął z kieszeni torebkę z proszkiem i wyrysował symbol wokół dziewczynki, wciąż jeszcze odurzonej i spoczywającej nieruchomo pośrodku pomieszczenia. I choć była nieprzytomna, Mroczny czuł tę zapierającą dech surową moc. Dar, jaki przekazała jej matka, tyle że zwielokrotniony. Dziewczynka zostanie poświęcona w ofierze dla końca świata, esencja jej życia będzie ostateczną iskrą, która rozpali ładunek zgromadzony pod jego stopami.

Mroczny wypowiedział zaklęcie, tak jak ćwiczył to wcześniej, rytmicznie, niskim tonem. Stworzenia na zewnątrz wieży szalały podniecone. Musiał doskonale wyliczyć wszystko w czasie. Już czuł, jak energia gromadzi się wokół niego, czuł, że wreszcie wzniósł się na prawdziwe wyżyny swej sztuki. Pijawce wykrzykiwały swą miłość do niego, szalejąc wokół wieży. Przewodził armiom Płonących Piekieł, naginając je do swej woli, jak Bartuk przed wiekami.

Podłogę złobiły rowki przygotowane, by pochwycić iskrę życia dziewczynki i skierować ją do podnóży Czarnej Wieży, gdzie połączy się ze zgromadzoną energią życiową innych ludzi.

Mroczny wziął się do pracy.



## TRZYDZIEŚCI CZTERY



### *Dziedziniec*

Mężczyźni wspinali się po śliskich szczeblach drabiny, jeden po drugim. Mikułow patrzył na stopy poprzednika - Farrisa - bo to on uparł się, że pójdzie pierwszy. Serce mnicha, zwykle bijące powoli i spokojnie nawet w środku bitwy, przyśpieszyło, a zimny pot wystąpił na skórze. Zbliżała się chwila, do której przygotowywał się całe życie, i Mikułow obawiał się, że zawaha się w obliczu otchłani - na dość długo, by miało to znaczenie.

*Nie jesteś gotów.* Jak we śnie wróciły do niego słowa mistrzów, ich ciężkie oskarżenia i osąd. Nauczyciele w uroczystych szatach siedzieli w komnacie rady, niemal identyczni z długimi białymi brodami i gładkimi, łysymi głowami. *Musisz pozostać tutaj i szkolić się dłużej, dopóki nie pokonasz swojej dumy i zapalczywości. Jeżeli tego nie uczynisz, popełnisz straszliwy błąd.*

A jednak Mikułow odszedł, wymknął się w nocy jak złodziej, gdy reszta spała. Lecz oto nadszedł dzień rozrachunku i mnich bał się jak dziecko.

Może mistrzowie jednak mieli rację. Może jest głupcem.

Mikułow medytował wcześniej w obozowisku Pierwszych i ponownie odnalazł bogów. Odzyskał siłę i pewność siebie, które prowadziły go w tej długiej wędrówce. Jednak im głośniejsze stawały się okrzyki demoniej armii nad głową, tym szybciej siła i pewność opuszczały mnicha, pozostawiając go na pastwę wątpliwości.

Farris dotarł do końca drabiny. Z góry kapała nieustannie woda, mocząc wszystkim odzienie. Światło, które przesączało się przez kratę, miało chorobliwie szary odcień.

– Nie mogę jej ruszyć - szepnął Farris w dół, naparłszy na metalowe pręty ramieniem. - Jest zbyt ciężka...

Nagle krata została gwałtownie podniesiona i Farris omal nie spadł. Monstrualna, szponiasta łapa sięgnęła w głąb, chwyciła nieszczęśnika za kark i uniosła, aż zniknął reszcie z oczu.

Jeden z Pierwszych na dole wykrzyknął ostrzeżenie. Mikułow spojrział w jego stronę. U stóp drabiny tłoczyły się ohydne stwory, pchając się na szczeble, by dosięgnąć ludzi.

Pułapka.

Mikułow wspiął się po ostatnich szczeblach, zapomniawszy o strachu w porywie energii, która oblała go jak fala. Wyskoczył na powierzchnię, przetoczył się i zerwał na równe nogi w jednym płynnym skoku, z bronią gotową do walki.

Znalazł się na wielkim kamiennym dziedzińcu. Zimny, cuchnący deszcz padał z ciężkich chmur.

Dziedziniec wypełniały stworzenia z samego dna Piekieł.

Grupa bezskórych, muskularnych bestii zbliżała się z lewej, opadłszy na czworaka, a z ich wydłużonych psich pysków spływała żrąca jak kwas ślina. Mikułow dostrzegł też kilka inkubów i sukubów z uniesionymi mieczami - zmysłowe ciała między poznaczonymi siecią błękitnych żył

potwornościami. Były tam też podobne do ogromnych żuków monstra i roje latających insektów z ponaddziesięciocentymetrowymi żądlami, a za tą chmarą szeregi setek lub może tysięcy pijawców, skradających się na czworaka, z twarzami jak księżyc w pełni.

Farris został wyciągnięty z tunelu przez czerwonoskórego nadzorcę, przewodzącego stada psopodobnych bestii - rogatych, mocno umięśnionych upadłych, o ślepiach pałających demonim ogniem. Nadzorca uniósł paszczę i zawył w niebo, uderzając się w potężną pierś szponiastą łapą i strzelając z długiego kolczastego bicia nad grzbietami swych podwładnych. Mikułow spodziewał się, że zobaczy, jak potwór rozrywa Farrisa na strzępy, kończy na po kończynie, ale demony się rozstały, robiąc mu przejście. Mężczyzna się uśmiechnął.

– Witaj w Piekło - powiedział, rozkrzyżowawszy ramiona. Za jego plecami hordy demonów zaskrzeczały z podnieceniem, niemal ogłuszająco.

Thomas wy dostał się na powierzchnię i stanął obok wyjścia z tunelu. Zamrugał w szarym świetle zaskoczony.

– Ty? - jęknął. - Nie, tylko nie ty, Farrisie.

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej. Żrenice miał rozszerzone i nieruchome.

– Jest pod kontrolą - powiedział cicho Mikułow. - Opętany, jak Egil w sali zebrania.

Farris odwrócił hipnotyzujące spojrzenie na mnicha.

– Sądziłeś, że zamierzam po prostu siedzieć i czekać na śmierć z całą waszą zgrają? Przyłączyłem się do Mrocznego z wyboru.

– Do Mrocznego? - odezwał się Thomas. - Garretha Raua?

Farris skinął głową.

– To był również ich wybór. - Wskazał na otwór, skąd wy dostało się jeszcze trzech mężczyzn. Ludzie Farrisa. Szybko zajęli pozycje wokół



wejścia do tunelu, podczas gdy Cullen, potem kilku następnych Pierwszych, a na końcu, ciężko dysząc, Cain wydzwignęli się na dziedziniec. Ludzie Farrisa otoczyli go i odcięli. Cullen spoglądał na to z zaskoczeniem, ale Cain chyba od razu pojął, co się dzieje.

Zdrada. Mikułow zawahał się tylko na okamgnienie, ale w tym przebłyску wszystko, co uczynił w swoim krótkim życiu, wszystko, czego się nauczył w tej podróży, stało się absolutnie jasne. Jego nieprawdopodobna decyzja, aby porzucić klasztor, była słuszna. Bogowie przemówili do niego jednym głosem, gdy błyskawica przecięła niebo i przez chmury przetoczył się grzmot; morze zaszumiało, a wiatr zaświszczał, niosąc ich przesłanie wiary i siły.

Tysiąc i jeden bóg poprowadzili Mikułowa pewnie. Jego poświęcenie służyło wyższym celom i mnich złożył się w ofierze dobrowolnie, wiedząc, że w ostatniej chwili życia stanie się jednością ze wszechświatem.

*Nie jesteś gotów... dopóki nie pokonasz swojej dumy i zapalczywości. Jeżeli tego nie uczynisz, popełnisz straszliwy błąd.*

Mikułow zerknął na Caina. Stary człowiek otworzył szerzej oczy i potrząsnął głową, wyciągnął rękę i zaczął mówić, ale Mikułowa już nie było.

+

Deckard Cain spoglądał bezradnie, gdy mnich posłał mu lekki uśmiech, skinął głową, a potem odwrócił się do armii demonów. Stary człowiek wiedział, co Mikułow zamierza zrobić, wyczytawszy to ze zdeterminowanej twarzy mnicha.

Byli otoczeni, przechytzeni i znowu pokonani. Farris ich wydał.

Powinienem to przewidzieć, pomyślał Cain. Powinienem to powstrzymać, gdy miałem okazję. Miłość i strach o Leę przesłoniły mu prawdę.

Mikułow wrzasnął, nisko, gardłowo i z triumfem, gdy rzucił się w skłębione masy demonich ciał. Pięści i stopy mnicha poruszały się z zapierającą dech szybkością, jego ostrze błyskało, gdy ciął i przebijał wrogów, odciągając ich od Caina i Pierwszych. Demony w odpowiedzi zaatakowały hurmem, pchane wzbierającą żądzą krwi, ale Mikułow nie dał się przytłoczyć, wirując w aurze energii niczym w powodzi błękitnego blasku iskrzącego się jak fale na tafli wody. Położył kilku przeciwników, odepchnął resztę.

Otwierał drogę do Czarnej Wieży, skazując się zarazem na śmierć.

Cain zerknął w otwór tunelu, skąd się wydostali. Pijawce i inne bestie roiły się na drabinie, wyciągając wykrzywione w przerażającym grymasie pyski. Uniósł wzrok na Farrisa.

– To nie jest dobry wybór - ostrzegł. - Popelniasz straszny błąd.

– Nie wydaje mi się. - Farris skinął na Caina, Thomasa i kilku pozostałych Pierwszych, którzy zbili się w gromadkę. - Spętać ich - rozkazał swoim ludziom.

Jednak trzech stronników się zawahało, popatrzyło niepewnie.

– Nie wolno ufać demonom - ostrzegł ich Cain. - Cokolwiek wam obiecano, to kłamstwo. Pamiętajcie, co mówiłem przy ognisku. Mroczny i Belial rozedrą was na strzępy, gdy tylko uczynicie to, czego chcieli.

– Farris... - Jeden ze zdrajców zerknął na otaczające ich bestie, z których kilka znowu zaczęło się zbliżać. - Nie sądzę...

– Dość! - krzyknął Farris, twarz mu poczerwieniała. - Brać ich!

Jednak mężczyźni zawahali się ponownie, dając Cainowi okazję, jakiej potrzebował. Z torby wyjął ostatnie zawiniątko z proszkiem Egila i rzucił je

w otwór tunelu.

Proszek wybuchł oślepiającym błyskiem, gdy pierwszy z pijawców wystawił głowę znad krawędzi. Stwór zapłonął i runął z drabiny, skrzecząc, a wraz z nim spadło jeszcze kilku. Tymczasem Thomas zamachnął się z boku swoją łopatą. Trafił Farrisa w skroń. Zdrajca nie zdążył nawet jęknąć.

Jego stronnicy naraz stracili przewagę. Unieśli ręce i zaczęli kręcić głowami, gdy Cullen zamierzył się na nich widłami.

– Szybko - rzucił Cain. Wyrąbane przez Mikułowa przejście, znaczone zwłokami rozdartych i połamanych stworów, już się zamykało. Nie było czasu do stracenia.

Pozostali Pierwsi ruszyli wyłomem w demonich szeregach ku Czarnej Wieży.

+

Mikułow płonął. Moc bogów przepływała przez niego, wzmacniając członki i dodając sił do walki z zalewem złośliwych, okrutnych stworów. Energia żywiołów iskrzyła i trzaskała przy każdym ciosie. Mnich poruszał się za szybko dla ludzkiego oka, zadawał uderzenia na wszystkie strony, tnąc demony świętą klingą. Kilkunastu wrogów padło, bryzgając czarną posoką z odciętych kończyn i konwulsyjnie trzęsąc głowami na śliskich kamieniach.

Lecz miejsce każdego zabitego potwora zajmowało dziesięć następnych. I Mikułowa ogarniało zmęczenie.

Gdy ściał czerwonoskórą głowę z mocarnego karku nadzorcy upadłych, pazury ścierwojada rozdarły mnichowi plecy. Polała się krew. Mikułow odwrócił się, po czym odciął napastnikowi łapę, stwór cofnął się z wyciem i

zatonął, bryzgając posoką i tkanką na grzbiety podchodzących od tyłu upadłych. Trzy bestie uniosły się, warcząc, lecz mnich zawirował i posłał w nich wiązkę skupionej energii. Potworne pyski zamieniły się w czarne, dymiące truchła.

Gdy upadły w konwulsjach, latający owad spikował i wbił żądło w ramię Mikułowa. Oślepiająco palący ból przemknął mu przez ramię i zaparł dech w piersi. Mnich zadrżał, serce mu załomotało - żądło miało jad. Rozciął owada ostrzem, po czym rozdeptał resztki.

Dwa kolejne stwory podleciały bliżej, Mikułow przeciął je za jednym zamachem. Użądłone ramię zwisało mu bezwładnie. Z gromady chochlików wyrwał się niepogrzebany, z rykiem z wielu paszczy, i uniósł kończyny niczym kamienne kowadła, gotowe zmiażdżyć wszystko na swej drodze. Mikułow uchylił się przed zabójczym ciosem i odpowiedział serią śmiertelnych cięć w nogi i plecy stwora, aż niepogrzebany padł na kolana. Lecz kiedy mnich zbliżył się, by ściąć martwą czaszkę, stwór zamachnął się maczugowatą łapą i trafił Mikułowa w bok.

Cios był niczym zderzenie rozpędzonego wozu z drzewem. Rzuciło mnicha w powietrze i posłało w dal. Skóra Mikułowa, zahartowana latami szkolenia i fizycznych kar, mogła wytrzymać niemal wszystko, ale kości pod spodem nie były tak twarde. Żebra trzasnęły, gdy upadł na grzbiety ścierwojadów, stwory przyparły go do ziemi i zaczęły szarpać ostrymi kłami.

Mikułow odrzucił napastników, po czym opadł, walcząc o oddech. Ale nie mógł zaczerpnąć tchu, już nie. Owadzi jad powoli przenikał w głąb ciała, rozlewał się w żyłach z każdym skurczem serca. Mnich spojrzał w niebo, krople deszczu padały mu na twarz, paląc gardło metalicznym, gorzkim smakiem. Tutaj nawet w deszczu było zepsucie.

Niewielka przestrzeń wokół Mikułowa zamykała się szybko pod naporem pijawców, zbliżających się z każdej strony. Na chwilę zapanował spokój, gdy bogowie zamilkli w jego głowie, a świat wokół zamarł. Czas przestał mieć znaczenie. Oto Mikułow był małym chłopcem biegającym po górach, kryjącym się pod chłodnym cieniem drzew i brodzącym w strumykach pełnych pstrągów. Ktoś go gonił, mężczyzna bawiący się w berka. Jednak im szybciej Mikułow uciekał, tym bardziej zmieniał się jego ścigający. Lecz i Mikułow się zmieniał, rósł, męźniał, nabierał wagi i mięśni przez lata, a ten, który za nim biegł, wcale nie był już człowiekiem, lecz zakapturzona bestia ze skrzydłami kruka.

Mnich zamknął oczy przed podchodzącą armią demonów, odcinając się od widoku brutalnych, tępych obliczy. Wezwał bogów i zaczerpnął ich energii z powietrza. Zamknął ją w sobie, jakby wstrzymywał głęboki oddech, w piersi zaczęło mu narastać ciepło, potem gorąco huczących płomieni. Nadal je wstrzymywał, czując, jak moc wypełnia go, wlewa się w członki - bogowie przyjęli dar i zwrócili go po dziesięciokroć.

Mnich otworzył oczy, ogień żył i wiercił się w jego piersi jak niespokojny smok. Demony pochyliły się nisko.

A Mikułow uśmiechnął się i uwolnił spętana moc.

+

Deckard Cain był już w pół drogi do Czarnej Wieży, gdy świat eksplodował.

Zaczęło się od krótkiego trzaśnięcia, a potem iskry błękitnych płomieni wybuchły światłem z miejsca, gdzie upadł Mikułow. Trzask zamienił się w grzmot, gdy pierścień ognia się rozszerzał, pochłaniając wszystko, co

napotkał. Starzec poczuł podmuch ciepła, a potem falę uderzeniową, która zwała go z nóg i zaparła dech w piersi.

Cain zamarł, jakby przywalała go ściana wody i pchnęła w głębinę, nim wrócił do siebie. Kręciło mu się w głowie, gdy podniósł się po przejściu fali mocy i rozejrzał. A to, co zobaczył, wywołało wstrząs i przerażenie. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach, ogarnęło go poczucie zguby. Nikt nie mógł przeżyć takiego uderzenia.

Lecz wiedział przecież, że to nastąpi, czyż nie? Wiedział to od chwili, gdy wtedy, przy wyjściu z tunelu, spojrzął mnichowi w oczy. Cain zobaczył we wzroku przyjaciela twardy, niezachwiany zamiar, jakby Mikułow już spotkał swój los i dawno się z nim pogodził, a reszta była jedynie kwestią czasu.

Stwory, które stały w promieniu stu metrów od epicentrum, po prostu zniknęły, zamieniły się w popiół, te dalej były martwe lub śmiertelnie ranne. Lecz na granicy strefy wybuchu inne bestie już zrywały się na równe nogi. Jeden z nadzorców upadłych odrzucił głowę i ryknął w ołowiane niebiosy, a jego podwładni zawtórowali mu skamleniem.

Mikułow otworzył Cainowi i towarzyszom przejście, ale nie powstrzymał wszystkich demonów. W Deckarda wstąpiły nowe siły i niemal szaleńcza determinacja, pragnienie, by ruszać naprzód. Wskazał na Czarną Wieżę i okrzykiem popędził pozostałych Pierwszych. A potem zaczął przestępować nad powalonymi ciałami najszybciej jak śmiał.

Laska zdawała się z każdym krokiem wibrować coraz mocniej pod palcami Caina, wierzchołek lśnił rubinowo. Deckard nie wypowiedział żadnego zaklęcia, niczego nie przywołał. A jednak w jakiś sposób kostur zaczął działać, jak piorunochron podczas burzy. I rzeczywiście powietrze wokół zaczęło drżeć.

Cain nie miał czasu tego zgłębiać. Hordy demonów znowu wzniosły okrzyki bojowe. Zerknął na prawo - ujrzał nadciągające pijawce, niczym gromada gigantycznych białych krabów. Dopadły go w okamgnieniu.

Gdy jeden ze stworów rzucił się na Caina, świsnęła strzała. Pijawiec nie zdążył nawet krzyknąć, zwałił się na kamienie z przebitą szyją. Cain spojrzął za siebie. Thomas naciągnął już kolejny pocisk na cięciwę, a obok stanął Cullen z widłami w gotowości.

– Idź! - krzyknął łucznik. - Powstrzymamy je!

Po czym obrócił się i przeszył strzałą pierś kolejnego atakującego pijawca.

Cain odwrócił się w stronę Czarnej Wieży, przebiegł kilka metrów dzielących go od otwartej bramy i zniknął w mroku pod kamiennym łukiem.

+

Przejście wiodło do wewnętrznego muru i wielkich drzwi z symbolem horadrimów. Znak jednak został zmieniony - dodano demonie runy przepowiadające koniec świata: upadek ludzkości i panowanie demonów - ohydne zepsucie plamiące symbol dobra i światłości, a zarazem ostrzeżenie dla każdego, kto tu wchodzi.

Drzwi otwarły się z głośnym zgrzytem, ukazując mroczny i pusty hol. Cain wślizgnął się do środka i zatrzasnął skrzydło przed nosem tłoczących się stworów.

Cokolwiek się teraz wydarzy, Deckard będzie musiał stawić temu czoło sam. Przyjaciele poświęcili życie, by dać mu cenny czas. Okazali się prawdziwymi bohaterami. Znowu ogarnęło go przemożne pragnienie

pośpiechu. Całe życie trzymał się z boku, gdy inni walczyli - wolał trzymać się z daleka. Najpierw pod pretekstem konieczności prowadzenia badań naukowych, a potem za wymówkę służył mu podeszły wiek, ale zawsze chodziło o to samo. W głębi serca Cain był tchórzem, nieprawdaż?

Teraz nadeszła pora, by działać. Jednak wewnętrzny głos zaczął go powstrzymywać i ziarno zwątpienia znowu zakiełkowało w duszy Deckarda. Był starym człowiekiem, nieprzygotowanym do takiej walki. Nigdy nie dzierżył miecza. Co niby zrobi, gdy dotrze do wroga? Nie miał odpowiednich umiejętności, by stawić czoła takiej grozie.

Lea. Był jej jedyną nadzieją. I ta myśl, mocniej niż cokolwiek innego, pchnęła Caina znowu do działania.

Światło laski wydobyło z ciemności stopnie. Schody wiodły spiralą wzdłuż ściany, zawrotnie wysoko, wokół kolumny pośrodku, której wierzchołek nikał w mroku, jakiego nie rozproszył magiczny blask kostura Caina. Gdzieś w górze, bardzo daleko, majaczył szary punkcik.

Z duszą na ramieniu Cain rozpoczął wspinaczkę. Stopnie ciągnęły się w nieskończoność, Deckardowi coraz trudniej było zaczerpnąć tchu, płuca zaczęły go palić, załamywały mu się kolana, a w krzyżu łupało znajomym nieznośnym bólem. Cain popadł w zupełnie nowy stan umysłu, jakby wyszedł z ciała i obserwował siebie z dystansu. I zdawało mu się, że całe życie zmierzał do tego ostatecznego aktu: od matki obserwującej go zza ogniska, spoglądającej z mieszaniną żalu i nadziei, przez czas, gdy pracował jako młody bakałarz w Tristram, bardziej zajęty naukowymi dziełami niż postępami uczniów, przez odejście żony i syna aż do samotności wśród ksiąg, gdy stary i załamany oczekiwał na Koniec Dni i chwilę, gdy dołączy do rodziny w miejscu spokoju i nadziei, miejscu, jakiego nie można sobie nawet wyobrazić.



Za murami wieży demony zrobiły się dziwnie ciche. Cain usłyszał tylko kruka, którego krakanie odbiło się echem od dziedzińca jak przepowiednia zwiastuna zagłady. Wyobraził sobie Pierwszych rozszarpanych i powieszonych za nogi pod łukiem bramy, krew kapiącą na kamienie. Obraz był tak wyrazisty, że Cain niemal uwierzył, że to wizja, i poczuł skurcz w żołądku na myśl, że mogła się okazać prawdziwa. Nie zdołała go jednak zatrzymać - Deckard nie pozwolił, by koszmar, który już się urzeczywistnił, odciągnął go od celu. Na górze znajdowała się Lea, a gdzieś blisko czekał na niego Mroczny.

Cain modlił się tylko, aby nie było za późno.



## TRZYDZIEŚCI PIĘĆ



### *Komnata rytualna*

Lea płynęła ku powierzchni oceanu, w wodzie czarnej jak noc. Gdzieś daleko nad jej głową migotał skrawek błękitu i starała się do niego dotrzeć ze wszystkich sił, choć płuca płonęły, a wzrok się zamazywał.

W pewnej chwili skrawek błękitu zamienił się w coś innego, czarną dziurę, źrenicę gigantycznego nieruchomego oka. To był kruk z Kaldeum, ten, który rozszarpywał szczurze truchło.

*Głupia dziewczuszko – powiedział kruk. Myślisz, że masz wolną wolę? Twoje czyny nie mają tu żadnych konsekwencji. Należysz do mnie.*

I wtedy głos się zmienił, oko rozpuściło, a Lea znów zobaczyła żebraka wykrzykującego zapowiedzi Końca Dni.

*Niebo zasnuje się czernią, ulice spłyną krwią. Jesteście przeklęci. Mroczny jest potężny, powiadam wam. Zbierze armię demonów. Umarli będą kroczyć między żywymi.*

A potem żebrak zamienił się w Gillian, która stała nad Leą z nożem w dłoni. *Umarli są niespokojni - powiedziała Gillian. Demony czekają na krew. Pragną jej, Leo. Kąpią się w niej.*

I zamieniła się w prawdziwą matkę Lei. Jej twarz skrywał cień, stała milcząca i nieruchoma. Bez względu na to, co Lea zrobiła, jak bardzo krzyczała, płakała i prosiła, matka nie reagowała, nie poruszyła się, tylko stała niczym posąg z kamienia.

Kiedy dziewczynka otworzyła oczy, w pierwszej chwili nie zorientowała się, że to jawa. Otaczał ją mrok i cisza, a czarne oko, które wcześniej ją obserwowało, nadal tam było. Ale zaraz później Lea zrozumiała, że widzi stojącego przed nią zakapturzonego mężczyznę.

Nie miała pojęcia, jak trafiła w to miejsce ani kim był mężczyzna i czego od niej chciał. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, było obozowisko u wylotu jaskiń i istoty, które wypadły spomiędzy drzew. Zabrał ją stamtąd jakiś potwór?

Gdzie był wuj Deckard? Poczła ukłucie strachu. Dlaczego po nią nie przyszedł?

Mężczyzna coś recytował niskim tonem, który przyprawiał o dreszcze. Podłoga wokół niej wibrowała, wprawiając w drżenie drobne ciało dziewczynki. I wtedy Lea poczuła coś jeszcze: delikatny ucisk w talii. Strach sprawił, że jej puls przyspieszył, ale serce zatrzepotało dziwnie, jak umierający ptaszek. Zakręciło jej się w głowie.

Spojrzała w dół, na swoje ciało.

Wspinała się po nim istota jak wijący się wąż, o cienkich i matowych włosach i straszliwie chudych ramionach. Stworzenie przykucnęło nad dziewczynką, sięgając ku niej szponami. Kiedy podniosło twarz z czarnymi dziurami oczodołów i popękkanymi sinymi ustami, ledwie widziała te ohydne rysy. Jej umysł podsunął jej obraz Gillian. W powietrzu zatańczyły strumyki krwi, jak zakłute węże wokół głowy przybranej matki, a potem zniknęły gdzieś w podłodze. Coś się w Lei przebudziło, coś wielkiego i potężnego, i zanim dziewczynka straciła przytomność i osunęła się w

niekończącą się czarną studnię, zebrała resztki dogorywających sił i krzyknęła. Dźwięk poniósł się po wieży echem, by w końcu utonąć w odgłosach wydawanych przez tysiące kruków. Ich krakanie i łopot skrzydeł były niczym huczny aplauz niezliczonej widowni czekającej na ostatnie tchnienie dziewczynki.

+

Deckard usłyszał krzyk Lei. Dźwięk przejął go głębokim dreszczem lęku, ale zarazem wzbudził nadzieję. Wciąż miał szansę do niej dotrzeć. Podwoił wysiłki, a kiedy spojrzał w górę, był już niemal na szczycie schodów, widział niewielki podest i kolejne zamknięte drzwi.

Było tu okno wychodzące na szare morze. Spienione fale toczyły się nieustannie, jak nieustannie przepływa czas. Cain stanął przy oknie i spazmatycznie łapał oddech. Każdy mięsień w jego ciele krzyczał w agonii, każde uderzenie serca wibrowało bólem we wszystkich kościach. Nigdy jeszcze nie czuł się tak stary i złamany. Nie miał pojęcia, jak w ogóle udało mu się wspiąć tak wysoko.

Kiedy oparł się o ścianę, poczuł, że wieża wibruje energią, która płynęła przez kamień z ziemi, albo może w drugą stronę. Nie potrafił zgadnąć. Laska zapłonęła jaśniejszym blaskiem, najwyraźniej karmiąc się mocą przepływającą przez palce Caina i ramię do drugiej dłoni, zaciśniętej na kosturze.

Zaczął nasłuchiwać przy drzwiach i wydało mu się, że słyszy jakiś ruch. Ciche stuknięcie i stłumiony odgłos drapania ucichły, a potem, tak zaskakująco głośno, że Cain aż się zatoczył, rozległo się nieludzkie zawodzenie.

Przez chwilę Deckard nie mógł zrozumieć, dlaczego ten potworny dźwięk wydaje mu się znajomy, aż wreszcie przypomniał sobie: róg Jeronnana.

Wewnątrz były pijawce.

Spróbował otworzyć drzwi. Ustąpiły. Pchnął je na oścież i ujrzał potworność.

Pomieszczenie za drzwiami było okrągłe, pozbawione jakichkolwiek mebli czy ozdób, jeśli nie liczyć dwóch pochodni zatkniętych w uchwyty ukształtowane na podobieństwo dłoni szkieletów i pulpitu, na którym ustawiono jakąś księgę. Ale nie one przykuły spojrzenie Caina.

Przed nim pośrodku podłogi leżała Lea. Ręce i nogi miała zamknięte w kajdanach. Przy jej nadgarstkach i stopach, karku i ustach tkwiły pijawce. Ich zniekształcone, potworne ciała wiły się w ekstazie. Ohydny ustami przywarły do dziewczynki jak odrażające pijawki. Cain słyszał wstrętne odgłosy ssania i widział, jak poruszają się karykaturalne ramiona i plecy, z których kości sterczały na podobieństwo zdeformowanych skrzydeł.

Wyglądały jak wielkie bezpióre ptaki. Plugastwo, wstrząsnął się z obrzydzeniem.

Oczy Lei uciekły w głąb czaszki, spod powiek błysnęły białka. Skórę miała zbyt bladą, oddech płytki i urywany, a jej ciało zdawało się zapadać w sobie, jakby opróżniane.

Cain rzucił się naprzód, przepelnięty odrazą i wściekłością. Podniósł laskę i wypowiedział słowa, które wyrwały się zeń z nieznaną mu siłą. Kostur zapłonął życiem, a pijawce, sycząc, cofnęły się przed jego czerwonym blaskiem. I kiedy wskakiwały na parapet, ich kształty ulegały przeobrażeniu, ciała porastały piórami, nosy zamieniły się w czarne dzioby. Odleciały z łopotem czarnych skrzydeł. .

Cain przykucnął przy Lei i delikatnie dotknął jej twarzyczki. Skórę miała zimną i lepłą, nie poruszała się, ale nie była martwa. Jeszcze nie. Czuł słabiutki puls w nadgarstku. Gniew i wściekłość zawrzały w nim, kiedy przytulił jej główkę do piersi.

Zapłacą za to.

Coś jeszcze poruszyło się w cieniu pod ścianą. Cain podniósł wzrok i zobaczył zakapturzoną postać. Wyglądało, jakby wzięła się znikąd, powstała z powietrza, wyszła wprost ze ściany. Cain miał wrażenie, że postać płynie nad podłogą niczym duch.

Lea nagle rzuciła się konwulsyjnie, wygięła plecy tak bardzo, że wydawało się, iż za chwilę pękną z trzaskiem. Wieża zadrżała.

– Czekalem na ciebie, Deckardzie Cainie - powiedziała postać. Długimi, smukłymi palcami zsunęła kaptur, ujawniając twarz jak z najgorszego koszmaru. Oczy płonęły w niej niczym węgle, osadzone głęboko i otoczone czarnymi kręgami sińców, zamiast nosa ziała ohydna dziura, ściągnięte wargi odsłaniały bezzębne dziąsła. Oślizgłe, zaropiałe ciało przecinała sieć błękitnych żył, zdawały się pulsować w rytm uderzeń serca, o ile stwór miał jeszcze jakieś.

– Garreth Rau - odpowiedział Cain, dźwigając się z podłogi. - Nie masz pojęcia, coś narobił...

Rau rozłożył ramiona i zwrócił się w stronę okna i widocznego za nim sinego nieba.

– Czasy horadrimów dawno już dobiegły końca, nadchodzi nowa era, era Płonących Piekieł, zrodzona w ich ogniu. Ja ją rozpocznę, a ty będziesz ostatnim świadkiem agonii tego świata, uwięzionym tutaj na zawsze. Jakże stosownie.

– Belial zatrul twoje myśli - powiedział Cain. - Musisz mnie posłuchać, Garrecie. Nie możesz wierzyć w te kłamstwa. Wykorzysta cię, a gdy nie

będziesz mu już potrzebny, pożre twoją duszę i odrzuci to, co zostanie.

– Sprytnie - uśmiechnął się Rau. - Używasz mojego imienia, żeby zdobyć zaufanie i przypomnieć mi, kim jestem? Może w takim razie powinieneś zwracać się do mnie Tal Rasha.

– Nie rozumiem...

– Mój przodek i imiennik, bo takie właśnie imię przyjąłem. Uwięziony na wieczność w grobowcu Baala przez jednego z twojej krwi, Jereda Caina. Zdradzony przez jedyne go człowieka, któremu ufał. - Twarz Mrocznego wykrzywiła się w złośliwym grymasie, oczy zapłonęły jeszcze jaśniej. - A może nie pamiętasz?

– Tal Rasha nie został zdradzony. - Cain potrząsnął głową. - Sam zdecydował się uwięzić Baala w sobie, by ocalić Sanktuarium.

– To kłamstwo, które przekazano światu. Kłamstwo kryjące prawdę. Twój Jered Cain nie był żadnym bohaterem. Użył demoniej magii, by oszukać Tal Rashę, i wbił w niego kamień wbrew jego woli. Porzucił przyjaciela, zostawił, by gnił przez wieczność. Zamiast go uratować, poświęcił, wołał ocalić własne życie. Jered był tchórzem.

– Jered i Tal Rasha byli towarzyszami broni. Obaj byli horadrimami wybranymi przez samego Tyraela, by ocalili Sanktuarium od ciemności. Byli...

– Znam te historie! - krzyknął Mroczny. - Nie pouczaj mnie, Deckardzie Cainie. Czytałem tajemne teksty i zwoje, w których zapisano prawdę o tych wydarzeniach. - Obrócił się i wzięwszy księgę z pulpitu, pokazał Cainowi herb wytłoczony na okładce. - To herb rodziny Tal Rasha. A to... spomiędzy fałd szaty wyciągnął kawałek podartego pergaminu, na którym widniał identyczny herb. - To po moich rodzicach, którzy pomarli, gdy byłem niemowlęciem!



Cain znów potrząsnął głową. Cały ten pomysł był niedorzeczny. Tal Rasha nie miał żadnego potomstwa i na pewno nigdy nie posiadał herbu rodowego.

– Mylisz się - zaproponował. - Nie ma żadnego drzewa genealogicznego Tal Rashy. Nigdy nie było.

Mroczny wykrzywił się z wściekłością i w tej ohydnej masce Cain przez chwilę widział małego nadąsanego chłopca, jakim tamten kiedyś był.

– I ty śmiesz to mówić?! - wrzasnął. - Ty, którego rodzina czuła się tak porzucona i zaniedbana, że od ciebie uciekła, tylko po to, by stać się ofiarami demonów? Wiesz, że ich dusze wciąż cię wołają? A ty wciąż nie możesz niczego dla nich zrobić. Wciąż jesteś ślepy na ich cierpienie. I znów nie możesz ochronić dziecka, które jest pod twoją opieką. Już za późno. Twoja cenna Lea umrze, by zapoczątkować zniszczenie Sanktuarium.

– Nie. Belial cię okłamał. Moją rodzinę zaatakowali bandyci. To był napad i tyle. Oni...

Rau wyciągnął rękę. Błękitny płomień wystrzelił z jego dłoni, uderzył Caina w pierś, przewrócił i przygwoździł do podłogi. A kiedy starzec leżał tak bezradny, drżenie kamiennych murów przybrało na sile, aż potężny grzmot zagłuszył wszystko inne.

Mroczny skupił się na Lei, obmył ją ogniem. Dziewczynka raz jeszcze szarpnęła się w konwulsjach i coś wystrzeliło z niej, błysk mocy tak silny i jasny, że Cain niczego nie słyszał, niczego poza biciem własnego serca i szumem pompowanej krwi.

+

Fala mocy przepłynęła przez Czarną Wieżę i pomknęła w dół, do ziemi, gdzie ukryta była komora brzemienna esencją życia tysięcy śmiertelników. Komora eksplodowała w rozbłysku światła, a energia popędziła tunelami we wszystkich kierunkach.

Głęboko pod ziemią, wśród zamarłych w ciszy grobowców Al Cut, stał mężczyzna. Czekał. Anuk Maahnor rozłożył ramiona szeroko i uśmiechnął się, gdy rzeczy pogrzebane od dawna poczęły wychodzić na powierzchnię.

Kości trzeszczały, ścięgna skrzypiały, wyschnięte na wiór mięśnie i skóra, zmumifikowane przez lata spędzone w grobie, teraz poruszały się ponownie obudzone do życia.

Ale to nie było prawdziwe życie. Istoty martwe od stuleci przewracały się w grobach, ukryte głęboko, teraz zaś wyrywały się ze swego zamknięcia.

Moc płynęła nadal przez wydrążony środek wieży, a system tuneli pod nią wzmacniało działanie iskry, która karmiła się sobą, pędząc po okręgach, których centrum stanowiła sama wieża.

Żyły opłotły kości i ścięgna, czarna ciecz popłynęła nimi na podobieństwo krwi. Umarli maszerowali zjednoczeni wspólnym celem, tworzyli szeregi, coraz dłuższe i dłuższe. Ich oczodoły obrosnięte pleśnią patrzyły ślepo przed siebie, szczęki pracowały, jakby chcieli mówić, ale ich gardła i struny głosowe już dawno rozpadły się w proch.

Maszerowali ku powierzchni.

+

*Kobieta biegła przez wysoką trawę, ciągnąc za sobą chłopca. Ich ubrania były porwane, twarze umazane krwią. Kobieta starała się uspokoić*

malca ciepłymi słowy, ale jatka na drodze świadczyła o tym, co się wydarzyło: przewrócony wóz, wykrzywione koła, wół w zaprzęgu zarżnięty bezlitośnie, tobołki wywalone w pył drogi. Woźnica leżał tuż obok. Kiedy stwory ciągnęły go po poboczu, zerwały mu głowę z ramion.

Kobieta zatoczyła się, niemal przewracając chłopczyka. Malec płakał, tak jak wszystkie małe dzieci, jego pierś podnosiła się spazmatycznie, ale nóżki nie ustały w biegu ani na chwilę.

Kozłolud za nimi wielkimi skokami sadył w stronę swoich ofiar. Nie mieli szans na ucieczkę. Kobieta najpewniej już to sobie uświadomiła. W ostatniej chwili padła na kolana, objęła chłopca ciasno, jakby chciała osłonić malucha własnym ciałem. Jednak stwory nie próbowały nawet rozdrzeć ich na kawałki. Otoczyły matkę i syna, wyjąc do ciemniejszego nieba i drąc pazurami ziemię, nie wiadomo, w ekstazie czy cierpieniu. Kobieta zerknęła na drogę, licząc na cud, na to, że ktoś będzie przejeżdżał, ktoś przyjdzie im z pomocą, ale trakt do Kaldeum był pusty.

– Deckardzie - wyszeptala wśród łez - ja...

Cokolwiek chciała powiedzieć, nie było jej dane. Ziemia pod ich stopami zadrżała i tam, gdzie jeszcze przed chwilą była tylko trawa, teraz otworzyła się dymiąca szczelina. Rozszerzyła się błyskawicznie, póki nie sięgnęła kobiety i dziecka, wtedy nagle się zatrzymała.

Stwory skrzeczały i rzucały się na ziemię w jakimś dziwnym uniesieniu, a zgłębi rozpadliny wynurzyła się wielka, zbrojna w pazury łapa. Za nią pojawiła się głowa, której kościany pancerz był trzy razy większy od kobiety. Oczy płonęły niczym ogień piekielny, wpatrując się w dwie skulone ludzkie istoty. Monstrum otworzyło paszczę i śmiejąc się dziko, zionęło smrodem śmierci i zniszczenia.

+

*– Dusze twojej żony i syna już dawno dołączyły do demonów w Płonących Piekłach - zahuczał głos w głowie Caina. - Tak jak i Tyrael, ta cuchnąca bestia, która jest naszym niewolnikiem. Teraz ty dołączysz do nich, by pokłonić się mnie, Belialowi, Władcy Piekieł i stworzeń, które tam żyją, przyszedłemu władcy Sanktuarium i Królestwa Niebios.*

Belial, Władca Kłamstw, górował nad nim niczym gigant gotowy rozdeptać wszystko na swej drodze. Cain zacisnął oczy, uciekając myślami do tego miejsca, które pozwoliło mu zachować zdrowe zmysły po utracie żony i syna. Skupił się z całych sił na naukach Jereda Caina, który napisał, że prawdziwa wartość wojownika sprowadza się do tego, czy ma on rzadką umiejętność koncentracji nawet wśród największej bitewnej zawieruchy. Cain był w domu matki, siedział przy starym biurku, przy blasku świecy. Dłonie miał znów silne, oczy bystre, a serce pełne zachwytu człowieka, który odnalazł swą pasję i miejsce w życiu. Karty księgi Jereda i tak dobrze znany zapach starego pergaminu przywracały mu spokój.

Ale mimo wysiłków Cain nie mógł zatrzymać tego obrazu. Zamiast księgi widział nieruchome ciała żony i syna w szponach kozłoludów.

*O, ich rany były dotkliwe, ale nawet teraz ich ból się nie skończył, wciąż cierpią katusze, uwięzieni w Piekłach, czekając na bohatera, który nigdy nie przybędzie. Ich bohater nie istnieje. Ale ty to wiesz, prawda? Od tak dawna znasz prawdę, a jednak postanowiłeś ją zignorować.*

Wizja się zmieniła. Cain zobaczył scenerię rozbrzmiewającą płaczem potępionych i krzykami przeklętych. Ogień łapczywie lizał stopy ludzi wiszących u sklepienia ogromnej jaskini, inni zaś zmuszani byli do pracy pod batem demonich panów. Nadzorcy chłostali wychudzone plecy

biczami, zlewając je krwią i zmuszając niewolników do ciągnięcia wózków pełnych roztopionego żelaza z kuźni, tak gorącego, że żar obierał skórę z ich kończyn. Jeszcze inni wykuwali miecze i pancerze, całe stosy pancerzy.

*Szykujemy się do nadchodzącej wojny - powiedział Belial. Garreth Rau otworzył dla mnie duszę i wkrótce przejmę kontrolę nad jego śmiertelnym ciałem. Najpierw padnie Kaldeum, potem reszta Sanktuarium, a kiedy armia nieumarłych dokończy dzieła, wtedy stworzymy nową armię, własną, i uderzymy na Kryształowy Łuk, Srebrne Miasto i samo Królestwo Niebios.*

Cain patrzył na tysiące ludzi o skrwawionych stopach i dłoniach, o twarzach wykrzywionych nieopisanym cierpieniem i czuł, jak serce pęka mu w piersi. Gdzieś tam była jego żona i syn.

+

Kiedy Deckard Cain otworzył oczy, wizja zniknęła. Bo to była tylko wizja - kłamstwa, jakimi karmił go Belial, mistrz manipulacji. I Cain był tego świadom. Wiedział, że dusze jego ukochanych nie mogły zostać tak po prostu porwane do Piekieł. A jednak czuł, jak macki zwątpienia powoli przypuszczają atak na jego rozsądek i zmysły. I choć się starał, nie mógł ich odepchnąć.

Otrząsnął się, znów był w komnacie na szczycie Czarnej Wieży, gdzie Mroczny stał nad Leą, rozłożywszy ramiona szeroko, a tupot tysięcy stóp martwych żołnierzy narastał daleko pod nimi.

Moc płynęła od Lei przez Garretha Raua i wieżę do jaskiń pod ziemią. Iskrzyła i trzaskała niczym płomienie. Lea była nieprzytomna i coś w niej odpowiadało na zew magii Raua.

Cain nie mógł pozwolić, aby Rau albo Belial zepchnęli go z obranej drogi. Musi działać, i to natychmiast.

Podniósł się z trudem. Laskę miał tuż obok, więc sięgnął po nią, przekuśtykał wokół ciała Lei i zamachnął się ostatkiem sił.

Drewniany kostur spadł na skroń Garretha Raua. Głowa Mrocznego odskoczyła w bok, czarna krew popłynęła z rany na czole, a jego kontrola nad Leą została przełamana. Cain się nie wahał. Złapał oburącz laskę i uniósł ją nad głowę, a potem wbił zaostriżony koniec w pierś czarnoksiężnika. Fontanna krwi wylała się z rany, Rau zatoczył się, odruchowo zamykając dłonie na drewnie sterczącym z jego piersi.

Deckard poczuł, jak wieża się chwieje. A wrzask hordy demonów zamilkł na chwilę. Starzec pospieszył do Lei, znów ujął jej głowę. Dziewczynka była odurzona, nie miał wątpliwości, jak mówili Pierwsi. A on znał tylko jeden narkotyk, który miałby tak potężny efekt.

Cain po omacku sięgnął do torby i wyjął flakon z miksturą, którą przygotował z zebranych przez Pierwszych korzeni. To była jedyna znana odtrutka na narkotyk z Torajan, zresztą sam go użył, by uspokoić Leę w domu Gillian. Nic innego nie mogłoby jej tak pozbawić przytomności.

Delikatnie wlał w jej usta kilka kropel.

Niedługo potem Lea jęknęła cicho. Powieki jej zatrzepotały. Cain próbował uwolnić ją z łańcuchów, ale nie zdołał. Skóra dziewczynki była blada, buzia zapadnięta, a kończyny chude jak u szkieletu. Na ten widok Caina zalała nowa fala gniewu.

Hałas kazał mu się odwrócić. Garreth Rau wstał. Centymetr po centymetrze wyciągał kawał drewna ze swojej piersi, a gdy skończył, rana w jego ciele zasklepiła się natychmiast.

– Będziesz musiał się lepiej postarać - powiedział, odrzucając kostur. Uśmiechnął się wargami pełnymi czarnej juchy. - Belial przybędzie wkrótce

powitać moją armię. Moc dziewczynki go tutaj sprowadzi.

– A potem odbierze ci twoją fizyczną formę - powiedział Cain. - Przystaniesz istnieć, wypchnięty do pustki, podczas gdy Władca Kłamstw zamieszka w twym ciele i będzie go używał jak własnego.

– Nie. - Rau potrząsnął głową, ale Cain zauważył błysk zwątpienia w jego oczach. - Obiecał mi, że będę rządził u jego boku...

– Belialowi nie można ufać - mówił szybko Cain. - Naprawdę myślisz, że pozwoli ci rządzić czymkolwiek? Opowiedział ci kłamstwa o twym pochodzeniu, żebyś zrobił to, czego chciał. Wmówił ci kłamstwa na mój temat. A w odpowiednim momencie pozbędzie się ciebie bez żalu.

Pomyślał o dzieciństwie Raua, spędzonym w sierocińcu, o dorastaniu w samotności, desperackiej potrzebie posiadania czegoś, co pozwoliłoby przetrwać, czegoś, z czego można czerpać nadzieję. Belial z pewnością mógł żerować na tym pragnieniu, dać Garrethowi poczucie siły i władzy, by odebrać mu duszę.

– Opętanie czasem jest stopniowe i podstępne - ciągnął Cain. - Pomyśl o swej mocy, jak się manifestuje. Czy miałeś kiedyś wrażenie, że nie do końca nią władasz?

– Jesteś przerażonym staruchem. Twoje słowa cię zdradzają.

– Belial najpewniej zademonstrował swą moc poprzez ciebie, używając ciebie jako ogniwa pośredniego między jego światem a naszym. Miesza ci w głowie, sprawdza więź, osłabia twą wewnętrzną obronę. Zamierza zniszczyć ten świat, by przygotować oblężenie Królestwa Niebios. Kiedy już wykorzysta cię, by wejść do tego świata, na co jeszcze będziesz mu potrzebny, sam pomyśl?

Rau już chciał odpowiedzieć, ale nagle wyraz jego twarzy zmienił się pod wpływem zaskoczenia, a potem strachu. Wydawał się zmagać z czymś w sobie.

– Nie - powiedział, trzęsąc głową. - Niemożliwe. Nie pozwolę ci. Nie...

Cain nie wiedział, czy te słowa były skierowane do niego, czy może do kogoś innego. Nagle Rau krzyknął, zachłysnął się powietrzem i krzyknął znowu, szarpiąc palcami własną twarz. Jego rysy zafalowały i zmieniły się nagle, kościane tarcze urosły nad czołem, oczy zapłonęły żółtym ogniem. Wreszcie lekki przebiegły uśmieшек zaigrał mu na wargach. Garreth Rau przestał istnieć.

– Deckard Cain - odezwał się Władca Kłamstw ochryple. - Całkiem jesteś sprawny, jak na swoje lata. Muszę podziękować za pomoc w sprowadzeniu tu dziewczynki. Ale obawiam się, że twoje zadanie dobiegło już końca. Jej też. Czas, żeby twoja mała przyjaciółka wreszcie wyzionęła ducha.





# TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ



## *Zmartwychwstali z Al Cut*

Mikułow ocknął się w jednej chwili.

Leżał na boku, przyprószony spopielonymi pijawcami i chochlikami. Znalazł się w sercu całkowitego zniszczenia: w małym kraterze wybitym w kamieniach podłoża. Popękane płyty ciągnęły się niemal do samego podnóża wieży, tworząc ziejącą, ciemną rozpadlinę. Dalej leżały rozrzucone po całym dziedzińcu ciała demonów i pijawców. Kilka śmiertelnie rannych stworów rzucało się konwulsyjnie w ostatnich podrygach.

Lecz, co zdumiewające, Mikułow nie był nawet draśnięty.

W głowie mu łupało, a usta miał suche jak trociny. Usiadł, strzepując popiół i rozglądając się uważnie. Widok zmroził mu krew w żyłach. Jak okiem sięgnąć spod ziemi wynurzali się umarli: przez tunele, z rozpadliny i mniejszych wyłomów na dziedzińcu. Zmarłych było już setki, a wciąż napływali następni. Kościste palce zaciskali na kamieniach i powstawali fala za falą, nieruchome zbrojne szeregi zwrócone w kierunku Czarnej Wieży.

Pod bramą do wieży stał mężczyzna. Na oko niczym się nie wyróżniał - prosto odziany, w średnim wieku, zmęczony. Lecz jego głęboko osadzone oczy błyszczały, trzymał się prosto i prężnie, gdy szacował swoją armię.

Mikułow przeszedł między szeregami umarłych. Żaden ani drgnął, nawet nie odwrócił głowy, gdy mnich musnął przypadkiem ich śliską skórę. Utrzymywał nieśpieszne tempo, spoglądał pewnie przed siebie. Jeśli tylko dotrze na czoło tłumowi...

Szeregi wskrzeszonych zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Nieznajomy na przedzie obserwował mnicha w milczeniu. Uniósł dłoń, dopiero gdy Mikułowa dzieliło od niego kilka metrów.

- Nie podchodź bliżej - nakazał nieznajomy. - Kim jesteś i czego tu szukasz?

- Jestem Mikułow, mnich z Iwogrodu - odparł Mikułow. - I nie twoja sprawa, czego tu szukam.

- Jestem Anuk Maahnor, kapitan armii Bartuka, wodza krwi, i strażnik tej wieży. Pytam raz jeszcze: czego tu szukasz?

- Z drogi.

- Nie sądzę - uśmiechnął się Maahnor. - Jesteś sam. A wszyscy tutaj to magowie, wyszkoleni w czarnej magii przez naszego pana. W życiu tu nie przejdiesz.

- Nie sam! - zdawało się, że głos zabrzmiał znikąd, ale zaraz przez szeregi przeciskać się zaczęli Thomas i Cullen, wzdrygając się za każdym razem, gdy otarli się o kogoś z dziwnie nieruchomych zmarłych.

- Jest nas przynajmniej trzech. - Cullen stanął u boku Mikułowa i wyszczerzył się radośnie, choć dłonie zaciśnięte na pokrwawionych widłach wyraźnie mu drżały.

Mikułow też się uśmiechnął. Ogarnął go spokój, o jakim wielokrotnie mówili mistrzowie, a jakiego wcześniej nigdy nie zaznał. Poczucie

harmonii z bogami, pogodzenie się z losem i świadomość własnych sił i ograniczeń.

– I we trzech pokonamy twoją armię - oznajmił kapitanowi.

Maahnor wyglądał na zaskoczonego, zaraz jednak się uśmiechnął.

– Przyjmuję to wyzwanie - odrzekł. Machnął ręką, jakby ciał powietrze, a nieumarli żołnierze ruszyli naprzód, unosząc broń.

Poza łomotem stóp na kamieniach nie wydali żadnego dźwięku. Cullen z okrzykiem wymierzył widły. Thomas próbował naciągnąć strzałę, ale ręce mu drżały i pocisk wypadł mu z palców.

A wtedy żołnierze ich dosięgli. Mikułow poczuł przepływającą przezeń moc bogów. Rzucił się do walki, chwyciwszy za ramię z mieczem najbliższego zbrojnego, obrócił go, wykorzystując broń do przecięcia wpół paru przeciwników. Pięści i stopy mnicha poruszały się nieprawdopodobnie szybko, trzaskały kości, pękały czaszki i za Mikułowem rósł stos ciał.

Nieumarli byli powolni i niezdarni, ale gdy jeden upadł, na jego miejsce przychodziło kilku innych. Mnich z przestachem zdał też sobie sprawę, że ci, których powalił, podnoszą się znowu.

– Walczcie - krzyknął do Cullena i Thomasa, ale mężczyźni byli zbyt przerażeni. Wiedział, że nie potrwa długo, a zostaną pokonani.

Pomocy, modlił się Mikułow, desperacko próbując wywalczyć sobie przejście naprzód. Niechaj bogowie usłyszą mój krzyk. Lecz nieumarli nadchodzili bezlitośnie, falą za falą, jak przypływ, a Maahnor tylko stał przed wejściem do wieży i patrzył, czekając, aż walka dobiegnie końca.

+

Cain popatrzył na Leę. Otworzyła oczy, źrenice miała nieruchome i małe jak główki szpilek. Przebiegł go dreszcz, zimniejszy niż wcześniejsze. Dziewczynka została przejęta, opętana, jak tamtej nocy w domu Gillian i później w zamku lorda Branda. Cain uwolnił coś, nad czym nie umiał zapanować, i po raz pierwszy zastanawiał się, czy to była dobra decyzja.

Lea usiadła płynnie, bez wysiłku zerwała okowy z rąk, po czym uwolniła nogi i wstała. W komnacie szybko zrobiło się zimniej, a znajoma już energia zawirowała wokół.

Dziewczynka znieruchomiała i rozejrzała się uważnie. Jej spojrzenie odnalazło Beliala. Mierzyli się wzrokiem przez dłuższy czas i naraz u obojga pojawiły się strzępki rozpoznania.

– Znam tę twarz - wyszeptał Belial. - Kim...

Reszta słów utonęła w głośnym krakaniu. Kruki przysiadły na oknach wieży, zajęły każdy kawałek zewnętrznego muru. Belial uwolnił moc pioruna, lecz napotkał opór Lei. Błyskawica wybuchła z trzaskiem, oślepiając Caina. Stary zamrugał, starając się dojść do siebie. A skrzydła kruków łopotały o kamienne mury, krakanie przybierało na sile.

W przeblasku Cain dostrzegł coś wielkiego i niehumanicznego po drugiej stronie komnaty, gdzie stał Garreth Rau. Później nie umiał powiedzieć, czy było to prawdziwe, czy tylko wyobraźnia splątała mu figla, bo kiedy spojrzał znowu, Rau stał przy oknie, trzęsąc się, jakby toczył wewnętrzną bitwę.

Lea rozłożyła ramiona i uniosła głowę. Oczy jej pały, spojrzała dziko na Caina. Przez chwilę dostrzegł rzeczywistą Leę, lecz groza i przerażenie na jej twarzy były tak przeszywające, że zapragnął ją uspokoić. Jednak gdy tylko zrobił krok w jej stronę, moc dziewczynki zacisnęła się na nim i unieruchomiła, pozbawiając tchu i sił. Krzyknął, wskazawszy otwór w podłodze, jakby zachęcał, by tam właśnie dziewczynka uwolniła energię.

Nie był pewien, czy Lea go zrozumiała i czy w ogóle była zdolna do kontroli tak potężnej mocy. Uścisk zelżał jednak, a dziewczynka krzyknęła. Coś wielkiego i niewidzialnego zdawało się wylewać z niej, przepływając do dziury, i przez środkową kolumnę wieży opadało pod ziemię.

Przez chwilę nic się nie działo. Potem rozległa się seria krótkich wyładowań. Czarna Wieża zadrżała w posadach. Dokładnie pod nią, o ile Cain dobrze wyliczył na podstawie mapy, znajdowały się ładunki z proszku Egila, które Pierwsi podłożyli w ścianach tuneli. Moc Lei je podpaliła, a przynajmniej Cain miał taką nadzieję. Wyobraził sobie podziemne wybuchy i wdzierające się do tuneli morze, które zalewa zaginione miasto Al Cut i niszczy wszystko na swojej drodze.

Garreth Rau stał pod oknem, spoglądając ze zdumieniem na Caina i Leę. Oblicze mu się zmieniało raz po raz, spojrzął starcowi w oczy z bólem i strachem.

– Miałeś... rację... - wydusił, a głos mu się załamał. - To były kłamstwa... Wszystko kłamstwa.

Z krótkim, urywanym krzykiem rzucił się w tył i zniknął za oknem.

Przez długi czas panowała cisza, a potem zabrzmiało stłumione uderzenie i wieża zatrzęsała się mocniej.

– Musimy uciekać, Leo! - krzyknął Cain. Tym razem, gdy ujął ją za rękę, dziewczynka pozwoliła się poprowadzić do wyjścia.

Kamienie zaczęły pękać, odłamki spadały z sufitu. Cain zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie za siebie. Kruki wdarły się przez okno, a ich ciała się zmieniały, pióra zanikały, coraz wyraźniej rysowały się cechy ghuli. Cain i Lea wybiegli z komnaty na schody, jak najdalej od żałobnych, głodnych skrzeków.

+

Mikułow doszedł do kresu sił. Przypadkowo zerknął na wieżę i przeżył wstrząs. Z wierzchołka budowli oderwała się jakaś postać i zawirowała w powietrzu, jej szaty załopotały jak skrzydła, nim uderzyła w ziemię. Najpierw mnicha ogarnęło przerażenie, że to Deckard Cain. Lecz gdy z wstrząsającym łoskotem ciało zderzyło się z podłożem, zrozumiał, że był to Mroczny we własnej osobie.

Mnich nie wiedział, jak do tego doszło, ale upadek wywołał wstrząs i przez dziedziniec przemknęła fala uderzeniowa niczym przypływ oceanu. Skutek był natychmiastowy i dramatyczny - niemal jak jeden mąż nieumarli żołnierze padli bez życia, niczym marionetki, którym odcięto sznurki. Więź, jaką zadzierzgnął Garreth Rau, więź, która ich podtrzymywała, została zerwana.

Mikułow obrócił się w stronę wieży. Ciało, które zajmował Anuk Maahnor, leżało w bezruchu na plecach - to, co zostało z prostego wieśniaka, wypływało wraz z krwią z jego oczu i ust.

Kamienie dziedzińca zadrżały, spod ziemi dobył się grzmiący huk. Cullen wskazał na wieżę, która kołysała się teraz wyraźnie.

- Zaraz się zawali! - oznajmił, gdy na ścianach rozprzestrzeniło się coraz więcej pęknięć, a huk zaczął narastać. - W nogi!

+

Pędzili w dół, potykając się raz po raz, ale na szczęście unikając upadku, choć wieża trzęsła się i chybotwała. Coraz więcej kamieni odrywało się i spadało w pustą przestrzeń, by roztrzaskać się u stóp budowli. Cain i

dziewczynka stawiali coraz bardziej drżące kroki, ale nie trafił ich żaden odłamek, nim dotarli do stóp budowli.

Cain pociągnął Leę za rękę i wyprowadził na dziedziniec, pod ciemniejące niebo. Zdawało się, że nadchodzi koniec świata, na ziemi leżały rozrzucone szczątki ciał, a kamienne podłoże było popękane, głębokie dziury i rozpadliny ziały za stopniami.

Cain i dziewczynka obeszli zapadliska. Lea dała się potulnie unieść starcowi w ramionach, a ten najszybciej jak mógł rzucił się do biegu, pchany czystą adrenaliną, gdy głośnie trzaski i jęki dobyły się spod wstrząsanego konwulsjami podłoża. Tylko raz odważył się obejrzeć - Czarna Wieża zaczęła się zapadać, gdy głązy u jej podnóża pękły i potoczyły się w różne strony, a ze szczelin wystrzeliła spieniona woda, unosząc odłamki, brud i kości wysoko pod niebo.

Zdawało się, że minęła wieczność, nim wieża zachwiała się po raz ostatni, a Cain wyczuł obecność inną niż kruki, które z łopotem odlatywały od ścian, obecność wielkiego zła, patrzącego bez zmrużenia okiem na walące się mury.

Cain się nie zatrzymał. Wraz z Leą był prawie pięćdziesiąt metrów od wieży, gdy fundamenty się rozpadły z wstrząsającym ziemią łomotem. Obejrzał się. Wierzchołek budowli pękł i spadł w lawinie głazów i zaprawy, kolce lodowej kuli poszybowały na wszystkie strony, a u podnóża otwarła się ogromna dziura. Wieża zapadła się, grzebiąc pod gruzami tunele i jaskinie. Gejzer słonej wody wystrzelił na kilka metrów przy akompaniamencie wycia owej niewidzialnej obecności, po czym powoli się cofnął, gdy skowyt ucichł. A wtedy nie pozostało już nic, tylko kilka kruków krążących bezładnie pod martwym niebem.





## TRZYDZIEŚCI SIEDEM



*Gea Kul, zmartwychwstała*

Tutaj!

Cain nie mógł wyjść ze zdumienia, zobaczywszy Thomasa i Cullena machających gorączkowo z drugiej strony dziedzińca, gdzie stali wraz z Mikułowem i niewielką grupką ludzi. Radość, jaką Deckard odczuł na widok Mikułowa całego i żywego, nie miała granic. Był przecież przekonany, że mnich poległ na dziedzińcu.

Wśród ocalałych był również kapitan Jeronnan. Mimo że pokryty krwią od stóp do głów, wydawał się cały.

Thomas pospieszył Cainowi na spotkanie i chciał zabrać Leę z ramion starca. Ale Deckard na to nie pozwolił, przyciskając dziewczynkę do piersi z całej siły. Pocałował ją w czubek głowy, a po policzkach płynęły mu łzy. Dziewczynka nie reagowała, ale oddychała równomiernie i odzyskała nawet nieco kolorów na twarzy. Rozmaite emocje popłynęły nagle wartkim strumieniem i Cain, szlochając, upadł na kolana, tuląc Leę w objęciach jak niemowlę.

– Już wszystko dobrze - powtarzał nieustannie i mówił to do Lei tak samo jak do swej żony i synka. - Przysięgam, już wszystko dobrze. Jesteś bezpieczna.

W końcu Cain pozwolił Thomasowi wziąć dziewczynkę i usiadł bez ruchu, krańcowo wyczerpany, aż Mikułow delikatnie pomógł mu stanąć na nogi. Powoli pokuśtykał do pozostałych.

Ujął wielką dłoń Jeronnana i zdołał zmusić się do uśmiechu, choć miał wrażenie, że zaraz zemdleje. Wilk morski chwycił go w ramiona.

– Jak...

– To nekromancie ostrzę - odparł Jeronnan. - Natknęliśmy się na stwory w Gea Kul i stoczyliśmy niezłą walkę, ale w końcu złapały mnie za gardło, obaliły na ziemię. Myślałem, że już po mnie. Ale jakoś zdołałem wyciągnąć sztylet Kary i rozpruć kilka brzuchów, maskary zwiewały, aż się kurzyło, tchórzliwe pokraki.

– To już naprawdę koniec? - dopytywał się Cullen, zaglądając Cainowi w twarz. Krwawił z rany na głowie i chyba coś odgryzło mu mały palec. Przyciskał zranioną dłoń do piersi i mrugał przekrwionymi oczyma zza potrzaskanych okularów.

– Nie wiem - odparł Cain. - Myślę, że na pewien czas to koniec.

Popatrzył na ruiny Czarnej Wieży, gdzieś tam w gruzach leżało ciało Garretha Raua, niewątpliwie martwego, który w ostatnich chwilach życia zawalczył o siebie jak nigdy wcześniej i tym samym ocalił świat. To niemal wystarczyło, by Cain odzyskał wiarę w człowieka. Ale inne myśli były bardziej niepokojące.

Co pojawiło się na krótko przed upadkiem wieży? Belial we własnej osobie chciał być świadkiem końca swych planów? Czy też może początku?



Zbadali ruiny, ale nie odnaleźli w nich ani nikogo żywego, ani żadnych oznak, że horda demonów może tu powrócić. Zwycięzcy ruszyli do Kapitańskiego Stolika. Było ich łącznie może z piętnastu. Grupa Jeronnana poniosła dotkliwe straty, a ci z mieszkańców miasta, którzy przetrwali starcie z demonami, byli mocno poranieni i półprzytomni, jakby dopiero co obudzili się ze snu.

Kiedy wkroczyli na ulice Gea Kul, pojedynczy promień słońca przebił się przez ciężkie szare chmury i padł dokładnie na miejsce spotkań zakonu horadrimów. Wszystko w okolicy obróciło się w ruinę, ale ten jeden dom stał. Thomas poszeptał z Cullanem i zwrócił na to uwagę Cainowi. Starzec skinął głową. Ten jeden promień bardziej niż cokolwiek innego dał mu nadzieję, że przez jakiś czas będą mogli cieszyć się pokojem.

Gdy doszli do tawerny, słońce rozgoniło chmury i ludzie zaczęli wychylać się z kryjówek, oszołomieni mrugali na wpół oślepieni, jak śmiertelnie chorzy, którzy nagle zostali przywrócenii do życia. Większość była wychudzona, z posiniaczonymi szyjami i nie reagowała na nic poza ciepłem słońca. Podnosili głowy, wpatrując się w niebo z bladymi uśmiechami na wychudłych twarzach.

Lea jednak pozostała nieruchoma. Początkowo niósł ją Mikułow, ale Cain upierał się, by przejąć to brzemie. Thomas i Cullen szli u jego boku. Deckard ułożył głowę dziewczynki na swojej piersi i nasłuchiwał jej oddechu, upewniając się nieustannie, że dziewczynka żyje.

– Nie pozwolę ci odejść - szeptał. - Przyrzekam.

Wydawało mu się, że próbowała coś powiedzieć, ale to było tylko złudzenie. Lea pozostała cicha i nieruchoma.



Stopniowo, niemal niezauważalnie okolica wracała do życia. Jasne słońce wywabiało na ulicę coraz więcej ludzi i od sąsiada do sąsiada rozpoczęło się świętowanie, bo ludzie uświadomili sobie, że czas strachu dobiegł końca. Wielu zginęło, gdy jaskinie się zapadły, ale ci, którzy na własne oczy widzieli zagładę Czarnej Wieży, wrócili, żeby powiedzieć pozostałym. I tak rozeszły się pogłoski o wielkim bohaterze z zakonu horadrimów, który pokonał Mrocznego. Wokół gospody Jeronnana zaczął gromadzić się tłumek. W końcu Thomas i Cullen wyszli porozmawiać z ludźmi i ryk aprobaty podniósł się aż pod niebo rozświetlone zmierzającym ku zachodowi słońcem.

Cain pozostał w środku, przy Lei, trzymając jej rączkę. Rany małej oczyszczono i opatrzone, a Cain przebrał ją w czyste ubrania, które dostał od Jeronnana. Były to ponoć rzeczy jego córki, które kapitan przechowywał przez lata, teraz zaś nalegał, że na nikogo innego nie będą pasowały lepiej.

Cain był pewien, że pod względem fizycznym dziewczynka miała się nie najgorzej. Straciła sporo krwi, ale była młoda i silna, jej serduszko biło równo, a buzia odzyskała kolory. Czekał więc cierpliwie przy jej posłaniu. Nie chciał ani odpoczywać, ani opatrywać swoich ran. Jednak wreszcie przysnął na siedząco, a kiedy się obudził, Lea patrzyła na niego skonfundowana.

– Wuju? - odezwała się. - Gdzie jestem? Co się stało?

Fala emocji była tak potężna, że na moment odebrała Cainowi głos.

– Jaką ostatnią rzecz pamiętasz? - wykrztusił wreszcie.

– Ja... - Lea wyglądała na głęboko zaskoczoną. - Pamiętam, jak byliśmy w gospodzie i spotkałam mężczyznę... Pamiętam, że byłeś dla mnie miły. Dbalesz o mnie. Ale nic więcej.

– Jesteś bezpieczna i tylko to ma znaczenie - odpowiedział, czując ciepło rozlewające się w piersi. Postanowił nie mówić jej nic o wydarzeniach minionych dwóch dni. Nawet gdyby go o to błagała. Jej dzieciństwo będzie zdecydowanie lepsze bez takich wspomnień. A jeśli Cain nauczył się czegoś w trakcie tej ciężkiej próby, to właśnie tego, że dzieciństwo jest cennym darem i nie można go lekceważyć. Ze zdumieniem zorientował się, że jest bliski łez.

– Kocham cię, Leo. Teraz jesteśmy rodziną.

Dziewczynka westchnęła miękko, skinęła głową i chwilę później już spała. Cain siedział i przyglądał jej się z cieniem uśmiechu na twarzy. Myślał o żonie i synu, o ciałach pod zakrwawionymi kocami. Przez tyle lat prześladowała go ta wizja i to, że nie mógł zajrzeć pod te koce, by zobaczyć ich po raz ostatni. Myśl o cierpieniu najbliższych towarzyszyła mu zawsze, zagrzebana w podświadomości, aż stała się czarną bezdenną studnią. Belial wykorzystał ten ból. Ale Cain już wiedział, że jego bliscy spoczywają w spokoju, że jakiegokolwiek cierpienie stało się ich udziałem, zakończyło się lata temu. I nadszedł czas, by pozwolić im odejść.

Wreszcie mógł zamknąć oczy i tym razem jego sen był głęboki i spokojny.



## TRZYDZIEŚCI OSIEM



### *Dalej w drogę*

Przez następne kilka dni jasno świeciło słońce, a do Gea Kul wracało życie.

Ponad połowa miasta była zniszczona, zapadła się pod ziemię. Lecz ludzie zaczęli oczyszczać ulice, które pozostały nietknięte, przeszukiwać zwały śmieci gromadzące się tam przez lata. Odbywały się spontaniczne uroczystości i więcej niż raz Deckard Cain po wyjściu z Kapitańskiego Stolika zastawał oczekującą go na progu gromadę, niczym pielgrzymka, która dotarła do celu. Ludzie okazywali respekt, ale wzbudzali w Cainie nerwowość, starzec nigdy nie należał do takich, co chętnie przyjmują adorację tłumu.

A jednak wielu uznawało go za bohatera.

– Jesteś nim, wiesz? - stwierdził Mikułow, gdy wychodząc, zastali ponad dwie dziesiątki mieszkańców oczekujących w pragnieniu, by uścisnąć Cainowi dłoń. - Bohaterem. Ostatnim z horadrimów.

– Żaden ze mnie...



– To dotyczy wszystkich aspektów - zapewnił Mikułow. - Nie trzeba nosić miecza, by zostać bohaterem. - Uśmiechnął się. - Mądry z ciebie człowiek, ale chyba o czymś zapominasz. Poprowadziłeś nas na skraj śmierci i z powrotem. Tylko ty miałeś plan, nawet w najczarniejszej godzinie, gdy chcieliśmy się już poddać. Bez ciebie bylibyśmy zgubieni.

– A bez ciebie, Mikułow, bylibyśmy martwi. Zatem wszyscy jesteśmy bohaterami. Każdy z nas.

– Jeżeli tak - odparł Mikułow - to jesteś za to odpowiedzialny.

Przez chwilę szli w milczeniu. Zadanie na dziś mieli ważne i musieli je wykonać w ciszy i samotności.

Cain dużo rozmyślał przez ostatnie dni, przede wszystkim o Lei. Była wyjątkową dziewczynką, w to nie dało się wątpić, a jednak przeżyła niewyobrażalną grozę, tak silną, że zablokowała moc i wspomnienia małej. Wydawało się, że Lea nie pamięta nic z tego, co się zdarzyło nie tylko podczas bitwy w Czarnej Wieży, ale też z całej przygody. Jakby z jej umysłu wymazane zostało wszystko, czego nie umiałyby pojąć.

Cain oczywiście pamiętał, a jego ostatnie odkrycia wiele miały wspólnego z Leą oraz prawdziwym znaczeniem starcia między światłem i ciemnością. Garreth Rau został pokonany, przynajmniej częściowo dlatego, że nie wziął pod uwagę wolnej woli Lei i możliwości, że dziewczynka zechce wybrać, po której stronie walczyć, dobra czy zła. I nie pojmował potęgi ludzkich więzi - i drzemiącego w nich dobra. Cain również tego nie potrafił, przez długi czas, ale Lea i Mikułow całkowicie to odmienili. Pomogli mu znowu stać się całością.

Cain i Mikułow mijali ulice, aż dotarli do miejsca spotkań horadrimów. Cain był niemal pewien, że armia Mrocznego została zniszczona. Ale chciał mieć całkowitą pewność.

Budynek stał nadal, choć mocno uszkodzony. Udało im się przejść po schodach do miejsca, gdzie ze ściany zwiślał w strzępach arras, ale wejście do tunelu znikło pod gruzowiskiem, a komnaty za biblioteką zapadły się i zawaliły.



Wrócili na powierzchnię i obeszlili budynek, by przekonać się, że ta część miasta po prostu znikła pochłonięta przez trzęsienie ziemi, po którym pozostał tylko krater wypełniony odłamkami i brudną wodą. Taką miałem właśnie nadzieję, pomyślał Cain. Zaginione miasto Al Cut i wszystko, co się z nim łączyło, przepadło.

– Użycie receptury Egila, by zniszczyć ściany tunelu i wpuścić tu morze?  
- Mikułow potrząsnął głową z wyrazem podziwu na twarzy. - To było genialne posunięcie taktyczne. Żaden z nas nie rozumiał do końca, co chcesz osiągnąć, kiedy kazałeś nam kopać w złożu minerałów. Nawet kiedy wkładaliśmy torebki z proszkiem w ściany zgodnie z twoimi poleceniami, nie sądziliśmy, że to zadziała. – Wzruszył ramionami. - Ale jak je podpaliłeś?

- Lea to uczyniła - wyjaśnił Cain. - Widziałem wcześniej jej moc w działaniu. A z mapy dowiedziałem się, że jaskinie ustąpią, jeżeli tylko podłoży się dość materiałów wybuchowych w odpowiednie miejsca, a mech, który w nich rośnie, wywoła reakcję chemiczną, jaka nam była potrzebna. Wiedziałem też, że wieża stanowi swoistą soczewkę nad zaginionym miastem, ogniskową, której moglibyśmy użyć jak zapalnika.

Popatrzyli na zniszczenia. Cain pomyślał o Garrecie Rau i o tym, jak Belial wykorzystał słabości tego człowieka dla własnych celów. A to przywołało o wiele bardziej niepokojące rozważania. Belial nie należał do tych, co łatwo się godzą z porażką. Cain zaczynał się zastanawiać, czy rzeczywiście to już koniec. Doszedł do wniosku, że przepowiednie można interpretować na różne sposoby. Może to, co się wydarzyło, stanowi dopiero pierwszy etap większego, bardziej niebezpiecznego planu.

Musiał dowiedzieć się więcej, jeśli miał zyskać pewność.

- Dziękuję ci za wszystko - zwrócił się do Mikułowa. - Wkrótce będę musiał stąd odejść, ale nigdy nie zapomnę ani ciebie, ani tego, co zrobiłeś.

- Ani ja - odrzekł mnich. Uścisnęli sobie dłonie. - I także odejdę niedługo. Grozi mi wyrok śmierci za porzucenie Klasztoru ponad Chmurami i może już zaczęto mnie szukać. Lecz moje przeznaczenie spoczywa w rękach bogów. I może pewnego dnia znowu się spotkamy.

+

Wrócili do gospody, gdzie Cain powiedział Cullenowi o swoich zamiarach.

- Co? - Cullen zamrugał zaskoczony. - Ale mamy tak wiele do zrobienia! Musimy zwerbować nowych braci do zakonu! Powiedziałeś...

– Dacie sobie tutaj radę - przerwał mu łagodnie Cain, kładąc młodszemu mężczyźnie dłoń na ramieniu. - Ty i Thomas jesteście doskonale przygotowani, by wieść innych do światła. Obaj studiowaliście starożytne teksty i rozumiecie, co jest potrzebne. Będę wam tylko przeszkadzał.

– Nonsens. - Cullen potrząsnął głową, podbródek zatrzęsł mu się komicznie. - Jesteś jedynym prawdziwym horadrimem, jaki pozostał w Sanktuarium!

Jeśli to prawda, pomyślał Cain, tym ważniejsze jest, abym znalazł odpowiedzi i zrozumiał, co naprawdę oznacza dla nas zniszczenie Kamienia Świata.

Cullen protestował jeszcze bardziej, ale Cain już podjął decyzję. Wyszli z gospody na spotkanie Lei i Thomasa, który wybrał się na poszukiwanie młodych drzew na łuk i strzały dla Lei. Chociaż dziewczynka nie pamiętała Lunda czy w ogóle wydarzeń w obozowisku, coś jednak zostało - bardzo chciała znów spróbować strzelania.

– Niedaleko wyrósł młodnik - oznajmił Thomas z nadzieją. - Drzewa znowu się pojawiają! Widziałem też sporo zwierząt. Do Kedżystanu powraca życie.

Thomas i Cullen, rozmawiając o tym, co widzieli, weszli do gospody. Cain ujął Leę za rączkę. Oto nadeszła chwila, której się lękał, musiał znaleźć dziewczynce miejsce, gdzie będzie bezpieczna. I będzie musiał wyjaśnić dziecku, dlaczego je opuszcza. Na samą myśl o rozstaniu pękało mu serce.

Usiedli w cieniu blisko doków.

– Gdzie zamieszkamy, wuju? - zapytała Lea. - Będziemy mieć własny dom?

Cainowi głos się załamał z niepewności. Musiał powiedzieć jej, co zamierza. Ale wydawało się to niemal niemożliwe do wykonania. W

połowie wyjaśnień dziewczynka zerwała się i zaczęła puszczać kaczki. Cain nie potrafił określić, czy mała jest na niego zła, czy smutna, ale tłumaczył dalej najlepiej jak umiał. Świat był niepewnym miejscem, a Deckard, choć mówi to z bólem, ma obowiązki, od których nie wolno mu się uchylać. Bo jeśli nie on, któż inny się tym zajmie?

– Chcę iść z tobą - stwierdziła Lea.

To sprawiło, że urwał w pół słowa. Przypomniało mu, jak wcześniej, w drodze do Kurast, też rozważał znalezienie Lei bezpiecznego domu i jak dziewczynka się na to nie zgodziła. Ale teraz było inaczej. Nie chodziło o jedną podróż, lecz o całe życie.

Wstał i przyłączył się do niej nad wodą.

– Nie wiesz, co to znaczy - zaproponował Cain. - W Sanktuarium... jest wiele niebezpieczeństw, przed którymi może nie będę umiał cię chronić...

– Nie obchodzi mnie to! - krzyknęła Lea, a kiedy odwróciła się do Caina, po policzkach płynęły jej łzy. - Jesteś jedyną rodziną, jaka mi została, i chcę być z tobą! Proszę, wuju, nie zostawiaj mnie!

I ukryła twarz w tunice Caina, jak kiedyś. Między nią i Deckardem zadzierzgnęła się więź, której nie można zerwać, i starzec wstrząśnięty uświadomił sobie, że nie może zostawić tej małej i tak jak ona nie zniesie rozłąki.

– Dobrze - wydusił i w jego oczach też wezbrały łzy. - Myliłem się, Leo. Będziesz podróżować ze mną i nigdy się nie rozstaniemy.

Zaczął się zastanawiać nad spisaniem wszystkiego, co mu się przydarzyło, nad stworzeniem własnej księgi, głównie ze względu na Leę. Dziewczynka nie była jeszcze gotowa, ale może kiedyś zechce poznać wiedzę horadrimów tak samo jak Cain. Jeżeli takie było przeznaczenie, należało je przyjąć, a kiedy nadejdzie prawdziwa inwazja demonów, razem będą gotowi stawić jej czoła.

Oboje przysiedli nad brzegiem, a fale pluskały o pomosty doków. Deckard Cain wyobraził sobie, że obok siedzi jego żona i syn. Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, czuł spokój.



## EPILOG



### *Władca Kłamstw*

Daleko poza granicami świata śmiertelników, wśród ryczących ogni Płonących Piekieł, wśród stworzonych przez siebie iluzji, Belial krzyczał z niemocy. Ściany drżały od jego furii, a demony w jego służbie uciekały jak mogły najdalej w obawie przed tym gniewem.

Był tak blisko rozerwania materii Sanktuarium, udało mu się zrealizować pierwszą część planu, a wtedy ten bezużyteczny ludzki śmieć go zaskoczył. Nigdy by się nie spodziewał, że Garreth Rau sprzeciwi mu się w taki sposób. Że poświęci się w walce o kontrolę.

Może działałem zbyt pośpiesznie, pomyślał Belial. Ale pokusa okazała się zbyt silna, ta ludzka skorupa należała właściwie do niego, a możliwość zgładzenia Deckarda Caina była dodatkową zachętą do przejęcia kontroli nad ciałem.

Nadal jestem Władcą Kłamstw, panem Płonących Piekieł. Nikt nie będzie mi się sprzeciwiał.

– Mój panie - usłyszał i pochylił się, by u swych stóp zobaczyć jedną ze służ, piękną, złotowłosą kobietę, silną i wysoką, o pełnych ustach



skrywających obietnicę uśmiechu. - Dopraszam się wysłuchania...

Belial warknął. Nie był w nastroju do zabawy. Potężnymi pazurami złapał demona i uniósł do oczu, niszcząc tym samym iluzję jego fizycznej formy. Ohydny koszmar patrzył nań pozbawionymi powiek oczodołami, piszcząc i wijąc się z bólu w mocarnym uścisku.

- Panie - zawył demon - przynoszę wieści. Wieszczyk miał wizję, która cię ucieszy. Na wschodzie nastąpią... narodziny! Chłopiec imperator przybędzie do Kaldeum!

Belial odstawił sługę na ziemię, chęć, by oderwać demonowi głowę, już mu nieco przeszła. Wieść wzbudziła jego zainteresowanie: chłopiec imperator w Kaldeum? W istocie interesujące. Jego plany zostały powstrzymane gwałtownie, ale może właśnie odkrył drogę do odnalezienia tego, czego pragnął tak bardzo.

- Narodziny nastąpią w ciągu pięciu lat - odezwał się demon. - To niedługie oczekiwanie, nie dla ciebie, panie...

- Niech twoi pobratymcy złączą torturować widzącego - nakazał Belial. - Nie będę ryzykował. Chcę wiedzieć więcej. Jest wiele do omówienia.

Demon umknął natychmiast, a Belial się uśmiechnął. W rzeczy samej, wiele do omówienia. Zaczynał dochodzić do wniosku, że jego podejście było niewłaściwe od samego początku. Nie był zwolennikiem brutalnej przemocy. Był mistrzem podstępu i oszustw. Istniało wiele sposobów podejścia do problemu, ale tylko jeden cel: zniszczenie Sanktuarium i upadek Królestwa Niebios. Władca Kłamstw nie spocznie, póki ten cel nie zostanie osiągnięty, a Belial nie będzie rządził tym, co ocaleje.

Cierpliwości. Już wkrótce jego czas nadejdzie.



## PODZIĘKOWANIA



Uniwersum Diablo jest niesamowicie złożone i fascynujące. Wielu ludzi pomogło mi nawigować po jego wodach. Chciałbym podziękować redaktorowi w Simon i Schuster Edowi Schlesingerowi za całą ciężką pracę oraz nieustające wsparcie. On jest jednym z tych dobrych. Ogromne podziękowania należą się również Micky'emu Neilsonowi i Jamesowi Waughowi, dwóm najwspanialszym facetom, jakich spotkałem w tym biznesie, oraz pozostałej załodze Blizzard Entertainment - to jedno z najbardziej kreatywnych miejsc na naszej planecie. Wymieniłbym wszystkich, ale lista byłaby bardzo długa.

Wreszcie jak zawsze dziękuję mojej żonie Kristie i dzieciom, Emily, Harrisonowi i Abbey, i reszcie rodziny, tak jak i przyjaciołom. Nie dałbym rady bez Waszego wsparcia.